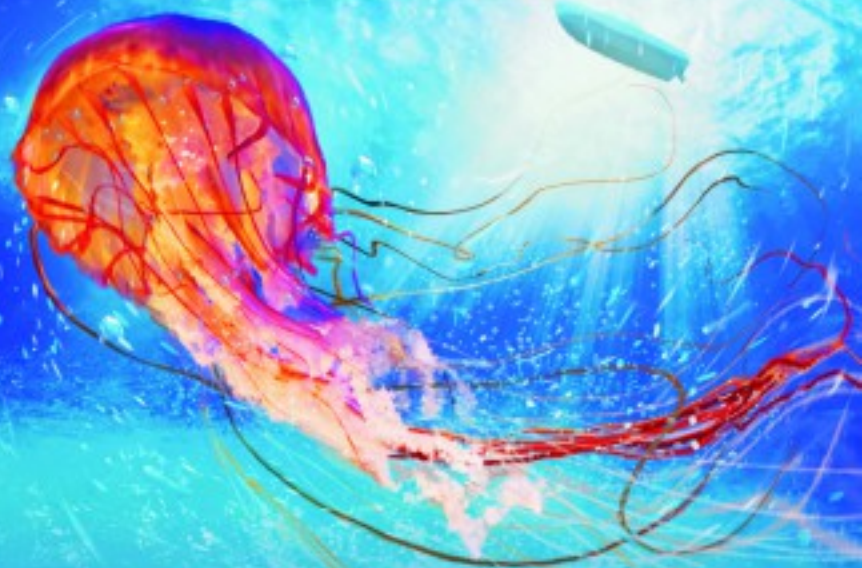


NOWY BESTSELLER WIELKIEGO MISTRZA PRZYGODY

CLIVE CUSSLER



PAUL KEMPRECOS



MEDUZA

MEDUZA

Kurt Austin w śmiertelnym wyścigu o udaremnienie globalnego spisku

Rok 1848.

Amerykański statek wielorybiczny zawija do portu na mikronezyjskiej wyspie. Wkrótce marynarze zapadają na zagadkową chorobę.

Czasy współczesne.

Naukowcy z supertajnego podwodnego laboratorium na jednej z wysp Mikronezji znikają bez śladu. U wybrzeży Bermudów niezidentyfikowana jednostka atakuje batysferę NUMA i pozostawia ją głęboko pod powierzchnią morza z pasażerami uwięzionymi na pokładzie. Kurt Austin w porę przychodzi im z pomocą - ale pytanie, kto i dlaczego skazał ich na pewną śmierć, nie daje mu spokoju. Odpowiedź kryje się za nazwą Piramida. I może oznaczać śmierć milionów ludzi...



Clive Cussler, jeden z najpopularniejszych i najbardziej lubianych pisarzy świata, to barwna, wspaniała postać, legendarny nurek, żeglarz, poszukiwacz wraków zatopionych okrętów. Jest autorem światowych bestsellerów (*Potop, Statek śmierci, Korsarz, Na dno nocy, Milczące morze*) sprzedanych w ponad 130 milionach egzemplarzy, tłumaczonych na ponad 30 języków i publikowanych w 105 krajach.

**CLIVE
CUSSLER**
PAUL KEMPRECOS

MEDUZA

Przekład MACIEJ
PINTARA



Redakcja stylistyczna
Joanna Złotnicka

Korekta Renata Kuk
Katarzyna Pietruszka

Ilustracja na okładce ©
2009 Craig White

Zdjęcie autora: Zbiory
Clive'a Cusslera

Skład
Wydawnictwo AMBER
Jacek Grzechulski

Druk
Opolgraf S.A., Opole

Tytuł oryginału
Medusa

Copyright © Sandecker, RLLLP, 2009
All rights reserved.

By arrangement with Peter
Lampack Agency, Inc. 551 Fifth
Avenue, Suite 1613 New York,
NY 10176-0187 USA

For the Polish edition
Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3721-3

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Gdyby tempo rozprzestrzeniania się epidemii nadal rosło w
postępie arytmetycznym, ludzkość mogłaby wkrótce zniknąć
z powierzchni Ziemi.*

dr Victor Vaughn
„American Experience”, *Grypa 1918*

*Co wieczór i co rano myj wewnątrz nosa mydłem i wodą;
każdego wieczora i ranka zmusz się do kichnięcia,
a potem odetchnij głęboko;
nie noś grubych, ciepłych szalików;
codziennie chodź na długie spacery
i pieszo wracaj z pracy do domu;
jedz dużo owsianki.*

*Jak ustrzec się grypy - porady zamieszczone w
„News of the World” z 1918 roku*

Prolog

Pacyfik, rok 1848

W ciągu wielu lat żeglowania po oceanach kapitan Horatio Dobbs nigdy nie widział czegoś takiego. Przechadzał się po pokładzie rufowym „Princess”, wielorybnika z New Bedford, a jego szare oczy śledziły wskazania kompasu niczym dwa snopy światła latarni morskiej. Pacyfik był pustynią w kształcie kręgu. Żadne fontanny nie wytryskiwały na horyzoncie. Żadne morświny nie płały wokół dziobu. Żadne latające ryby nie śmigały nad grzbietami fal. Zupełnie jakby życie w morzu przestało istnieć.

Dobbs miał w New Bedford opinię mistrza w swoim fachu. W portowych tawernach, gdzie zbierali się twardzi harpunnicy, i w salonach bogatych kwaków, właścicieli statków, na Johnny Cake Hill mówiono, że potrafi wyniuchać kaszalota z pięćdziesięciu mil. Ale ostatnio nozdrza kapitana wypełniała tylko obrzydliwa woń wzbierającego buntu.

Dobbs z lękiem rejestrował w dzienniku pokładowym każdy bezowocny dzień. Wpis z poprzedniego wieczoru doskonale ilustrował jego problemy:

27 marca 1848. Orzeźwiająca bryza z południowego zachodu. Ani jednego wieloryba w polu widzenia. Pech wisi nad rejsem niczym cuchnąca mgła. Na całym Pacyfiku nie ma oleju dla nieszczęsnej „Princess”. W forkasztelu szykują się kłopoty.

Z podwyższonego pokładu rufowego Dobbs miał dobry widok na cały statek i musiałby być ślepy, żeby nie zauważać, jak marynarze odwracają wzrok i rzucają ukradkowe spojrzenia. Oficerowie meldowali z niepokojem, że zwykle narzekania załogi w forkasztelu stają się coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze. Kapitan poinstruował ich, żeby trzymali pistolety w pogotowiu i nawet na chwilę nie zostawiali pokładu bez nadzoru. Nikt jeszcze nie próbował wzniecić otwartego buntu, ale w ciemnym, obskurnym forkasztelu - ciasnych kwaterach w zwężeniu dziobu - słyszało się szepty, że los mógłby się uśmiechnąć do statku, gdyby kapitanowi przydarzył się jakiś wypadek.

Dobbs miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i profil jak wyrzeźbiony w skale. Był pewien, że zdołałby stłumić bunt, ale buntem najmniej się przejmował. Kapitan powracający do portu bez cennego ładunku oleju popełniał niewybaczalny grzech - narażał armatora na straty. Żadna załoga z prawdziwego zdarzenia nie wyszłaby z nim więcej w morze. Reputacja, kariera i majątek mogły zależeć od jednego rejsu.

Im dłużej żeglowali, tym większe było niebezpieczeństwo porażki. Zapasy się kończyły. Załodze zagrażały szkorbut i inne choroby. Stan statku się pogarszał i marynarze tracili zapał. Zawinięcie do portu, żeby uzupełnić zaopatrzenie i dokonać napraw, było ryzykowne. Załoga mogła opuścić statek i zamustrować się na innym, mniej pechowym.

Ta wyprawa wielorybnicza szła źle od początku, od rześkiego jesiennego dnia, kiedy lśniący nowy żaglowiec opuszczał zatłoczone nabrzeże wśród pożegnalnych okrzyków. Dobbsa zdumiewał pech „Princess”. Żaden statek nie mógłby być lepiej przygotowany do dziewiczego rejsu. „Princess” miała doświadczonego kapitana, starannie dobraną załogę i nowo wykute, ostre jak brzytwa harpuny.

Trzystutonowy żaglowiec zbudowano w jednej z najbardziej renomowanych stocznii w New Bedford. Miał nieco ponad trzydzieści metrów długości i prawie dziesięć szerokości. W ładowni mieściły się trzy tysiące beczek do transportu trzystu czterdziestu tysięcy litrów oleju. Mocna dębowa konstrukcja statku mogła się

oprzec największym sztormom. Cztery łodzie wielorybnicze spoczywały w drewnianych żurawikach nad relingami. Mimo że wielu marynarzy drwiło z szerokich statków o kwadratowych rufach budowanych w Nowej Anglii, te wytrzymałe jednostki mogły latami pływać w ciężkich warunkach, w których ich smuklejsze odpowiedniki przeciekałyby na spojeniach.

Gdy „Princess” opuściła port, silna bryza wydeła wielkie kwadratowe żagle na jej trzech masztach, sternik wziął kurs na wschód i statek wypłynął z rzeki Acushnet na Atlantyk. Pchany stałym wiatrem, szybko dotarł do Azorów. Po krótkim postoju w Faial, gdzie załadowano owoce, by zapobiec szkorbutowi, żaglowiec skierował się w stronę południowego krańca Afryki i bez przygód okrążył Przylądek Dobrej Nadziei.

Lecz przez następne tygodnie zygzakował po Pacyfiku, nie natrafiwszy na żadnego wieloryba. Dobbs wiedział, że znajdowanie waleni ma więcej wspólnego z solidną znajomością pogody i szlaków ich wędrówek niż ze szczęściem, ale teraz, kiedy wpatrywał się w gładką powierzchnię morza, zaczął się zastanawiać, czy jego statek nie jest przeklęty. Odepchnął tę nieprzyjemną myśl i podszedł do kucharza okrętowego, który właśnie czyścił kuchnię.

- Zagraj nam coś na skrzypcach - polecił.

W nadziei na podniesienie morale wydawał to polecenie co dzień przed zapadnięciem zmierzchu, ale wesola muzyka tylko pogarszała posępny nastrój na pokładzie.

- Zwykle czekam do zachodu słońca - odrzekł ponuro kucharz.

- Nie dziś. Spróbuj zwabić wieloryba.

Kucharz odłożył szmatę i niechętnie rozwinął materiał chroniący jego sfatygowane skrzypce. Wetknął je pod brodę, wziął postrzępiony smyczek i zaczął rzępolić bez strojenia instrumentu. Chmurne miny marynarzy wyraźnie mówiły, że ich zdaniem jego muzyka tylko odstrasza wieloryby, więc ilekroć grał, obawiał się, że wyrzucą go za burtę. W dodatku skrzypce miały tylko dwie struny, a on ograniczony repertuar, powtarzał zatem melodie, które załoga słyszała już dziesiątki razy.

Gdy kucharz rzępolił, kapitan kazał pierwszemu oficerowi objąć wachtę na pokładzie rufowym, sam zaś zszedł do swojej kajuty, rzucił podniszczony cylinder na koję i usiadł przy biurku. Przyjrzał się uważnie mapom morskim, chociaż spenetrował już wszystkie znane łowiska bez rezultatu, po czym oparł się wygodnie na krzesło, przymknął powieki i zwiesił głowę. Zapadł w drzemkę, ale po zaledwie kilku minutach cudowne słowa, których nie słyszał od miesięcy, wyrwały go ze snu.

- Wieloryb! - wołał ktoś. - Wieloryb!

Dobbs zerwał się z miejsca jak wystrzelony z katapulty, złapał cylinder i wbiegł po drabinie na pokład. Zmrużywszy oczy w jasnym słońcu, spojrzął na szczyt grotmasztu trzydzieści metrów nad pokładem. Na każdym z trzech masztów pełnili dwugodzinne wachty obserwatorzy stojący w żelaznych kręgach na małych platformach.

- Gdzie?! - krzyknął kapitan do marynarza na grotmaszcie.

- Z prawej burty, panie kapitanie. - Obserwator wskazał kierunek. - Tam. Wynurza się.

Wielka głowa w kształcie młota wyłoniła się z wody ćwierć mili od statku i opadła z potężnym rozbryzgiem. Kaszałot. Dobbs krzyknął do sternika, żeby wziął kurs na wieloryba. Marynarze wspięli się na takielunek ze zwinnością małp i rozwinęli każdy centymetr kwadratowy płótna.

Kiedy żaglowiec skręcił, drugi obserwator wrzasnął z bocianiego gniazda ochrypłym z podniecenia głosem:

- Następny, panie kapitanie! Na Boga, następny!

Dobbs spojrzął przez lunetę na lśniący szary grzbiet wynurzający się z morza. Fontanna była niska i szeroka, tryskała w przód pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Przesunął lunetę w prawo, potem w lewo. Następne fontanny. Całe stado wielorybów. Roześmiał się głośno. Patrzył na potencjalną fortunę z oleju.

Kucharz przestał grać na widok pierwszego wieloryba i teraz stał oszołomiony, trzymając skrzypce w luźno opuszczonej ręce.

- Udało ci się! - krzyknął do niego kapitan. - Zwabiłeś dość kaszalotów, by zapelnąć nasze ładownie po brzegi. Graj dalej, do kroćset.

Kucharz posłał kapitanowi szczerbaty uśmiech, uniósł instrument i po chwili zabrzmiała żwawa szanta. Sternik ustawił statek pod wiatr. Strymowano żagle i „Princess” stanęła.

- Spuścić łodzie z bakburty! - ryknął Dobbs z zapalem, który nieco przygasł podczas długiej posuchy. - Ruszajcie się, ludzie, je śli lubicie pieniądze.

Kazał zwodować trzy dziewięciometrowe łodzie wielorybnicze. Każdą dowodził oficer pełniący jednocześnie rolę sternika. Na pokładzie „Princess” zostało tylko kilku marynarzy, niezbędnych, by w razie potrzeby poprowadzić statek. Czwartą kapitan trzymał w rezerwie.

Wodowanie trwało niewiele ponad minutę. Smukłe łodzie opadły do morza prawie jednocześnie, a ich załogi zeszyły po burcie statku. Marynarze zajęli miejsca na ławkach i zanurzyli wiosła. Gdy tylko łodzie oddaliły się od „Princess”, w każdej szybko postawiono żagiel, by zyskać kilka dodatkowych węzłów prędkości.

Dobbs obserwował, jak mkną do celu niczym strzały.

- Spokojnie, chłopcy - mruknął. - Nie gorączkujcie się.

- Ile ich jest, panie kapitanie? - zapytał kucharz.

- Aż nadto, byś mógł usmażyć pięciokilowe steki dla wszystkich na pokładzie - odparł Dobbs. - Możesz wyrzucić soloną wieprzowinę za burtę - dodał radośnie.

Śmiech kapitana przetoczył się po pokładzie jak ryk huraganowego wiatru.

Caleb Nye wiosłował co sił w prowadzącej łodzi. Jego otarte do żywego mięsa dłonie krwawiły, a ramiona bolały. Pot spływał mu po czole, lecz nie śmiał puścić wiosła, by wytrzeć oczy.

Miał osiemnaście lat i był zylastym, dobrodusznym wieśniakiem z Concord w Massachusetts na swoim pierwszym rejsie. Przysługująca mu jedna dwieście dziesiąta część zysków była najniższą stawką spośród przysługujących członkom załogi. Wiedział,

że będzie szczęściarzem, jeśli wyjdzie na swoje, ale zamustrował się, bo pociągały go przygody i egzotyczne kraje.

Pełen zapału Caleb przypominał kapitanowi jego samego podczas pierwszej wyprawy wielorybniczej, powiedział więc chłopakowi, że na pewno dobrze mu pójdzie, jeżeli będzie ciężko pracował, wykonywał wszystkie rozkazy i trzymał się z dala od kłopotów. Pracowitość, determinacja i obojętność na drwiny zyskały mu szacunek doświadczonych wielorybników, którzy traktowali go jak maskotkę.

Łodzią dowodził pierwszy oficer, pokryty bliznami weteran wielu wypraw wielorybniczych. Stale upominał wioślarzy, ale nowicjusza Caleba pouczał najczęściej.

- Z życiem, mój chłopcze - mówił. - Przyłóż się do tego, wszak nie ciągniesz krowy za strzyk. I nie odrywaj oczu od mojej przy stojnej twarzy. Ja będę wypatrywał syren.

Dowódca, jedyny, któremu wolno było patrzeć do przodu, obserwował dużego samca płynącego prosto na ich łódź. Słońce odbijało się w lśniącej czarnej skórze wieloryba. Oficer wydał cichy rozkaz harpunnikowi.

- Wstań i przygotuj się.

Dwa ponaddwumetrowe harpuny spoczywały w kołyskach na dziobie. Ich ostre jak brzytwa zadziory obracały się pod kątem prostym do grotu. Uwolnienie zabójczego narzędzia było prawie niemożliwe, gdy utkwiło ono w ciele wieloryba.

Marynarz na dziobie odłożył wiosło, wstał i chwyciwszy harpun, zdjął pochwę z grotu. Tak samo przygotował drugi.

Pięćsetpięćdziesięciometrowe liny przywiązane do obu harpunów biegły przez trójkątne wyżłobienie w dziobie do skrzyni, gdzie leżały starannie zwinięte. Stamtąd były przeciągnięte do rufy, okręcone wokół krótkiego słupka i poprowadzone z powrotem.

Oficer przesunął rumpel i skierował dziób łodzi w lewy bok wieloryba, by praworęczny harpunnik miał odpowiednią pozycję do rzutu. Kiedy waleń był w odległości około pięciu metrów, dowódca krzyknął:

- Teraz!

Harpunnik oparł kolano o wewnętrzną stronę burty, zamachnął się harpunem jak oszczepem i rzucił. Grot wbił się w bok wieloryba kilkanaście centymetrów za jego okiem. Marynarz cisnął drugi harpun i ulokował go tuż przy pierwszym.

- Odpływać! - rozkazał oficer.

Wiosła się zanurzyły i łódź cofnęła się o kilka metrów.

Wieloryb, uniósłszy wysoko wielki ogon, uderzył nim w wodę tam, gdzie przed chwilą była łódź. Zrobił to jeszcze raz, po czym schował głowę pod powierzchnię i zanurkował. Kaszalot potrafi opaść na głębokość trzystu metrów i zanurzać się z prędkością dwudziestu pięciu węzłów. Lina rozwijała się błyskawicznie. Jeden z marynarzy polewał ją wodą, by ją schłodzić, ale mimo jego wysiłków dymiała od tarcia o słupek.

Łódź ślizgała się szaleńczo po grzbietach fal - wielorybnicy nazywają ten efekt „sanną Nantucket”. Wioślarze wiwatowali, ale zamilkli, gdy łódź się zatrzymała: waleń wracał na powierzchnię. Potężny ssak wynurzył się w ogromnym rozbryzgu piany, zaczął się miotać niczym pstrąg złowiony na przynętę, a po chwili znów zniknął w głębinach i wyłonił się ponownie dopiero po dwudziestu minutach. Powtarzał to kilkakrotnie. Za każdym razem wciągano coraz więcej liny i dystans malał, aż w końcu wieloryb dzieliło od łodzi tylko około trzydziestu metrów.

Odwrócił wielką głowę w kierunku prześladowcy. Oficer, widząc agresywne zachowanie zwierzęcia, zrozumiał, że to zapowiedź ataku. Krzyknął do harpunnika, żeby przeszedł na rufę. Mężczyźni zamienili się miejscami w rozchybotanej łodzi, potykając się o wiosła, swoich towarzyszy i liny. Wyglądałoby to komicznie, gdyby nie groźna sytuacja.

Oficer chwycił lancę - długie drzewce z grotem o ostrych krawędziach w kształcie łyżki - i stanął na dziobie jak matador szykujący się do walki z bykiem. Spodziewał się, że wieloryb przetoczy się na bok, by zrobić jak najlepszy użytek z ostrych zębów w dolnej szczęce.

Harpunnik przestawił rumpel. Wieloryb i łódź minęły się zaledwie o metry. Gdy waleń zaczął się przetaczać, odsłaniając podatny

na zranienie bok, oficer wbił w niego lancę. Poruszał nią, aż zagłębiła się prawie na dwa metry w ciało zwierzęcia i dotarła do serca. Wtedy krzyknął do wiosłarzy, by zawrócili. Za późno. Konający wieloryb zatrzaskał szczęki na środkowej części sunącej wolno łodzi.

Marynarze wpadali jeden na drugiego, próbując uciec przed ostrymi zębami. Wieloryb przez chwilę potrząsał łodzią niczym pies kością, po czym rozwarł szczęki, oddalił się i trzasnął wielkim ogonem w wodę. Gejzer zabarwionej krwią pary wytrysnął z jego nozdrza.

- Mamy go! - krzyknął jeden z wiosłarzy.

Lanca dopełniła dzieła. Wieloryb rzucał się jeszcze przez moment, a potem zniknął pod powierzchnią, pozostawiając po sobie szkarłatną plamę.

Marynarze przywiązali wiosła w poprzek nadburci, żeby ustabilizować tonącą łódź, i zatkali dziury koszulami. Mimo ich wysiłków ledwo utrzymywała się na wodzie, kiedy martwy wieloryb wypłynął na powierzchnię i przetoczył się na grzbiet.

- Dobra robota, chłopcy! - ryknął oficer. - Daliśmy mu nauczkę. Jeszcze jeden taki i wracamy do New Bedford kupować łakocie naszym ukochanym. - Wskazał zbliżającą się „Princess”. - Patrzcie, chłopcy, stary tu płynię, żeby nas zabrać i położyć do łóżek. Wszyscy są cali i zdrowi, jak widzę.

- Nie wszyscy! - zawołał harpunnik ochrypłym głosem. - Nie ma Caleba.

„Princess” rzuciła kotwicę i zwodowano rezerwową łódź. Po bezowocnych poszukiwaniach Caleba w zabarwionej krwią wodzie zniszczoną łódź wielorybniczą doholowano do żaglowca.

- Gdzie jest żółtodziób? - zapytał kapitan, kiedy przemoczona załoga wspięła się na pokład.

Pierwszy oficer pokręcił głową.

- Biedny chłopak wypadł za burtę, kiedy wieloryb nas zaatakował.

Dobbsowi żal było młodego Caleba, ale wiedział, że śmierć to stała towarzyszką marynarzy. Skupił się na najważniejszym teraz

zadaniu. Kazał swoim ludziom tak manewrować ciałem wieloryba, żeby znalazło się pod rusztowaniem z prawej burty. Żelaznymi hakami przyciągnęli walenia i podnieśli go do pozycji pionowej. Odcięli mu głowę, lecz zanim zaczęli usuwać tłuszcz, wydobyli wnętrzności i wciągnęli je na pokład, żeby poszukać ambry, cennego surowca do wyrobu perfum, który powstaje w brzuchach chorych osobników.

W wielkim żołądku coś się ruszało. Jeden z marynarzy, sądząc, że to kałamarnica, przysmak kaszalotów, rozciął żołądek ostrą łopatą. Zamiast macek, w otworze ukazała się ludzka noga. Marynarz rozchylił ściany żołądka i zobaczywszy człowieka w pozycji embrionalnej, chwycił go za kostki i wyciągnął na pokład. Głowę nieprzytomnego mężczyzny pokrywał śluz. Pierwszy oficer podszedł i splukał maż wiadrem wody.

- To Caleb! - wykrzyknął. - Żółtodziób.

Caleb poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Dobbs, który już miał zarządzić usuwanie tłuszczu z wieloryba, zbliżył się, popatrzył na chłopaka i kazał oficerom zanieść go do swojej kajuty. Położyli go na koi kapitana, zdjęli mu uwalane śluzem ubranie i owinęli kocami.

- Na Boga, czegoś takiego jeszcze nie widziałem - wymamrotał pierwszy oficer.

Osiemnastolatek wyglądał jak pomarszczony osiemdziesięcioletni starzec. Był trupioblady, włosy miał jak włókna bawełny, a skóra na jego twarzy i rękach wyglądała jak po wielodniowym moczeniu w wodzie.

Dobbs dotknął ręki Caleba, spodziewając się, że będzie zimny jak nieboszczyk, którego przypominał.

- Ma gorączkę - rzekł.

Kapitan pełnił obowiązki lekarza okrętowego, obłożył więc chłopaka mokrymi ręcznikami, by obniżyć mu temperaturę ciała. Z czarnej skórzanej torby wyjął fiolkę leku zawierającego opium i wlał kilka kropli Calebowi do gardła. Chłopak bredził przez chwilę, a potem zapadł w głęboki sen. Spał ponad dobę. Kiedy otworzył oczy, zobaczył kapitana, który siedział za swoim biurkiem i pisał coś w dzienniku okrętowym.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotał suchymi, spękanymi wargami.
- Na mojej koi - burknął Dobbs. - I mam już tego dość, do diaska.

- Przepraszam, panie kapitanie. - Caleb zmarszczył czoło. - Śniło mi się, że umarłem i poszedłem do piekła.

- Nie miałeś tyle szczęścia, młodzieńcze. Naszemu kaszalotowi najwyraźniej smakowali wiejscy chłopcy, ale wydobyliśmy cię z jego brzucha.

Caleb pamiętał okrągłe oko wieloryba, lot w powietrzu z wymachiwaniem rękami i nogami i wstrząs przy uderzeniu w powierzchnię wody. Pamiętał też, jak sunął ciemnym tunelem, gdzie ledwo mógł oddychać gęstym, wilgotnym powietrzem. Gorąco było nie do zniesienia, więc szybko zemdlął.

Wyraz przerażenia pojawił się na jego bladej, pomarszczonej twarzy.

- Wieloryb mnie połknął!

Kapitan skinął głową.

- Każę kucharzowi przynieść ci trochę zupy - powiedział. - Potem wrócisz do forkaasztelu.

Pozwolił jednak Calebowi zostać w swojej kajucie, dopóki z tłuszczu upolowanego wieloryba nie wytopiono oleju i nie napełniono nim beczek. Wtedy zebrał marynarzy z forkaasztelu na pokładzie i pochwaliwszy ich za ciężką pracę, rzekł:

- Wszyscy wiecie, że naszego żółtodzioba, niczym Jonasza z Biblii, połknął wieloryb. Na szczęście młody Caleb przeżył i wkrótce wróci do swoich obowiązków. Potrączę mu wypłatę za stracony czas. Na tym statku tylko nieboszczykowi wolno próżnować.

Ta ostatnia uwaga wywołała szerokie uśmiechy na twarzach członków załogi.

- Muszę was uprzedzić - ciągnął Dobbs - że młody Caleb wygląda inaczej, niż go pamiętacie. Soki trawienne wieloryba odbarwiły mu skórę i teraz jest bielszy niż gotowana rzepa. - Popatrzyl surowo na marynarzy. -Ale pamiętajcie: nikomu na tym statku nie wolno wyśmiewać się z cudzego nieszczęścia. To wszystko.

Oficerowie pomogli Calebowi wspiąć się na pokład. Kapitan poprosił go o zdjęcie kawałka materiału, który zasłaniał mu głowę i twarz jak kaptur mnicha.

Marynarze wciągnęli gwałtownie powietrze.

- Przyjrzyjcie się naszemu Jonaszowi, żebyście mieli co opowiadać wnukom - ciągnął kapitan. - Nie różni się od reszty z nas pod tą białą skórą. A teraz ruszamy na wieloryby.

Celowo nazwał Caleba Jonaszem, gdyż takie imię marynarze nadawali członkowi załogi, który przynosił pecha. Nie mógł nie nawiązać do biblijnego bohatera połkniętego przez wielką rybę. Kilku marynarzy zaproponowało, żeby wyrzucić Caleba za burtę. Na szczęście wszyscy byli zbyt zajęci, by zrobić mu krzywdę. Na pustym wcześniej morzu teraz roiło się od wielorybów. Nie było wątpliwości, że los uśmiechnął się do „Princess”. Wydawała się magnesem, który przyciąga każdego walenia w oceanie.

Co dzień wodowano łodzie po okrzykach obserwatora na bocianim gnieździe. Żeliwne kadzie do wytapiania oleju bulgotały jak kotły czarownic. Słup tłustego czarnego dymu przesłaniał gwiazdy i słońce, nadając żaglom ciemnoszarą barwę. Kucharz rzępolił na skrzypcach. Kilka miesięcy po spotkaniu Caleba z wielorybem ładownia była pełna.

Przed długą podróżą powrotną statek musiał uzupełnić zaopatrzenie, a zmęczonej załodze należał się odpoczynek na lądzie. Dobbs wybrał na postój Pohnpei. Ta zielona wyspa słynęła z pięknych kobiet i ich chęci do świadczenia rozmaitych usług oraz dostarczania wszelkich towarów wielorybnikom, nic więc dziwnego, że w porcie tłoczyły się statki wielorybnicze ze wszystkich stron świata.

Dobbs, jako kwakier, sam nie pił alkoholu i nie zabawiał się z wyspiarkami, ale nad swoje przekonania religijne przedkładał obowiązek utrzymania harmonii wśród załogi i dostarczenia do domu ładunku oleju. Dlatego śmiał się serdecznie, gdy po powrocie łodziami z łądu pijani marynarze wtaczali się na pokład albo byli wyławiani z wody, do której wpadali.

Caleb, który został na statku, obserwował odpływających i przyptywających kolegów z łagodnym uśmiechem. Kapitan był

zadowolony, że chłopak nie wybrał się na brzeg. Tubylcy byli wprawdzie nastawieni przyjaźnie, ale białe włosy i skóra Caleba mogły sprawiać problemy.

Podczas kurtuazyjnej wizyty Dobbsa u amerykańskiego konsula, jego krajana z Nowej Anglii, dyplomatę zawiadomiono, że na wyspie pojawiła się tropikalna choroba. Kapitan niezwłocznie przerwał załodze urlop, a w dzienniku okrętowym napisał:

Ostatni dzień odpoczynku na lądzie. Kapitan odwiedził konsula Stanów Zjednoczonych, A. Markhama, który oprowadził go po starożytnym mieście o nazwie Nan Madol. Po powrocie dyplomata dostał wiadomość o chorobie na wyspie. Koniec wolnego i pośpieszne wyjście w morze.

Gdy ostatni marynarze weszli chwiejnie na statek i zapadli w pijacki sen, Dobbs rozkazał tym, którzy już wytrzeźwieli, podnieść kotwicę i postawić żagle. Zanim ich upojeni koledzy wstali z koi i wzięli się do pracy, „Princess” była daleko na morzu. Przy sprzyjającym wietrze mogliby wrócić do domu za parę miesięcy.

Choroba zaatakowała niecałą dobę po wyjściu z portu.

Marynarz nazwiskiem Stokes obudził się około drugiej nad ranem i popędził do relingu, by opróżnić żołądek. Kilka godzin później dostał gorączki, a na jego twarzy pojawiły się brązowawoczerwone krosty. Wysypka rozszerzała się na inne partie ciała, aż zaczął wyglądać jak wyrzeźbiony z mahoniu.

Kapitan okładał go mokrymi ręcznikami i podawał mu lek w płynie. Kazał przenieść Stokesa na pokład dziobowy i położyć pod prowizorycznym namiotem. Świeże powietrze i słońce mogły mu pomóc, a odizolowanie go mogło zapobiec zarażeniu innych marynarzy w forkasztelu.

Niestety nie zapobiegło. Choroba rozprzestrzeniała się jak pożar lasu. Kolejni marynarze osuwali się na pokład. Takielarz spadł z noku rei na stertę żagli, która szczęśliwie zamortyzowała uderzenie. Na pokładzie dziobowym zorganizowano naprędce izbę chorych. Wkrótce skończyły się lekarstwa, a kapitan obawiał się, że za

kilka godzin zachorują on i oficerowie. „Princess” stanie się statkiem widmem i będzie dryfowała na łasce prądów i wiatru, dopóki nie przegnie.

Popatrzył na mapę. Najbliższy ląd wielorybnicy nazywali Wyspą Kłopotów. Unikali tego miejsca, bo załoga pewnego statku spaliła tam kiedyś wioskę i zabiła kilkunastu tubylców po kłótni z powodu ukradzonej beczki gwoździ i od tej pory wyspiarze atakowali statki wielorybnicze. Ale Dobbs nie miał wyboru. Stanął za sterem i wziął kurs prosto na wyspę.

Wkrótce „Princess” wpłynęła do zatoczki otoczonej piaszczystą plażą i kotwica opadła z pluskiem do zielonej wody. Nad wyspą górował wulkan, smugi dymu unosiły się wokół jego szczytu. Kapitan i pierwszy oficer wybrali się małą łodzią na ląd po wodę pitną. Znaleźli strumień niedaleko brzegu i byli w drodze powrotnej na statek, gdy natrafili na zrujnowaną świątynię. Dobbs przyjrzał się porośniętym pnączami murom.

- To miejsce przypomina mi Nan Madol - rzekł.

- Co takiego, panie kapitanie? - spytał pierwszy oficer. Dobbs pokręcił głową.

- Nieważne. Lepiej wracajmy na statek, dopóki jeszcze może my chodzić.

Krótko po zmroku zachorowali oficerowie, kapitan też zaniemógł. Z pomocą Caleba zaciągnął swój materac na pokład rufowy i powiedział chłopakowi, żeby dbał o wszystkich najlepiej jak może.

Caleba zaraza jakoś się nie imaża. Nosił na pokład dziobowy wiadra wody, by jego koledzy mogli ugasić straszliwe pragnienie, doglądał także Dobbsa i oficerów. Kapitan drżał z zimna i pocił się na przemian. Wkrótce stracił przytomność, a kiedy się ocknął, zobaczył na pokładzie ruchome pochodnie. Jedna się zbliżyła i chybotliwy płomień oświetlił wytatuowane twarze kilkunastu tubylców uzbrojonych w dzidy i noże do wycinania tłuszczu.

- Witaj - rzekł wyspiarz o wystających kościach policzkowych i długich czarnych włosach.

- Mówisz po angielsku? - zdołał wykrztusić zdumiony Dobbs.

Mężczyzna uniósł dźbę.

- Dobry harpunnik.

W kapitana wstąpiła nadzieja. Mimo dzikiego wyglądu tubylec też był wielorybnikiem.

- Moi ludzie są chorzy - powiedział. - Możecie nam pomóc?

- Pewnie - odparł wyspiarz. - Mamy dobry lek. Wyleczymy was. Jesteście z New Bedford?

Dobbs przytaknął.

- Niedobrze - odrzekł tubylec. - Ludzie z New Bedford pojmali mnie. Wskoczyłem ze statku i wróciłem do domu. - Pokazał w uśmiechu białe zęby. - Nie ma leku. Będziemy patrzyli, jak spala was ognista choroba.

- Nic panu nie jest, panie kapitanie? - zapytał cichy głos.

Caleb wyłonił się z ciemności i teraz stał na pokładzie w blasku pochodni.

Wódz tubylców wytrzeszczył oczy i wyrzucił z siebie jedno słowo:

- *'Atua!*

Kapitan, który znał trochę język mieszkańców Oceanii, wiedział, że *'atua* oznacza złego ducha. Uniósł się na łokciach.

- Tak. To mój *'atua*. Róbcie, co mówi, bo inaczej przeklnie was i wszystkich na waszej wyspie.

Caleb zorientował się w sytuacji i przyłączył do blefu kapitana. Rozpostarłszy ręce nad głową dla lepszego efektu, rozkazał:

- Odłóżcie broń, bo inaczej użyję mojej mocy.

Wódz tubylców powiedział coś do nich w swoim języku i wszyscy mężczyźni rzucili zabójcze narzędzia na pokład.

- Wspomniałeś, że umiecie wyleczyć ognistą chorobę - przypomniał kapitan. - Pomóżcie nam, bo inaczej rozgniewacie *'atue*.

Wyspiarz chwilę się wahał, ale gdy Caleb zdjął kapelusz i jego jedwabiste białe włosy rozwiała tropikalna bryza, pozbył się wątpliwości. Wydał krótki rozkaz swoim ludziom.

Dobbs znów zemdlał. Miał dziwne sny, wśród nich taki, że poczuł mokre zimno i ukłucie w pierś. Gdy otworzył oczy, był jasny dzień, a marynarze uwijali się na pokładzie. Statek płynął pod peł-

nymi żaglami, fale uderzały o kadłub, w górze zaś krążyły białe ptaki.

Pierwszy oficer, widząc, że Dobbs próbuje usiąść, podszedł do niego z dzbanem wody.

- Lepiej się pan czuje, panie kapitanie? - spytał.

- Owszem - wychrypiał kapitan między łykami wody. Gorączka minęła i chciało mu się jeść. - Niech pan mi pomoże wstać.

Stanął niepewnie na nogach, a oficer trzymał go za ramię. Statek był na pełnym morzu, kapitan nie widział już wyspy.

- Jak długo jesteśmy w drodze?

- Od pięciu godzin - odrzekł oficer. - To istny cud. Ludziom spadła gorączka i zniknęła wysypka. Kucharz ugotował zupę, zjedliśmy i ruszyliśmy w rejs.

Kapitana zaswędziła pierś, podniósł więc koszulę. Po krostach pozostały tylko jasnoczerwone plamki.

- Co z tubylcami? - zapytał.

- Z tubylcami? - zdziwił się pierwszy oficer. - Nie widzieliśmy żadnych tubylców.

Dobbs pokręcił głową. Czyżby to wszystko mu się śniło? Kazał oficerowi sprowadzić Caleba. Żółtodziób przyszedł na pokład rufowy w słomkowym kapeluszu, który nosił dla ochrony białej skóry przed słońcem. Gdy zobaczył, że kapitan wyzdrowiał, na jego bladej, pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech.

- Co się wydarzyło ostatniej nocy? - spytał Dobbs.

Caleb wyjaśnił, że kiedy kapitan stracił przytomność, tubylcy opuścili statek i wrócili z drewnianymi wiadrami pełnymi czegoś, co wydzielano bladoniebieską poświatę. Chodzili od marynarza do marynarza, ale nie widział dobrze, co robią. Wreszcie odeszli, a wkrótce potem ludzie zaczęli odzyskiwać przytomność.

Kapitan poprosił Caleba, żeby pomógł mu zejść do kajuty. Tam usiadł przy biurku i otworzył dziennik okrętowy.

„Dziwna sprawa” - zaczął. Choć ręce wciąż mu się trzęsły, opisał wszystko ze szczegółami. Potem popatrzył tęsknie na miniaturowy portret swojej pięknej młodej żony i zakończył wpis jednym zdaniem: „Wracamy do domu!”

Francuski dworek z mansardowym dachem nazywany w mieście Domem Ducha stał kilkadziesiąt metrów od ulicy za ścianą ciemnolistnych buków. Długiego podjazdu strzegły zbiegające kości szkieletowe kaszalota wbite pionowo w ziemię, tak że ich zwężające się końce łączyły się, tworząc gotycki łuk.

Pewnego pogodnego październikowego dnia stali pod tym łukiem dwaj chłopcy i podjadali jeden drugiego, by podkraść się do końca podjazdu i zajrzeć przez okna. Żaden nie chciał zrobić pierwszego kroku; wciąż tylko prowokowali się szyderstwami. Przerwali te przekomarzenia, gdy do bramy podjechał lśniący czarny powóz.

Siedział w nim potężnie zbudowany mężczyzna. Drogi rudobrunatny garnitur i melonik w tym samym kolorze kontrastowały ze szpetną twarzą o rysach wyrzeźbionych przez pięści jego przeciwników w latach, gdy walczył zawodowo na ringu. Czas nie był łaskawy dla zdeformowanego nosa, kalafiorowatych uszu i oczu zmniejszonych do wielkości główek gwoździ przez tkanę bliznowatą.

Mężczyzna pochylił się nad lejcami i popatrzył groźnie na chłopców.

- Co tu robicie? - warknął jak stary pitbull, którego przypominał.

- Na pewno coś złego.

- Nie - odrzekł jeden z chłopców i spuścił wzrok.

- Czyżby? - zadrwił mężczyzna. - Na waszym miejscu nie kręciłbym się tutaj. Zły duch mieszka w tym domu.

- Widzisz - powiedział drugi chłopiec. - Mówiłem ci.

- Słuchaj kolegi. Ten duch ma grubo ponad dwa metry wzrostu, ręce jak widły i kły zdolne rozerwać na pół takich jak wy, żeby wysać z nich wnętrzności. - Wskazał batem dom i wykrzyknął z udawanym przerażeniem: - Nadchodzi! Na Boga, idzie tu! Uciekajcie! Ratujcie się!

Kiedy chłopcy czmychnęli niczym spłoszone zające, ryknął śmiechem, szarpnął lejce i wprowadził konia przez bramę z wielo-

rybich kości. Zatrzymał powóz przed rezydencją, która przypominała ośmiokątny tort weselny oblany czerwonym i żółtym lukrem. Wciąż chichotał, wspinając się po schodach na ganek i stukając do drzwi mosiężną kołatką w kształcie wielorybiego ogona.

Po chwili rozległy się kroki. Drzwi się uchyliły i twarz mężczyzny, który je otworzył, rozjaśnił uśmiech.

- Strater, co za miła niespodzianka - powiedział Caleb Nye.

- Ja też się cieszę, że cię widzę. Już dawno zamierzałem do ciebie wstąpić, ale wiesz, jak to jest.

- Oczywiście - odrzekł Caleb i odsunął się na bok. - Wejdz, wejdz.

Z biegiem lat cera zbielała mu jeszcze bardziej, pojawiły się też zmarszczki na skórze o wyglądzie pergaminu, lecz mimo przedwczesnej starości zachował chłopięcy uśmiech i zapał, którym zjednał sobie kiedyś kolegów wielorybników.

Zaprowadził gościa do przestronnej biblioteki z półkami od podłogi do sufitu. Kawałki ścian niezajęte przez książki o wielorybnictwie zdobiły wielkie kolorowe afisze z tym samym motywem: mężczyzną w szczękach kaszalota.

Strater podszedł do szczególnie jaskrawego plakatu. Artysta nie żałował czerwonej farby, by pokazać krew spływającą z harpunów do wody.

- Zarobiliśmy masę pieniędzy na tamtym przedstawieniu w Filadelfii - rzekł.

Caleb przytaknął.

- Co wieczór tylko miejsca stojące, a wszystko dzięki twoim talentom organizacyjnym.

- Niczego bym nie zdziałał bez mojej głównej atrakcji - stwierdził Strater.

- Tak czy inaczej, tobie zawdzięczam ten dom i wszystko, co posiadam - odparł Caleb.

Strater obdarzył go szczerbatym uśmiechem.

- Jeśli cokolwiek potrafię, to właśnie organizować przedstawienia. Kiedy tylko cię zobaczyłem, dostrzegłem szansę na zdobycie cie sławy i majątku.

Ich współpraca zaczęła się kilka dni po powrocie „Princess” do New Bedford. Beczki z olejem wyładowano, właściciele statku zaksięgowali połów i wyliczyli należność. Marynarze, którzy nie musieli wracać do domów, bo nie mieli żon lub ukochanych, ruszyli hałaśliwym tłumem świętować w portowych barach, gdzie tylko czekano, by ich uwolnić od ciężko zarobionych pieniędzy.

Caleb został na statku. Kapitan przyniósł mu wypłatę i zapytał, czy wybiera się na rodzinną farmę.

- Nie w tym stanie - odrzekł chłopak ze smutnym uśmiechem.

Dobbs, wręczwszy mu żałośnie małą sumę, powiedział:

- Możesz zostać na pokładzie, dopóki statek nie wyruszy w kolejny rejs.

Kapitan szczerze współczuł Calebowi z powodu jego nieszczęścia, ale gdy tylko zszedł po trapie na ląd, wyrzucił go z głowy i skierował myśli na swoją dobrze zapowiadającą się przyszłość.

Mniej więcej w tym samym czasie Strater siedział w obskurnej tawernie kilka przecznic dalej i rozważał własne, znacznie gorsze perspektywy. Dawnego naganiacza klientów do stoisk ulicznych sprzedawców opuściło szczęście i był prawie załamany. Popijał piwo, gdy marynarze z „Princess” wtargnęli do lokalu i wzięli się do osuszania kufli z takim samym zapałem, z jakim zabijali walenie. Strater nadstawił uszu i z zaciekawieniem wysłuchał historii Caleba Nye'a, chłopaka połkniętego przez wieloryba. Inni goście przyjęli tę opowieść z nieskrywanym sceptycyzmem.

- Gdzie jest teraz wasz Jonasz? - zawołał jakiś stały bywalec.

- Na statku, siedzi po ciemku - odpowiedział mu któryś z marynarzy. - Jak chcesz, to sam zobacz.

- Jedyne, co chcę zobaczyć, to następne piwo - odparł gość.

Strater wymknął się z hałaśliwej tawerny i dotarł wąską ulicą do nabrzeża, wszedł po trapie na oświetlony latarniami pokład „Princess”. Caleb stał przy relingu i patrzył na migoczące światła miasta. Jego twarz, choć niewyraźnie widoczna, zdawała się wydzielać bladą poświatę. Strater dostrzegł swoją szansę.

- Mam dla ciebie propozycję - zwrócił się do młodego człowieka. - Jeśli ją przyjmiesz, mogę uczynić cię bogatym.

Caleb wysłuchał Stratera i dostrzegł możliwości. W ciągu tygodnia w całym New Bedford rozlepiono afisze z krzykliwym nagłówkiem:

„Połknięty przez wieloryba

Współczesny Jonasz opowiada swoją historię”

W sali wynajętej na pierwsze przedstawienie zmieściła się teraz część chętnych. Przez dwie godziny Caleb opowiadał swoją pasjonującą historię, stojąc z harpunem przed ruchomą dioramą.

Pieniężmi zarobionymi przez chłopaka na morzu Strater zapłacił artyście za namalowanie znośnie wiernych obrazów na długim i wysokim pasie płótna. Podświetloną tkaninę wolno rozwijano i ukazywały się kolejno: łódź wielorybnicza Caleba, scena ataku walenia i fantazyjnie przedstawione ludzkie nogi wystające spomiędzy szczęk ssaka. Widać było egzotyczne, porośnięte palmami miejsca akcji i ich mieszkańców.

Spektakl grano dla zafascynowanej nim publiczności w kościołach oraz różnych salach w dużych i małych miastach na Wschodnim Wybrzeżu. Strater sprzedawał broszurki z opowieścią Caleba i dołączał do nich wizerunki półnagich tańczących wyspiarek, by dodać relacji pikanterii. Gdy po kilku latach wycofali się z życia publicznego, byli bogaci jak najzamożniejsi kapitanowie statków wielorybniczych.

Strater kupił rezydencję w New Bedford, Caleb zaś zbudował dworek przypominający tort weselny w pobliskim miasteczku Fair-haven, po drugiej stronie portu. Z wieżyczki na dachu obserwował odpływające i przyptywające wielorybniki. Rzadko wychodził za dnia, a kiedy musiał opuścić dom, ukrywał głowę i twarz pod kapturem.

Sąsiedzi nazwali go Duchem, a on stał się szczodrym dobroczyńcą i finansował budowę szkół oraz bibliotek dla lokalnej społeczności. W zamian mieszkańcy miasta strzegli prywatności własnego Jonasza.

Teraz wprowadził Stratera do dużego pomieszczenia, które było puste. Tylko na środku stało wygodne obrotowe krzesło,

a wzdłuż ścian umieszczono dioramę z przedstawień Caleba. Każdy, kto usiadł na krześle, mógł się obrócić i obejrzeć historię „współczesnego Jonasza” od początku do końca.

- Co o tym myślisz? - zapytał Caleb przyjaciela.

Strater pokręcił głową.

- Prawie nabrałem ochoty, by znów ruszyć w drogę z pokazem.

- Porozmawiajmy o tym przy kieliszku wina - zaproponował Caleb.

- Niestety nie mamy czasu - odrzekł Strater. - Przywożę ci wiadomość od Nathana Dobbsa.

- Najstarszego syna kapitana?

- Zgadza się. Jego ojciec jest umierający i chciałby cię zobaczyć.

- Umierający?! To niemożliwe! Sam mi mówiłeś, że kapitan wygląda zdrowo i krzepko jak młody byczek.

- Toteż nie zmożła go choroba, Calebie. Miał wypadek w jednej ze swoich tkalni. Krosno się przewróciło i zmiażdżyło mu żebra.

Pomarszczona twarz Caleba zrobiła się jeszcze bledsza niż zwykle.

- Kiedy będę mógł go zobaczyć?

- Musimy jechać do niego natychmiast - odparł Strater. - Nie zostało mu wiele czasu.

Caleb wstał z krzesła.

- Wezmę płaszcz i kapelusz.

Droga do posiadłości Dobbsa biegła wokół portu w New Bedford i dalej pięła się do County Street. Na ulicy i na podjeździe przed rezydencją w neogreckim stylu stały powozy. Nathan Dobbs powitał Stratera i Caleba w drzwiach i podziękował im wylewnie za przybycie. Wysoki chudy mężczyzna wyglądał zupełnie jak jego ojciec w młodszym wieku.

- Przykro mi z powodu kapitana - powiedział Caleb. - Jak on się czuje?

- Obawiam się, że wkrótce odejdzie z tego świata. Zaprowadzę panów do niego.

W przestronnym salonie i sąsiednich pokojach przebywało dziesięcioro dzieci kapitana i jego niezliczone wnuki. Rozległ się pomruk, gdy Nathan wszedł do salonu w towarzystwie Stratera i dziwnej zakapturzonej postaci. Stratera poprosił, żeby się rozgościł, a Caleba zaprowadził do pokoju ojca.

Kapitan Dobbs leżał w łóżku, zajmowali się nim żona i lekarz rodziny. W pokoju chorego było ciemno, zgodnie z ówczesną praktyką lekarską, ale kapitan poprosił, by rozsunąć zasłony i wpuścić światło słoneczne.

Promień jesiennego słońca padł na jego pobrużdżoną twarz. Choć włosy mu posiwiały, nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt kilka lat. Miał jednak nieobecne spojrzenie, jakby widział zbliżającą się śmierć. Żona kapitana i lekarz wyszli z pokoju, Nathan został przy drzwiach.

Dobbs spojrzął na Caleba i zdołał się uśmiechnąć.

- Dziękuję, że przyjechałeś, Calebie - powiedział. Głos, który kiedyś dudnił na pokładach, teraz był ochryplym szeptem.

Caleb zsunął kaptur.

- Mówił mi pan, żebym nigdy nie kwestionował rozkazów kapitana.

- Owszem - przyznał Dobbs. - I dam ci jeszcze jedną dobrą radę, żółtodziobie. Nie wtykaj nosa, gdzie nie powinieneś. Próbowałem naprawić zepsute krosno i nie odsunąłem się dość szybko, gdy się przewracało.

- Przykro mi z powodu pańskiego nieszczęścia, panie kapitanie.

- Niepotrzebnie. Mam wierną żonę, udane dzieci i wnuki, które noszą moje nazwisko.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo - odrzekł smutno Caleb.

- Postępujesz właściwie, Calebie. Wiem wszystko o twojej hojności.

- Łatwo być hojnym, gdy nie ma się z kim dzielić majątkiem.

- Dzielisz się nim z sąsiadami. Słyszałem o twojej wspaniałej bibliotece.

- Nie piję i nie palę. Książki są moją jedyną słabością. Wiele rybniactwu zawdzięczam życie, jakie mam. Dołączam do mojej kolekcji każdy tom o starym rzemiośle, jaki uda mi się zdobyć.

Kapitan zamknął oczy i wydawało się, że zapadł w sen, ale po chwili zamrugał i je uniósł.

- Chcę ci coś dać - wychrypiał.

Jego syn wystąpił naprzód i wręczył gościowi mahoniową szkatułkę. Caleb otworzył wieczko. W środku leżała książka. Rozpoznał sfatygowaną niebieską oprawę.

- Dziennik okrętowy „Princess”, panie kapitanie?

- Tak, jest twój - odrzekł Dobbs. - Do twojej wspaniałej biblioteki.

Caleb się cofnął.

- Nie mogę go przyjąć, panie kapitanie.

- Zrobisz, co każe ci twój kapitan - warknął Dobbs. - Moja rodzina zgadza się, że powinien być u ciebie. Prawda, Nathanie?

Syn kapitana skinął głową.

- Taka jest wola rodziny, panie Nye - rzekł. - Nikt nie zasługuje na to bardziej niż pan.

Kapitan nieoczekiwanie uniósł dłoń i położył na dzienniku.

- Dziwna sprawa. Do dziś nie wiem, czy to, co się wydarzyło na tamtej wyspie dzikich ludzi, było dzieło Boga czy diabła.

Znów zamknął oczy. Oddychał z ogromnym trudem, coraz bardziej chrapliwie. Kazał wołać żonę.

Nathan delikatnie ujął Caleba pod ramię i wyprowadził z pokoju. Jeszcze raz podziękował mu za przybycie, po czym powiedział matce, że godzina ojca wybiła. Rodzina wypełniła sypialnię chorego, Strater i Caleb zostali sami w salonie.

- Odszedł? - zapytał Strater.

- Jeszcze nie, ale nastąpi to wkrótce - odparł Caleb i pokazał mu dziennik okrętowy.

Strater prychnął.

- Wolałbym część majątku Dobbsa.

- Dla mnie to prawdziwy skarb - rzekł Caleb. - A ty masz więcej pieniędzy, niż zdołasz wydać do końca życia, mój przyjacielu.

- Więc będę musiał żyć dłużej - odpowiedział Strater, zerkając w kierunku sypialni.

Wyszli z domu i wsiedli do powozu. Caleb, przycisnąwszy dziennik do piersi, wrócił myślami do dalekiej wyspy i jej dzikich mieszkańców, do swojego występu w roli *'atuy*, choroby i dziwnej niebieskiej poświaty. Odwrócił się, by ostatni raz spojrzeć na dom kapitana i przypomniał sobie jego słowa.

Dobbs miał rację. To rzeczywiście była dziwna sprawa.

1

Murmańsk, Rosja, czasy współczesne

Jako dowódca jednej z najbardziej przerażających maszyn do zabijania, jakie kiedykolwiek wynaleziono, Andriej Wasilewicz miał kiedyś możliwość unicestwienia całych miast i milionów ludzi. Gdyby wybuchła wojna między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi, dowodzony przez niego okręt podwodny typu Tajfun odpaliłby dwadzieścia pocisków balistycznych dalekiego zasięgu i dwieście głowic jądrowych spadłoby na amerykańskie terytorium.

Chociaż Wasilewicz od wielu lat był na emeryturze, często myślał o tym, jak to dobrze, że nigdy nie kazano mu wystrzelić zabójczej salwy. Będąc kapitanem, musiałby wykonać rozkaz swojego rządu bez dyskusji. Rozkaz to rozkaz, obojętnie jaki. Dowódca atomowego okrętu podwodnego służy państwu i nie może sobie pozwolić na emocje. Ale kiedy stary twardy podwodniak żegnał się ze swoim okrętem, nazywanym nieoficjalnie „Niedźwiedziem”, nie zdołał powstrzymać łez, które spływały po jego policzkach.

Stał na nabrzeżu i odprowadzał wzrokiem wychodzący w morze okręt. Uniósł w toaście srebrną piersiówkę, wypił łyk wódki i wrócił myślami do czasów, gdy przemierzał w tym potworze północny Atlantyk.

Tajfun, największy spośród okrętów podwodnych, miał prawie sto siedemdziesiąt cztery metry długości i niemal dwadzieścia

trzy szerokości. Przed masywnym kioskiem o wysokości trzynastu metrów ciągnął się pokład dziobowy, pod którym mieściło się dwadzieścia wielkich wyrzutni raketowych ustawionych w dwóch rzędach. Nadawało to okrętowi charakterystyczny wygląd.

Oryginalność konstrukcji nie kończyła się na tym. Zamiast jednego kadłuba ciśnieniowego, jak w większości okrętów podwodnych, tajfun miał dwa równoległe. Dzięki temu mógł zabrać na pokład piętnaście tysięcy ton ładunku, a w prawym kadłubie były mała siłownia i sauna. Komory ewakuacyjne ulokowano nad obydwoma kadłubami. Sterownię i centrum dowodzenia umieszczono w przedziałach pod kioskiem.

„Niedźwiedź” był jednym z sześciu tajfunów 941, które weszły do służby w latach osiemdziesiątych XX wieku i trafiły do Floty Północnej jako część pierwszej flotyli atomowych okrętów podwodnych stacjonującej w Nerpiczji. Leonid Breżniew w pewnym przemówieniu ochrzcił nowy model „Tajfunem” i tak już zostało. Okręty zaliczono do radzieckiego typu Akula, czyli „rekin”, i tak nazywano je w amerykańskiej marynarce wojennej.

Mimo potężnych rozmiarów tajfun osiągał w zanurzeniu prędkość ponad dwudziestu pięciu węzłów i mniej więcej połowę tego na powierzchni. Robił zwrot niemal w miejscu i mógł pozostawać pod powierzchnią przez pół roku. Miał jeden z najcichszych układów napędowych, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Załoga liczyła przeszło sto sześćdziesiąt osób. Reaktory w obu kadłubach zasilaly turbiny parowe o mocy pięćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych przekazywanej na dwie wielkie śruby. Dwa zespoły pędników umożliwiały sprawne manewrowanie.

Po zmianach politycznych i militarnych na świecie tajfuny zostały wycofane ze służby w późnych latach dziewięćdziesiątych. Wtedy ktoś zasugerował, że mogłyby transportować towary pod arktycznym lodem, gdyby przedział z wyrzutniami raketowymi przerobić na ładownię. Rozeszła się wieść, że zostaną sprzedane temu, kto da najwięcej.

Wasilewicz wolałby, żeby okręty zezłomowano, niż zamieniono w podwodne barki. Co za haniebnny koniec wspaniałej maszyny wojennej! Swego czasu budzący grozę tajfun był bohaterem książek i filmów. Kapitan już nie pamiętał, ile razy oglądał *Polowanie na Czerwony Październik*.

Gdy odszedł ze służby, zatrudniono go w Centralnym Biurze Projektowym Techniki Morskiej, gdzie nadzorował przebudowę. Pociski jądrowe usunięto już wcześniej, zgodnie z układem z USA o wzajemnej redukcji uzbrojenia.

Wasilewicz kierował demontażem wyrzutni raketowych i budową obszernej ładowni. Wyrzutnie usunięto i dokonano modyfikacji, by ułatwić załadunek i wyładunek towarów. Załoga zmniejszona o połowę miała dostarczyć okręt nowym właścicielom.

Kapitan wziął kolejny łyk wódki i schował piersiówkę do kieszeni. Zanim jednak opuścił nabrzeże, odwrócił się po raz ostatni. Okręt wyszedł już z portu, był na pełnym morzu i zmierzał ku swemu nieznanemu przeznaczeniu. Wasilewicz otulił się szczelniej płaszczem, bo od wody wiała wilgotna bryza, i ruszył do swojego samochodu.

Za długo w tym siedział, by przyjąć za dobrą monetę oficjalną wersję. Okręt sprzedano ponoć jakiejś międzynarodowej firmie spedycyjnej z siedzibą w Hongkongu, ale szczegóły umowy były niejasne, a jej konstrukcja przypominała matrioszkę.

Kapitan miał własną teorię na temat przyszłości tajfuna. Okręt podwodny o tak dalekim zasięgu i tak dużej ładowni nadawałby się doskonale do przemytu wszelkich towarów. Ale Wasilewicz zachował to dla siebie. Współczesna Rosja potrafi być niebezpieczna dla tych, którzy za dużo mówią. Co zrobi nowy właściciel reliktu zimnej wojny, nie było jego sprawą. Transakcja wyglądała bardzo podejrzanie, lecz kapitan wiedział, że lepiej o nic nie pytać, a jeszcze lepiej - nic nie wiedzieć.

2

Prowincja Anhui,
Chińska Republika Ludowa

Helikopter nadleciał jakby znikąd i zatoczył krąg nad wioską niezbyt gęsto zaludnioną. Doktor Song Li podniosła wzrok z opatrunku, który zakładała chłopcu, i obserwowała, jak śmigłowiec zawisa w powietrzu, po czym opuszcza się pionowo na pole na krańcu osady.

Pogłaskała pacjenta po głowie i przyjęła zapłatę w postaci pół tuzina świeżych jajek od jego wdzięcznych rodziców. Wcześniej przemyła ramię gorącą wodą z mydłem i przyłożyła okład z ziół, więc skaleczenie goiło się dobrze. Młoda lekarka, mając niewiele medykamentów i sprzętu, starała się zdziałać jak najwięcej przy użyciu tego, czym dysponowała.

Song Li zaniósła jajka do chaty i przyłączyła się do gęstego tłumu, który śpieszył na pole. Podnieceni wieśniacy, którzy pierwszy raz widzieli helikopter z bliska, otoczyli go ciasnym kołem. Li dostrzegła rządowe oznaczenia na kadłubie. Ciekawe, zastanawiała się, kto z Ministerstwa Zdrowia przyleciał do tej odległej wioski.

Drzwi śmigłowca się otworzyły i z kabiny wysiadł niski, korpulentny mężczyzna w garniturze. Spojrzał na rozgadany tłum i wyraz przerażenia pojawił się na jego okrągłej twarzy. Wróciłby do helikoptera, gdyby Li nie przepchnęła się przez wieśniaków, żeby go powitać.

- Dzień dobry, doktorze Huang! - zawołała, przekrzykując hałas. - Co za niespodzianka.

Mężczyzna popatrzył nieufnie na gromadę wieśniaków.

- Nie spodziewałem się tak liczego komitetu powitalnego.

Li się roześmiała.

- Bez obaw, doktorze. Większość tych osób to moi krewni.

- Wskazała uśmiechniętą parę starszych ludzi o ogorzałych twarzach. - To moi rodzice. Jak pan widzi, są zupełnie nieszkodliwi.

Wzięła Huanga za rękę i poprowadziła do wioski. Wieśniacy ruszyli za nimi, ale powstrzymała ich gestem i wytłumaczyła delikatnie, że chciałyby porozmawiać z tym panem na osobności.

W swojej chacie zaproponowała gościowi sfatygowane składane krzesło, na którym siadała, by zbadać pacjentów. Huang otarł pot z łysej czaszki chusteczką do nosa, a potem oczyścił z błota lśniące skórzane półbuty. Tymczasem Li zagotowała wodę na kuchence kempingowej, zaparzyła herbatę i naląła filiżankę gościowi. Huang wypił mały łyżeczek na próbę, jakby nie był pewien, czy to higieniczne.

Li usiadła na starym połatanym krześle dla pacjentów.

- Jak się panu podoba mój gabinet lekarski na świeżym powietrzu? Bardziej wstydliwych pacjentów przyjmuję w chacie. Zwierzęta leczę na ich własnym terenie.

- Daleko temu do Wydziału Medycyny Uniwersytetu Harvarda - stwierdził Huang, patrząc na lepiankę krytą strzechą.

- Daleko temu do czegokolwiek - odrzekła. - Ale są również plusy. Moi pacjenci płacą warzywami i jajkami, więc nigdy nie jestem głodna. Nie ma tu takiego tłoku jak na Harvard Square, choć zdobycie caffè latte z syropem karmelowym graniczy z cudem.

Huang i Li poznali się kilka lat temu na pewnej imprezie dla azjatyckich studentów i kadry Uniwersytetu Harvarda. On był profesorem wizytującym z Państwowego Laboratorium Medycznego Biologii Molekularnej w Chinach, ona robiła dyplom z wirusologii. Inteligencja młodej kobiety wywarła na profesora duże wrażenie i przyjaźnili się nadal po powrocie do Chin, gdzie Huang doszedł do wysokiego stanowiska w ministerstwie.

- Dawno się nie kontaktowaliśmy - powiedział. - Na pewno dziwi panią mój przylot tutaj.

Song Li lubiła go i szanowała, ale należał do grona jej wysoko postawionych znajomych, którzy nie wstawili się za nią, kiedy tego potrzebowała.

- Wcale nie - zaprzeczyła z nutą urazy. - Przypuszczam, że przywozi mi pan przeprosiny władz za to, że tak surowo mnie po traktowano.

- Władza nigdy nie przyzna, że źle postąpiła, doktor Li - rzekł - ale nie ma pani pojęcia, ile razy żałowałem, że nie stanąłem w pani obronie.

- Rozumiem skłonność rządu do obwiniania wszystkich, tylko nie siebie, doktorze Huang, ale to pan nie ma pojęcia, ile razy rozpamiętywałam, że koledzy mnie zawiedli.

Huang pokiwał głową i westchnął.

- Nie dziwię się pani. Moje milczenie było oczywistym aktem tchórzostwa. Nie mogę mówić za kolegów, mogę tylko prosić o wybaczenie, że nie broniłem pani publicznie. Chociaż nieoficjalnie zabiegałem o to, by pozostała pani na wolności.

Li miała pokazać mu ciężkie warunki życia w ubogiej wiosce. Szybko by się przekonał, że więzienie nie musi mieć krat. Uznała jednak, że to byłoby nie w porządku. Nic, co mógł zrobić, nie zmieniłoby sytuacji.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Wybaczam panu, doktorze Huang. I cieszę się, że pana widzę. Naprawdę. Ale skoro nie przekazuje mi pan podziękowań wdzięcznego narodu za ciężką służbę, to co pan tu robi?

- Niestety mam złą wiadomość. - Choć byli sami, zniżył głos niemal do szeptu. - To wróciło.

Li poczuła lodowate zimno w żołądku.

- Gdzie? - zapytała.

- Na północy. - Wymienił nazwę odległej prowincji.

- Tylko tam?

- Jak dotąd tak. Na szczęście to rejon na uboczu.

- Wyizolowaliście wirusa, żeby potwierdzić identyfikację? Skinął głową.

- To koronawirus, jak przedtem.

- Kiedy go wykryto? Znaleźliście źródło?

- Około trzech tygodni temu. Źródła jeszcze nie znamy. Władze natychmiast odizolowały zakażonych i wprowadziły kwarantannę w tamtejszych wioskach, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się choroby. Tym razem wolą nie ryzykować. Współpracujemy ze Światową Organizacją Zdrowia i amerykańskim Ośrodkiem Zwalczenia Chorób.

- To zupełnie inna reakcja niż poprzednio - zauważyła Li.
- Rząd czegoś się nauczył - odrzekł Huang. - Postępowanie władz podczas epidemii SARS nadwreżyło wizerunek Chin jako nowego światowego mocarstwa. Nasi przywódcy zrozumieli, że utrzymywanie epidemii w tajemnicy nie jest żadnym rozwiązaniem.

Chiński rząd znalazł się w ogniu międzynarodowej krytyki, gdy ukrył przed światem fakt wybuchu pierwszej epidemii SARS, co opóźniło i spowolniło leczenie, które mogłoby zapobiec wielu zgonom. Song Li pracowała wtedy jako rezydentka w pewnym pekińskim szpitalu. Podejrzewała, że to coś poważnego, i zbierała dane, by tego dowieść. Kiedy przynagliła swoich przełożonych do działania, kazali jej siedzieć cicho. Na szczęście zafunkcjonował globalny system alarmowy Światowej Organizacji Zdrowia. Wstrzymano podróże i wymuszono kwarantanny. Międzynarodowa sieć laboratoriów wyizolowała wirusa, którego nigdy wcześniej nie znaleziono w ludzkim organizmie. Chorobę nazwano SARS od angielskich słów oznaczających zespół ostrej niewydolności oddechowej.

Wirus dotarł do prawie trzydziestu krajów na kilku kontynentach i zaraziło się nim ponad osiem tysięcy osób. Prawie tysiąc z nich zmarło i ledwo udało się uniknąć pandemii na światową skalę. Chińskie władze aresztowały lekarza, który wyjawiał światu, że liczba przypadków jest zaniżana, a pacjentów wozi się karetkami od szpitala do szpitala, by nie mogli ich zobaczyć przedstawiciele WHO. Represje spotkały także innych lekarzy próbujących ujawnić prawdę, wśród nich doktor Song Li.

- Wtedy też nie było - przypomniała Huangowi oskarżycielskim tonem.
- Ale jeszcze pan nie wyjaśnił, co to ma wspólnego ze mną.
- Organizujemy zespół badawczy i chcemy panią do niego włączyć
- odparł Huang.

Gniew Li znalazł ujście.

- A co ja mogę?! - wykrzyknęła. - Jestem zwykłą wiejską lekarką, która leczy choroby zagrażające życiu ziołami i zamawianiem.

- Proszę nie kierować się osobistymi urazami - powiedział Huang. - Jako jedna z pierwszych wykryła pani epidemię SARS. Jest nam pani potrzebna w Pekinie. Pani znajomość wirusologii

i epidemiologii będzie bezcenna przy opracowywaniu szczepionki. - Złożył ręce jak do modlitwy. - Poproszę panią na klęczkach, jeśli pani sobie życzy.

Spojrzała na jego udręczoną twarz. Huang był wybitnym naukowcem. Nie mogła oczekiwać od niego również bohaterstwa. Jej głos złagodniał.

- Nie ma potrzeby, doktorze Huang - powiedziała spokojnie. - Zrobię, co w mojej mocy.

Rozpromienił się.

- Niech pani zapamięta moje słowa: nie pożałuje pani tej decyzji.

- Wiem, że nie - odparła - zwłaszcza po spełnieniu przez pana moich warunków.

- To znaczy? - zapytał ostrożnie.

- Ta wioska ma być zaopatrzona w środki medyczne wystarczające na pół roku... nie, na rok. Sąsiednie też.

- Załatwione - zgodził się Huang.

- Zorganizowałam sieć akuszerok, ale powinna je nadzorować doświadczona położna. I jeszcze w tym tygodniu musi tu przylecieć jakiś lekarz rodzinny na moje miejsce.

- Załatwione - powtórzył Huang.

Li skarciła się w duchu, że nie zażądała więcej.

- Od kiedy będę potrzebna? - spytała.

- Od zaraz. Helikopter czeka. Chciałbym, żeby wystąpiła pani na symposium w Pekinie.

Zrobiła w pamięci szybką inwentaryzację. Sprzęt zostanie w chacie dla jej następcy, a rzeczy osobiste zmieści w małej walizce. Musi tylko poinformować o wyjeździe wioskową starszyzną i pożegnać się z rodzicami i pacjentami. Wyciągnęła rękę do Huanga.

- Umowa stoi - powiedziała, ściskając jego dłoń.

Trzy dni później doktor Song Li stała na mównicy w sali konferencyjnej Ministerstwa Zdrowia w Pekinie i przygotowywała się do wystąpienia dla ponad dwustu ekspertów z całego świata. Kobieta na podium nie przypominała wiejskiej lekarki, która odbierała porody dzieci i prosiła przy świecy. Miała na sobie eleganc-

ki kostium w prążki, czerwoną bluzkę w odcieniu chińskiej flagi i różową jedwabną apaszkę. Lekki makijaż rozjaśniał bursztynową cerę pociemniałą na powietrzu. Była zadowolona, że nikt nie może zobaczyć jej stwardniałych dłoni.

Wkrótce po przylocie do stolicy Li wpadła w szal zakupów na koszt Chińskiej Republiki Ludowej. Już w pierwszym sklepie wyrzuciła do kosza na śmieci znoszoną bawełnianą kurtkę i luźne spodnie, a z każdym kolejnym zakupem w najmodniejszych pekińskich butikach odzyskiwała odrobinę utraconego szacunku dla samej siebie.

Kilka lat temu przekroczyła trzydziestkę, lecz wyglądała młodziej. Była szczupłą, miała wąskie biodra, małe piersi i długie nogi. Jej figura, choć proporcjonalna, nie przyciągała uwagi tak jak twarz. Długie rzęsy ocieniały bystre ciemne oczy, a pełne wargi wyginały się w przyjaznym uśmiechu lub lekko ściągały, gdy była zamyślona. Kiedy pracowała na wsi, długie kruczoczarne włosy wiązała w koński ogon i wpychała pod czapkę, którą mógłby nosić jakiś żołnierz Mao. Teraz miała krótką, modną fryzurę.

Od przylotu do Pekinu stale uczestniczyła w rozmaitych briefingach i była pod wrażeniem szybkiej reakcji na wybuch choroby, co kontrastowało z opieszałością sprzed kilku lat. Setki specjalistów i członków personelu pomocniczego zmobilizowano na całym świecie.

Chiny, chcąc przejąć główną rolę w walce z epidemią, zaprosiły ekspertów do Pekinu, żeby im zademonstrować swoje zdecydowane działania. Eksperci byli pełni optymizmu; każdy, z kim Li rozmawiała, wydawał się przekonany, że podstawowa profilaktyka zapobiegnie wybuchowi pandemii, a naukowcy znajdą źródło i opracują test diagnostyczny oraz odpowiednią szczepionkę.

Doktor Song Li nie podzielała tego optymizmu. Obawiała się, że źródło wirusa nie zostanie znalezione. Cywety, które były nosicielami oryginalnej odmiany SARS, wytrzebiono, więc wirus mógł się ulokować w jakimkolwiek innym gospodarzu - psach, kurczakach, owadach - kto to wie? Poza tym niepokoiła ją bezprecedensowa otwartość chińskiego rządu. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że władze niechętnie zdradzają swoje tajemnice. Może

pozbyłaby się wątpliwości, gdyby pozwolono jej odwiedzić zarażoną prowincję. Tymczasem usłyszała, że to niemożliwe, bo obowiązuje ścisła kwarantanna.

Odsunęła podejrzenia na bok, by skoncentrować się na swoim wystąpieniu przed ekspertami. Denerwowała się, bo przez ostatnie lata przemawiała tylko do wieśniaków, których największym zmartwieniem były zbiory ryżu. Dostępne teraz programy komputerowe do obrazowania epidemii peszyły ją i nie ufała swojej wiedzy. Czuła się jak relikw z epoki kamiennej uwolniony z lodowca.

Z drugiej strony, dzięki praktyce lekarskiej na najbardziej podstawowym poziomie miała instynkt cenniejszy od wszystkich diagramów i tabel. Intuicja podpowiadała jej, że jest zdecydowanie za wcześnie na świętowanie. Jako wirusolog wiedziała, jak szybko wirus potrafi się przystosować do zmian. Jako epidemiolog zdawała sobie sprawę, jak szybko sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Ale może po prostu jest pesymistką. Przejrzała statystyki dostarczone jej przez Huanga. Wyglądało na to, że wszystko jest na dobrej drodze do zahamowania epidemii.

Doktor Li odchrząknęła i spojrzała na zebranych. Niektórzy z nich wiedzieli o jej zesłaniu i nawet byli za to częściowo odpowiedzialni, uświadomiła sobie z goryczą.

- Parafrazując amerykańskiego pisarza Marka Twaina - zaczęła z poważną miną - pogłoski o mojej zawodowej śmierci są mocno przesadzone.

Poczekala, aż ucichną śmiechy.

- Muszę przyznać, że staję przed wami w pokorze - ciągnęła. - Kiedy prowadziłam praktykę lekarską na wsi, zrobiono wielki krok naprzód w dziedzinie epidemiologii. Jestem pod wrażeniem międzynarodowej współpracy w zwalczaniu nowej choroby. Jestem też dumna, że mój kraj przewodzi temu wspólnemu wysiłkowi.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi na aplauz. Oczekujący gniewnego potępienia dawnej polityki się rozczarują.

- Jednocześnie jednak chcę przestrzec przed samozadowoleniem. Każda epidemia może się stać pandemią. Tak bywało w przeszłości i za każdym razem ludzkość ponosiła większe straty.

Opowiedziała o wielkich plagach, zaczynając od pierwszej udokumentowanej pandemii w Atenach podczas ich wojny ze Spartą. Rzymska pandemia w 251 roku naszej ery pochłaniała pięć tysięcy ofiar dziennie, a epidemia konstantynopolska w roku 452 - dziesięć tysięcy dziennie. Prawie dwadzieścia pięć milionów mieszkańców Europy zabiła w latach czterdziestych XIV wieku, a ponad czterdzieści milionów osób zmarło na całym świecie w czasie wielkiej epidemii grypy w roku 1918. Li jeszcze raz przestrzegła przed samozadowoleniem i powtórzyła, jak bardzo ją cieszy międzynarodowa reakcja na obecną epidemię.

Była oszołomiona aplauzem, jaki wywołało jej wystąpienie. Nie spodziewała się, że środowisko medyczne przyjmie ją z powrotem po latach zesłania, więc była szczerze wzruszona. Opuściła mównicę, ale zamiast wrócić na swoje miejsce, skierowała się do wyjścia. Łzy napłynęły jej do oczu i musiała wziąć się w garść.

Gdy szła korytarzem, usłyszała znajomy głos. Huang podbiegł i zrównał się z nią.

- Doskonałe wystąpienie - wysapał.

- Dziękuję, doktorze Huang. Wróć do sali za kilka minut. To wystąpienie było dla mnie bardzo ważne, jak pan się zapewne domyśla. Na szczęście uspokoiły mnie zapewnienia, że nie grozi nam światowa pandemia.

- Niestety, doktor Li, pandemia jest pewna. I będą miliony ofiar, zanim się skończy.

Song Li zerknęła na drzwi sali.

- Słyszałam tam coś innego. Wszyscy są optymistami, uważają, że tę epidemię można zahamować.

- Bo nie znają wszystkich faktów.

- A jakie są fakty, doktorze Huang? Czym się różni ta epidemia SARS od ostatniej?

- Muszę pani coś wyjawić. Ta sprawa SARS... to oszustwo. Li zgromiła go wzrokiem.

- Co pan powiedział?

- Epidemię wywołał inny zarazek, odmiana wirusa grypy.

- Dlaczego zataił to pan przede mną i pozwolił mi głądzić o SARS?

- Bo pani wystąpienie było pomyślane jako zasłona dymna - wyjaśnił. - Chodziło o to, by ukryć fakt, że zarazek, z którym mamy do czynienia, jest dużo groźniejszy niż SARS.

- Ekspertsi przemawiający w sali są innego zdania...

- Mieli fałszywe informacje. Kiedy prosili o próbki do badań, dawaliśmy im wirusa SARS. Staramy się zapobiec panice.

Poczuła suchość w ustach.

- Co to za wirus?

- Zmutowana odmiana starego wirusa grypy. Rozprzestrzenia się znacznie szybciej i zabija o wiele prędzej i częściej. Ma niewiarygodną zdolność adaptacji.

Li nie wierzyła własnym uszom.

- Czy ten kraj niczego się nie nauczył podczas poprzedniej epidemii? - spytała.

- Nauczył się - odparł Huang. - Teraz współpracujemy ze Stanami Zjednoczonymi i wspólnie uzgodniliśmy, że na razie zachowamy w tajemnicy istnienie nowego wirusa.

- Zwlekanie z ujawnieniem informacji kosztowało życie wielu ludzi - przypomniała mu Li.

- Ale mieliśmy też wymuszoną kwarantannę - odparował. - Pozamykane szpitale, zakłócenia w podróżach i handlu, ataki na ludzi w chińskich dzielnicach na całym świecie. Nie możemy ujawnić prawdy, bo i tak nie powstrzymamy tego wirusa, dopóki nie opracujemy szczepionki.

- Jest pan tego pewien?

- Głowy nie dam, ale Amerykanie mają o wiele nowocześniejsze komputery. Ich symulacje wykazują, że możemy tymczasowo opanować sytuację, lecz w końcu wybuchnie epidemia, a potem światowa pandemia.

- Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?

- Bo obawiałem się, że uważa pani, że ją zdradziłem, i mi nie uwierzy.

- A dlaczego mam uwierzyć panu teraz?

- Bo mówię prawdę... Przysięgam.

Doktor Li, choć zdezorientowana i zła, nie miała wątpliwości, że doktor Huang jest z nią szczery.

- Wspomniał pan o szczepionce.

Przytaknął.

- Pracuje nad nią wiele laboratoriów. Najbardziej obiecujące wyniki ma ośrodek badawczy Bonefish Key na Florydzie. Przypuszczają, że skuteczną szczepionkę przeciwko temu zarazkowi można produkować z pewnej substancji występującej w oceanie.

- Tylko jedno laboratorium znalazło przeciwśrodek? - Li miała ochotę się roześmiać mimo powagi sytuacji.

Drzwi sali otworzyły się i ludzie zaczęli wychodzić na korytarz. Huang zniżył głos.

- Jest jeszcze testowany, ale wiążemy z nim duże nadzieje. Mogłoby pójść szybciej, gdyby pani reprezentowała tam nasz kraj.

- Rząd chce mnie wysłać do Bonefish Key? Chyba więc zostałam zrehabilitowana. Oczywiście pojedę i postaram się pomóc. Ale co zrobicie, jeśli ta szczepionka okaże się nieskuteczna?

Huang westchnął.

- Wtedy tylko Bóg będzie mógł nam pomóc - wyszeptał.

3

Epidemia grypy w 1918 roku pojawiła się, gdy świat próbował podnieść się z gruzów po wyniszczającej czteroletniej wojnie. Choroba zaatakowała najpierw Hiszpanię, gdzie pochłonęła osiem milionów ofiar, i dlatego nazwano ją hiszpanką. Potem dotarła do wielu innych krajów, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Nie było na nią leku. Ludzie zapadali na grypę rano, charakterystycznej wysypki o barwie mahoni dostawali w ciągu kilku godzin i umierali przed zapadnięciem nocy. Zanim epidemia się skończyła, spośród miliarda zarażonych zmarło więcej osób niż

podczas całej I wojny światowej i podczas ataku dżumy w XIV stuleciu.

Doktor Song Li myślała o tych ponurych statystykach podczas ostatniego etapu podróży do Bonefish Key. Z Fort Myers dojechała samochodem na przystań na Pine Island, skąd miejscowy przewoźnik nazwiskiem Dooley Greene zabrał ją swoją łodzią na docelową wyspę. Na pomoście czekał na nią młody mężczyzna.

- Jestem Max Kane - przedstawił się i wyciągnął rękę. - Wi tam panią doktor w krainie fantazji. Jestem szefem tego kawałka raj.

W spłowiałej hawajskiej koszuli i postrzępionych dżinsowych szortach wyglądał raczej na plażowego włóczęgę niż szanowanego mikrobiologa morskiego, którego imponujący życiorys Li dokładnie przeczytała. Żaden chiński naukowiec jego formatu nie dałby się przyłapać bez białego fartucha laboratoryjnego.

- Miło mi pana poznać, doktorze Kane - odrzekła i popatrzyła na smukłe palmy otaczające biały budynek na niskim trawiastym wzniesieniu kilkadziesiąt metrów od pomostu. - Nigdy nie widziałam tak malowniczo położonego laboratorium.

Kane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie jest nawet w połowie tak malownicze jak obecni mieszkańcy wyspy. - Chwycił jej walizkę i ruszył w głąb lądu. - Zaprowadzę panią do pani kwatery.

Wspięli się po schodach wyciętych w zboczu i ścieżką wyłożoną pokruszonymi muszlami dotarli do rzędu schludnych różowych jak flamingi domków z białymi wykończeniami. Kane otworzył drzwi jednego z nich i zaprosił Li do środka.

- To nie Ritz, ale jest tu wszystko, co trzeba - powiedział.

Pomyślała o swojej jednoizbowej chacie na wsi.

- Na pewno będzie mi bardzo wygodnie. Kane położył walizkę na łóżku.

- Cieszę się, doktor Li - rzekł. - Jak podróż?

- Długa i męcząca, ale dobrze znów być w Stanach.

- O ile wiem, studiowała pani na Harvardzie - podjął Kane.

- Doceniamy, że wróciła pani do naszego kraju, aby nam pomóc.

- Jak mogłabym nie przyjechać, doktorze Kane? - odparła. - Mimo ogromnych postępów w medycynie jeszcze nie opracowaliśmy szczepionki przeciwko wirusowi grypy z 1918 roku. A teraz mamy do czynienia z mutacją tamtego wirusa. Bardzo skomplikowaną. Wynik będzie zależał od naszej pracy tutaj. Kiedy mogę zacząć?

Max Kane uśmiechnął się, widząc zapał Song Li.

- Napijmy się czegoś zimnego - zaproponował. - Potem panią oprowadzę, jeśli nie jest pani zbyt zmęczona.

- Pewnie zasnę na stojąco, kiedy poczuję różnicę czasu, ale na razie jakoś się trzymam - odparła.

Wyszli na patio. Li usiadła w fotelu w stylu Adirondack, a Kane wrócił do środka. Po chwili przyniósł dwie szklanki schłodzonego soku z mango i pomarańczy.

Sącząc pyszny napój, Li powiodła wzrokiem wzdłuż linii brzegowej. Zdziwiła się, że centrum tajnych badań o kluczowym znaczeniu dla świata nie jest otoczone wysokim murem zwieńczonym drutem kolczastym.

- Trudno uwierzyć, że jest tu laboratorium, w którym prowadzi się tak ważne prace - powiedziała. - Tak tu spokojnie.

- Gdybyśmy rozciągnęli naokoło drut kolczasty i postawili wieże strażnicze, ludzie byliby ciekawi, co jest w środku. Chcieliby stworzyć wrażenie, że to mały prowincjonalny ośrodek naukowy, a ukrywanie się na widoku to najlepsza strategia. Na stronie internetowej podajemy, że to obiekt prywatny, i sugerujemy, że nasza praca jest potwornie nudna, dzięki czemu rzadko kto chce nas odwiedzać. Mieliśmy tylko kilka zapytań o możliwość obejrzenia ośrodka i udało nam się spławić wszystkich chętnych.

- Gdzie są budynki laboratoryjne?

- Musieliśmy je trochę schować w głębi łądu. Są trzy. Całkiem dobrze zamaskowane. W Google Earth widać tylko drzewa.

- A co z ochroną? Nie widziałam ani jednego strażnika.

- O, są tutaj. - Kane się uśmiechnął. - Personel kuchenny i techniczny to sami ochroniarze. Centrum obserwacji elektronicznej śledzi każdego, kto za bardzo zbliży się do wyspy. Działa

dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Wszędzie mają kamery.

- A kierowca taksówki wodnej, pan Greene? Jest wtajemniczony?

Kane znów się uśmiechnął.

- Dooley to przydatna przykrywa. Pracował w starym kurorcie, zanim huragan Charlie doprowadził ich do bankructwa. Transportowaliśmy sprzęt i personel własnymi łodziami, kiedy wszystko tu organizowaliśmy, ale potrzebowaliśmy kogoś, kto będzie kursował z ludźmi i zaopatrzeniem między wyspą a stałym lądem. Dooley nigdy nie był tu dalej niż na pomoście. Jest niezłym gadułą, więc jeśli opowiada o czymś, co tu widział, jego znajomi z pewnością uważają, że zmyśla.

- Był bardzo wścibski w rozmowie ze mną. Migałam się od wyjaśnień, jak tylko mogłam.

- Za parę godzin wszyscy na Pine Island będą wiedzieli o pani wizycie, ale wątpię, żeby kogoś to obchodziło.

- To dobrze. Muszę przyznać, że jestem wystarczająco zdenerwowana ogromem czekającej nas pracy i konsekwencjami w razie niepowodzenia.

- Jestem optymistą. To, co dotąd zrobiliśmy, pozwala wierzyć, że nam się uda - pocieszył ją Kane.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale czułabym się spokojniejsza, gdybym poznała naukową podstawę pańskiego optymizmu.

Kane rozłożył ręce.

- Sceptycyzm jest fundamentem badań naukowych. Postaram się to wyjaśnić. Nasza praca jest złożona, ale nieskomplikowana. Wiemy, co mamy robić. Najtrudniejsze jest właśnie robienie tego. Jak pani wie, nic nigdy nie jest pewne, kiedy ma się do czynienia z wirusami.

Song Li przytaknęła.

- Moim zdaniem, nie ma na ziemi bardziej fascynujących stworzeń, z wyjątkiem ludzi. Jaka jest wasza strategia?

- Może się przejdziemy, jeśli czuje się pani na siłach? Lepiej mi się myśli, gdy jestem w ruchu.

Ruszyli jedną z przecinających wyspę muszlowych ścieżek, które zostały po szlakach krajobrazowych wytyczonych dla gości dawnego kurortu.

- O ile wiem, pracował pan w Harbor Branch - powiedziała Li, mając na myśli laboratorium morskie na wschodnim wybrzeżu Florydy.

Kane skinął głową.

- Przez kilka lat. Biomedycyna oceaniczna jest jeszcze w powijakach, ale oni jako jedni z pierwszych zorientowali się, jaki potencjał farmaceutyczny drzemie w organizmach morskich. Dostrzegli, że stworzenia żyjące w głębi oceanów musiały rozwinąć pomysłowe naturalne mechanizmy, by przetrwać w ekstremalnych warunkach.

- Jak pan trafił do Bonefish Key?

- Harbor Branch badało kilka różnych związków chemicznych z morza, a ja chciałem skoncentrować się wyłącznie na czynnikach przeciwwirusowych, więc odszedłem i za pieniądze pewnej fundacji założyłem nowe laboratorium. Wyspę Bonefish Key wystawiono na aukcję po huraganie Charlie. Fundacja kupiła ją i wyremontowała ocalałe budynki.

- Powiodło się panu - stwierdziła Li.

- Szło nam całkiem dobrze - odrzekł Kane. - Niestety w zeszłym roku skończyły się pieniądze. Spadkobiercy naszego dobroczyńcy zaskarżyli legalność założenia fundacji i wygrali sprawę. Jakoś udało mi się doprowadzić wszystko do ładu, ale było wiadomo, że nasz koniec jest tylko kwestią czasu. Przepraszam za to, co powiem, ale wydarzenia w Chinach uratowały nasze tyłki.

- Nie ma potrzeby przeproszać - odparła Li. - My, Chińczycy, wynaleźliśmy jin i jang. Przeciwstawne siły mogą wytworzyć pożądaną równowagę. Jak Bonefish Key stało się centrum badań nad obecną epidemią? Znam tylko fragmenty tej historii.

- Głównie przez przypadek. Jestem przewodniczącym komisji, która doradza federalnym w sprawach odkryć naukowych o znaczeniu obronnym lub politycznym. Przekazałem wiadomość o możliwym przełomie w badaniach nad unieszkodliwianiem

wirusów Ośrodkowi Zwalczenia Chorób w Atlancie, kiedy więc w Chinach odkryto nową odmianę wirusa, zostaliśmy zaangażowani do znalezienia przeciwśrodku. Fundusze rządowe umożliwiają nam szybkie prowadzenie badań.

- Wspomniał pan, że jest optymistą, jeśli chodzi o wasze postępy.

- Ostrożnym optymistą - zastrzegł. - Jest pani wirusologiem, więc pani wie, jak trudno opracować czynnik przeciwwirusowy.

Li westchnęła.

- Wciąż zdumiewa mnie złożoność mechanizmów wewnątrz wirusa, który jest właściwie mikroskopijną cząstką kwasu nukleinowego w otoczce białkowej.

- Zawsze uważałem - rzekł Kane - że brak skamieniałych pozostałości wirusów stanowi pośredni dowód ich pozaziemskiego pochodzenia.

- Nie pan jeden wysuwa teorię o inwazji obcych form życia z innej planety, ale musimy walczyć z nimi tym, czym dysponujemy na Ziemi. - Li się uśmiechnęła. - A w pańskim przypadku raczej tym, co pan znajduje w morzu. Jak mogę pomóc w waszych pracach?

- Skupiamy się na jednej przeciwwirusowej substancji chemicznej i chcielibyśmy skorzystać z pani znajomości wirusologii podczas jej testów. Poza tym mogłaby pani opracować plan jak najlepszego wykorzystania szczepionki, kiedy ją wysyntetyzujemy.

- Dużo wam brakuje do syntezy? - zapytała.

- Żałuję, że nie mniej, ale jesteśmy prawie u celu - odpowiedział Kane.

Skręcił w mocno wydeptaną ścieżkę, która odchodziła od głównego szlaku. Po około trzydziestu metrach dróżka skończyła się przy budynku z pustaków. Mężczyzna w jasnobrązowych szortach i niebieskim T-shircie stał przed pancernymi drzwiami. Mógłby uchodzić za konserwatora, gdyby nie to, że zamiast torby z narzędziami, miał kaburę przy szerokim skórzanym pasie. Nie wyglądał na zaskoczonego ich widokiem. Song Li przypomniała sobie słowa Kane'a, że kamery są wszędzie na wyspie.

Mężczyzna otworzył drzwi i odsunął się na bok, żeby wpuścić gości. W środku było chłodno i ciemno, jedyne światło padało z kilkudziesięciu akwariów z różnymi gatunkami morskich stworzeń. Szumiały cicho pompy recyrkulacji wody.

Kiedy szli wzdłuż rzędów akwariów, Kane powiedział:

- Prowadziliśmy badania nad tymi organizmami, ale zawiesiliśmy je po telefonie z Ośrodka Zwalczenia Chorób.

Skierował się do bocznych drzwi i wstukał szyfr do elektronicznego zamka. Znaleźli się w mniejszym pomieszczeniu, gdzie mrok rozjaśniał tylko zimny niebieski blask z pionowego cylindrycznego akwarium. Poświatę emitowały falujące okrągłe kształty, które wznosiły się i opadały powolnymi ruchami.

Widok zahipnotyzował Song Li.

- Są piękne - szepnęła.

- Przedstawiam pani błękitne meduzy - rzekł Kane. - Cały nasz wysiłek skupiamy na tych uroczych stworzeniach. Ich jad jest jednym z najbardziej skomplikowanych związków chemicznych, z jakimi się kiedykolwiek zetknąłem.

- Chce pan powiedzieć, że te meduzy są źródłem związku, który próbujecie wysyntetyzować?

- Owszem. Minimalna ilość ich jadu jest zabójcza dla człowieka, ale los milionów ludzi może zależeć od stworzeń w tym akwarium. Wprowadzę panią w temat, kiedy pani odpocznie.

Jej umysł naukowca był głodny szczegółów.

- Nie potrzebuję odpoczynku - odparła. - Chcę zacząć od razu.

Słyszając to, Kane nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Zapoznam panią z personelem - powiedział.

Poprowadził Li przez pracownię i przedstawił innym naukowcom, którzy zajmowali się projektem „Błękitna Meduza”. Największe wrażenie wywarła na niej Lois Mitchell, główna asystentka Kane'a i kierowniczka programu. Ale różnica czasu w końcu dała się Li we znaki, więc położyła się spać w swoim wygodnym domku. Nazajutrz od razu rzuciła się w wir pracy.

Codziennie wstawała wczesnym rankiem i pracowała do późnego wieczora. Pływanie kajakiem przez namorzyny było jej

jedynym odpoczynkiem od wyczerpujących zajęć. Któregoś dnia Kane zaprosił personel naukowy na spotkanie w jadalni. Oznajmił, że wreszcie zidentyfikowali poszukiwany przez nich związek chemiczny, co wywołało głośny aplauz. On i starannie wyselekcjonowani ochotnicy mieli przenieść się do innego laboratorium, by dokonać syntezy. Nie podał lokalizacji obiektu, powiedział tylko, że jest bliżej źródła. Doktor Li zgodziła się zostać w Bonefish Key z resztą zespołu, żeby dokończyć analizy epidemiologiczne i opracować plan produkcji oraz dystrybucji szczepionki.

Kwarantanna trwała, ale Li wiedziała, że wcześniej czy później wirus wydostanie się na zewnątrz. Kiedy analizowała przypadki epidemii, stale pamiętała o chińskich doświadczeniach z SARS. Wszystkich potencjalnie i prawdopodobnie zarażonych umieszczono w izolatkach podciśnieniowych ze śluzami powietrznymi i każdy ich oddech był filtrowany. Mimo to choroba się rozprzestrzeniła, co dowiodło, jak trudno jest odseparować wirusa.

W ciągu następnych tygodni do Bonefish Key docierały kolejne raporty z tajnego laboratorium. Najbardziej ekscytująca była wiadomość, że wysyntetyzowano toksynę, bo zapowiadała rychłe opracowanie szczepionki.

Zdopingowana sukcesem Li pośpiesznie układała plan zastosowania antidotum i zahamowania epidemii, zanim przerodzi się w pandemię.

Doktor Huang poprosił ją, by na bieżąco informowała go o postępach. Jedynym miejscem na wyspie, gdzie telefony komórkowe miały zasięg, był szczyt starej wieży ciśnień. Co dzień po pracy Li wchodziła tam i relacjonowała przebieg realizacji projektu swojemu staremu przyjacielowi i mentorowi.

Nie mogła wiedzieć, że każde jej słowo trafia do nieprzyjaznych uszu.

4

Bermudy,
trzy miesiące później

Taksówkarz przyjrzał się nieufnie mężczyźnie stojącemu przed wyjściem z hali przylotów Portu Lotniczego imienia L.F. Wade'a. Potencjalny pasażer miał zmierzwioną rudą brodę i włosy związane w krótki kucyk. W dodatku nosił spłowiałe dżinsy, czerwone sportowe buty za kostkę, okulary przeciwsłoneczne w stylu Eltona Johna w białych plastikowych oprawkach, T-shirt z podobizną Jerry'ego Garcii z grupy Grateful Dead i pogniecioną jasnobrązową lnianą marynarkę.

- Do portu morskiego - powiedział Max Kane. Otworzył drzwi, wrzucił worek marynarski na tylne siedzenie i usiadł obok.

Kierowca wrzucił ramionami i włączył silnik. Pasażer to pasażer.

Kane oparł się wygodnie i zamknął oczy. Jego mózg był bliski eksplozji. Niecierpliwiał się coraz bardziej z każdym kilometrem przebytym w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Długi lot z Pacyfiku do Ameryki Północnej i dwugodzinna podróż z Nowego Jorku były niczym w porównaniu z minutami wlokącymi się podczas jazdy taksówką na nabrzeże.

Kane kazał kierowcy zatrzymać się w pobliżu trapu statku z turkusowym kadłubem. Charakterystyczny kolor i napis „NUMA” pod nazwą „William Beebe” świadczyły, że jednostka należy do Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, największej organizacji oceanograficznej na świecie.

Kane wysiadł z taksówki, zapłacił kierowcy, zawiesił worek marynarski na ramieniu i wspiął się po trapie. Przystojna młoda kobieta w mundurze oficera marynarki powitała go ciepłym uśmiechem.

- Dzień dobry, Marla Hayes, trzeci oficer - przedstawiła się. - Pańskie nazwisko?

- Max Kane.

Spojrzała na clipboard i postawiła ptaszka przy nazwisku Kane'a.

- Witamy na pokładzie „Beebe'a”, doktorze Kane. Pokażę panu pańską kabinę i oprowadzę po statku.

- Odbyłem długą podróż, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym najpierw zobaczyć B3.

- Proszę bardzo - odrzekła Marla i poprowadziła Kane'a ku rufie.

Siedemdziesięciosześcioletni statek poszukiwawczo-ba-

dawczy był morskim odpowiednikiem zawodowego ciężarowca. Miał dźwig ramowy w kształcie litery A nad pochylnią rufową, szeroki pokład i mnóstwo żurawi masztowych oraz wciągarek, których naukowcy używali do wodowania pojazdów głębinowych i sond. Wzrok Kane'a spoczął na wielkiej pomarańczowej kuli w stalowej kołysce pod wysokim żurawiem. Trzy bulaje przypominające działa krótkiego zasięgu wystawały ze sferycznej powierzchni.

- Oto ona - powiedziała Marla. - Wrócę po pana za kilka minut.

Kane podziękował kobiecie i podszedł do kuli, stąpając ostrożnie, jakby się obawiał, że dziwny obiekt rzuci się do ucieczki na czterech nogach przymocowanych do dna. Okrążył kulę i zobaczył mężczyznę w hawajskiej koszuli i długich szortach stojącego przed okrągłym otworem o średnicy niewiele większej niż trzydzieści centymetrów. Głowę miał w środku, a prawym ramieniem opierał się o włącznik, jakby pożerał go potwór o owadzych oczach. Potok soczystych przekleństw, który dobiegł z wnętrza, zabrzmiał, jakby doszedł z jaskini piratów.

Kane położył na pokładzie swój worek marynarski i zapytał:

- Ciasno?

Mężczyzna uderzył się w skroń, kiedy wycofywał głowę z otworu, zaklął siarczyście jeszcze kilka razy i odgarnął grzywę stalowoszarych włosów znad niebieskich oczu. Był barczysty, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i musiał ważyć ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Wyszczерzył w uśmiechu idealnie białe zęby kontrastujące z ogorzałą twarzą.

- Bardzo - potwierdził. - Przydałyby się łyżka do butów i puszcza smaru, żeby mnie wepchnąć do tego zabytku z wysypiska śmieci firmy ratownictwa morskiego.

Śniada twarz wyłoniła się z włazu i jej właściciel powiedział:

- To na nic, Kurt. Musieliby cię spryskać WD-40 i wbić do środka młotem kowalskim.

Barczysty mężczyzna skrzywił się na tę nieprzyjemną perspektywę, po czym wyciągnął rękę do Kane'a.

- Kurt Austin, dyrektor projektu „Ekspedycja Batysfery 3”.

Jego towarzysz wydostał się z kuli nogami do przodu i również przedstawił:

- Joe Zavala, inżynier projektu „B3”.

- Miło mi panów poznać. Max Kane. - Wskazał kciukiem sferę. - Mam się zanurzyć w oceanie na głębokość ośmiuset metrów w tym zabytku z wysypiska śmieci firmy ratownictwa morskiego.

Austin i Zavala wymienili speszzone spojrzenia.

- Cieszymy się, że możemy pana poznać, doktorze Kane. Przepraszamy za podanie w wątpliwość pańskiego rozsądku.

- Nie pierwszy raz ktoś uważa, że jestem jak sześciopak bez jednego piwa. Człowiek przyzwyczaja się do tego, kiedy prowadzi badania naukowe. - Kane zdjął okulary przeciwsłoneczne, odsłaniając niebieskie oczy. - I proszę mi mówić Doc.

Austin skinął głową w kierunku pomarańczowej kuli.

- Nie przejmuj się moją gadaniną, Doc. Sam bym zanurkował w tej batysferze, gdyby była ciut większa. Joe jest najlepszym specem w branży. Ten keson jest całkiem bezpieczny, tak jak wszystkie pojazdy podwodne NUMA, które zbudował.

Zavala popatrzył na kulę.

- Użyłem technologii niedostępnej w latach trzydziestych - wyjaśnił - ale poza tym jest to wierna kopia batysfery, w której Beebe i Barton ustanowili rekord zanurzenia w 1934. Zeszli wtedy na głębokość dziewięciuset dwudziestu trzech metrów. Cały urok tego urządzenia polegał na jego prostocie.

- Kulisty kształt wydaje nam się teraz oczywistością - powiedział Kane. - Początkowo William Beebe sądził, że sprawdzi się keson cylindryczny. Rozmawiał o tym ze swoim przyjacielem Teddym Rooseveltem wiele lat przed zanurzeniem, naszkicował nawet

projekt na serwetce. Roosevelt nie zgadzał się z nim i sugerował kształt kulisty. Później, kiedy Beebe zobaczył kulistą konstrukcję Otisa Bartona, zdał sobie sprawę, że tylko taka kabina wytrzyma ciśnienie na dużych głębokościach. Zawała znał tę historię.

- Beebe zorientował się - podjął - że płaskie końce cylindra uległyby wgnieceniu, a na powierzchni sferycznej ciśnienie rozkłada się bardziej równomiernie. - Ukucnął przy kuli i powiódł dłonią po grubych płozach, na których spoczywały nogi kabiny. - Dodałem awaryjne nadmuchiwane pływaki. Instynkt samozachowawczy, Doc. To ja będę się z tobą zanurzał.

Kane zatarł ręce jak głodny człowiek na widok soczystego steku.

- To będzie spełnienie moich marzeń. Poruszyłem wszystkie sprężyny, jakie tylko mogłem, żeby dostać się na listę nurków. To właśnie William Beebe sprawił, że wybrałem zawód mikrobiologa morskiego. Jako dziecko czytałem o świecących rybach, które znajdował w głębinach oceanu, i chciałem przeżywać takie przygody jak on.

- Moją największą przygodą była próba przepchnięcia się przez ten trzydziestopięciocentymetrowy właz - wtrącił Austin. -Przymierz się do niego, Doc.

Kane, który miał metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, powiesił marynarkę na ramie batysfery, wsunął się do środka głową naprzód, zgiął w pół z wprawą akrobaty i po chwili wyjrzał przez okrągły otwór.

- Tu jest więcej miejsca, niż się wydaje z zewnątrz.

- Oryginalna batysfera miała sto czterdzieści pięć centymetrów średnicy i ściany o grubości trzydziestu ośmiu milimetrów z wysokogatunkowej stali martenowskiej - powiedział Zawała. - Nurkowie dzielili niewielką przestrzeń z butlami tlenowymi, filtrami, szperaczem i kablami telefonicznymi. Tu trochę oszukiwaliśmy. Bulaje są polimerowe, zamiast ze szkła kwarcowego, a lina z kevlaru, nie stalowa. Miedziane kable telekomunikacyjne zastąpiliśmy światłowodami. Zminiaturyzowaliśmy też przyrządy pokładowe. Wolalibyśmy tytanową kulę, ale koszt byłby zbyt wysoki.

Kane bez trudu wyszedł z batysfery i przyjrzał się jej niemal z czcią.

- Wykonałeś niesamowitą robotę, Joe. Beebe i Barton zdawali sobie sprawę, że ryzykują życie, ale ich entuzjazm pokonał strach.

- Ten entuzjazm musiał udzielić się i tobie, skoro przebyłeś taką szmat drogi - zauważył Austin. - O ile wiem, byłeś na Pacyfiku.

- Tak. Kontraktowa praca dla Wujka Sama. Rutynowa. Właśnie ją kończymy, co jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności, bo za nic nie przepuściłbym takiej okazji.

Przez pokład szła w kierunku batysfery Marla Hayes w towarzystwie dwóch mężczyzn i kobiety z kamerami wideo, reflektorami i sprzętem dźwiękowym.

- Ekipa filmowa NUMA - wyjaśnił Kane'owi Austin. - Chcą przeprowadzić wywiady z nieustraszonymi nurkami.

Na twarzy Maxa pojawił się wyraz przerażenia.

- Muszę wyglądać jak kupa łajna. I tak cuchnąć. Nie mogą zamknąć, aż wezmę prysznic i usunę kolce jeżozwierz z podbródka?

- Joe się nimi zajmie, kiedy ty będziesz się odświeżał - uspokoił go Austin. - Spotkamy się na mostku po wywiadzie i omówimy plany na jutro.

Idąc do sterowni, Austin myślał o tym, jak książki Williama Beebe'a działały na jego wyobraźnię, kiedy dorastał w Seattle. W jednej z nich Beebe opisał, jak stał na krawędzi podwodnego urwiska, na granicy dopływu powietrza z powierzchni, i patrzył z tęsknotą w dół na głębię poza jego zasięgiem. Pod wpływem tego fragmentu Austin uświadomił sobie, że powinien zawsze dochodzić do kresu swoich możliwości.

Urodził się i wychował w Seattle, i realizował chłopięce marzenia, studiując zarządzanie systemami na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Uczęszczał również do renomowanej szkoły nurkowania głębinowego, specjalizując się w ratownictwie. Kilka lat pracował na platformach wiertniczych na Morzu Północnym i przez jakiś czas w firmie ratownictwa morskiego swojego ojca, ale pociągały go przygody, wstąpił więc do tajnej jednostki wywiadu podwodnego CIA. Kierował nią do chwili jej rozwiązania wraz z końcem

zimnej wojny. Ojciec miał nadzieję, że Kurt wróci do ratownictwa morskiego, ale on przeniósł się do NUMA, gdzie stanął na czele grupy, do której należeli Zavała oraz Paul i Gamay Troutowie. Był to zespół specjalny do badania niezwykłych zdarzeń nad i pod powierzchnią oceanów świata.

Po wykonaniu ostatniego zadania - odnalezieniu dawno zaginionego fenickiego posągu nazywanego Żeglarzem - Austin dowiedział się, że Narodowe Towarzystwo Geograficzne i Nowojorskie Towarzystwo Zoologiczne sponsorują fabularyzowany dokument o historycznym zejściu w batysferze na głębokość ponad dziewięćset metrów w roku 1934. Aktorzy mieli zagrać Beebe'a i Bartona w makiecie kabiny, a duża część akcji miała być symulowana.

Austin namówił dyrekcję NUMA, żeby pozwoliła Zawali konstruować supernowoczesną batysferę. Keson miał być zwodowany z ich statku badawczego „William Beebe” równocześnie z realizacją filmu. Jak wszystkie agencje rządowe, NUMA musiała walczyć o swój kawałek federalnego tortu budżetowego, a dobra reklama nigdy nie szkodzi.

Dirkowi Pittowi, który zastąpił admirała Sandeckera na stanowisku dyrektora, kiedy ten został wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, również zależało na przedstawieniu pracy agencji w korzystnym świetle. Komora ciśnieniowa batysfery miała trafić po ekspedycji do nowego pojazdu głębinowego. Keson nazwano B3, gdyż był trzecim kadłubem ciśnieniowym zbudowanym według projektu Beebe'a i Bartona.

Po udzieleniu wywiadów na tle batysfery Zavała i Kane wspięli się na mostek w towarzystwie kamerzysty i dźwiękowca. Austin przedstawił Kane'a kapitanowi, doświadczonemu pracownikowi NUMA nazwiskiem Mike Gannon, który rozłożył na stole mapę morską i wskazał wyspę Nonsuch na północny wschód od Wielkiej Bermudy.

- Zakotwiczymy możliwie jak najbliżej pozycji Beebe'a - powiedział. - Będziemy około ośmiu mil morskich od lądu, mając nieco ponad osiemset metrów wody pod kilem.

- Wybraliśmy miejsce płytsze niż oryginalne, żeby móc filmować dno oceanu - wyjaśnił Austin Kane'owi i zwrócił się do kapitana: - Jaka jest prognoza pogody?

- W nocy spodziewana jest wichura, ale do rana powinna ustać - odparł Gannon.

Austin odwrócił się do Kane'a.

- Wszystko już omówiliśmy, Doc. Na co masz nadzieję pod czas tej ekspedycji?

Kane zastanowił się chwilę.

- Na cuda - odparł z tajemniczym uśmiechem.

- To znaczy?

- Kiedy Beebe zameldował o złapaniu swoim włokiem fosforyzujących ryb, koledzy naukowcy mu nie uwierzyli. Liczył, że zanurzenie w batysferze pozwoli potwierdzić jego odkrycie. Porównywał się do paleontologa, który może cofnąć czas i zobaczyć skamieniałości żywe. Tak jak Beebe, mam nadzieję zarejestrować cuda istniejące pod powierzchnią oceanu.

- Cuda biomedycyny? - spytał Austin. Kane przestał się uśmiechać.

- Co masz na myśli? - rzucił ostro i zerknął na kamerę wideo.

- Znalazłem Bonefish Key w Google. Na waszej stronie jest wzmianka, że uzyskaliście w swoim laboratorium substytut morfiny z jadu ślimaka. Jestem po prostu ciekaw, czy natknęliście się na coś podobnego w Pacyfiku.

Kane znowu się uśmiechnął.

- Mówiłem jako mikrobiolog morski... metaforycznie.

- Pogadajmy o cudach i metaforach przy kolacji, Doc.

Kane ziewnął szeroko.

- Padam z nóg. Przepraszam za kłopot, kapitanie, ale czy ktoś mógłby przynieść mi kanapkę do kabiny? Muszę się wyspać, żeby jutro być w dobrej formie.

Austin patrzył na wychodzącego ze sterowni Kane'a i zastanawiał się nad jego gwałtowną reakcją na niewinne pytanie. Potem odwrócił się do kapitana, żeby się z nim naradzić.

Następnego ranka statek NUMA wziął taki sam kurs jak niegdyś ekspedycja Beebe'a: wyszedł w morze przez Castle Roads -między wysokimi, poszarpanymi klifami i starymi fortami - minął Gurnet Rock i wydostał się na ocean.

Wichura ustała, pozostawiając po sobie długie, niskie fale. Statek pruł je przez godzinę, zanim rzucił kotwicę.

Keson przeszedł dziesiątki testów w basenie, ale Zavala chciał go zwodować bez załogi przed właściwym zanurzeniem. Żuraw przeniósł szczelnie zamkniętą batysferę nad powierzchnię i opuścił ją na głębokość piętnastu metrów. Po kwadransie B3 wciągnięto z powrotem na pokład i Zavala sprawdził wewnątrz.

- Bardziej sucho niż w oczach na pogrzebie sknery - stwierdził.
- Gotowy do wycieczki w głębinę, Doc? - zapytał Austin.
- Od prawie czterdziestu lat - odparł Kane.

Zavala wrzucił przez właz dwie nadmuchiwane poduszki i kilka koców.

- Beebe i Barton siedzieli na zimnej, twardej stali - przypomniał. - Uznałem jednak, że minimum wygody jest niezbędne.

Kane wyjął z torby dwie jarmułki i podał jedną Zavali.

- Barton zawsze nurkował w swojej szczęśliwej czapeczce.

Zavala włożył myckę, wpełził do batysfery, uważając, żeby nie rozdrzeć kurtki na futrze i spodni o stalowe śruby wokół włazu, i skulił się przy panelu kontrolnym. Kane poszedł w jego ślady i usiadł po stronie bulaja. Zavala otworzył dopływ powietrza, po czym zawołał do Austina:

- Zamknij drzwi, Kurt, straszny tu przeciąg!
- Do zobaczenia przy margaritach za kilka godzin - odparł Austin i kazał uszczelnić batysferę.

Gdy żuraw opuścił stuosiemdziesięciokilogramową pokrywę, załoga przykręciła kluczami dynamometrycznymi dziesięć dużych nakrętek. Kane i Austin uścisnęli sobie dłonie przez okrągły dziesięciocentymetrowy otwór pośrodku włazu umożliwiający podawanie przyrządów w obie strony bez konieczności kłopotliwego zdejmowania ciężkiej pokrywy. Potem jeden z załogantów nakręcił nakrętkę na otwór, ostatecznie uszczelniając keson.

Austin sięgnął po mikrofon połączony z systemem telekomunikacyjnym batysfery i uprzedził nurków, że za chwilę będą w powietrzu. Wciągarka zawarczała, żuraw uniósł dwuipółtonową stalową kulę z jej żywym ładunkiem, przeniósł z pokładu za burtę i zawiesił pięć metrów nad powierzchnią oceanu.

Austin wywołał batysferę przez radio i dostał zgodę Zawali na wodowanie.

Przez bulaje nurkowie widzieli zwrócone ku górze twarze członków załogi i ekipy filmowej, fragmenty statku i kawałki nieba. Potem szyby omyła spieniona woda i B3 opadła do krystalicznie czystego morza, by za chwilę zniknąć między dwiema falami.

Gdy kula znalazła się pod powierzchnią, z głośnika zamontowanego na pokładzie dobiegł metalicznie brzmiący głos Zawali:

- Dzięki za miękkie lądowanie.
- Obsługa żurawia potrafiłaby zanurzyć ten pączek w filiżance kawy - zażartował Austin.
- Nie wspominaj o kawie i innych płynach - zgromił go Zava-la.
- Bano* jest na zewnątrz batysfery.
- Przepraszam. Następnym razem zarezerwujemy wam kabinę pierwszej klasy.
- Doceniam propozycję, ale moim głównym zmartwieniem jest to, żebyśmy mieli suche nogi. Następny postój...

Wciągarka wypuściła piętnaście metrów liny i batysfera zatrzymała się do ostatniej inspekcji stanu bezpieczeństwa. Zawała i Kane dokonali oględzin wnętrza w poszukiwaniu wilgoci, zwracając szczególną uwagę na uszczelkę wokół wjazdu.

Nie znaleźli przecieków, Zawała sprawdził więc zapas powietrza, cyrkulację i systemy telekomunikacyjne. Kontrolki wskazywały, że elektroniczne nerwy i płuca B3 funkcjonują prawidłowo. Wywołał statek.

- Wszystko gra, Kurt. Systemy sprawne. Gotowy, Doc?
- W dół! - zawołał Kane.

Ramiona oceanu objęły batysferę jak dawno zaginionego mieszkańca i pomarańczowa kula z dwoma pasażerami, pozostawiając za sobą niewielką chmurę pęcherzy powietrza znaczących

jej zanurzenie, rozpoczęła osiemsetmetrową podróż do królestwa Neptuna.

5

Pasażerowie B3 tkwili w stalowym więzieniu, które byłoby wyzwaniem dla Harry'ego Houdiniego, ale oglądał ich cały świat. Dwie miniaturowe kamery zamontowane na wewnętrznej ścianie transmitowały obraz kabiny batysfery światłowodami do masztu antenowego „Beebe'a”, skąd sygnały trafiały przez satelity telekomunikacyjne do laboratoriów i klas szkolnych wszędzie na kuli ziemskiej.

Tysiące mil morskich od Bermudów czerwono-biała boja telekomunikacyjna przekazywała obrazy do mrocznego pomieszczenia sto metrów pod powierzchnią Pacyfiku. Rząd ekranów na ścianie półkolistej komory wyświetlał zabarwione na zielono widoki ławic ryb śmigających przed kamerami jak niesione wiatrem confetti.

Około tuzina mężczyzn i kobiet zebrało się wokół jedyne go monitora, który nie pokazywał morskiego dna. Wszyscy patrzyli na niebiesko-czarny obraz kuli ziemskiej i litery NUMA. Na ich oczach logo zniknęło i pojawiło się ujęcie ciasnego wnętrza B3 oraz jej dwóch pasażerów.

- Hurra! - wykrzyknęła Lois Mitchell i wyrzuciła pięść w powietrze. - Doc jest w drodze. I ma swoją szczęśliwą czapeczkę.

Inni przyłączyli się do aplauzu, lecz po chwili w pomieszczeniu zapadła cisza, bo Max Kane zaczął mówić. Słowa i ruchy jego ust nie były dokładnie zsynchronizowane, a rysy zostały zniekształcone, gdy przysunął się do obiektywu kamery.

- Wita was doktor Max Kane, dyrektor Ośrodka Morskiego Bonefish Key. Jestem w replice batysfery Beebe'a i Bartona.

- Niezła reklama laboratorium - odezwał się siwy mężczyzna siedzący koło Lois.

- Znajdujemy się na wodach bermudzkich - ciągnął Kane - gdzie zamierzamy powtórzyć historyczne nurkowanie Beebe'a i Bartona, którzy w 1934 roku zeszli w batysferze na głębokość ośmiuset metrów. To trzecia batysfera, dlatego skróciliśmy jej na zwę do B3. Jej operatorem jest Joe Zavala, pilot pojazdów głębi nowych i inżynier morski z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. To on skonstruował replikę.

Zavala włączył aktywowane głosem sterowniki ustawienia kamery i na ekranie pojawiła się jego twarz. Zaczął opisywać szczegóły techniczne B3, ale Lois słuchała jednym uchem, bardziej zainteresowana samym przystojnym inżynierem z NUMA niż jego fachowymi objaśnieniami.

- Zazdroszczę Docowi - powiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Ja też - odrzekł jej sąsiad, biolog morski nazwiskiem Frank Logan. - Co za wspaniała wyprawa!

Lois uśmiechnęła się, jakby przypomniała sobie jakiś dowcip. Jej chęć znalezienia się w ciasnym wnętrzu batysfery z przystojnym Zawalą nie miała nic wspólnego z nauką. No, może z biologią.

Kamera wróciła do Kane'a.

- Świetna robota, Joe - pochwalił Doc. - Chciałbym osobiście podziękować wszystkim, którzy pomogli w realizacji tego projektu, a więc „National Geographic”, Nowojorskiemu Towarzystwu Zoologicznemu, władzom Bermudów... i oczywiście, NUMA. - Przynął twarz do kamery i dodał: - Chciałbym też serdecznie pozdrowić wszystkich mieszkańców Schowka na dnie morza.

W pomieszczeniu rozległy się głośnie wiwaty. Logan pochodził ze Środkowego Zachodu i zwykle był powściągliwy, ale teraz aż klepał się w uda z radości.

- No, no! - zawołał. - To miło ze strony Doca, że o nas pamiętał. Szkoda, że nie możemy odpowiedzieć.

- Technicznie to możliwe, ale niewskazane - odparła Lois. - Przecież oficjalnie to podwodne laboratorium nie istnieje. Jesteśmy tylko pozycją w budżecie federalnym, sprytnie zamaskowaną

jako zamówienie na deski klozetowe dla marynarki wojennej lub coś w tym guście.

Logan się uśmiechnął.

- Tak, wiem, ale szkoda, że nie możemy pogratulować Docowi. Nikt nie zasługuje na to bardziej niż on po tym wszystkim, czego dokonał. - Zorientował się po minie Lois, że popełnił gafę, więc szybko dodał: - Nie mówiąc o twoich zasługach. To ty doprowadziłaś projekt „Meduza” prawie do końca, co umożliwiło Maxowi wyjazd i zanurzenie w batysferze.

- Dzięki, Frank. Wszyscy zrezygnowaliśmy z normalnego życia, żeby tutaj być.

W pomieszczeniu zabrzmiał cichy gong i zielona kontrolka rozbłysła nad monitorem, który pokazywał coś, co przypominało brylantowy diadem na ciemnym aksamicie.

- A propos obowiązków administracyjnych - mruknął Logan z cierpkim uśmiechem - zaraz będziesz miała towarzystwo.

Lois zmarszczyła brwi.

- A niech to. Chciałam obejrzeć całe nurkowanie Doca.

- Zaproś swojego gościa tutaj - podsunął Logan.

- O, nie! Pozbędę się go tak szybko, jak tylko będę mogła - odparła Lois, wstając z krzesła.

Lois Mitchell miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i o kilka kilogramów więcej, niżby sobie życzyła. Tak obfite kształty nie przystawały do współczesnego ideału piękności, ale dawni artyści z zachwytem pożeraliby wzrokiem jej krągłości, kremową skórę i gęste kruczoczarne włosy opadające wdzięcznie na ramiona.

Wypadła z pomieszczenia i zbiegła po spiralnych schodach do jasno oświetlonego korytarza. Rurowy tunel łączył się z małą komorą, w której dwaj mężczyźni stali przy pulpicie sterowniczym, twarzami do ciężkich podwójnych drzwi.

- Cześć, Lois - zagadnął jeden z nich. - Lądowanie za czterdzieści pięć sekund. - Wskazał monitor na pulpicie.

Skupisko migoczących światełek na ekranie przybrało kształt pojazdu podwodnego, który opadał wolno w ciemnej toni. Przypominał duży helikopter transportowy pozbawiony głównego rotora

i napędzany turbinami o zmiennym kierunku ciągu na kadłubie. W kokpicie siedziały dwie osoby.

Rozległo się buczenie silników elektrycznych i plan laboratorium na pulpicie sterowniczym zaczął pulsować, co oznaczało, że śluza powietrzna jest otwarta. Po chwili obraz znieruchomiał, sygnalizując jej zamknięcie. Podłoga zawibrowała od drgań potężnych pomp. Gdy woda ze śluzy została usunięta, hałas urządzeń ucichł i nad wrotami zapaliła się zielona kontrolka. Po naciśnięciu przycisku na pulpicie wrota się otworzyły, odsłaniając okrągłą komorę pod kopułą, w której spoczywał pojazd głębinowy. Kaskady wody spadały z kadłuba i znikwały z bulgotem w odpływach.

Z włazu z boku pojazdu wyłonił się pilot. Mężczyźni przy pulpicie sterowniczym podeszli, by pomóc w wyładunku kartonów z zaopatrzeniem z ładowni za kokpitem.

Lois powitała mężczyznę, który wysiadł od strony pasażera. Był trochę wyższy od niej, ubrany w dżinsy, adidas oraz kurtkę i czapkę bejsbolową z logo firmy ochroniarskiej zapewniającej bezpieczeństwo laboratorium.

- Doktor Lois Mitchell - przedstawiła się, podając mu rękę. - Witam w Schowku. Kieruję laboratorium pod nieobecność doktora Kane'a.

- Miło mi panią poznać - odrzekł mężczyzna głębokim basem z południowym akcentem. - Nazywam się Gordon Phelps.

Lois spodziewała się kogoś podobnego do wyglądających na twardzieli strażników, których widywała na okręcie nawodnym, gdzie personel laboratorium odpoczywał po pobycie pod powierzchnią. Tymczasem Phelps sprawiał wrażenie, jakby złożono go z części zamiennych. Długie ręce nie pasowały do krótkiego tułowia, potężne dłonie do cienkich przedramion, a wielka głowa do wąskich barów. Smutne ciemne oczy, szerokie usta i obwisłe wąsy sprawiały, że przypominał psa. W dodatku nosił niemodne baki.

- Jak minęła podróż wahadłowcem, panie Phelps?

- Doskonale, szanowna pani. Najlepszy był widok światła na dnie oceanu. Skojarzył mi się z Atlantydą.

Lois wzdrygnęła się w duchu na to stereotypowe porównanie do zaginionego kontynentu.

- Cieszę się - odparła. - Chodźmy do mojego biura, tam po rozmawiamy.

Poprowadziła innym rurowym tunelem i dalej po spiralnych schodach na górę do słabo oświetlonego okrągłego pomieszczenia. Przez przezroczystą kopułę zaglądały ryby, co stwarzało złudzenie, że morze wciska się do środka.

Phelps się rozejrzył.

- To dopiero widok! - wykrzyknął ze szczerym podziwem. -Nie do wiary, szanowna pani.

- Początkowo niemal hipnotyzuje, ale przyzwyczai się pan. To biuro doktora Kane'a. Korzystam z niego pod jego nieobecność. Niech pan siada. I proszę nie zwracać się do mnie „szanowna pani”. Czuję się, jakbym miała sto lat. Wolę „doktor Mitchell”.

- Wygląda pani całkiem dobrze jak na kogoś w wieku stu lat, szanowna pani... to znaczy, doktor Mitchell.

Lois znów się wzdrygnęła. Rozjaśniła oświetlenie, żeby życie morskie było mniej rozpraszające, i z małej biurowej lodówki wyjęła dwie butelki zimnej wody. Jedną podała Phelpsowi, a potem usiadła za plastikowo-chromowanym biurkiem w ascetycznie prostym stylu.

Phelps przysunął sobie krzesło.

- Chciałbym podziękować, że poświęca mi pani swój cenny czas, doktor Mitchell. Na pewno ma pani coś lepszego do roboty niż rozmowa z nudnym starym ochroniarzem.

Żebyś wiedział, pomyślała Lois, po czym uśmiechnęła się uprzejmie do gościa.

- Czym mogę służyć, panie Phelps?

- Moja firma przysłała mnie tutaj, żeby sprawdził poziom bezpieczeństwa laboratorium.

Lois zastanawiała się, co za idiota wybrał właśnie Phelps. Oparła się wygodnie na krzesło i wskazała przezroczysty sufit.

- Od powierzchni oceanu oddziela nas sto metrów wody i jest to lepsze zabezpieczenie niż jakakolwiek fosa. Na górze kotwicz

okręt patrolowy z uzbrojonymi po zęby ochroniarzami z pańskiej firmy. W razie potrzeby mogą dostać wsparcie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Czy moglibyśmy być jeszcze bardziej bezpieczni?

Phelps zmarszczył brwi.

- Z całym szacunkiem, doktor Mitchell, ale pierwszą rzeczą, jakiej człowiek się uczy w tej branży, jest to, że nie ma systemu zabezpieczeń nie do pokonania.

Lois zignorowała jego protekcyjny ton.

- Dobrze, zacznijmy więc od wirtualnego zwiedzania obiektu.

Obróciła się na krzesło i postukała w klawiaturę komputera.

Na monitorze pojawił się trójwymiarowy obraz kul połączonych rurami.

- Laboratorium składa się z czterech wielkich sfer rozmieszczonych tak, że tworzą kształt rombu - wyjaśniła. - Łączą je rurowe korytarze. Jesteśmy na szczycie części administracyjnej... o, tu taj. Pod nami są kwatery personelu i jadalnia. - Przesunęła kursor, żeby podświetlić inną kulę. - Tu mieszczą się dyspozytornia, nie które pracownie naukowe i magazyn. A tutaj jest mała elektrownia jądrowa. Powietrze dostarcza system pobierający tlen z wody, mamy też zapasowe zbiorniki na wypadek awarii. Znajdujemy się kilkaset metrów od krawędzi podwodnego kanionu.

Phelps wskazał półkulę w środku czworokąta.

- To tu wpływa wahadłowiec z powierzchni? - spytał.

- Zgadza się - potwierdziła Lois. - Miniłodzi podwodnych przycumowanych pod modułem przejściowym używa się do pobierania próbek w kanionie, ale w razie potrzeby mogą służyć do ewakuacji laboratorium. Mamy też kapsuły ratunkowe. Śluza powietrzna dla wahadłowca jest połączona wzmocnionymi przejściami ze wszystkimi modułami, co umożliwia personelowi dostęp do niej z każdej kuli i usztywnia konstrukcję kompleksu.

- A czwarty moduł?

- Ścisłe tajne.

- Ile osób pracuje w obiekcie?

- Przykro mi, ale to też jest ściśle tajne. Nie ja ustalam zasady.

Phelps skinął głową.

- Rozumiem. To kawał porządnej inżynierskiej roboty.

- Tak się złożyło, że ten kompleks marynarki wojennej był dostępny. Miało tu być podwodne obserwatorium. Poszczególne elementy zbudowano na lądzie, wyposażono i przetransportowano tutaj specjalnymi barkami. Potem zmontowano wszystko w jedną całość i opuszczono do oceanu. Na szczęście nie jesteśmy na dużej głębokości, więc dno jest prawie równe. To była operacja pod klucz, jak to mówią. Obiekt planowano jako tymczasowy i przystosowano go do tego, żeby dzięki sprężonemu powietrzu uzyskiwał ujemną pływalność. Można zmienić jego lokalizację w każdej chwili.

- Jeśli nie sprawi to pani kłopotu - powiedział Phelps - chciałbym obejrzeć miejsca, gdzie nie ma zakazu wstępu.

Lois zmarszczyła brwi, ale skinęła głową. Podniosła słuchawkę telefonu wewnętrznego i połączyła się z dyspozytornią.

- Frank, to potrwa trochę dłużej, niż przewidywałam. Nic nowego u Doca? Nie? Okej, będziemy w kontakcie.

Odłożyła słuchawkę z większą siłą, niż to było konieczne, i wstała.

- Chodźmy, panie Phelps. Załatwimy to w ekspresowym tempie.

Pięćdziesiąt mil morskich od Schowka rozfalowana powierzchnia oceanu eksplodowała wśród piany i rozbryzgów wody. Sześciometrowy aluminiowy cylinder wystrzelił ze środka gejzeru, pomknął pod ostrym kątem ku niebu, ciągnąc za sobą białą smugę, i wkrótce zanurkował z powrotem ku morzu zakrzywionym torem.

W ciągu kilku sekund pocisk samosterujący dalekiego zasięgu wypoziomował i leciał niecałe osiem metrów nad grzbietami fal, tak nisko, że jego pęd zostawiał ślad na wodzie. Napędzany silnikiem rakietowym na paliwo stałe błyskawicznie przyspieszał i zanim odpadła rakietowa nośna i włączyły się silniki turboodrzutowe, osiągnął swoją prędkość przelotową wynoszącą osiemset kilometrów na godzinę.

Wysokiej klasy systemy sterowania utrzymywały go na kursie z precyzją doświadczonego pilota.

Celem pędzącego pocisku był duży okręt z szarym kadłubem zakotwiczony blisko czerwono-białej boi, którą oznaczono lokalizację podwodnego laboratorium. Na kadłubie patrolowca widniała nazwa „Proud Mary”, a był zarejestrowany na Wyspach Marshalla jako statek hydrograficzny. Czekał na powrót podwodnego wahadłowca z Phelpssem na pokładzie.

„Proud Mary” należała do tajemniczej korporacji, która zapewniała jednostki pływające międzynarodowym agencjom ochrony. Dostarczali wszystko - od szybkich, silnie uzbrojonych motorówek po wielkie okręty desantowe, które mogły przetransportować całą armię najemników do każdego punktu na świecie.

Przydzielona do ochrony podwodnego laboratorium „Proud Mary” miała ponaddwudziestoosobową załogę obeznaną ze wszystkimi typami broni ręcznej i urządzeniami elektronicznymi do wykrywania obiektów pływających i latających. Służyła też za hangar dla pasażersko-zaopatrzeniowego wahadłowca, który kursował między laboratorium a powierzchnią morza.

Pocisk samosterujący, który wystartował z głębi oceanu, pojawił się na ekranie radaru okrętu tylko na kilka sekund. Operator był akurat pochłonięty lekturą magazynu motocyklowego, więc go nie zauważył. Okręt miał wprawdzie czujniki podczerwieni, ale nawet gdyby pocisk leciał na dużej wysokości, nie zarejestrowałyby niskiej temperatury jego silników.

Niewykryty, mknął ku „Proud Mary”, mając pół tony materiału wybuchowego w główicy bojowej.

Lois Mitchell i Gordon Phelps szli rurowym korytarzem do dyspozytorni, kiedy usłyszeli głośny łomot wysoko nad głowami. Lois przystanęła i nasłuchiwała chwilę w obawie, że to awaria systemów.

- Nigdy przedtem nie słyszałam czegoś takiego - powiedziała.
- To brzmiało, jakby ciężarówka wpadła na ścianę. Sprawdzę, czy wszystkie systemy laboratorium działają, jak należy.

Phelps zerknął na zegarek.

- Sądząc po odgłosie, trochę przed czasem.

Lois zignorowała jego niejasną uwagę.

- Sprawdzę sytuację w dyspozytorni - oznajmiła.
- Dobry pomysł - zgodził się uprzejmie.

Ruszyli w stronę drzwi na końcu przejścia. Kiedy byli kilka kroków od modułu dyspozytorni, drzwi otworzyły się z sykiem i na zewnątrz wypadł Frank Logan. Błądą zwykle twarz miał zarumienioną z emocji i uśmiechał się szeroko.

- Lois! Właśnie po ciebie szedłem. Słyszałaś ten dziwny hałas...

Stał jak wryty i uśmiech zniknął z jego twarzy. Lois odwróciła się, żeby zobaczyć, na co Logan patrzy. Phelps trzymał w ręku pistolet.

- Co pan wyprawia? - zapytała. - Przecież nie wolno wносить broni do laboratorium.

Spojrzał na nią z miną winowajcy.

- Jak wspomniałem, nie ma niezawodnego systemu bezpieczeństwa - rzekł. - Laboratorium jest pod nowym zarządem, doktor Mitchell.

Nadal mówił cicho, ale już nie służalczym tonem, który tak irytował Lois. Kazał Loganowi stanąć obok niej, żeby mieć go na oku. Kiedy Logan wykonał polecenie, drzwi dyspozytorni znów się otworzyły i jakiś laborant wyszedł za próg. Phelps odruchowo uniósł pistolet. Laborant znieruchomiał, a Logan, widząc chwilową dekoncentrację Phelps'a, próbował wyrwać mu broń.

Walczyli przez chwilę. Młodszy i silniejszy Phelps byłby górą, nawet gdyby pistolet nie wypalił. Tłumik wyciszył huk strzału, ale na fartuchu Logana wykwitła czerwona plama. Nogi ugięły się pod nim i upadł na podłogę.

Laborant wpadł z powrotem do dyspozytorni, a Lois podbiegła do nieruchomego Logana. Uklękła przy nim i otworzyła usta do krzyku, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Zabiłeś go - wykrztusiła w końcu.
- Cholera! - zaklął Phelps. - Nie chciałem.
- A czego chciałeś?
- Nie czas, żeby to wyjaśniać, szanowna pani.

Lois wstała i podeszła do niego.

- Mnie też zastrzelisz? - spytała ostro.
- Nie, chyba że będę musiał, doktor Mitchell. Proszę nie robić nic głupiego, jak pani kolega. Wolelibyśmy pani nie stracić.

Patrzyła wyzywająco na Phelpsa przez kilka sekund, dłużej nie wytrzymała jego twardego spojrzenia.

- Czego pan chce?
- Na razie wystarczy mi, że zbierze pani cały personel.
- A co potem?

Wzruszył ramionami.

- Odbędziemy małą podróż.

6

Pasażerowie B3 postanowili przekazywać swoje obserwacje jak sprawozdawcy sportowi. Joemu Zawali przypadła w udziale relacja na żywo, a Max Kane miał ją ubarwiać nawiązaniem do książek Williama Beebe'a.

Osiemdziesiąt siedem metrów pod powierzchnią Kane oznajmił:

- Storpedowany transatlantyk „Lusitania” spoczywa właśnie na tej głębokości.

Dwadzieścia metrów niżej zauważył:

- Sto siedem metrów to był rekord zanurzenia okrętu podwodnego, kiedy Beebe nurkował w swojej batysferze.

Gdy zeszli na sto osiemdziesiąt trzy metry, Kane zdjął swoją szczęśliwą czapeczkę i uniósł ją w rękach.

- Dotarliśmy do poziomu nazwanego przez Beebe'a Krainą Zaginionych - powiedział przyciszonym głosem. - To królestwo tych, którzy zaginęli na morzu. Od czasów Fenicjan trafiło tutaj miliony ludzi, a wszyscy byli ofiarami wojen, sztormów lub woli Boga.

- Miejsce, gdzie kończą topielcy - rzeki Zavala i dodał ciszej:
- Jaki schowek pozdrowiłeś?

Sięgnął do wyłącznika kamery i mikrofonu. Kane oświadczył:

- Joe i ja zrobimy sobie krótką przerwę. Wrócimy na wizję za kilka minut. - Wcisnął przycisk i uśmiechnął się do Zavali. - Potrzebuję chwili wytchnienia. Pytałeś o Schowek. Moi koledzy nazwali tak laboratorium.

- Koledzy z Bonefish Key? - spytał Zavala.

- Zgadza się - potwierdził Kane.

Zavala zastanawiał się chwilę, dlaczego słoneczna wyspa w Zatoce Meksykańskiej skojarzyła się komuś ze schowkiem. W końcu dał sobie spokój. Naukowcy to dziwni ludzie.

- Określenie Beebe'a brzmi makabrycznie, ale on sam nie bał się oceanu - powiedział Kane. - Chociaż wiedział, że zagrożenie jest realne, uważał je za mocno wyolbrzymione.

- Miliony ofiar, o których wspomniłeś, mogłoby się z nim nie zgodzić - odparł Zavala. - Doceniam dokonania Beebe'a i Bartona, ale moim zdaniem mieli po prostu szczęście, że nie zostali na zawsze w Krainie Zaginionych. Ich batysfera aż się prosiła o wypadek.

Kane roześmiał się i odpowiedział:

- Beebe był realistą, ale jednocześnie marzycielem. Porównał batysferę do wydrążonego ziarnka grochu kołyszącego się na pajęczynie czterysta metrów pod powierzchnią rozfalowanego oceanu.

- Poetycko, lecz nietrafnie - stwierdził Zavala. - Właśnie dlatego wyposażylem nowy keson w systemy bezpieczeństwa.

- Słusznie - przyznał Kane. Włączył mikrofon i skupił uwagę na scenerii za szybą bulaja.

B3 przechylała się lekko, ale jej opadanie sygnalizowały zmiany koloru światła wpadającego przez bulaje. Najbardziej widoczna zmiana barw następuje na początku zanurzenia. Czerwień i żółć znikają z widma jak wyciśnięte z gąbki. Dominują zieleń i błękit. Głębiej woda przybiera granatowy kolor, aż w końcu staje się czarna.

W pierwszych fazach nurkowania za szybami dryfowały srebrzyste węgorze, chmary widłonogów i szeregi rurkopławów wraz z krewetkami, półprzezroczystymi kałamarnicami i ślimakami tak mikroskopijnymi, że wyglądały jak brązowe pęcherzyki.

Na dwustu trzynastu metrach Zavala zgasił reflektor. Wyrzwał przez bulaj i wymamrotał coś z zachwytem po hiszpańsku. Widok na zewnątrz batysfery przypominał mu niebo w Nowym Meksyku w pogodną zimową noc. W ciemności skrzyły się gwiazdy, jedne samotne, inne w skupiskach. Niektóre świeciły stale, inne rozbłyskiwały tylko raz. Unoszące się pasma luminescencji i żarzące się smugi mogłyby być supernowymi lub nawet całymi mgławicami.

W kabinie panowała niemal grobowa cisza. Jedyńm dźwiękiem był szum elektrycznego silnika systemu cyrkulacji powietrza, więc okrzyk Kane'a zabrzmiał jak wystrzał armatni:

- O rany! Meduza Aurelia!

Zavala również podziwiał płynne ruchy tego stworzenia, ale miało ono zaledwie kilka centymetrów średnicy.

- Prawie dałem się nabrać, Doc - powiedział. - Myślałem, że zobaczyłeś potwora z Loch Ness.

- Meduzy są znacznie ciekawsze - odparł Kane. - Należą do najbardziej fascynujących i skomplikowanych istot. Popatrz na tamtą ławicę ryb. Świecą się jak kasyna w Las Vegas. Są z rodziny świetlikowatych... Hej, co to było?

- Zobaczyłeś rusałkę, Doc? - ironizował Zavala. Kane przycisnął twarz do szyby.

- Nie, ale na pewno coś dużego - odparł poważnie.

Zavala zapalił szperacz. Snop zielonego światła z fioletowym obrzeżem przebił ciemność i Joe wpatrzył się w przestrzeń na zewnątrz.

- Nic tam nie ma - oznajmił po chwili.

- Beebe zauważył wielką rybę, która jego zdaniem mogła być rekinem wielorybim - zwrócił się Kane do kamery. - Dopóki nie zanurkował w batysferze, jego koledzy naukowcy nie wierzyli, że widział rybę z żarzącymi się zębami i neonową skórą. Udowodnił jednak, że w głębinach roi się od takich dziwnych stworzeń.

- I cały czas stają się coraz dziwniejsze - powiedział Zavała, wskazując siebie. - Miejscowi pływacy na pewno uważają, że ty i ja jesteśmy nieapetycznie wyglądającym dodatkiem do ich okolicy.

Rechet Kane'a odbił się donośnym echem od zakrzywionych ścian batysfery.

- Przepraszam wszystkich słuchaczy, mam nadzieję, że nie rozwaliłem wam głośników. Ale Joe ma rację: ludzie nie mogą przebywać tu, gdzie my teraz. Ciśnienie wywierane na zewnętrzną powierzchnię tej kuli wynosi siedemdziesiąt siedem i pół kilogra ma na centymetr kwadratowy. Sami wyglądalibyśmy jak meduzy, gdyby nie chronił nas stalowy pancierz... Hej, tam też są ryby z rodziny świetlikowatych. Ależ piękne. A tam... Łups!

Batysferą, która do tej pory gładko schodziła w dół, wstrząsnęły silne wibracje. Kula najpierw się uniosła, potem wolno opadła. Kane wytrzeszczył oczy i rozejrzał się, jakby w obawie, że woda wedrze się do środka przez stalowe ściany.

Zavała wywołał statek na powierzchni.

- Kurt, przestańcie bawić się nami jak jo-jo.

Chwilę wcześniej pod statkiem przetoczyła się niespotykane wysoka fala i lina nagle zwiotczała. Operator żurawia, który wyczuł zmianę, zwiększył obroty silnika wciągarki.

- Przepraszam za jazdę po wybojach - odparł Austin. - Lina się poluzowała na poprzecznej fali i za szybko staraliśmy się ją naprężyć.

- Nic dziwnego przy jej długości.

- Skoro już o tym mowa, może sprawdziłbyś głębokość.

Zavała zerknął na wyświetlacz i klepnął Kane'a w ramię. Max

odwrócił się od bulaja i zobaczył, że Joe wskazuje palcem ekran.

Dziewięćset dwadzieścia trzy i pół metra.

Poprawili wynik historycznego zanurzenia w batysferze o pięćdziesiąt centymetrów.

Kane'owi szczeka opadła prawie do jabłka Adama.

- Udało się! - wykrzyknął. - Jesteśmy prawie kilometr pod wodą.

- I prawie na końcu liny - odezwał się Kurt Austin. - Dno jest około piętnastu metrów pod wami.

Kane przybił Zavalę piątkę.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Był aż czerwony z podniecenia.
- Chciałbym w tym momencie podziękować nieustraszonemu Williamowi Beebe'owi i Otisowi Bartonowi za przetarcie szlaku dla następców. Nasz dzisiejszy wyczyn to hołd dla ich odwagi... Będziemy przez chwilę zajęci fotografowaniem dna morskiego, więc odmeldowujemy się na kilka minut. Wrócimy do was w drodze na powierzchnię.

Przerwali transmisję telewizyjną, usadowili się przy bulajach z aparatami fotograficznymi i zrobili dziesiątki zdjęć dziwnych żarzących się stworzeń, które przyciągnęły światła batysfery. W końcu Zavalę sprawdził czas ich pobytu na dnie i oświadczył, że pora wracać.

Kane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No to do góry - rzekł, wskazując powierzchnię.

Zavalę wywołał Austina przez radio i powiedział, że są gotowi do wynurzenia.

B3 zakołysała się lekko, zadrżała i szarpnęła z boku na bok. Zavalę podciągnął się z powrotem do pozycji siedzącej.

- Trzęsie tu nami, Kurt. Morze znów się burzy?

- Jest gładkie jak lustro. Wiatr ustał i praktycznie nie ma fal.

- Joe! - krzyknął Kane. - Ona znów tu jest... ta ogromna ryba!

Stuknął palcem wskazującym w bulaj.

Cień przesunął się blisko krawędzi snopa światła szperacza i skreślił ku batysferze.

Kiedy Zavalę przycisnął twarz do szyby, włosy zjeżyły mu się na głowie. Zobaczył trzy żarzące się ślepia, jedno nad dwoma innymi.

Miał mało czasu na przeanalizowanie widoku. Kulą znów szarpnęło.

Z głośnika dobiegł głos Kurta:

- Widzimy oscylacje liny blisko powierzchni. Co się dzieje?

Następne szarpnięcie.

- Coś tu jest - powiedział Zavala.
 - Co? - spytał Austin.
- Zavala sam nie wiedział, więc po prostu odparł:
- Wyciągaj nas.
 - Trzymajcie się - uprzedził Austin. - Zaczynamy.

Wyglądało na to, że batysfera się ustabilizowała. Cyfry na wyświetlaczu głębokościomierza pokazywały, że sunie w górę ku powierzchni. Kane uśmiechnął się z ulgą, ale twarz mu stężała, gdy B3 znów szarpnęła. Chwilę później runęła w dół jak zerwana winda.

7

Austin przechylił się przez reling i zobaczył, że lina batysfery drży jak szarpnięta struna.

- Co się dzieje, Joe? - powiedział do mikrofonu ze słuchawką.
- Lina wariuje.

Usłyszał zniekształcone głosy, ale słowa zagłuszył metaliczny hałas w tle. Lina nagle się uspokoiła i na linii zapadła cisza.

Austin wytężył słuch. Nic. Nawet zakłóceń. Zdjął słuchawkę i sprawdził połączenia. Wszystko było na swoim miejscu. Odpiął od pasa radiotelefon i zadzwonił do kapitana na mostku.

- Straciłem kontakt głosowy z B3. Przekaz wideo idzie?
- Nie, od chwili przerwania transmisji - odparł Gannon.
- Sprawdziłeś niewykorzystane systemy? - spytał Austin.

W przeciwieństwie do oryginalnej batysfery, którą łączyła z powierzchnią pojedyncza linia telefoniczna, B3 miała w linie ciągnącej kilka różnych dróg telekomunikacyjnych na wypadek, gdyby jedna zawiodła w nieprzyjaznym środowisku na dużej głębokości.

- To samo, Kurt. Żaden nie działa.

Austin zmarszczył czoło. To było dziwne. Przecież jeśli jeden system wysiadł, inny powinien przejąć jego funkcję. Zavala chwa-

lił się, że oprzyrządowanie zaprojektowane przez niego dla B3 nie ustępuje temu w odrzutowcach pasażerskich.

Kurt polecił operatorowi żurawia wciągnąć linę. Kiedy wylaniała się z wody i nawijała na bęben, w słuchawce Austina rozległ się głos operatora.

- Hej, Kurt, coś jest nie tak. Nie ma żadnego obciążenia na końcu. Lina idzie do góry zbyt szybko i łatwo. Zupełnie jakbyś kręcił kołowrotkiem po stracie ryby.

Austin kazał mu przyspieszyć podnoszenie batysfery i lina zaczęła się wynurzać jeszcze prędzej. Załoga stała przy relingu i obserwowowała to w milczeniu. Ekipa filmowa NUMA, wyczuwając napięcie, przestała kręcić.

- Już prawie koniec - ostrzegł operator żurawia. - Uwaga! Zmniejszył obroty wciągarki, lecz mimo to lina wystrzeliła

z wody. Operator przeniósł ją nad statek, wrzucił wsteczny bieg wciągarki i kilka metrów opadło na pokład. Austin podszedł do zwoju i podniósł koniec liny.

Kamerzysta stojący w pobliżu wykrzyknął:

- To cholerstwo pękło!

Austin pokręcił głową. Wiedział, że lina utrzymałaby ciężar dziesięciokrotnie większy niż B3. Przyjrzał się jej uważnie. Krawędzie żył były równe jak włosie pędzla malarskiego. Odwrócił się do oceanografa NUMA, który wybrał miejsce zanurzenia.

- Czy tu w dole jest jakiś grzbiet koralowy albo nawis, o który mogłaby zaczepić lina? - spytał.

- Dno jest płaskie jak deska do prasowania - odparł oceanograf, wyraźnie urażony pytaniem. - Pod warstwą roślinności tylko muł. Dokładnie zbadaliśmy ukształtowanie dna, zanim uznaliśmy to miejsce za odpowiednie.

Kapitan Gannon zobaczył z mostka, że Austin ogląda linę. Zbiegł na pokład i zaklął siarczyście, kiedy Kurt pokazał mu urwany koniec.

- Co się stało, do diabła?! Austin znów pokręcił głową.

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Łodzie prasowe pytają, dlaczego nie ma transmisji obrazu - oznajmił kapitan.

Austin popatrzył na motorówki unoszące się na wodzie wokół statku.

- Powiedz im, że mamy problem ze światłowodem i potrzebujemy czasu na usunięcie awarii - zasugerował.

Kapitan połączył się z mostkiem i przekazał to wymyślone na poczekaniu wyjaśnienie. Potem przypiął radiotelefon do pasa i zwrócił się do Kurta.

- Wszystko będzie dobrze, prawda? - dopytywał się z niepokojem. - Pływaki B3 wyniosą ich na powierzchnię?

Austin zmrużył oczy przed blaskiem odbijającym się od wody.

- Batysfera jest na dużej głębokości - odparł - więc poczekajmy jakiś czas. Ale trzeba przygotować ROV-a na wypadek, gdybyśmy musieli sprawdzić, co się dzieje.

Mimo pozornego spokoju wiedział, że szansa na wynurzenie dzięki pływakom maleje z każdą minutą. Batysfera ma światło z akumulatorów, ale zapas powietrza musi się w końcu wyczerpać. Począł jeszcze kilka minut, potem wywołał kapitana i zaproponował, żeby zwdowali ROV-a.

Ten zdalnie sterowany pojazd jest niezastąpiony podczas podwodnych eksploracji. Może głęboko nurkować, wciskać się w najcięższe szczeliny i transmitować obraz telewizyjny, co pozwala operatorowi penetrować morskie głębiny bez opuszczania suchego i wygodnego stanowiska na statku.

Kapitan wybrał pojazd średniej wielkości - o rozmiarach i kształcie mniej więcej starego kufra bagażowego - który mógł operować na głębokości do tysiąca ośmiuset metrów. Sześć pedników pozycjonowało go z maksymalną dokładnością; był wyposażony w dwa manipulatory do pobierania próbek i kilka kamer, w tym kolorową wideo o wysokiej rozdzielczości.

Teleskopowy bom przy sterburcie podniósł ROV-a z kołyski i opuścił do morza. Austin obserwował, jak pojazd zanurza się wśród jasnozielonych pęcherzy powietrza, ciągnąc za sobą kabel,

a potem wszedł do centrum zdalnego sterowania w kontenerze na głównym pokładzie.

Przekaz wideo trafiał z ROV-a do konsoli pilotki z dżojstikiem. Obrazy wyświetlały się na dużym ekranie nad nią. Kierunek i prędkość pojazdu oraz czas jego zanurzenia pokazywały litery i cyfry na górze monitora.

Opadając spiralnie, ROV pokonał w ciągu kilkunastu minut taki sam dystans, jaki batysfera w ciągu godzin. Ławice ryb pierzchały przed nim jak rozwiane przez wiatr liście.

- Poziomuję - oznajmiła pilotka.

Ustawiła pojazd pod małym kątem, jak samolot podchodzący do lądowania. Światła dwóch szperaczy ROV-a padło na brązowozieloną roślinność na dnie, która wyglądała jak liście szpinaku falujące na wietrze. Nie było ani śladu batysfery.

- Zaczynj poszukiwania równoległymi odcinkami o długości trzydziestu metrów - polecił Austin.

ROV płynął jakieś sześć metrów nad roślinnością. Pokonał trzydziestometrowy odcinek, zawrócił i ruszył w przeciwną stronę w odległości czterech metrów od pierwszej trasy. Jego prędkościomierz wskazywał pięć węzłów.

Austin na przemian zaciskał i rozwierał pięści, zniecierpliwiony powolnym tempem. Inni członkowie załogi zebrali się wokół ekranu, ale żaden się nie odzywał. Kurt tak się skoncentrował na obrazie na monitorze, że czuł się, jakby płynął na ROV-ie.

Minęło pięć minut.

Pojazd kursował metodycznie tam i z powrotem jak kosiarka do trawy. Obraz przekazywany przez jego elektroniczne oko był wciąż taki sam - monotonna brązowozielona powierzchnia.

- Zaczekaj. - Austin coś zobaczył. - Skręć w lewo.

Płynnym ruchem dżojstika pilotka obróciła ROV-a prostopadle do poprzedniego kursu. Dwa szperacze oświetliły muł rozbryzgany wokół dołu. Z dziury wystawała kopała pokryta szlamem. Teraz Austin zrozumiał, dlaczego B3 się nie wynurzyła; jej pływaki były zagrzebane w mule. Poprosił pilotkę, żeby usunęła szlam

z batysfery. Pędniki ROV-a wzbily do góry gęstą brązową chmurę, ale mułu prawie nie ubyło.

Pilotka posadziła pojazd na dnie i wycelowała reflektory w B3. Austin ocenił sytuację okiem fachowca.

Zastanawiał się, jak uwolnić batysferę z uścisku morza, gdy z prawej strony monitora pojawił się cień. Coś się przemieszczało. Po chwili przestało być widoczne.

- Co to było? - spytała pilotka.

Zanim Austin zdążył odpowiedzieć, obraz zniknął z ekranu.

8

Zawała leżał na boku z prawą ręką uwięzioną pod kością biodrową, a lewą przyciśniętą do piersi. Jakiś ciężar przygniatał mu nogi. Ignorując ból za uchem, podniósł głowę i zobaczył Kane'a rozciągniętego na brzuchu w poprzek jego kolan.

W słabym świetle lampy zasilanej z akumulatora dostrzegł, że w całej kabinie walają się papiery, ubrania, butelki wody, poduszki do siedzenia i inne luźne przedmioty. Sięgnął po swoją słuchawkę z mikrofonem i przyłożył ją do ucha. Cisza. Sprawdził słuchawkę Kane'a. Nic, nawet śladu zakłóceń.

Utrata łączności nie wróżyła niczego dobrego, ale wrodzony optymizm Zawali nie pozwalał mu się poddać. Mógł poruszać jedną nogą, oswobodził ją więc i stopą zepchnął Kane'a z drugiej. Max przetoczył się na plecy i jęknął cicho.

Wysilek przyprawił Joego o mdłości. Sięgnął po apteczkę na ścianie, otworzył odpowiednią ampulkę i powąchał zawartość. Drażniący zapach przywrócił mu jasność umysłu.

Zdjął szczęśliwą czapkę i ostrożnie pomacał czaszkę. Koniuszkami palców natrafił na guza, który był duży jak kurze jajo. Wodą z manierki zwilżył bandaż i przyłożył do głowy. Nawet tak słaby ucisk zwiększył ból, ale po chwili pulsowanie ustało.

Zavala zajął się Kane'em. Wetknął mu pod głowę poduszkę do siedzenia, zdjął jarmułkę i przyłożył kompres. Kane skrzywił się i otworzył szeroko oczy.

- Auu! - jęknął. Dobry znak.

Zavala zmniejszył ucisk.

- Przepraszam, Doc, ale Florence Nightingale nie mogła się zjawić, więc jesteś zdany na mnie. Spróbuj poruszyć palcami rąk i nóg.

Kane zrobił to, a potem zgiął nogi w kolanach i aż się skrzywił z bólu.

- Boli jak diabli, ale chyba nic sobie nie złamałem.

Zavala pomógł mu usiąść i podał manierkę. Gdy Kane wypił parę łyków, spytał:

- Co pamiętasz, Doc?

Kane zastanawiał się chwilę.

- Wyglądałem przez bulaj i przekazywałem moje obserwacje. - Zerknął na swoją słuchawkę z mikrofonem.

- Nie fatyguj się - powiedział Zavala. - Nie działają. Kane zbladł.

- Nie mamy łączności z powierzchnią?

- Chwilowo... Mów dalej. Kane wziął głęboki oddech.

- Zobaczyliśmy jakąś dużą, dziwaczną rybę. Następne, co pamiętam, to lot na Księżyc. A potem już nic. A ty?

Zavala wskazał kciukiem w górę.

- To samo. Poszybowałem w powietrze i wałęnałem w dach. Wyciągnąłem rękę, żeby zamortyzować uderzenie, ale tylko zablokowało mnie ramię. Na szczęście mam twardą głowę.

- Sądząc po dźwiękach, lina ślizgała się na bębnie wciągarki.

Zavala milczał.

- Nie rozumiem tego - odezwał się Kane. - Dlaczego jeszcze nie wciągnęli nas na górę? - Zauważył, że batysfera jest całkowicie nieruchoma. - Stoimy w miejscu, Joe. Co się stało?

Zavala westchnął.

- Zdaje się, że siedzimy na dnie, Doc.

Kane spojrział na pulpit sterowniczy i zobaczył, że systemy są zasilane z akumulatorów.

- Gdybyśmy nadal byli połączeni ze statkiem, mielibyśmy energię z powierzchni. O cholera! Lina musiała pęknąć.

- To w zasadzie niemożliwe. Musiała być inna przyczyna awarii. Utrzymujemy kontakt przez linę długości prawie kilometra. Pamiętasz, jak Beebe porównał batysferę do ziarnka grochu na pajęczynie? Żaden system stworzony przez człowieka nie jest niezawodny, ale B3 to nie „Titanic”. Nawet jeśli nie jesteśmy połączeni z powierzchnią, mamy inne możliwości.

- No jasne! - Kane się rozpromienił. - Twój system pływaków. Zawała zdołał się uśmiechnąć.

- Co ty na to, żebyśmy wpadli do baru „Beebe'a” i przyrządzili sobie margaritę?

- Na co czekamy? - Kane ożywił się jak skazaniec, którego ułaskawiono w ostatniej chwili.

Zawała odczepił od ściany nylonowy worek i poprosił Kane'a, żeby posprzątał kabinę. Konkretnie zajęcie powinno podnieść go na duchu.

- Zbiorniki sprężonego powietrza znajdują się w środkowej części platformy - wyjaśnił. - Po wciśnięciu włącznika otworzą się pokrywy płóz, sprężone powietrze wypełni pływaki i uniesiemy się na powierzchnię, gdzie statek będzie mógł nas przechwycić.

Kane zatarł ręce.

- Margaritaville, nadchodzimy.

Zawała przysunął się do pulpitu sterowniczego.

- Zabawne - rzekł. - Zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby dotrzeć na dno morza, a gdy w końcu się tu znaleźliśmy, chcemy wracać do domu.

- Podyskutujemy o filozoficznych implikacjach na pokładzie „Beebe'a” - odparł Kane. - Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie rozprostuję nogi.

Zawała sięgnął do plastikowej puszkii na ścianie obok pulpitu sterowniczego. Otworzył ją, odsłaniając czerwony przycisk ze strzałką skierowaną w górę.

- To dwuetapowy proces - tłumaczył. - Ten włącznik uzbraja system, a identyczny przycisk na pulpicie sterowniczym go uruchamia. Na mój sygnał wciśniesz włącznik i ja zrobię to samo z moim. Potem czekaj. System zadziała po dziesięciu sekundach.

Kane położył palec na przycisku, który wskazał Zavała.

- Gotów - oznajmił.

- Teraz - polecił Joe.

Przetestował system ratunkowy w basenie, więc był przygotowany na stłumiony huk i świst, ale po dziesięciu sekundach nic się nie stało. Kazał Kane'owi spróbować jeszcze raz. Znowu nic. Sprawdził wskazania wyświetlacza, który powinien sygnalizować awarię, lecz wszystko było w porządku.

- Dlaczego to nie działa? - spytał Kane.

- Coś musiało się uszkodzić, kiedy uderzyliśmy w dno - odparł Zavała. - Ale bez obaw, zaprogramowałem system rezerwowy.

Stuknął w klawiaturę, żeby przekierować sygnał i polecił Kane'owi spróbować jeszcze raz. Znowu się nie udało. Musieli przejść na ręczne sterowanie. Zavała podniósł plastikową osłonę innego panelu i zacisnął palce na uchwycie połączonym z liną. Wyjaśnił Maxowi, że pociągnięcie wytworzy słaby prąd elektryczny, który uruchomi mechanizm napęniający pływaki.

Zacisnął zęby i szarpnął. Nic. Pociągnął uchwyt jeszcze kilka razy, ale bez rezultatu. Ręczny aktywator nie działał.

Kane obserwował bezowocne wysiłki Joego z rosnącym zaniepokojeniem.

- Co jest nie tak? - spytał.

Zavała puścił uchwyt, odtworzył w myślach konstrukcję systemu i spojrzał na bulaj.

Włączył szperacz, ale reflektor się nie uruchomił. Przysunął się do szyby, wziął latarkę z półki na ścianie, zapalił, poświecił przez bulaj i osłonił oczy przed refleksami światła.

- Zobacz - powiedział, podając latarkę Kane'owi. Max wyjrzał przez bulaj.

- Cholera, na szybach jest czarny muł.

- Wbiliśmy się w dno. System jest w porządku, ale szlam blokuje pokrywy pływaków.

Kane milczał dłuższą chwilę. W końcu odezwał się prawie szeptem:

- Już po nas, prawda?

Zavala chwycił go za nadgarstek.

- Uspokój się, Doc - odezwał się beznamiętnym tonem. Ich spojrzenia spotkały się na moment.

- Przepraszam, Joe - odrzekł Kane. - Masz rację. Zavala rozluźnił chwyt.

- Nie myśl, że się nie przejmuję. Jesteśmy w trudnej sytuacji, ale nie beznadziejnej. Załoga „Beebe'a” wie, że coś się stało, a przecież znają naszą pozycję.

- Co z tego, skoro lina pękła? Jak nas wyciągną?

- Kurt na pewno coś wymyśli. Kane parsknął.

- Austin jest wspaniałym facetem, ale nie cudotwórcą. Zavala pomyślał o niezliczonych sytuacjach, kiedy odwaga i pomysłowość Austina uratowały ich od katastrofy.

- Pracuję z Kurtem od lat i zapewniam cię, że niewiele mu brakuje do cudotwórcy - powiedział. - Jeśli ktokolwiek może nas stąd wydostać, to właśnie on. Mamy zapas powietrza na ponad trzy godziny i dość energii elektrycznej, żeby mieć światło i ogrzewanie. Naszymi największymi problemami będą nuda i brak *el bano*.

- Podniósł plastikowy worek. - To nasza toaleta. A że los nas połączył, chyba powinniśmy wiedzieć o sobie więcej. Opowiedz mi o swojej pracy.

Kane rozpromienił się i jakby zapomniał o klaustrofobicznym otoczeniu.

- Moja specjalność to typ *Cnidaria*, do którego należy gromada nazywana powszechnie meduzami - zaczął. - Niewiele osób uważa je za interesujące.

- Ja tak - zapewnił Zavala. - Kiedyś zawarłem bliższą znajomość z żeglarzem portugalskim. Spotkanie było niesamowicie bolesne.

- Żeglarz portugalski to nie prawdziwa meduza, ale kolonia różnych organizmów żyjących w symbiozie. Ma w mackach tysiące nematocyst, czyli parzydełek, i osiąga długość do dwudziestu metrów. Ale wielkość to nie wszystko. Miałeś szczęście, że nie spotkałeś małej osy morskiej. Po ukąszeniu przez to stworzenie mógłbyś wylądować w kostnicy.

- Wtedy nie uważałem się za szczęściarza - stwierdził Zavala, który wciąż pamiętał piekący ból. - Czego dotyczą twoje badania?

- Moje laboratorium koncentruje się na biomedycynie morskiej. Uważamy, że oceany będą w przyszłości najważniejszym źródłem związków farmaceutycznych.

- Jak amazońskie lasy deszczowe?

- Zainteresowanie Amazonią jest duże, ale naszym zdaniem w oceanie można znaleźć o wiele więcej niż w dżungli.

- Meduzy zamiast jaguarów?

- Między lądem i morzem jest więcej podobieństw niż różnic. Weźmy choćby kurarę. Amazońscy Indianie używali tej trucizny jako środka paraliżującego w grotach swoich strzał, ale ma ona także właściwości rozluźniające mięśnie i jest przydatna w medycynie.

- I podobny potencjał dostrzegasz w meduzach?

- Nie tylko. Także w kalmarach, ośmiornicach i ślimakach: pozornie prostych stworzeniach ze skomplikowanymi systemami odżywiania się i obrony.

- Nad czym pracowałeś na Pacyfiku?

- Nad projektem, który może dotyczyć wszystkich ludzi na świecie.

- Teraz naprawdę mnie zaintrygowałeś. Powiedz coś więcej.

- Nie mogę - odparł Kane. - To ściśle tajne. Już i tak powiedziałem za dużo. Gdybym zdradził coś jeszcze, musiałbym cię zabić.

Uświadomiwszy sobie absurdalność tej groźby w ich położeniu, zaczął chichotać. Zavala stłumił śmiech.

- Śmiejąc się, zużywamy za dużo tlenu - wyjaśnił.

Kane natychmiast spoważniał.

- Naprawdę myślisz, że Austin nas uratuje? - spytał.
- Jeszcze nigdy nie zawiódł.

Kane przesunął dłonią wzdłuż ust, jakby zamykał je na suwak.

- Więc charakter naszej pracy musi pozostać tajemnicą na wy padek, gdybyśmy wydostali się z tej cholernej stalowej kuli.

Zavala roześmiał się cicho.

- Domyślam się, że to koniec twojej przygody ze światem Bee be'a - powiedział.

Kane tylko się uśmiechnął.

- Twoja kolej, Joe - rzucił. - Opowiedz mi, jak trafiłeś do NUMA.

- Admirał Sandecker zatrudnił mnie, gdy tylko skończyłem studia. Potrzebował dobrego mechanika.

Zavala jak zwykle był skromny. Pochodził z rodziny meksykańskich imigrantów i uzyskał dyplom inżyniera w Nowojorskiej Wyższej Szkole Morskiej. Miał niesamowitą smykałkę do mechaniki. Znał się na wszystkich rodzajach napędu i potrafił naprawić, zmodyfikować bądź wyremontować każdy silnik: samochodowy, okrętowy czy lotniczy; parowy, dieslowski i elektryczny.

Sandecker usłyszał od kogoś o zdolnym studencie i zwerbował go, zanim ten otrzymał dyplom. Zavala był czołowym konstruktorem załogowych i bezzałogowych pojazdów podwodnych NUMA, a także utalentowanym pilotem.

- Mówisz, jakby NUMA zatrudniła cię do wymiany opon w samochodach służbowych - zauważył Kane i rozejrzał się po wnętrzu batysfery. - Już byśmy nie żyli, gdybyś nie zmodyfikował B3.

Zavala wzruszył ramionami. Mimo zapewnień, że zostaną uratowani, wiedział, iż będzie to poważny problem. Oszczędzanie tlenu tylko odwlekało nieuniknione. Spojrzał na wyświetlacz: mieli zapas powietrza na niewiele ponad dwie godziny. Zamknął oczy i starał się nie myśleć o tym, że tlenu ubywa z minuty na minutę.

9

Austin obserwował z zaciśniętymi ustami, jak ociekający wodą kabel wylania się z oceanu bez ładunku. Przeklął szpetnie stratę pojazdu i wywołał kapitana na mostku.

- Kabel ROV-a został przecięty jak lina batysfery - powiedział. - Wygląda to tak, jakby ktoś użył sekatora.

- To jakiś obłąd! - wykrzyknął wzburzony Gannon. Po chwili opanował się i spytał: - Mam wysłać następnego ROV-a?

- Na razie się wstrzymaj - odparł Austin. - Potrzebuję kilku minut do namysłu.

Wpatrzył się w falującą powierzchnię morza. Próbował zapomnieć o dwóch mężczyznach zamkniętych w stalowej kuli prawie kilometr pod kadłubem statku i skoncentrować się na technicznych możliwościach wydobywania batysfery. Zaczął układać plan i kompletować w myślach sprzęt potrzebny do jego realizacji.

Znow wywołał kapitana.

- Mam pomysł, ale będę potrzebował twojej pomocy.

- Dostaniesz, co będziesz chciał, Kurt.

- Dzięki, kapitanie. Spotkamy się w warsztacie.

Pomieszczenie techniczne pod głównym pokładem „Beebe'a”

odgrywało decydującą rolę w jego operacjach. Statek badawczy jest właściwie platformą, która umożliwia naukowcom sondowanie głębin za pomocą odpowiednich przyrządów lub pojazdów podwodnych, stale atakowaną przez potężne żywioły. Warsztat utrzymywał „Beebe'a” na chodzie dzięki zaledwie trzem mechanikom wyposażonym w narzędzia do cięcia, wiercenia, szlifowania, formowania, frezowania i zgniatania.

Austin zlecał im dotychczas zadania związane z wodowaniem batysfery. Jako szef projektu utrzymywał bliski kontakt z szefem mechaników, zwalistym, podobnym do trolla mężczyzną imieniem Hank, który zwykł kończyć każdą pracę słowami: „ujdzie w tłoku”.

Hank, który już wiedział o zatonięciu B3, przywitał Austina ponurą miną.

- Jak mogę pomóc, Kurt? - spytał.

Austin rozłożył na stole schemat batysfery i wskazał metalowy krętlik w kształcie podkowy, który łączył linę z wierzchem kuli.

- Muszę zaczepić ją tutaj. - Narysował hak przymocowany do końca liny. - Dasz radę zmontować to w niecałą godzinę?

- Zajmie mi to maksymalnie czterdzieści pięć minut - odparł Hank. - Mam zapasowy hak. Ale szczerze mówiąc, nie mogę obiecać, że wytrzyma ciągnięcie przez prawie kilometr.

- Chodzi mi tylko o pierwsze kilka metrów - powiedział Austin. - Kiedy B3 wydostanie się z mułu, będzie można uruchomić system pływaków.

- Przyczepienie haka do krętlika będzie trudne na tej głębokości - wtrącił Gannon. - Odległość między krętlikiem a wierzchem B3 wynosi tylko kilka centymetrów. - Połączył kciuk i palec wskazujący. - To będzie jak próba zahaczenia czegoś tej wielkości z wysokości niemal kilometra. Moim zdaniem prawie niewykonalne.

- Z wysokości kilometra nie - odparł Austin - ale ja nie zamierzam robić tego z powierzchni.

- A jak?... - Kapitan zastanawiał się chwilę. - Bąbel?

- Czemu nie? Przetestowano go na głębokości ponad tysiąca pięciuset metrów.

- Ale...

- Porozmawiajmy o tym w boksie kontrolnym - zaproponował Austin.

W sześciometrowym boksie kontrolnym atmosferycznego skafandra nurka, sąsiadującym z hangarem, w którym trzymano pojazdy podwodne i inny sprzęt głębinowy, znajdowała się konsola oddzielona od urządzeń sterowniczych dla pojazdów podwodnych i warsztat, gdzie stał Bąbel.

Austin i Gannon zatrzymali się przed antropomorficzną metalową postacią z obrzmiałymi kończynami, która przypominała figurkę Michelina. Przezroczysta kopuła w miejscu głowy wyglądała jak automat do sprzedaży gumy do żucia.

ADS-y, czyli atmosferyczne skafandry, zaliczano do antropomorficznych pojazdów podwodnych. Nurek mógł się w ADS-ie zanurzać na dużą głębokość bez obawy przed zabójczym ciśnieniem i bez potrzeby dekompresji. System podtrzymywania życia zamontowany z tyłu aluminiowego korpusu nazywanego kadłubem działał przez sześć do ośmiu godzin, a w sytuacjach awaryjnych nawet dłużej.

Bąbel, eksperymentalny ADS należący do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, zastąpił sztywny skafander Hardsuit 2000 przeznaczony do ratowania załóg okrętów podwodnych. Znalazł się na statku badawczym dzięki uprzejmości jego właściciela i miał zostać przekazany marynarce wojennej po zakończeniu ekspedycji B3.

Kapitan Gannon oparł ręce na biodrach i pokręcił energicznie głową.

- Nie mogę ci na to pozwolić, Kurt - powiedział. - Bąbel to dopiero prototyp. Nie został wypróbowany w rzeczywistych warunkach. I o ile wiem, maksymalna głębokość jego zanurzenia to siedemset sześćdziesiąt dwa metry.

- Joe powiedziałby ci, że każdy inżynier z prawdziwego zdarzenia uwzględni bardzo duży margines bezpieczeństwa - odparł Austin. - Podczas zanurzeń testowych hardsuit 2000 osiągał tysiąc metrów.

- No właśnie, to były zanurzenia testowe, nie operacyjne.

Austin utkwił w kapitanie spojrzenie koralowoniebieskich oczu.

- Zawała i Kane zamarzną na śmierć albo umrą z braku tlenu, jeśli czegoś nie zrobimy.

- Do cholery, Kurt, wiem o tym! Po prostu nie chcę, żeby jeszcze ktoś niepotrzebnie zginął.

Austin uświadomił sobie, że zagrał za ostro, i się wycofał.

- Ja też nie - rzekł. - Mam więc następującą propozycję: ty przygotujesz Bąbla do nurkowania, a ja zasięgnę opinii marynarki wojennej o limicie jego zanurzenia i zastosuję się do tego, co mi powiedzą.

Gannon już dawno się przekonał, że w sytuacjach kryzysowych Austin jest niepowstrzymany jak wschodni wiatr.

- A co mi tam - mruknął z krzywym uśmiechem. - Przyszykuję ci go.

Kurt pokazał mu uniesiony kciuk i pobiegł na mostek, gdzie połączył się przez telefon satelitarny z Jednostką Zanurzeń Głębinowych Marynarki Wojennej w Kalifornii. Słuchał z rosnącym zniecierpliwieniem nagranych informacji i rozmawiał z paroma osobami, zanim wreszcie dotarł do młodszego oficera z Sekcji Obsługi Technicznej Systemów Zanurzeniowych. Wyłożył mu szybko, w czym rzecz.

Oficer gwizdnął cicho.

- Współczuję, że ma pan taki problem - powiedział - ale ja nie mogę dać pozwolenia na użycie hardsuita. Decyzję musi podjąć ktoś na górze. Przełączę pana.

- Poradzę sobie z szarżą - odparł Austin z ledwo skrywaną irytacją. - Chcę tylko wiedzieć, czy w hardsuicie można zejść na głębokość prawie kilometra.

- Właśnie to miały wykazać testy - rzekł oficer. - Słabymi punktami ADS-ów zawsze były przeguby. Te są nowej konstrukcji i teoretycznie hardsuit może się zanurzyć nawet na tysiąc pięćset metrów. Ale wystarczy najdrobniejsza wada, żeby doszło do tragedii.

Austin podziękował oficerowi i zapewnił, że uzgodni ewentualne użycie hardsuita z jego przełożonymi, choć nie wspomniał, kiedy to zrobi. Miał nadzieję, że będzie nieosiągalny, gdy biurokracja marynarki zareaguje.

Już podczas rozmowy coś mu się przypomniało. Wrócił do hangaru pojazdów podwodnych. Kobieta, która wcześniej prowadziła ROV-a, nadal siedziała na swoim stanowisku. Poprosił ją, żeby puściła mu ostatnią minutę nagrania wideo. Kliknęła myszką i na ekranie ukazało się morskie dno. Austin uważnie obserwował, jak ROV szybuje niczym ptak nad falującą roślinnością. Kamera pojazdu zarejestrowała rozbryzg mułu po uderzeniu B3, a potem samą batysferę wystającą z dołu.

- Zastopuj obraz tutaj. - Austin wskazał ciemny obszar w lewym górnym rogu monitora. - A teraz daj to w zwolnionym tempie.

Jakiś cień przesunął się przez ekran. Operatorka ROV-a pokręciła głową.

- Nie pamiętam tego - przyznała.

- Łatwo było to przeoczyć - odrzekł Austin. - Wszyscy koncentrowaliśmy się na szukaniu batysfery.

Skrzyżowała ręce na piersi i wpatrywała się w podłużny kształt, ledwo widoczny na krawędzi snopa światła szperacza.

- To mogłaby być ryba albo wieloryb - stwierdziła po dłuższej chwili - ale coś mi tu nie pasuje.

Austin poprosił, żeby powiększyła obraz. Rozmył się, kiedy to zrobiła, ale Kurt dostrzegł, że cień ma kształt podobny do płaszczki. Polecił jej wydrukować obraz z monitora i odtworzyć ostatni przekaz z batysfery.

Zrobiła wydruk, a potem zmniejszyła cień i przeniosła go w prawy górny róg ekranu, który pokazywał teraz Kane'a. Opisywał z podnieceniem świecące ryby wokół batysfery, ale nagle urwał i przycisnął twarz do bulaja.

- Hej, co to było? - zapytał.

Aktywowana głosem kamera skierowała się na Zawalę.

- Zobaczyłeś rusałkę, Doc? Znów ujęcie Kane'a.

- Nie, ale na pewno coś dużego.

Kurt chwycił wydruk i poszedł na pokład rufowy. Podwójne drzwi hangaru były szeroko otwarte, bo przetaczano stamtąd hard-suita pod żuraw, który miał go unieść z pokładu.

Austin pokazał Gannonowi wydruk.

- Ten obiekt kręcił się wokół B3, kiedy jej lina i kabel ROV-a zostały przecięte - powiedział.

Kapitan przyjrzał się dokładnie tajemniczemu obiektowi i pokręcił głową.

- Co to jest?

- Nie mam pojęcia - odparł Austin i zerknął na zegarek. - Wiem jednak, że w batysferze wkrótce zabraknie prądu i tlenu.

- Będziemy gotowi za kilka minut - powiedział Gannon. - Skontaktowałeś się z marynarką wojenną?

- Ich inżynier powiedział mi, że teoretycznie w Bąblu można zejść na tysiąc pięćset metrów.

- No, no! - Kapitan był pod wrażeniem. - Dostałeś zgodę na jego użycie?

Austin się uśmiechnął.

- Później to załatwię.

- Po co ja w ogóle pytam? - Gannon westchnął. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że robisz ze mnie współnika porwania własności marynarki wojennej?

- Więcej optymizmu, Mike. Może trafimy do jednej celi w więzieniu federalnym. Jak wygląda sytuacja?

- Hank i jego ludzie odwalili kawał dobrej roboty - odparł kapitan.

Austin obejrzał efekt i poklepał szefa mechaników po plecach.

- Ujdzie w tłoku - skwitował Hank.

Ucięty koniec liny batysfery przewleczono przez hak, spleciono jak klasyczny żeglarski szplajs i owinięto cienkim stalowym drutem. Austin podziękował pozostałym mechanikom i poprosił o umocowanie haka do ramy ADS-a.

Kiedy się tym zajmowali, pobiegł do swojej kabiny, żeby się przebrać. Zdjął szorty i T-shirt, włożył ciepłą bieliznę, sweter i grube skarpety, a na to roboczy kombinezon marynarski i wełnianą czapkę. Wprawdzie hardsuit miał ogrzewanie, ale temperatura w środku mogła spaść do czterech stopni Celsjusza, a na dużej głębokości jeszcze bardziej.

Wróciwszy na pokład, Kurt przedstawił plan akcji ratowniczej. Pomodlił się w duchu do bogów głupiego szczęścia, żeby sprzyjali jego poczynaniom, wspinał się po drabinie i opuścił do dolnej połowy hardsuita. Kiedy górna część skafandra została założona, sprawdził zasilanie, łączność i zapas powietrza, po czym dał rozkaz wodowania.

Żuraw uniósł hardsuita z pokładu i opuścił do wody. Dziesięć metrów pod powierzchnią Austin zarządził postój, żeby ponow-

nie skontrolować systemu. Choć wszystko działało bez zarzutu, uświadomił sobie, że ustanowienie rekordu zanurzenia, wynoszącego sześćset dziewięć metrów, wymagało lat przygotowań i udziału licznych specjalistów. W niczym nie przypominało jego szaleńczej wyprawy na dno.

Cyfrowy wyświetlacz czasu w hełmie hardsuita wskazywał, że w batysferze pozostało tlenu na niecałą godzinę.

Kurt sięgnął łapą manipulatora do haka i odczepił go od ramy. Upewniwszy się, że hak mocno tkwi w zacisku, kazał opuścić się na dno morza.

Wciągarki lin skafandra i haka pracowały jednocześnie podczas drogi w dół, a pęcherze powietrza towarzyszące szybkiemu opadaniu przesłaniały widok. Cyfrowy zegar odliczał minuty, Austin zaś obserwował głębokościomierz.

Gdy zszedł poniżej sześciuset metrów, przemknęło mu przez myśl, że właśnie pobił rekord, ale się nie zastanawiał, czy są to granice możliwości hardsuita. Na osiemset pięćdziesiątym trzecim metrze, nadal bez zauważalnych problemów, poczuł zmianę prędkości zanurzania.

Z interkomu dobiegł głos Gannona:

- Spowalniamy cię, Kurt, żebyś nie zrobił dziury w dnie.
- Doceniam to. Zastopujcie mnie na tysiącu metrów. Wkrótce wciągarka się zatrzymała.

Pęcherze powietrza otaczające kopułę wokół jego głowy zniknęły. Włączył reflektory, które byłyby bezużyteczne w drodze na dół. Snopy jasnożółtego światła podkreślały czerń tak głęboką, że nie sposób opisać jej słowami.

Wszystkie systemy działały, przeguby nadal były szczelne. Austin poprosił, żeby nieco poluzować linę, i po niespełna minucie znalazł się piętnaście metrów nad dnem.

- Odtąd jesteś zdany na siebie - powiedział kapitan. - Popuścimy linę, kiedy się ruszysz.

Rozproszone skupiska i punkciki fosforescencji były widoczne poza zasięgiem szperaczy, świecące ryby podpływały do szyby hełmu.

Austin nacisnął pedał pod lewą stopą i dwa pionowe pędniki zawarczały, unosząc go o metr. Prawą stopą uruchomił pędniki poziome i przesunął się kawałek naprzód.

Spróbował poruszyć rękami i nogami i przekonał się, że mimo ogromnego ciśnienia wody szesnaście dobrze nasmarowanych przegubów skafandra zapewnią zdumiewającą swobodę ruchów.

Włączył zoom w kamerze hardsuita i zrobił najazd na żabnicę zwabioną światłem.

- Obraz dociera do nas - zameldował kapitan. - Dobra rozdzielczość.

- Zobaczę, czy uda mi się znaleźć coś do albumu rodzinnego. Startuję.

Austin poprowadził skafander poziomo, ale w lekkim przechyle.

Trzystukilogramowy ADS przestał być niezgrabny, sunął przez wodę jak na skrzydłach. Kurt koncentrował się na małym ekranie sonaru emitującym jasnożółtą poświatę. Urządzenie miało zasięg piętnastu metrów po obu stronach skafandra, śledziło więc pas dna o szerokości trzydziestu metrów. Jednocześnie rejestrowało pozycję, kierunek, prędkość i głębokość hardsuita.

Ciemny obiekt pojawił się na wyświetlaczu mniej więcej osiem metrów na prawo i w dół.

Austin skręcił ostro w tamtą stronę i opadł niżej. Blask reflektorów odbił się w lśniącej powierzchni ROV-a. Pojazd leżał spodem do góry niczym martwy żuk.

Gannon też go zobaczył.

- Dzięki za znalezienie naszego ROV-a - powiedział przez komunikator.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Austin. - B3 powinna być o rzut beretem stąd.

Rozszerzył zasięg poszukiwań i obrócił się wolno. Sonar namierzył drugi obiekt. Austin za bardzo przyspieszył, minął batysferę i musiał zawrócić.

Zawisnął jakieś sześć metrów nad B3. Chociaż temperatura w hardsuicie spadła, pot perlił mu się na czole. Zdawał sobie spra-

wę, jak trudne zadanie czeka go w tym nieprzyjaznym środowisku. Wiedział, że najmniejsza pomyłka może być fatalna w skutkach. Wziął głęboki oddech, nacisnął pedał ruchu w pionie i zaczął się opuszczać na batysferę zagrzebaną w mule.

10

B3 szybko stawała się kulistą lodówką, chociaż jej akumulatorowy system ogrzewania dzielnie walczył z chłodem w głębi oceanu. Joe Zavala i Max Kane otulili się kocami niczym Indianie Nawaho i usiedli plecami do siebie, żeby oszczędzać ciepło. Obaj milczeli, bo nie byli w stanie poruszać zdrętwiałymi z zimna wargami, i z trudem wciągali do płuc tlen z szybko rozrzedzającego się powietrza.

Zavala najbardziej bał się chwili, kiedy zabraknie energii elektrycznej. Nie chciał umierać w ciemności. W batysferze był rezerwowy zbiornik powietrza, ale Joe wahał się, czy go uruchomić. Może lepiej nie przedłużać tej męki. Jednocześnie walczył z chęcią poddania się i przywoływał z pamięci widoki gór wokół Santa Fe. Przymknął oczy i wyobraził sobie, że odpoczywa po zimowej wspinacze, a nie jest uwięziony w stalowej kuli na dnie morza.

Łup!

Coś uderzyło w batysferę. Zavala przycisnął ucho do ściany, ignorując zimno, które przenikało przez stalowe poszycie. Usłyszał zgrzyt, po nim drugi łomot, a potem kilka uderzeń.

Uświadomił sobie, że to alfabet Morse'a, litera „k”.

Po potwornie długiej przerwie rozległo się „a”.

„Kurt Austin”.

Kane, który siedział ze zwieszoną głową, podniósł ją i zerknął w kierunku Zavali.

- Co to było? - zapytał bełkotliwie.

Joe rozciągnął spękane wargi w słabym uśmiechu.

- Przybyła odsiecz.

Austin rozpląszczył się na batysferze jak pajak i chwytakiem manipulatora wystukiwał litery. Kształt skafandra głębinowego sprawia, że jest on podatny na działanie prądów morskich, więc wir przydenny mógł w każdej chwili zepchnąć Kurta z kuli. Przyczepił do niej hak i zacisnąwszy łapę manipulatora na linie, żeby nie odpłynąć, skierował pędniki skafandra w dół, na szlam wokół sfery.

Nacisnął pedał i otoczyła go oślepiająca chmura poderwanego do góry mułu, który po chwili osiadł. Zgasił szperacze hardsuita. Słaby blask wydostający się przez bulaje B3 wskazywał, że systemy jeszcze funkcjonują. Austin zamrugał reflektorami skafandra, żeby zwrócić na siebie uwagę Zawali.

Joe zobaczył błyski i ocknął się z letargu spowodowanego zimnem.

Kane też zauważył sygnały świetlne.

- Co robimy? - spytał.

Zawała aż palił się do działania - jakiegokolwiek, byle wykaraskać się z tarapatów - ale wiedział, że muszą być cierpliwi.

- Czekamy - odrzekł.

Austin zaczął wystukiwać kolejną wiadomość na poszyciu batysfery, ale zdążył nadać tylko kilka liter, zanim porwał go prąd i oddalił od kuli. Opanował sytuację i wrócił, żeby dokończyć tekst.

Kamera hardsuita rejestrowała jego wysiłki i transmitowała na statek.

- Co tam się dzieje? - zawołał Gannon. - Ekran najpierw pociemniał, a teraz obraz jest niewyraźny.

- Bądź w pogotowiu - polecił Austin i wystukał resztę wiadomości.

- Jestem - odparł kapitan.

Kurt tracił siły. Pot zalewał mu oczy i z trudem łapał powietrze, jak flądra wyrzucona na brzeg.

- Ciągnij! - krzyknął bez tchu do mikrofonu.

Zawała słuchał uważnie miarowych stuków docierających przez poszycie B3. Rozpoznał kilka pierwszych liter, a po przerwie resztę.

„Unieś się” - brzmiała wiadomość.

Cholera, Kurt, gdybym mógł, na pewno bym to zrobił.

Batysfera wciąż tkwiła w mule, a Zawałę ogarniały na zmianę gniew i zwątpienie. Może tylko wyobraża sobie to wszystko? Może akcja ratownicza rozgrywa się w jego umyśle?

Na dźwięk brzęczyka wrócił do rzeczywistości.

Czerwona kontrolka na pulpicie sterowniczym błyskała jak oszalała. Uświadomił sobie, że świeci się już od jakiegoś czasu, ale jego umysł pracował na zwolnionych obrotach, więc nie zdawał sobie sprawy, że to ostrzeżenie o kończącym się zapasie powietrza.

Sięgnął po rezerwowy zbiornik, z trudem zdjął go ze ściany i otworzył zawór.

Powietrze, które wypełniło z sykiem kabinę, otrzeźwiło go. Odchylił osłonę ręcznego włącznika systemu pływaków i czekał, aż coś się stanie.

Austin unosił się nad dnem z reflektorami hardsuita skierowanymi na górną część batysfery. Gdy prawie kilometr nad nim bęben wciągarki zaczął się obracać, lina się naprężyła, ale B3 nawet nie drgnęła. Przez głowę przemykały mu czarne myśli: hak zaraz się urwie i batysfera pozostanie uwięziona w mule; Zawała zapomni użyć pływaków albo system nie zadziała; obaj są nieprzytomni, co byłoby najgorsze ze wszystkiego.

- Lina ciasno opasuje bęben! - zawołał Gannon. - Czy coś się dzieje na drugim końcu?

Austin zobaczył, że lina się rozwija.

- Ciągnij! - krzyknął.

Zacisnął zęby, jakby chciał unieść B3 samą siłą woli. Batysfera tkwiła w miejscu. Lina rozwinęła się bardziej.

- Rusz się, do cholery! - wrzasnął Kurt.

Szlam zawirował wokół kuli. Uwolniła się wreszcie i wystrzeliła z mułu jak korek z butelki. Gęsta chmura szlamu przesłaniała ją przez chwilę, a potem B3 znalazła się w blasku szperaczy hardsuita.

Triumfalny okrzyk Austina zabrzmiał w głośnikach na statku.

Batysfera była trzy metry nad dnem, muł skapywał z jej boków. Gdy osiągnęła wysokość sześciu metrów, pływaki wciąż się nie wysuwały. Na co Joe czeka? A może szlam zablokował pokrywy?

Austin wznosił się równoległe z kulą, nie odrywając wzroku od liny i haka.

Kiedy puściła ostatnia żyła splotu, pokrywy w bokach batysfery otworzyły się gwałtownie i wyłoniło się sześć worków powietrznych. Napełniły się błyskawicznie. Kula zakołysała się, a potem ustabilizowała i ruszyła do góry.

Austin obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z widoku.

- Są w drodze - zawiadomił Gannona.

- Kolej na ciebie - rzekł kapitan. - W jakiej jesteś formie?

- Będę w dużo lepszej na powierzchni - odparł Austin. Ustawił pędniki tak, żeby przyjąć pozycję pionową, był więc

gotowy, gdy lina szarpnęła hardsuita. Skafander zaczął długą podróż na powierzchnię, Austin wyłączył reflektory, ale nie był sam.

Otaczały go świecące stworzenia morskie, nieruchome niczym gwiazdy. Czasami któreś się przesunęło jak światła samolotu na tle nocnego nieba. W pewnej chwili dostrzegł jakiś ruch na lewo od siebie. Blask, tuż na granicy jego widzenia, narastał. Austin spojrział w tamtą stronę. Zbliżało się do niego troje żarzących się oczu.

Natychmiast przypomniał sobie złowrogi cień, który kręcił się w pobliżu, kiedy lina B3 i kabel ROV-a zostały przecięte.

Światło szperaczy hardsuita odbiło się od gładkiej powierzchni czegoś w kształcie spłaszczonej kropli. Musiał to być jakiś pojazd podwodny, najprawdopodobniej zdalnie sterowany AUV, bo nie miał żadnego przewodu. Żarzące się „oczy” były zapewne sensorami. Ale uwagę Austina zwróciły ostre metalowe szczęki z przodu pojazdu.

Obiekt poruszał się szybko, mógł więc przeciąć linę, która łączyła hardsuita ze statkiem. Austin nacisnął pedał pędników pionowych. Hardsuit wystartował ostro ku powierzchni dopiero po sekundzie, ale to wystarczyło. Atakujący pojazd przeszedł pod nim i szczęki zacisnęły się na pustej wodzie.

Obiekt zatoczył szeroki łuk, wzbil się do poziomu skafandra i skierował na niego.

Gannon śledził spotkanie na monitorze.

- Co to było, do cholery?! - zawołał.

- Coś, co chce mnie pożreć na kolację! - odkrzyknął Austin. -
Ciągnij mocniej!

Sprytny AUV natychmiast skorygował strategię i prędkość. Zwolnił i teraz skradał się do celu jak drapieżnik do ofiary, której zachowania nie można przewidzieć.

Austin zaczekał, aż pojazd znajdzie się w odległości kilku metrów, i znów nacisnął pedał. Hardsuit poderwał się w górę, ale za wolno, by umknąć przed atakiem. Kurt uniósł ręce w obronnym geście, wyrzucił je do przodu i złączył. Odbił wystające manipulatory AUV-a i wymierzył chwytem cios w środkowe „oko” obiektu.

Uderzył głową w wewnętrzną powłokę pleksiglasowego hełmu. Impet odrzucił go i obrócił na linie. Ból przeszył mu lewe ramię, od nadgarstka w górę.

AUV wrócił na swój kurs, ale sunął powoli, zygzakując jak ogar szukający tropu. Zamarkował frontalny atak, po czym wzniósł się ku linie. Austin, jeszcze ogłuszony po wcześniejszym starciu, nie zdążył włączyć w porę pedników pionowych. Szczypce AUV-a dosięgły jego prawej ręki na wysokości łokcia i zacisnęły się wokół niego.

Kurt lewym manipulatorem chwycił siłownik szczęki i uruchomił napęd. Najpierw opadł, a potem wzbil się jak jo-jo. Siłowniki były przeznaczone do wykonywania ruchów poziomych, nie pionowych, więc ciężar pojazdu wygiął szczękę tak, że stała się bezużyteczna. Ostrze odłamało się u nasady. AUV zadygotał gwałtownie, wycofał się i zniknął w ciemności.

W słuchawkach Austina zabrzmiał głos kapitana:

- Kurt, jesteś cały? Odpowiedz, na litość boską!

- Wszystko gra - zdołał wychrypieć Austin. - Wyciągnij mnie.

- Już się robi - odrzekł Gannon z ulgą w głosie. - Jaką chcesz muzykę na czas jazdy do góry?

- Sam wybierz - odparł Austin, zanadto zmęczony, żeby myśleć o czymkolwiek.

Po chwili dotarły do niego przez słuchawki dźwięki walca Straussa i rozpoczął długą podróż powrotną.

Kiedy wznosił się ku powierzchni, zdał sobie sprawę, że w metalowym chwytaku wciąż ściska ostrze AUV-a niczym myśliwskie trofeum.

11

Tysiące mil morskich od „Williama Beebe'a” Lois Mitchell starała się zaprowadzić porządek w jadalni, do której Gordon Phelps zapędził personel podwodnego laboratorium. Ktoś zauważył nieobecność doktora Logana, a kiedy Lois powiedziała, że został zastrzelony, wybuchła panika.

Bezskutecznie próbowała przekrzyczeć kolegów, po czym ustawiła na ladzie kilka kubków i nalała do nich kawy z dzbanka. Ten prosty rytuał uspokoił zebranych. Kiedy się uciszeli, powiedziała z uśmiechem:

- Przepraszam, że to nie Starbucks Grande, ale na razie będzie musiała wystarczyć.

Ta próba rozweselenia kolegów wywołała gwałtowną reakcję młodej laborantki, której blada jak ściana twarz i załzawione oczy wskazywały, że jest bliska hysterii.

- Jak pani może żartować, wiedząc, że doktor Logan nie żyje?
- naskoczyła na Mitchell.

Lois z trudem powstrzymywała łzy.

- Doktor Logan leży w przejściu przed dyspozytornią z kulą w piersi - odparła. - Usiłował stawić opór i został zabity przez człowieka, który zamknął nas tutaj. Jeśli chce pani uniknąć takiego losu, proponuję, żeby wzięła pani kilka głębokich oddechów i się uspokoiła.

Drżącą ręką popchnęła kubek przez ladę. Laborantka zawahała się, ale w końcu sięgnęła po kawę i siorbnęła ją głośno. Lois zebrała wszystkich wokół dużego stołu i opisała im swoje spotkanie z Phelpsem oraz zabójstwo Logana. Biolog, który był najbliższym

przyjacielem zabitego, wstał i wziął nóż kuchenny z lady. Wyraził swoją wściekłość jednym słowem:

- Sukinsyn!

Lois popatrzyła na niego chłodno.

- Ma pan całkowitą rację - powiedziała. - Zabójca doktora Logana to ktoś nawet gorszy niż sukinsyn, to morderca, ale tu nie chodzi o jego moralność. Może go pan dźgnąć tym nożem, chociaż wątpię, żeby pan się na to zdobył, tylko co dalej? Phelps na pewno nie jest sam. Mamy do czynienia z bezwzględnymi ludźmi, którzy dysponują odpowiednimi środkami, by dostać się do silnie strzeżonego obiektu sto metrów pod powierzchnią morza. Nie wiem, jak się dowiedzieli o Schowku, kim są i co zamierzają, ale jesteśmy na ich łasce.

Biolog odłożył nóż i wrócił na miejsce.

- Słusznie - przyznał z rezygnacją. - Chciałbym tylko wiedzieć, czego oni chcą.

- Na pewno sami nam powiedzą - odrzekła Lois. - Na razie zjedzmy coś. Nie możemy opaść z sił. - Roześmiała się gorzko. - Mój Boże! Mówię jak bohaterka filmu katastroficznego, która apeluje do wszystkich o zachowanie spokoju po tym, jak transatlantyk przewrócił się dnem do góry albo samolot rozbił się w dżungli.

Jej słowa wywołały nerwowe uśmiechy. Kilka osób ruszyło do kuchni i wkrótce przynieśli tacę pełną kanapek z szynką, indykiem i masłem orzechowym z galaretką. Strach najwyraźniej zaostrzył naukowcom apetyt, bo pochłonęli wszystko jak ofiary głodu.

Sprząтали, gdy w jadalni rozległ się głośny szum. Wszyscy zamarli i zaczęli nasłuchiwać. Po chwili dźwięk ucichł i podłoga zadrżała jak podczas trzęsienia ziemi. Całe pomieszczenie się zakołysało.

Ci, którzy stali, starali się nie stracić równowagi. Rozległy się okrzyki przerażenia, ale ucichły, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka weszli dwaj uzbrojeni mężczyźni, a za nimi Phelps. Obaj mieli na sobie czarne skafandry nurków, jeszcze mokre od wody, i trzymali krótkolufowe pistolety maszynowe.

Phelps uśmiechnął się szeroko.

- Wygląda na to, że spóźniliśmy się na lunch - zauważył.

- Co się dzieje z laboratorium? - zapytała Lois, trzymając się krawędzi lady, żeby nie upaść.

- Zapomniała pani, że zapowiedziałem małą podróż? Jest przenoszone w nowe miejsce.

- To niemożliwe - zdołała wykrztusić.

- Wręcz przeciwnie, doktor Mitchell. Wystarczyło wziąć je na hol, że się tak wyrażę.

- A co z naszym okrętem wsparcia?

- Został wyłączony z akcji - odparł Phelps i zwrócił się do swoich ludzi: - Zabierzcie to towarzystwo do ich kwater.

Uzbrojeni mężczyźni odsunęli się na bok, żeby przepuścić naukowców.

- Dziękuję, że pozwolił pan mojemu personelowi wyjść - powiedziała Lois.

Chciała dołączyć do kolegów, ale Phelps ją zatrzymał. Zamknął drzwi, przysunął jej krzesło i poprosił, żeby usiadła. Sam opadł na drugie krzesło i oparł się wygodnie.

- Przeczytałem pani życiorys, doktor Mitchell. Robi wrażenie. Licencjat z biologii morskiej na Uniwersytecie Florydzkim, stopień magistra w Instytucie Nauk Morskich w Wirginii i doktorat z biotechnologii morskiej i biomedycyny w Scrippsie.

- To rozmowa kwalifikacyjna w sprawie pracy? - zapytała lodowato.

- Chyba można to tak nazwać - odrzekł Phelps. - Zajmuje się pani czymś, co interesuje moich szefów.

- To znaczy kogo?

- Wolą pozostać anonimowi. Niech pani wystarczy informacja, że są ludźmi, którzy mi płacą.

- Zapłacili panu za zabicie doktora Logana?

Phelps zmarszczył brwi.

- Tego nie było w planie, doktor Mitchell. To był po prostu wypadek.

- Pewnie taki sam jak porwanie laboratorium.

- Niech pani posłucha, doktor Mitchell. Może mnie pani nie lubić, zapewne nienawidzi mnie pani i nie dziwię się temu, ale będę

dzie lepiej i dla pani, i całego tutejszego personelu, jeśli spróbujemy się dogadać, bo tak czy inaczej będziemy współpracować.

- Co pan ma na myśli?

- Moi szefowie nie wyjaśnili mi dokładnie, czym zajmuje się pani w tym laboratorium, ale słyszałem, że ma to coś wspólnego z meduzami.

Lois nie widziała powodu, żeby to ukrywać.

- Zgadza się. Próbujemy wykorzystać pewien związek chemiczny znajdujący się w organizmach rzadkich gatunków meduz do stworzenia szczepionki przeciw wirusowi grypy, którego obawia się mnóstwo ludzi.

- Według moich szefów jesteście prawie na finiszu.

To tyle, jeśli chodzi o tajemnicę, pomyślała Lois.

- Owszem - potwierdziła. - Tylko dni dzielą nas od syntezy związku, na bazie którego powstaje szczepionka. Ale nie odpowiedział mi pan jeszcze na pytanie o naszą współpracę.

- Już wyjaśniam. Docieramy na nowe miejsce i kontynuujecie badania. Możecie się swobodnie poruszać po całym laboratorium, z wyjątkiem dyspozytorni. Regularnie składacie mi raporty o waszych wynikach, a ja przekazuję je moim szefom. Czy wszystko jasne, doktor Mitchell?

- A jeśli odmówimy?

- No cóż, nie zdołamy zmusić naukowców do pracy biciem. Zostawimy więc was pod wodą bez jedzenia i tlenu, dopóki nie zmienicie zdania. Zasady są proste: jeśli zastrajkujecie, umrzecie. Radzę więc dobrze przemyśleć ewentualną odmowę. To nie mój pomysł, ale tak ma być.

- Dziękuję za radę. Przekażę ją kolegom, kiedy tylko pozwoli mi pan do nich dołączyć.

Wstał i otworzył drzwi.

- Może pani już iść, jeśli pani chce.

Lois nie ruszyła się z miejsca.

- Jeszcze jedno pytanie. Co się stanie, gdy skończymy badania? Zabijecie nas czy zostawicie na dnie morza, żebyśmy tu umarli?

Phelps był twardym facetem i doświadczonym najemnikiem. Uważał swoją pracę za kontynuację profesji uprawianej od setek, może nawet tysięcy lat. Starszej niż prostytutka, jak często żartował. Miał swoiste poczucie honoru, które nie pozwoliłoby mu skrzywdzić kobiety, zwłaszcza tak atrakcyjnej jak Lois Mitchell. Odsunął od siebie niebezpieczne myśli. W jego branży nie było miejsca na emocje, ale obiecał sobie nie spuszczać Lois z oka.

- Wynajęto mnie do porwania tej sprytniej kryjówki i dopilnowania, żebyście dalej pracowali. W moim kontrakcie nie ma mowy o zabijaniu pani lub jej przyjaciół. Po wykonaniu zadania planuję zabrać was stąd i dostarczyć gdzieś w pobliże cywilizacji. Może pewnego dnia wpadniemy na siebie w jakimś barze w Paryżu lub Rzymie i uśmiejemy się z tej sprawy.

Lois nie życzyła sobie oglądać Phelpsa nigdy więcej. To jednak było jej największym zmartwieniem. Przede wszystkim nie miała pojęcia, czy on mówi prawdę. Zrobiło jej się słabo. Miała wrażenie, że się dusi. Skoncentrowała się na oddychaniu; wciągała powietrze aż do przepony i po chwili walenie serca zaczęło mijać. Uświadomiła sobie, że Phelps obserwuje ją uważnie.

- Wszystko w porządku, doktor Mitchell? - spytał.

Lois patrzyła przez chwilę w przestrzeń, porządkując rozbiegane myśli. Potem wstała z krzesła i oznajmiła:

- Chciałabym pójść do siebie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Skinął głową.

- Gdyby mnie pani potrzebowała, będę w dyspozycji.

Lois wyszła z jadalni. Nadal kręciło jej się w głowie i musiała iść na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi. Jakoś dotarła do swojej kwatery. Opadła na łóżko i naciągnęła kołdrę na głowę, jakby w ten sposób mogła się odgradzić od świata, w którym się znalazła. Po kilku minutach zapadła w niespokojny sen.

12

Kapitan Gannon spojrział przez okna sterowni na niespokojny ocean i zmarszczył brwi. Pogoda się pogorszyła, ciężkie szare chmury zasnuły niebo. Lekka bryza, która raniem przywitała statek, przeszła w porywisty wiatr. Woda przybrała ołowianą barwę, a na grzbietach fal pojawiły się pióropusze piany.

Statek badawczy mógł przetrwać najgorszy sztorm, ale wydobywanie batysfery i nurka w hardsuitach byłoby trudne nawet przy idealnej pogodzie.

Gannon wycofał „Beebe'a” z ostatniej znanej pozycji batysfery, aby zrobić jej miejsce do wynurzenia się. Lecz żuraw przy sterburcie wyciągał hardsuita, Austin zaś nie byłby zachwycony holowaniem go po oceanie, więc statek mógł się przemieścić tylko na niewielką odległość.

Jeśli ktoś wyjdzie z tego cała, pomyślał kapitan, to właśnie Kurt. Cholera, ten facet to istne perpetuum mobile!

Podczas prawie kilometrowego nurkowania na dno oceanu Austin był w stałym kontakcie ze statkiem; regularnie meldował, na jakiej jest głębokości, i przekazywał barwne opisy życia w morzu.

Członkowie załogi zebrali się przy relingu oraz na dziobie i rufowce. Na pochylnej rufowej pod ramą w kształcie litery A stał ponton Zodiac. Dwóch nurków w neoprenowych „mokrych” skafandrach czekało na sygnał do zwodowania.

Diesle dudniły w maszynowni, fale uderzały o kadłub, wzmagający się wiatr świstał w takielunku. Ale poza tym na statku panował upiorny bezruch.

Nagle rozległ się okrzyk obserwatora na mostku:

- Wynurzyła się!

Nie odrywając wzroku od nowo powstałej kipieli sto metrów na lewo, Gannon wydał rozkaz zwodowania pontonu.

Nurkowie zepchnęli zodiaka z pochylnej i weszli do środka. Gdy potężny silnik przyczepny ożył, łódź pneumatyczna okrążyła burtę

statku, ślizgając się po falach i ciągnąc za sobą linę ratunkową niczym ogon.

Zodiac zatrzymał się w pobliżu sześciu omywanych przez fale pomarańczowych stożków, które kołysały się na powierzchni. Linę opuszczono, jeden z nurków zsunął się z pontonu i zniknął pod powierzchnią.

Wszyscy na statku śledzili przebieg akcji. Kiedy nurek wyłonił się spod wody i wyrzucił pięść do góry, na pokładzie rozległy się głośnie wiwaty. B3 została przyczepiona. Wciągarki wydobyły batysferę na powierzchnię.

Ekipa ratownicza odcięła worki powietrzne i żuraw przeniósł ociekającą wodą kulę na pokład. Zaterkotał klucz pneumatyczny, odkręcono nakrętki na wypustach i pokrywa wjazdu została zdjęta.

Lekarka okrętowa, która zajrzała do środka, zobaczyła tylko stertę pogniecionych koców w otoczeniu luźnych sprzętów.

- Halo - powiedziała niepewnie.

Zawała odchylił róg koca, zamrugał oślepiiony światłem i się uśmiechnął.

- Cześć - odrzekł.

Austin był w drodze na powierzchnię, kiedy Gannon zawiadomił go, że batysfera jest z powrotem na pokładzie. Kurt zapytał o stan Joego i Doca.

- Widziałem śnięte węgorze, w których było więcej życia - od powiedział kapitan. - Ale nasza doktor mówi, że cierpią na zespół „-eni”: są odwodnieni, niedotlenieni i wykończeni.

Austin wydał jęk, który kapitan usłyszałby nawet bez światłowodów.

- Jesteś okropny.

Gannon zachichotał.

- Nic im nie będzie. Potrzebują tylko wody i odpoczynku. Po informowałem dziennikarzy, że wydobyć B3 zakończyło się sukcesem. Na razie bez żadnych szczegółów, ale ktoś z nich na pewno się zorientował, że mieliśmy problemy. Wcześniej czy później będę musiał wyjaśnić, co się stało. Wolę później... A co z tobą?

- Już nie mogę się doczekać, kiedy zdejmę ten blaszany garnitur, ale poza tym czuję się dobrze. Mam tylko jedną prośbę. Muzyka, którą mi puszczasz, usypia mnie. Nie masz czegoś żywszego?

Chwilę później Austin słuchał, jak Mick Jagger śpiewa *You Can't Always Get What You Want*.

Uśmiechnął się, zgadzając się ze słowami piosenki Rolling Stonesów. Jeśli czasem się postarasz, dostaniesz to, czego potrzebujesz... zwłaszcza gdy masz przyjaciół.

Pasażerowie B3 zostali przeniesieni do izby chorych, gdzie zdjęto im ubrania, opatrzone kontuzje i zrobiono masaż, żeby pobudzić krążenie. Potem mogli zasnąć.

Pierwszym, co Joe Zavala zobaczył po przebudzeniu, była twarz Kurta Austina.

- Chyba nie jestem w niebie - wychrypiał.

Austin uniósł okrągłą brązową butelkę z drewnianą zakrętką.

Tequila!

- Może jesteś - odrzekł.

Zavala się uśmiechnął.

- Taki widok to balsam dla duszy - stwierdził. - Kiedy wróciłeś na pokład?

- Wydobyli mnie z pancierza jakieś pół godziny temu. Opowiedz mi, co się stało?

- Jasne, ale najpierw rozgrzeję się na wierzchu, a potem w środku.

Stał przez piętnaście minut pod najgorętszym prysznicem, jaki mógł wytrzymać, zanim wreszcie poczuł ciepło w kościach. Kurt podał Joemu plastikowy kubek z tequilą przez drzwi kabiny, zostawił ubranie, które dla niego przyniósł, i poszedł do siebie, żeby też wziąć prysznic i się przebrać.

Kiedy wrócił, Zavala był już ubrany i sączył tequilę. Austin pomógł mu dojść do mesy i zamówił dwie kanapki z pastrami.

Gdy je zjedli, Joe przymknął oczy i przeciągnął się z lubością.

- To był chyba najsmaczniejszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłem.

- Doleję ci, jak mi powiesz, co się stało z batysferą - rzekł Austin.

Zavala wyciągnął rękę z kubkiem. Tequila rozwiązała mu język. Opisał przerażające uderzenie w dno i problem z pływakami.

- Wciąż nie rozumiem - zakończył - jak ta lina mogła pęknąć.

- Ona nie pękła - stwierdził Austin.

Otworzył neseser, który przyniósł ze sobą, wyjął z niego laptopa, postawił na stole i włączył. Pokazał Zawali swoje spotkanie z AUV-em zarejestrowane przez kamerę hardsuita.

- *Ole!* - wykrzyknął z uznaniem Joe, kiedy Austin zrobił unik przed zabójczymi szczypcami. Gdy zobaczył scenę unieszkodliwienia AUV-a, powiedział: - Dobra robota, Kurt, ale nie rzucaj pracy, żeby zostać matadorem.

- Nie mam zamiaru - zapewnił Austin. - A pomijając technikę walki z bykiem, czy trudno byłoby tak zaprogramować AUV-a, żeby przeciął linę batysfery?

- Łatwo, ale samo zbudowanie go wymagało sporych umiejętności. To urządzenie wysokiej klasy, bardzo skomplikowane. Uczy się na własnych błędach i można je szybko naprawić. Szkoda, że je uszkodziłeś.

- Pewnie, Joe, powinienem był dać się zabić, ale miałem ciężki dzień.

- Cóż, to zdarza się nawet najlepszym - skwitował Zavala.

- Jak myślisz, skąd to się mogło wziąć?

- Zanurzenie batysfery obserwowało ponad dwadzieścia łodzi. AUV mógł zostać zwodowany z jednej z nich. Ale dlaczego cię zaatakował po zatopieniu B3?

- Podejrzewam, że byłbym przypadkową ofiarą działań wojennych, jak mawiają wojskowi. - Austin wskazał ekran. - Chodziło o batysferę. AUV zwrócił się przeciwko mnie, bo znalazłem się w pobliżu.

- Ale kto mógł chcieć storpedować projekt B3? - spytał Zavala.

- Też się nad tym zastanawiam - odparł Austin. - Chodźmy zobaczyć, czy Doc się obudził.

Kane nie tylko się obudził, ale był bardzo ożywiony. Wziął prysznic, owinął się frotowym szlafrokiem i teraz siedział na krześle, gawędząc z lekarką.

- Już wiem, jak się czuje sardynka w puszcze - powiedział na widok wchodzących kolegów. - Dzięki za ratunek, Kurt. Nie mogę uwierzyć, że lina pękła.

- Nie pękła - zaprzeczył Zavała. - Została przecięta.

- Przecięta? - Kane był zdumiony. - Nie rozumiem.

Austin pokazał mu nagranie wideo z AUV-em.

- Przychodzi ci na myśl ktoś, kto chciałby posłać batysferę na dno? - spytał.

Kane pokręcił głową.

- Nie. A wam?

- Też nie - przyznał Austin. - Naszym zdaniem nie ma powodu, żeby niweczyć projekt naukowo-edukacyjny.

Z interkomu dobiegł głos kapitana.

- Telefon do doktora Kane'a - oznajmił Gannon. - Może odebrać?

Austin sięgnął po słuchawkę interkomu i podał Maxowi. Kane chwilę słuchał, po czym rzekł:

- To niemożliwe... Tak, oczywiście... Będę gotowy. Kiedy się rozłączył, Austin zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Niestety nie - odpowiedział Kane. Jego twarz przybrała barwę popiołu. - Przepraszam was, ale muszę porozmawiać z kapitanem.

Poprosił lekarkę, żeby pomogła mu wejść na mostek. Kurt odprowadził go wzrokiem, a potem wzruszył ramionami i zwrócił się do Zawali:

- Chodź ze mną do warsztatu. Coś ci pokażę.

Metalowa szczeka, którą Austin oderwał od AUV-a, tkwiła w imadle. Włożył grube rękawice robocze i wyciągnął ją. Ostrze miało około stu dwudziestu centymetrów długości i piętnaście szerokości. Wyginało się wzdłuż wewnętrznej krawędzi i zwężało w szpic. Było zaskakująco lekkie; ważyło niespełna dziesięć kilogramów.

Zavala gwizdnął cicho.

- Piękna rzecz - mruknął. - Z jakiegoś stopu. Konstruktor nie przewidział, że ułame się w miejscu połączenia z AUV-em. Kra-
wędź tnąca jest ostra jak miecz samurajski.

- Wyobrażasz sobie, jak para takich noży może zepsuć czło-
wiekowi dzień?

- Szkoda, że nie ma tu Beebe'a - powiedział Zavala. - Pewnie by
przyznał, że opinia o śmiertelnych niebezpieczeństwach czyhających
w głębi oceanu nie jest przesadzona.

- To nie jest wytwór oceanu, tylko człowieka. - Austin ostrożnie
obrócił ostrze. Było niemal idealnie gładkie; jedyna skaza wielkości
łebka od szpilki widniała kilka centymetrów od miejsca, gdzie
odłamało się od AUV-a.

Umieścił je z powrotem w imadle.

- Spędziłeś z Kane'em trochę czasu. Nie powiedział niczego, co
mogłoby rzucić trochę światła na tę tajemnicę?

- Mówił głównie o meduzach. - Zavala poszukał w pamięci. -Ale
kiedy utkwiliśmy w mule i spytałem go, nad czym pracuje, odparł, że
nad czymś, co może dotyczyć wszystkich ludzi na świecie.

- Powiedział coś więcej?

Zavala pokręcił głową.

- Niestety nie. Spytałem go o szczegóły, ale stwierdził, że gdy
by mi je zdradził, musiałby mnie zabić.

Kąćki ust Austina uniosły się w krzywym uśmiechu.

- Naprawdę tak powiedział? Dziwne, przecież i tak byliście
o krok od śmierci.

- Toteż uśmialiśmy się z tego, ale myślę, że mówił szczerze.

Austin rozważył słowa Zavali, a potem spytał:

- A co sądzisz o jego reakcji na ten telefon sprzed kilku minut?

- Wyglądał, jakby koń kopnął go w brzuch.

- Wiadomość go zdołowała, to nie ulega wątpliwości.

Kurt zaproponował, żeby porozmawiali z Kane'em. Joe się zgo-
dził. Kiedy wyszli na pokład, zobaczyli Doca w towarzystwie kapi-
tana. Max wciąż poruszał się trochę sztywno.

- Właśnie do was szliśmy - odezwał się Gannon i wskazał światła zbliżającej się jednostki. - Kuter Straży Przybrzeżnej płył nie po doktora Kane'a.

Patrolowiec zatrzymał się jakieś sto metrów od statku. Kurt pomógł Maxowi włożyć kamizelkę ratunkową i odprowadził go na rufę, gdzie na pochylni czekała załoga zodiaka. Kane podziękował Austinowi, Zawali i kapitanowi za pomoc.

- Szkoda, że musisz nas opuścić, Doc - powiedział Austin.

- Ja też żałuję - Kane uśmiechnął się i dodał: - Przygody Beebe'a błędą przy naszym nurkowaniu.

- Wracasz do Bonefish Key?

- Na razie nie... ale będziemy w kontakcie.

Wsiadł do zodiaka. Ponton został zwodowany i dopłynął po wzburzonym morzu do kutra Straży Przybrzeżnej. Strażnicy pomogli Kane'owi wejść na pokład i patrolowiec ruszył w drogę, zanim zodiak dotarł z powrotem do statku.

Austin, Gannon i Zawała obserwowali kuter, a gdy zniknął z pola widzenia, kapitan zapytał Kurta, czy chce wracać do portu. Austin zaproponował, żeby przedtem spróbowali wydobyć zatopionego ROV-a. Gannon się zgodził. Pogoda miała się poprawić, więc akcja ratownicza przy użyciu największego ROV-a na statku, nazywanego Olbrzymem, mogła zakończyć się sukcesem.

- Właściwie niewiele wiemy o Docu - stwierdził Zawała po odejściu kapitana.

- Czas to naprawić - odparł Kurt. - Poproszę Troutów, żeby przyjrzeni się bliżej Bonefish Key. A na razie regulamin Królewskiej Marynarki Wojennej pozwala na dwie kolejki grogu.

- To statek NUMA, nie brytyjski okręt wojenny - zauważył Joe. - A tequila to nie grog.

- Przypominam ci, że jesteśmy na wodach bermudzkich, czyli na terytorium brytyjskim.

Zawała klepnął przyjaciela w plecy i odpowiedział coś po hiszpańsku.

- Mój *español* trochę zardzewiał - wyznał Austin. - Przetłu macz mi to.

Zawala zmarszczył nos, jakby poczuł jakiś przykry zapach. -
Wyraziłem się jak Angol z wyższych sfer: „To znakomicie, stary”.

13

Kuter Straży Przybrzeżnej odstawił Kane'a na ląd. Tam czekał samochód, który zawiózł go na lotnisko, gdzie już grzał silniki służbowy odrzutowiec. Max patrzył na znikające w oddali światła Bermudów, a potem odwrócił się od okna samolotu i próbował znaleźć jakiś sens w wydarzeniach ostatniej doby. Podwodna przygoda tak go wyczerpała, że nie mógł zebrać myśli. Przymknął oczy i wkrótce zasnął. Obudziły go słowa pilota, który poinformował przez interkom, że wylądowali w waszyngtońskim Porcie Lotniczym imienia Ronalda Reagana.

Samolot dokołował do strefy zarezerwowanej dla VIP-ów. Postawny młody mężczyzna ostrzyżony na rekruta przywitał Kane'a na płycie lotniska. Mimo nocnej ciemności był w przeciwsłonecznych okularach, a jego czarny garnitur wprawiłby w zachwyt każdego wyznawcę teorii spiskowych.

- Doktor Kane? - zapytał.

To pytanie zirytowało Maxa, bo był jedynym pasażerem w sześciomiejscowym odrzutowcu.

- Owszem - burknął. - A pan to kto?

- Jones - odparł mężczyzna, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Proszę ze mną.

Zaprowadził Kane'a do czarnego humvee, otworzył mu tylne drzwi, a sam usiadł z przodu obok kierowcy, również ubranego jak przedsiębiorca pogrzebowy.

Pomknęli George Washington Memorial Parkway, lekceważąc ograniczenie prędkości, minęli miasto i skierowali się w stronę Marylandu.

Jones milczał jak zaklęty. Dopiero gdy dotarli do Rockville, powiedział do radiotelefonu coś o dostarczeniu przesyłki. Kilka minut później humvee stanął przed wysokim biurowcem. Szyld na froncie głosił, że to główna siedziba FDA - Urzędu Kontroli Żywności i Leków. Okna budynku były ciemne, z wyjątkiem kilku pokoi, które właśnie sprzątano.

Jones zaprowadził Kane'a do bocznego wejścia. Zjechali windą poziom niżej i doszli pustym korytarzem do nieoznakowanych drzwi. Jones zapukał lekko, po czym wpuścił Kane'a do sali konferencyjnej nieróżniącej się od setek innych takich sal w stołecznych gmachach rządowych. Podłogę pokrywała jasnozielona wykładzina, na beżowych ścianach wisiały grafiki, z przodu wisiał ekran projekcyjny i stała mównica. Wokół długiego dębowego stołu siedziało kilkanaście osób.

Kane okrążył stół i uściskał dłonie zebranych. Uśmiechali się do niego przy powitaniu. Tylko mężczyzna, który przedstawił się jako William Coombs z Białego Domu, zachował kamienną twarz.

Kane usiadł na jedynym wolnym krześle, obok Charleya Caseya, kapitana Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

- Cześć, Max - zagaił oficer. - Jak minęła podróż z Bermudów?

- Szybko - odparł Kane. - Aż trudno mi uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu byłem prawie kilometr pod powierzchnią oceanu.

- Oglądałem twoje nurkowanie w telewizji - rzekł Casey. - Szkoda, że transmisja została przerwana w momencie, kiedy zaczęło być naprawdę ciekawie.

- „Ciekawie” to niewłaściwe słowo - zauważył Kane. - Ale moje nurkowanie to nic w porównaniu z tym obłędem z laboratorium. Są jakieś wieści?

Kapitan pokręcił głową.

- Wciąż staramy się nawiązać kontakt, ale bez skutku.

- Może nawalił system łączności? Casey zerknął na Coombsa.

- Mamy powody sądzić, że to coś więcej - odrzekł.

- Może zechce pan wprowadzić doktora Kane'a w szczegóły, które znamy, kapitanie? - powiedział Coombs.

Casey otworzył teczkę na akta i wyjął kilka kartek.

- Ułożyliśmy scenariusz na podstawie zeznań świadków. Sytuacja jest niejasna i wciąż napływają meldunki, ale na razie mamy to. Wczoraj około czternastej naszego czasu wystrzelono pocisk ma newrujący w „Proud Mary”, okręt wsparcia i ochrony laboratorium.

Kane pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Pocisk? To nie może być prawda!

- Niestety jest, Max. Rakieta trafiła w lewą burtę okrętu. Nikt nie zginął, ale jest kilkunastu rannych. „Mary” to twarda sztuka. Utrzymała się na wodzie i wysłała SOS. Nasz krążownik „Concord” zjawił się w ciągu kilku godzin i uratował jej załogę. Wielokrotne próby skontaktowania się ze Schowkiem się nie powiodły.

- Może wybuch uszkodził boję telekomunikacyjną? - podsunął Kane.

- Nie. Krążownik ją sprawdził. Nie ucierpiała.

- Gdzie był wahadłowiec obsługujący laboratorium, kiedy to się stało?

- Krótco przed atakiem zanurkował do Schowka, żeby dostarczyć tam przedstawiciela firmy ochroniarskiej, i nadal był pod powierzchnią, kiedy uderzył pocisk.

- A co z minilodziami podwodnymi Schowka? - zapytał Kane. - Mogły być wykorzystane do ewakuacji laboratorium w razie niebezpieczeństwa. Są tam też kapsuły ratunkowe.

- Nie użyto ani jednych, ani drugich, Max. Podejrzewamy, że doszło do jakiejś nagłej katastrofy.

Kane'owi aż zakręciło się w głowie, gdy usiłował przetrwać implikacje ostatnich słów Casey'a. Pomyślał o Lois Mitchell i innych członkach personelu, którzy zmobilizowali się, żeby wysłać go na nurkowanie w B3. Po chwili wziął się w garść, gdy przypomniał sobie, że jest naukowcem i zajmuje się faktami, nie spekulacjami. Wyprostował się na krześle.

- Kiedy będziemy mogli sprawdzić, co się stało z samym laboratorium?

- „Concord” wysła pod wodę zdalnie sterowany pojazd głębinowy - odrzekł Casey. - W tej chwili możemy tylko czekać na meldunek od nich.

- Mam nadzieję, że marynarka wojenna nie siedzi z założonymi rękami - wtrącił Coombs. - Ustaliliście pochodzenie pocisku?

Kapitan uniósł brew Coombs należał do tych przemądrzałych młodych doradców sztabowych, którzy zawsze wyglądali jak spod igły. Był schludny jak absolwent West Point, choć z mundurem stykał się tylko w skautach. Doskonalił mądre miny dobre na rozmaite okazje, ale nie ukrywały one ledwo powstrzymywanej arogancji. Podczas kariery w marynarce wojennej Casey często spotykał takich ludzi i nauczył się maskować lekceważenie uprzejmością.

- Marynarka wojenna potrafi robić kilka rzeczy jednocześnie, panie Coombs - odparł z uśmiechem. - Zrekonstruowaliśmy prawdopodobny tor pocisku i teraz nasze samoloty i okręty lokalizują miejsce jego wystrzelenia.

- Białego Domu nie interesują tory pocisków ani miejsca wystrzeżeń, panie kapitanie. Ustaliliście, kto go odpalił? Bo jeśli obce mocarstwo, może to mieć poważne reperkusje międzynarodowe.

- Pocisk mógł być wystrzelony z okrętu nawodnego lub podwodnego albo z samolotu. To wszystko, co wiemy. W tej chwili wykrycie sprawców jest kwestią szczęścia. Jesteśmy otwarci na sugestie, jak dalej postępować.

Coombs miał zbyt duże doświadczenie w spychotechnice, żeby połknąć przynętę.

- Zostawiam to marynarce wojennej - rzeki - ale powiem panu jedno: to wszystko nosi cechy dobrze zorganizowanej operacji.

- Prawdopodobnie ma pan rację - włączył się Kane. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaatakowano „Proud Mary”, próbowano przeszkodzić w nurkowaniu batysfery.

Zaczekał, aż ucichnie wrzawa, i podał szczegóły sabotażu.

Usłyszawszy o akcji ratowniczej Austina, Coombs skinął głową.

- Słyszałem, jak wiceprezydent Sandecker wspominał o nim. Kurt Austin to ktoś w rodzaju specjalisty NUMA od rozwiązywania problemów. Z tego, co wiem o jego wyczynach, nadal tkwilibyście

na dnie oceanu, gdyby nie było go na pokładzie „Beebe'a”. Ta sprawa z laboratorium teraz zaczyna mieć sens. Ktoś chce storpedować nasz projekt. Kane przytaknął.

- Też tak uważam. Sprawcy ataku na laboratorium musieli wiedzieć, że będę w batysferze.

Doktor Sophie Pappas, jedyna kobieta w radzie naukowej, zapytała:

- Nie mogli poczekać, aż pan wróci do laboratorium? Zamiast dwóch jednoczesnych ataków przeprowadziliby jeden.

- Dobre pytanie. - Coombs zwrócił się do Kane'a: - Czy praca w laboratorium mogłaby trwać bez pana?

- Oczywiście - potwierdził Max. - Do mnie, jako do dyrektora projektu, należy nadzorowanie go. Jestem teraz bardziej koordynatorem naukowym niż badaczem. Lois Mitchell, moja asystentka, zna więcej szczegółów.

- Więc projekt mógłby być realizowany bez pana, ale nie bez niej - podsumował Coombs.

- Mam większe doświadczenie we współpracy ze stroną rządową - odparł Kane - ale Lois mogłaby z powodzeniem doprowadzić projekt do końca w ciągu kilku dni. Wiem jednak wystarczająco dużo, by móc kontynuować pracę z naukowcami pozostałymi w Bonefish Key.

- Pod warunkiem, że byłby pan żywy - zauważył Coombs. -Ale skoro laboratorium poradziłoby sobie bez pana, to może nie zostało zniszczone.

- To śmiała teoria, ale ma sens - odparł Kane.

- Dziękuję. Śmiały umysł jest niezbędny na wyższych szczeblach rządowych - odparł Coombs i zwrócił się do Caseya: - Poinformowaliśmy Chińczyków o atakach?

- Po naszym spotkaniu skontaktuję się z pułkownikiem Mingiem, moim chińskim odpowiednikiem przydzielonym do tego projektu - odpowiedział kapitan. - Ponoć jest skorumpowany jak diabli, ale bardzo ustosunkowany. Może wie coś, co mogłoby pomóc.

- Mam nadzieję - rzekł Coombs. - Ten incydent z laboratorium nie mógł się wydarzyć w gorszym momencie. Grozi nam katastrofa.

Pstryknął palcami. Jego asystent podszedł do komputera z dużym monitorem na końcu stołu i wyświetlił mapę Chin.

- Ten czerwony punkt to wieś, w której wybuchła choroba, a trzy sąsiednie kropki pokazują, że epidemia wydostała się poza rejon kwarantanny. Uważamy, że wirus może się przenosić przez wody gruntowe. Zarazek przenika z wioski do wioski. W końcu dotrze do wielkich miast. Kiedy znajdzie się w Hongkongu, Pekinie i Szanghaju, nic nie zapobiegnie jego rozprzestrzenieniu się na cały świat. W ciągu tygodni będzie w Ameryce Północnej.

Przez chwilę przy stole panowało milczenie, wreszcie Casey zapytał:

- Kiedy zaatakuje duże aglomeracje?

- Według komputerów za trzy doby, licząc od północy.

- Więc jeszcze mamy czas, żeby go powstrzymać - stwierdził Casey. - Prawdopodobnie uda nam się odzyskać kontakt z laboratorium. Gdy dostaniemy kultury, będziemy mogli masowo produkować szczepionkę.

- Pobożne życzenia - skomentował Coombs. - Nie dowiemy się, co się dzieje z laboratorium, dopóki marynarka nie wykona swojego zadania. - Oparł się wygodnie i złączył końce palców. - Rozważmy sytuację. Kto by zyskał na przerwaniu pracy laboratorium?

- Zostawię to do czasu, aż będziemy wiedzieli więcej - powiedział Kane i zebrani pokiwali głowami.

Coombs wzruszył ramionami.

- W porządku. Więc może ktoś odpowie mi na pytanie, skąd napastnicy wiedzieli o istnieniu i lokalizacji ściśle tajnego obiektu?

- Mogło dojść do przecieków, co zapewne było nieuniknione - odrzekł Kane. - Kiedy ten komitet po raz pierwszy przedstawił rządowi nasze odkrycia i Wuj Sam założył ośrodek Bonefish Key jako przykrywkę, nie mieliśmy doświadczenia w tajnych operacjach. W naturze naukowca leży ujawnianie informacji, a nie ich ukrywanie.

- Dlatego badania przeniesiono z Bonefish Key do Schowka - powiedział Coombs. - Chcieliśmy utrzymać je w tajemnicy i być bliżej źródła.

- Chodziło też o bezpieczeństwo - dodał Kane. - Pracowaliśmy z patogenem przenoszonym przez wodę i eksperymentowaliśmy ze zmienionymi formami życia. Ośrodek Bonefish Key leży blisko zamieszkałych terenów i prowadzenie zaawansowanych badań na wyspie mogłoby im zagrażać.

Coombs zmarszczył brwi.

- Istnienie Schowka było tajemnicą strzeżoną ściślej niż „Projekt Manhattan”. A co z tamtą kobietą w pańskim laboratorium przysłaną przez Chińczyków?

- Doktor Song Li? Ręczę za nią. Wszczęła alarm podczas epidemii SARS. Ryzykowała więzienie, nagłaśniając tę sprawę. Jej udział w naszym projekcie był niezbędny.

- Tak jak Oppenheimera w „Projekcie Manhattan” - przypomniał Coombs. - Co jednali nie uchroniło go przed zarzutem nielojalności.

- Zanim oskarży pan doktor Li, pozwolę sobie zauważyć, że tylko ja jeden w Bonefish Key znałem dokładną lokalizację laboratorium. Ta informacja mogła pochodzić z zewnętrznego źródła. Co z firmą ochroniarską?

Głos zabrał kapitan.

- Ich ludzie nie wiedzieli, czym się zajmuje laboratorium, ale znali jego lokalizację. I mogli nie być tacy dyskretni jak pracownicy rządowi.

Kapitan sprzeciwiał się powierzeniu ochrony laboratorium cywilnej agencji.

- Zatrudnianie cywilnych usługodawców to powszechna praktyka od wojny w Iraku - przypomniał Coombs.

- Gdzie wielokrotnie się okazało, że rząd ma ograniczone możliwości ich nadzorowania i kontrolowania - skontrował Casey. - Podatnicy dają pieniądze na zawodową marynarkę wojenną, a nie na bandy morskich kowbojów.

- Zapomina się pan, kapitanie. - Coombs stracił panowanie nad sobą i poczerwieniał z gniewu.

Dźwięk telefonu Caseya przerwał dyskusję o korzystaniu z usług prywatnych firm. Kapitan odbył krótką rozmowę i się rozłączył.

- ROV jest w miejscu lokalizacji laboratorium - oznajmił, przesywając Coombsa wzrokiem. - Transmituje obrazy dna.

Wstał z krzesła i podszedł do komputera przygotowanego do prezentacji w PowerPoincie. Kliknął myszką i na ekranie projekcyjnym ukazał się widok dna oceanu. Nie było śladu laboratorium ani żadnych szczątków sugerujących zniszczenie Schowka.

- Jesteście pewni, że to właściwe miejsce? - zapytał Coombs poirytowanym tonem.

- Absolutnie - odparł Casey. - Niech pan się dobrze przyjrzy. Widać duże okrągłe wgłębienia w piasku. Pozostawiły je podpory laboratorium.

- Co to wszystko znaczy?

Casey uśmiechnął się niewesoło.

- Gdybym miał zgadywać, panie Coombs, powiedziałbym, że Schowek porwano.

Kane nie wierzył własnym uszom.

- Jak obiekt tej wielkości mógł po prostu zniknąć?

- Ustalcie raczej, panowie, jak ten obiekt porwano pod samym nosem marynarki wojennej - warknął Coombs. - Domyślam się, że doktor Kane też miał zniknąć.

Uniósł rękę, żeby powstrzymać następne pytanie Maxa, sięgnął do kieszeni marynarki po komórkę i szybko wybrał numer.

- Mamy problem - powiedział do telefonu.

Po krótkiej rozmowie się rozłączył.

- Jedzie pan do bezpiecznego domu, doktorze Kane - oświadczył, a gdy Max zaprotestował, znów uciszył go gestem. - Przepraszam za chwilową niedogodność, doktorze, ale ktoś chce usunąć pana ze sceny. Te ataki wskazują, że nieupoważnione osoby do wiedziały się o laboratorium, mimo iż zadaliśmy sobie mnóstwo trudu, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Nawet bez klęski żywiołowej, którą pan sugerował, polityczne reperkusje ujawnienia informacji o tych badaniach byłyby katastrofalne.

- Nie sędę, żeby tak się stało - rzekł Kane. - Wygląda na to, że ten, kto próbował storpedować nasz projekt, też lubi tajemnice.

- Różnica polega na tym, że my zamierzaliśmy podać do publicznej wiadomości fakt wynalezienia szczepionki - odparł Coombs.

Rozległo się pukanie i do sali wszedł Jones. Wciąż był w okularach przeciwsłonecznych. Kane poczuł się, jakby czekał go areszt domowy. Pożegnał się i ruszył za Jonesem na korytarz.

Po jego wyjściu Coombs zwrócił się do pozostałych:

- Zamierzam doradzić prezydentowi przygotowanie kraju do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Zawiadomimy Ośrodek Zwalczenia Chorób, co nam grozi.

- Poinformuję bezpośrednio wiceprezydenta Sandeckera - powiedział Casey. - Utrzymuje kontakty z NUMA i włączy ich do poszukiwań laboratorium.

- Dobry pomysł - ocenił Coombs. - Może ten ich spec nazwiskiem Austin zdoła pomóc marynarce wojennej w wykonaniu jej zadania.

Był to kolejny przytyk pod adresem sił morskich, ale Casey nie zareagował na komentarz doradcy z Białego Domu, tak jak wcześniej na jego drwiny. Uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Być może.

Kane spróbował wyprowadzić z równowagi faceta w czerni.

- Chyba idziemy na materace - zagadnął, kiedy szli do windy.

- Że co? - spytał Jones.

- To z *Ojca chrzestnego*... Język mafii.

- Nie jesteśmy mafią, doktorze.

Nie, przyznał w duchu Kane, ale z powodzeniem mogliście być. Nie mógł się oprzeć pokusie przytoczenia jeszcze jednego zdania z filmu.

- Nie zapomnijcie *cannoli* - powiedział.

Kilka minut po pierwszej w nocy łódź pneumatyczna uderzyła miękko w kadłub „William Beebe'a” i cztery postacie w czarno-zielonych kombinezonach maskujących wspięły się na burtę statku po drabinkach sznurowych zwisających z haków abordażowych. Przeskoczyły kolejno nad relingiem i przebiegły przez pokład cicho jak cienie, które przypominały.

Z wyjątkiem nocnej wachty na mostku załoga smacznie spała w swoich kabinach, wyczerpana wodowaniem i ratowaniem batysfery. Austin nie mógł zasnąć, patrzył w sufit i rozmyślał. W końcu wstał, ubrał się i poszedł do warsztatu mechanicznego.

Zapalił światło, znalazł szkło powiększające, ustawił lampę dokładnie nad ostrzem w imadle i przyjrzał się uważnie małej skazie przy nasadzie. Przez lupę zobaczył, że to nie uszkodzenie, lecz znak w kształcie trójkąta równobocznego z kropką w każdym wierzchołku.

Narysował identyczny na kartce papieru i wpatrywał się w niego przez chwilę, ale wzór z niczym mu się nie kojarzył. Odłożył szkic i wyszedł na pokład w nadziei, że chłodne powietrze go rozbudzi. Wziął głęboki oddech, ale nagły napływ tlenu wywołał tylko ziewnięcie. Synapsy potrzebowały silniejszego bodźca.

Spojrzał w górę na światło w oknie sterowni. Nocna wachta zawsze miała pod ręką dzbanek gorącej kawy. Wspiął się po zewnętrznych schodach na prawe skrzydło mostka. Przez uchylone drzwi dobiegł męski głos. Był bardzo niewyraźny i Austin nie mógł rozpoznać akcentu, ale jedno słowo zrozumiał.

„Kane”.

Zadziałał instynktownie. Cofnął się od drzwi, przywarł plecami do zewnętrznej ściany sterowni i ostrożnie przysunął się do okna. Zobaczył trzeciego oficera Marłę Hayes, jednego z marynarzy i kapitana Gannona, stojących razem w środku pomieszczenia. Kapitana najwyraźniej wyrwano ze snu, bo narzucił kurtkę na piżamę i był w kapciach.

Trójkę członków załogi otaczały cztery postacie w strojach komandosów. Trzej wciąż mieli na głowach kaptury, a czwarty swój zdjął i odsłonił twarz o azjatyckich rysach i ogoloną czaszkę. Wszyscy trzymali krótkolufowe automaty, przy pasach mieli pistolety i długie noże.

- Powtarzam, że doktora Kane'a nie ma na tym statku - mówił właśnie Gannon. - Odleciał wiele godzin temu hydroplanem.

Komandos bez kaptura zareagował z szybkością atakującego grzechotnika. Jego wolna ręka wystrzeliła do przodu, trafiając kapitana w splot słoneczny.

- Łżesz! - warknął.

Gannon zgiął się wpół, ale zdołał wydobyć z siebie głos.

- Kane'a tu nie ma, do cholery - wykrztusił. - Przeszukajcie cały statek, jeśli mi nie wierzycie.

- Nie, kapitanie - odparł napastnik. - Ty to zrobisz. Każ wszystkim wyjść na pokład.

Wciąż zgięty z bólu, Gannon sięgnął po słuchawkę połączoną z radiowężłem okrętowym. Kiedy się zawahał na moment, zniecierpliwiony napastnik wbił mu lufę w bok.

Gannon się skrzywił, ale zdołał powstrzymać jęk. Wziął głęboki oddech i powiedział do słuchawki:

- Tu kapitan. Wszyscy na pokład. Oficerowie i marynarze mają się zebrać na rufówce.

Komandos bez kaptura warknął jakiś rozkaz i wraz z dwoma swoimi towarzyszami poprowadził więźniów do drzwi. Austin błyskawicznie wspiął się po drabince, która prowadziła do wieży radiowej na dachu sterowni. Stamtąd obserwował, jak pięcioosobowa grupka schodzi na główny pokład. Wrócił na dół i zajrzał przez okno. Jeden napastnik został w sterowni na straży.

Austin zbiegł po schodkach na dolny pokład, cicho otworzył drzwi kabiny Zawali, wszedł do środka i szturchnął kształt pod kocami. Joe stęknął, odrzucił przykrycie na bok i usiadł na brzegu koi.

- O, cześć, Kurt - powiedział, ziewając. - Co się urodziło?

- Nie słyszałeś komunikatu kapitana, że załoga ma się zebrać na pokładzie? - spytał Austin.

Zavala przetarł zaspane oczy.

- Słyszałem - odrzekł - ale nie należę do załogi, więc zostałem w wyrku.

- Twoja umiejętność dzielenia włosa na czworo mogła uratować ci tyłek - powiedział Kurt.

Joe nagle się ożywił.

- Co się dzieje?

- Nieproszeni goście. Banda uzbrojonych po zęby dżentelmenów w strojach ninja.

- Ilu?

- Wiem o czterech, ale może ich być więcej. Szukają Kane'a. Gannon tłumaczył im, że Doca nie ma na statku, ale nie uwierzyli. Zmusili go do zebrania załogi.

Zavala wymamrotał coś po hiszpańsku, wstał z koi, włożył dzinsy oraz wiatrówkę i naciągnął swoją szczęśliwą czapeczkę.

- Z jaką siłą ognia mamy do czynienia? - zapytał.

Usłyszawszy, że komandos są uzbrojeni w automaty i pistolety, wyraźnie się zasepił. Nawet nie pomyślał o zabraniu broni na spokojną wyprawę naukową.

- Będziemy musieli improwizować - stwierdził Austin. Zavala wzruszył ramionami.

- To nic nowego.

Kurt sprawdził korytarz. Był pusty, więc ruszył przodem na mostek, a Joe szedł kilka kroków za nim. Komandos nadal pilnował sterowni. Właśnie przypalał papierosa. Austin wskazał siebie, potem drabinkę prowadzącą na dach. Zavala zgiął palec wskazujący i kciuk na znak, że zrozumiał. Gdy tylko Kurt znalazł się na dachu, zastukał w okno i pomachał do komandosa. Intruz wypadł na skrzydło mostka z automatem na wysokości pasa.

- *Buenas noches* - powitał go Joe ze swoim najbardziej przyjaznym uśmiechem.

Ale latynoski urok Zavali nie zrobił wrażenia na mężczyźnie. Komandos wycelował mu broń w brzuch. Joe podniósł ręce do góry. Mężczyzna sięgał po radiotelefon przy pasie, kiedy Austin zawołał z dachu:

- A kuku, tu jestem!

Komandos spojrział w górę i zobaczył szczerzącego zęby w uśmiechu gargulca o stalowych włosach. Uniósł pistolet maszynowy, ale Kurt zeskoczył na dół i wylądował mu na barkach. Mężczyzna zgiął się jak szmaciana lalka pod ciężarem ponad dziewięćdziesięciu kilogramów mięśni i kości i runął na pomost.

Automat wypadł mu z rąk. Zawała dał nura i zdążył złapać broń, zanim zsunęła się poza krawędź mostka. Wycelował w komandosa, który leżał bez ruchu.

- Naprawdę krzyknąłeś „a kuku”? - zapytał przyjaciela.

- Nie było czasu na przedstawienie się.

Austin szturchnął mężczyznę nogą i kazał mu wstać. Nie doczekał się żadnej reakcji, więc przetoczył komandosa na plecy i ściągnął mu kaptur, odsłaniając szeroką twarz o azjatyckich rysach. Krew ciekła mężczyźnie z ust.

- Będzie potrzebował dobrego ortodonta - stwierdził Zawała.

Austin sprawdził tętno na szyi Azjaty.

- To jego najmniejsze zmartwienie - orzekł. - Bardziej przyda mu się przedsiębiorca pogrzebowy.

Joe przydepnął papierosa, który wypadł mężczyźnie z ust.

- Ktoś powinien był go ostrzec, że palenie jest niezdrowe - powiedział.

Wciągnęli ciało do sterowni. Austin nadał przez radio SOS, a Zawała zabrał pistolet mężczyźnie. Zeszli na pokład i kryjąc się w mroku, dotarli na rufówkę. Reflektory używane podczas nocnych operacji były włączone, więc zalewało ją jasne światło. Oficerowie i marynarze stali w zwartej grupie pilnowani przez dwóch komandosów. Gładko ogolony mężczyzna celował z automatu w Gannona, a w drugiej ręce trzymał zdjęcie Kane'a i wymachiwał nim przed twarzą kapitana.

Gannon uparcie kręcił głową. Wydawał się bardziej rozdrażniony niż przestraszony.

Wreszcie komandos brutalnie odepchnął go na bok, uniósł wysoko fotografię i zwrócił się do załogi „Beebe'a”:

- Powiedźcie mi, gdzie się ukrywa ten człowiek, to was puścimy.

Nikt nie skorzystał z propozycji, więc podszedł bliżej i przyglądał się uważnie przestraszonym twarzom. Gdy jego wzrok spoczął na Marli, złapał ją za ramię, zmusił, żeby uklękła i zagroził:

- Jeśli Kane nie zjawi się za pięć minut, zastrzelę tę kobietę. A potem będziemy zabijali kogoś z was co minutę, dopóki Kane nie wyjdzie z kryjówki.

Austin leżał na brzuchu obok Zavali i trzymał na muszce komandosa. Mógł uśmiercić go jednym strzałem, ale gdyby nie zdążył wyeliminować dwóch pozostałych, znieśliby wszystkich z pokładu kilkoma seriami z pistoletów maszynowych. Opuścił broń i dał znak Joemu. Wycofali się w cień hangaru dla pojazdów podwodnych.

- Nie zdejmę Jajogłowego - szepnął Austin - bo jego kumple mogliby wpaść w szal strzelania.

Zavala skinął głową.

- Przydałby się nam czołg - mruknął w desperacji. Kurt popatrzył na przyjaciela i klepnął go w ramię.

- Jesteś geniuszem, Joe. Właśnie tego nam potrzeba.

- Zgadłem? O, cholera! - Zavala wreszcie zrozumiał. - Olbrzym? Ale to przecież ROV, nie czołg.

- Jest lepszy niż nic, a tylko jego mamy - odparł Austin.

Szybko wyjaśnił plan.

Zavala zaszalował na znak, że zrozumiał, po czym odwrócił się i popędził do centrum zdalnego sterowania. Austin wśliznął się do hangaru i zapalił światło. Olbrzym przyciągnięto do drzwi w ramach przygotowań do porannych poszukiwań zatopionej batysfery.

Miał wielkość mniej więcej land-rovera i gąsienice umożliwiające poruszanie się po dnie. Kadłub wypełniony pianką zawierał reflektory i zbiorniki balastowe. Sześć pędników zapewniało zwrotność i precyzyjne manewrowanie w wodzie. Pojazd wyposażono w aparaty fotograficzne, kamery, magnetometry, sonar, przyrządy do pobierania próbek wody oraz mierniki jej przejrzystości, przenikalności światła i temperatury.

Dwoma manipulatorami na przodzie olbrzyma można było operować z chirurgiczną precyzją. Ich chwytaki mogły wydobyć

najmniejszą próbkę z dna morza i umieścić ją w pojemniku podwieszonym pod dziobem.

Za ROV-em leżało w zwoju kilkaset metrów kabla. Austin stał przed pojazdem i czekał. Mijały cenne sekundy. Wreszcie szperacze olbrzyma rozbłysły i zaszumiały silniki elektryczne.

Kurt pomachał rękami do kamery. Zawała zobaczył go na monitorze i poruszył manipulatorami na znak, że jest przy sterach.

Gdy Austin okrążył ROV-a i wspiął się na niego z tyłu, Joe włączył napęd. Olbrzym wystartował, uderzył we wrota i otworzył je na całą szerokość. Kiedy wyłonił się z hangaru, Zawała zamachał manipulatorami, zwierając i rozwierając chwytaki, żeby wywołać bardziej dramatyczny efekt.

Niedoszły egzekutor Marli odwrócił się gwałtownie w stronę hangaru i zobaczył, że zbliża się do niego coś o wyglądzie ogromnego skorupiaka. Marla wykorzystała odwrócenie jego uwagi; poderwała się na nogi i rzuciła do ucieczki. Jeden z pozostałych komandosów wycelował w nią broń, ale Kurt podziurawił go kulami.

Gładko ogolony mężczyzna i drugi komandos ukryli się za żurawiem i zasypali nadjeżdżającego Olbrzyma gradem pocisków, które roztrzaskały reflektory i kamerę.

Z ekranu w pomieszczeniu sterowniczym zniknął obraz. Zawała utrzymywał pełną prędkość pojazdu, ale bez elektronicznych oczu miał trudności z kierowaniem nim. Olbrzym skręcił w prawo, zahamował ostro i ruszył w lewo, cały czas pod gęstym ostrzałem. Kawałki plastiku, pianki i metalu fruwały w powietrzu, aż w końcu kanonada wywołała pożar.

Gryzący dym wypełnił nozdrza Austina. Czuł, że olbrzym dosłownie rozpada się pod nim. Zeskoczył z poruszającego się nieskoordynowanie ROV-a, dobiegł do burty statku, dał nura za wysoki wentylator, padł na pokład i przetoczył się kilka razy. Poderwał się i posłał serię tuż nad błyski z luf przed sobą. Trafił i jeden z automatów umilkł. Austin strzelał, dopóki nie opróżnił magazynka.

Gładko ogolony mężczyzna wykorzystał to i pobiegł ku burcie.

Kurt wyszedł na otwartą przestrzeń, wycelował broń w uciekiera i krzyknął:

- Ty, Jajogłowy! Nie wychodź tak wcześnie. Zabawa dopiero się zaczyna.

Mężczyzna przystanął, odwrócił się i spojrzał na Austina z odległości jakichś pięciu metrów. Chybotliwe płomienie palącego się olbrzyma oświetlały krzywo uśmiechniętą twarz komandosa.

- Błefujesz - powiedział. - Zabiłbyś mnie, gdybyś mógł.

- Założymy się? - spytał Kurt i zmrużył jedno oko, jakby celował.

Azjata albo nie wierzył, że Austin naciśnie spust, albo był naprawdę pewien, że nie został mu żaden pocisk, uniósł bowiem swoją broń, warknął coś i rzuciwszy się do relingu, strzelił z biodra. Kurt dał nura za osłonę, a kiedy odważył się wyjrzeć, przeciwnika już nie było. Usłyszał odgłos silnika, więc podbiegł do burty. Łódź pneumatyczna oddalała się od statku i po chwili zniknęła w ciemności.

Austin słuchał cichnącego warkotu, gdy tuż za nim rozległ się nowy dźwięk.

Kroki.

Odwrócił się błyskawicznie w półprzysiadzie i wtedy zrozumiał, dlaczego komandos uciekł. Zawała, który już wcześniej wyłonił się z centrum sterowania, biegł w jego kierunku. Obaj chwycili gaśnice z przegrody i spryskali Olbrzyma.

- Był tu taki hałas, jakby wybuchła trzecia wojna światowa - powiedział Joe, kiedy stłumili ogień. - Na szczęście jesteś cały.

- Dzięki, że zjawileś się w porę - odparł Austin. - Niestety nie mogę powiedzieć tego samego o Olbrzymie - dodał.

Zawała popatrzył na tłącego się ROV-a, którego elementy walały się po pokładzie.

- Teraz rozumiem, dlaczego padł system wideo - mruknął.

- Nie tylko on - powiedział Kurt.

Podszedł do ciał leżących na pokładzie i zdjął z głów kaptury. Obaj martwi komandosi byli Azjatami. Austin powiódł wzrokiem po pokładzie zasypanym łuskami pocisków. W zadymionym powietrzu unosił się zapach kordytu.

- Teraz znamy przyczynę ataku na B3 - stwierdził Kurt. - Chodziło o Kane'a... Trzeba z nim pogadać.

- Życzę powodzenia! - parsknął Zavala. - Doc jasno dał do zrozumienia, że jego praca to nie nasz interes.

Austin uniósł kąćki ust w uśmiechu, który zawsze zwiastował kłopoty.

- Czyżby? - powiedział spokojnie. - A ja uważam, że jest wręcz odwrotnie.

15

Szanghaj, Chiny

Na tablicy rejestracyjnej srebrzystego mercedesa S65 AMG, który wyłonił się z garażu pod pięćdziesięcioletnim budynkiem Przedsiębiorstwa Handlowego Piramida, widniała tylko jedna cyfra - 2, co wskazywało, że właściciel samochodu jest niesłychanie bogaty. Indywidualne rejestracje sprzedawano na aukcjach za miliony dolarów zamożnym i jednocześnie przesadnym licytantom, którzy wierzyli, że niskie liczby przynoszą szczęście.

Aby pomóc temu szczęściu, karoserię auta z przyciemnianymi kuloodpornymi szybami opancerzono tak, że mogła wytrzymać nawet trafienie rakieta, a podwozie zabezpieczono na wypadek podłożenia bomby. Dwunastocylindrowy silnik o mocy sześciuset koni mechanicznych umożliwiał uzyskanie prędkości trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Uzbrojony ochroniarz w mundurze polowym siedział z przodu obok kierowcy. Dla większego bezpieczeństwa limuzyna jechała między dwoma terenowymi mercedesami G 55AMG z silnikami o mocy czterystu dziewięćdziesięciu trzech koni mechanicznych. Każdy wioził pięciu ochroniarzy z lekkimi chińskimi pistoletami maszynowymi, które mogły wystrzelić pięćset pocisków na minutę.

Limuzyna i eskortujące ją pojazdy minęły kompleksy wieżowców mieszkalnych oraz eleganckie kluby wokół Oriental Pearl To-

wer, najwyższego budynku tego rodzaju na świecie. Chwilę mknęły wzdłuż brzegu Jangcy, a potem zjechały z autostrady i skierowały się w stronę dzielnic nędzy, kłopotliwego drugiego oblicza największego i najbogatszego miasta Chińskiej Republiki Ludowej. Szanghajskich slumsów unikali nawet najbardziej zdesperowani biedacy.

Samochody skręciły w wąską nieoświetloną ulicę, przejechały przez bramę i zatrzymały się przy opuszczonym ceglany magazynie. Okna budynku zabito deskami, a wokół niego wałały się potłuczone szkło i kawałki drewnianych skrzyń, ale zwieńczone drutem kolczastym siatkowe ogrodzenie pod napięciem, które zaślśniło w blasku reflektorów, było zupełnie nowe.

Z terenówek wysypali się ochroniarze i sformowali kordon między limuzyną a rampą przeładunkową. Goryl na przednim siedzeniu wysiadł i otworzył tylne drzwi, z których wyłonił się pasażer. Ruszył w stronę rampy, a ochroniarz dotrzymywał mu kroku. Kiedy dwaj mężczyźni wspięli się po schodach na platformę, drzwi rozsunęły się cicho.

Weszli do magazynu i drzwi zamknęły się za nimi. Pasażer mercedesa był niskim mężczyzną w szytym na miarę granatowym garniturze, starannie zawiązanym jedwabnym krawacie i półbutach od Testoniego za dwa tysiące dolarów. Trzymał się prosto, niemal jak wojskowy.

Siwe włosy z równym przedziałkiem po lewej stronie i okulary w czarnych plastikowych oprawkach sprawiały, że Wen Lo wyglądał raczej na bezbarwnego, dobrodusznego recepcjonistę w trzygwiazdkowym hotelu niż szefa konsorcjum finansowego i handlu nieruchomościami, hazardem i dystrybucją narkotyków na światową skalę.

W magazynie czekali trzej mężczyźni w niebieskozielonych szpitalnych kombinezonach i dwaj uzbrojeni strażnicy w jasnobrązowych mundurach ochrony. Przy szerokich skórzanych pasach mieli paralizatory, pistolety i pałki.

Łysiejący mężczyzna o szczurzej twarzy ubrany jak chirurg w sali operacyjnej wystąpił naprzód i się uklonił.

- To dla nas zaszczyt gościć pana.

Wen Lo odpowiedział ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

- Jak idzie praca, doktorze Wu? - zapytał.
- Robimy postępy - odrzekł Wu z zapalem.

Chociaż usta Wen Lo rozciągnęły się w uśmiechu, jego oczy pozostawały poważne.

- Proszę mi je pokazać, doktorze Wu - zażądał.
- Zrobię to z przyjemnością.

Wu poprowadził gościa i jego osobistego ochroniarza przez dwie śluzy powietrzne i dalej krótkim korytarzykiem do grubych szklanych drzwi. Na jego znak strażnik nacisnął przycisk elektrycznego zamka, otwierając je. Wu, Wen Lo i ochroniarz weszli do bloku więziennego. Rząd stalowych drzwi z małymi prostokątnymi okienkami ciągnął się po obu stronach korytarza.

Kiedy szli między nimi, doktor Wu powiedział:

- W każdej celi są po cztery osoby, mężczyźni i kobiety od dzielnie. Cały czas mamy komplet.

Kilkoro więźniów zbliżyło twarze do zakratowanych okienek i zawołali do Wu i jego gości, żeby im pomogli. Wen Lo zwrócił się do lekarza.

- Skąd są te króliki doświadczalne? - zapytał obojętnym tonem.

Doktor Wu otrzymywał wystarczająco dobre wynagrodzenie za

swoją pracę, by móc sobie pozwolić na duże mieszkanie z widokiem na Jangcy w nowym wieżowcu oraz kupowanie najmodniejszych strojów żonie i kochance, ale przekonywał samego siebie, że jego badania służą ludzkości. To, co robił, wymagało od niego ukrywania człowieczeństwa pod maską nieangażowania się. Chłód w głosie Wen Lo zaszokował go jednak. Ostatecznie był lekarzem.

- My, profesjonaliści, wolimy nazywać ich „przypadkami” - odparł.
- Rozumiem, doktorze Wu. Te „przypadki” na pewno doceniają pański profesjonalizm, ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- Przepraszam. Wokół laboratorium są gęsto zaludnione slumsy, więc łatwo jest ich zwabić obietnicą jedzenia i pieniędzy. Wybieramy tylko tych w stosunkowo dobrej kondycji fizycznej. Mieszkańcy slumsów rzadko zgłaszają czyjeś zaginięcie, a policja prawie nigdy nie wszczyna dochodzeń.

- Niech mi pan pokaże następny etap - rozkazał Wen Lo. - Więzienia już widziałem.

Przeszli do pomieszczenia z czarnymi ścianami. Połowa jednej była szklana jak na oddziale położniczym. Za szybą stało kilka szpitalnych łóżek na kółkach, wszystkie zajęte i otoczone przezroczystymi cylindrami. Większość osób leżała spokojnie, ale niektórzy wiercili się pod mocno naciągniętym przykryciem. Postacie w białych skafandrach ochronnych poruszały się jak duchy między łózkami, patrząc na monitory elektroniczne i sprawdzając kroplówki.

- To jedna z kilku izb chorych - wyjaśnił Wu. - Pacjentom wstrzyknięto nowy patogen. Przechodzą kolejne stadia zakażenia wirusowego. Chociaż zarazek jest przenoszony przez wodę, może się rozprzestrzeniać również przez dotyk. Jak widać po ubiorach personelu i odizolowaniu pacjentów od otoczenia, stosujemy wszelkie środki ostrożności, by choroba nie wydostała się poza sale.

- Gdyby tych pacjentów pozostawić własnemu losowi, zmarliby?

- Tak, w ciągu doby choroba by się rozwinęła, a zawsze jest śmiertelna.

Wen Lo życzył sobie zobaczyć kolejny etap.

Ruszyli innym korytarzem, przeszli przez kolejne śluzy powietrzne i znaleźli się w drugim pomieszczeniu obserwacyjnym, podobnym do pierwszego. W sali za szybą stało osiem łóżek. Zajmowali je czterej mężczyźni i cztery kobiety. Ich twarze wyglądały jak wyrzeźbione z mahoniu. Mieli zamknięte oczy i trudno było określić, czy są żywi, czy martwi.

- To trzeci etap - powiedział Wu. - U pacjentów wystąpiła ciemna wysypka, typowa przy zarażeniu tym wirusem, ale jeszcze żyją.

- Nazywa pan te warzywa żywymi ludźmi?

- Przyznaję, że byłoby dla nich lepiej, gdyby umarli, ale nadal oddychają i mają zdrowe narządy wewnętrzne. Eksperymentalna kuracja pomaga.

- Chciałby pan zostać zarażony i być leczony swoją metodą, doktorze?

Zawołowana groźba nie uszła uwagi Wu. Poczul, jak pot spływa mu po plecach między łopatkami.

- Nie. Lek trzeba jeszcze udoskonalić. Ten wirus jest zdumiewający! Jego zdolność błyskawicznej adaptacji do każdego sposobu leczenia, jaki wypróbujemy, ogromnie utrudnia nam zadanie, ale nie przesądza sprawy.

- Innymi słowy, poniósł pan porażkę.

Uśmiech Wen Lo nie ocieplił jego lodowatego spojrzenia.

- Sukces wciąż jest możliwy - odrzekł lekarz. - Ale to potrwa. Nie wiem, jak długo.

- Mamy mało czasu, Wu.

Doktor Wu nie przeoczył faktu, że gość pominął jego tytuł naukowy. Wiedział, że jest skończony. Zaczął mówić coś o jeszcze jednej szansie, ale Wen Lo pomachał mu palcem przed nosem.

Wu omal nie zemdleł, wtedy jednak Wen Lo klepnął go w plecy i rzekł:

- Bez obaw, doktorze. Doceniamy pańskie wysiłki. Jesteśmy bliscy stworzenia bardzo obiecującego leku w naszym zagranicznym ośrodku. Pojedzie pan tam i dopilnuje, żeby wszystko dobrze poszło.

- Jestem wdzięczny za jeszcze jedną szansę. - Wu odetchnął z ulgą. - Kiedy będę mógł zacząć testy?

- Nie ma na nie czasu - odparł Wen Lo. - Muszą panu wystarczyć symulacje komputerowe. - Spojrzał na postacie w łózkach. - Trzeba się ich pozbyć. Tamtych w celach też. Sami trafimy do wyjścia.

Kiedy gość i jego ochroniarz zniknęli, doktor Wu zerknął przez szybę na nieruchomych chorych i westchnął ciężko. Przeprowadzał eksperymenty na pięćdziesięciu osobach i większość z nich czekała śmierć, pozostawała więc jedynie kwestia usunięcia ciał. Ale ci w bloku więziennym stanowili poważny problem. Zapowiadała się brudna robota. Wrócił do głównego laboratorium, żeby poinformować personel, jakie otrzymali zadanie.

Godzinę później Wen Lo wjechał windą na ostatnie piętro budynku Przedsiębiorstwa Handlowego Piramida, gdzie miał luksusowy apartament biurowy. Wsiadł z windy i ruszył do ogromnego gabinetu urządzonego w stylu empire.

Całą jedną ścianę zajmowały okna od podłogi do sufitu, ale nie zwrócił uwagi na światła Szanghaju. Stał przed wysoką ścienną szafką i wypowiedział hasło. Gdy ukryty mikrofon przekazał je do urządzenia identyfikującego głos, szafka przesunęła się w bok, odsłaniając metalowe drzwi.

Wen Lo przycisnął dłoń do czytnika linii papilarnych. Drzwi otworzyły się ze szcęknięciem i ukazało się idealnie okrągłe pomieszczenie o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych. Stały tam tylko plastikowo-aluminiowy stolik i trzy krzesła, a z sufitu zwisały lampy w kształcie stożków. Zwodnicza nijakość pokoju maskowała jego funkcję supernowoczesnego centrum telekomunikacyjnego ze skomplikowanym systemem mikrofonów, projektorów, nadajników i odbiorników w ścianach i suficie.

Wen Lo usiadł na wyściełanym krześle, spojrzął przez stolik na dwa pozostałe i powiedział jedno słowo:

- Zaczynamy.

Diody w suficie przygasły, tylko stożkowy snop światła padał na każde krzesło. Powietrze w jednym snopie zafalowało jak mocno rozgrzane, pociemniało od wirujących drobin i ukazała się niewyraźna sylwetka, najpierw bezpostaciowa, potem bardziej kształtna, gdy zarysowały się ramiona i wreszcie głowa. Następnie pojawiły się szczegóły: rysy twarzy, tułów i ubranie. Wen Lo patrzył na trójwymiarowy obraz laserowy mężczyzny, tak rzeczywisty, że niemal mógł go dotknąć.

Mężczyzna wyglądał jak lustrzane odbicie Wen Lo, co nie było zaskakujące, gdyż stanowili dwie trzecie trojaczków. Mieli takie same wysokie czoła, krzaczaste brwi i nieprzeniknione oczy, ale hologram był ogolony na łyso i podczas gdy Wen Lo nie sprawiał wrażenia groźnego, jego brat miał twarz bandziora, a grymas ust wskazywał na ledwo hamowaną brutalność.

- Dobry wieczór, bracie Czang - odezwał się Wen Lo.

- Dobry wieczór, bracie Wen Lo. Numer Jeden zaraz do nas dołączy.

Powietrze pod trzecią lampą zafalowało i krzesło zajął holograficzny obraz mężczyzny w czerwonej jedwabnej szacie i okrągłym

kapeluszu z wysokim rondem. Miał pociągłą twarz, łukowate brwi, wydatne czoło, chytre zielone kocie oczy i długie cienkie wąsy opadające poniżej podbródka.

Wen Lo klasnął, kiedy go rozpoznał.

- Brawo! Doktor Fu Manchu, jeśli się nie mylę.

Hologram zachichotał.

- Gratuluję, Wen Lo. Patrzysz na mistrza zbrodni, który przy gotowaniu się do rzucenia żółtej zarazy przeciwko cywilizowanym narodom świata.

Jedwabiste uosobienie zła było iluzją wyrzeźbioną w świetle przy użyciu najnowszej techniki komputerowej i laserowej. Chociaż postać chińskiego arcyzłoczyńcy wydawała się cielesna, nie miała więcej materii niż bohater powieściowego cyklu stworzony przez Saxa Rohmera. Systemem, który sprowadzał trojaczki na ich spotkania, można było manipulować, wykorzystując dane o postaciach prawdziwych lub fikcyjnych, by uzyskać żądany obraz. Poprzednim zebraniom przewodniczyły takie tuzy, jak Mao Zedong czy Czyngis-chan.

Wprawdzie Fu Manchu był iluzją stworzoną przez elektroniczną ektoplazmę z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, ale głos arcyłotra należał do człowieka z krwi i kości, kierującego przestępczym imperium, o jakim bohater Rohmera mógłby tylko marzyć.

Zgodnie z tradycją starych jak świat organizacji przestępczych znanych jako triady, trojaczkom stojącym na ich czele nadawano numery zależne od kolejności narodzin. Wen Lo był Dwójką i prowadził przedsiębiorstwa triady za cienką zasłoną powszechnego szacunku. Czang - Trójka - odpowiadał za globalną sieć bezpieczeństwa, łącznie z gangami w chińskich dzielnicach wszystkich dużych miast. Człowiek ukryty za maską Fu Manchu pełnił funkcję naczelnego dyrektora. Nadzorował wszelkie przestępcze i legalne przedsięwzięcia, do czego zobowiązywał go numer Jeden.

- Podobał mi się facet od brudnej roboty z wojen tajnych sto warzyszeń - powiedział Czang.

- Nic dziwnego, skoro tak skutecznie rządysz naszymi specami od takiej roboty - odparł Fu Manchu. - Aczkolwiek zabrakło ci tej skuteczności podczas wyprawy na Bermudy. Doktor Kane uciekł z dna oceanu.

- Nasza maszyna przecięła linię batysfery. Nikt nie mógł jej uratować na takiej głębokości.

- A jednak ktoś tego dokonał. Nazywa się Kurt Austin. W telewizji podają, że jest inżynierem z NUMA. No i jak wyjaśnisz nieudany atak na ich statek?

Czang się nachmurzył.

- Napotkaliśmy niespodziewany opór - odparł.

- Nie możemy sobie pozwolić na więcej potknięć. Nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji, gdybyś lepiej pilnował spraw w swoim laboratorium, Wen Lo.

Trzeciego z trojaczków bawiła konsternacja brata, ale teraz sam zaczął wiercić się na krześle pod lodowatym spojrzeniem arcyłotra.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność - rzekł. - Ochroniarz z laboratorium, który przeniósł wirusa do swojej rodzinnej prowincji, nie zastosował się do instrukcji bezpieczeństwa. Zaostrzyłem przepisy i zabroniłem podróży członkom ochrony.

- Czy choroba rozprzestrzeniła się dalej? - spytał Fu Manchu.

- Wydostała się poza rejon objęty kwarantanną. Rząd usiłuje ją powstrzymać.

- Niedobrze - stwierdził Fu Manchu. - Planowaliśmy uwalniać wirusa wybiórczo, kiedy już będziemy mieli szczepionkę przeciwko niemu. Staramy się osłabić pozycję rządu i wzmocnić własną, a unicestwienie rasy ludzkiej przyniosłoby efekt przeciwny do zamierzonego, nie uważacie?

- Rozwiązałoby problem kontroli urodzeń w naszym kraju - spróbował zażartować Wen Lo.

- Na pewno. Niestety, jesteśmy częścią jego społeczeństwa. Wiadomo coś o doktorze Kanie?

- Sprawdziliśmy Bonefish Key - odparł Czang. - Nie wrócił. Czuwamy, ale przepadł bez śladu.

- Jego zniknięcie nie martwi mnie tak bardzo jak to, że mógł się zorientować, że jest celem. I co gorsza, podzielić się tym z innymi. Na szczęście nie jest już niezbędny do realizacji projektu. Ale nie można dopuścić do wznowienia pracy w Bonefish Key.

- Jediną osobą poza Kane'em, która może zrekonstruować projekt, jest doktor Song Li, przedstawicielka Chin oddelegowana do pracy z amerykańskimi naukowcami - powiedział Czang. - Pozbędziemy się jej.

- Tylko szybko i dyskretnie - zastrzegł Fu Manchu. - Co ze szczepionką, bracie Wen Lo?

- Wkrótce będzie gotowa, co umożliwi nam przejście do następnego etapu. Kazałem zlikwidować nasze laboratorium wraz z zawartością.

- Bardzo słusznie. To wszystko?

- Na razie - odparł Wen Lo.

Fu Manchu spuścił głowę i splótł ręce. Jego twarz zaczęła się rozpadać na wirujące drobiny, które z ciemnych stały się jasne, po czym zniknęły. Chwilę później drugi hologram przestał być widoczny.

Wen Lo wstał i wyszedł z pustego pokoju. Miał dużo do zrobienia.

Czang pozostał na swoim krześle i dumał. Po nieudanym ataku na statek NUMA wsiadł do szybkiej motorówki i wrócił na ląd. Wynajął prywatny odrzutowiec i poleciał do Stanów Zjednoczonych. Miał papiery przedstawiciela handlowego i podczas holograficznego spotkania z braćmi był w magazynie w Wirginii, który służył triadzie za przykrywkę.

Po chwili namysłu odwrócił się do komputera i wpisał nazwisko Kurta Austina. Wyświetliła się strona internetowa NUMA z krótką informacją, że Austin jest inżynierem, i z jego zdjęciem.

Czang wpatrywał się w bystre niebieskie oczy i uśmiech, który wydawał się z niego drwić. Wcisnął przycisk wyłącznika, a gdy twarz Austina zniknęła, zmiażdżył wzrokiem pusty ekran.

Kiedy następnym razem spotkam Kurta Austina, przysięgł sobie Czang, to zniknie na zawsze.

16

Kuter Bermudzkiej Straży Przybrzeżnej szybko zareagował na SOS kapitana Gannona. Na widok ciał i łusek po pociskach na pokładzie rufowym strażnicy natychmiast wezwali Morską Służbę Policyjną. Po kilku godzinach do „Beebe'a” dobiła łódź z ekipą śledczą.

Sześciuosobowy zespół, który wszedł na statek, wyglądał jak grupa chłopców parkingowych sprzed hotelu w Nassau. Z wyjątkiem nadinspektora Colina Randolpha z wydziału kryminalnego, wszyscy byli w identycznych granatowych bermudach, cienkich niebieskich koszulkach i podkolanówkach. Jako oficer, Randolph miał prawo nosić białą koszulę.

Mężczyźni w schludnych mundurach ostro kontrastowali z Gannonem, który przywitał ich w piżamie. Zaprowadził nadinspektora i jego ludzi na pokład rufowy, gdzie przedstawił Randolpha Austinowi i Zavalii, rozmawiającym z członkami załogi o nocnych wydarzeniach.

Nadinspektor uściskał dłonie przedstawicielom NUMA i popatrzył na leżące wśród łusek zwłoki. Miał okrągłą twarz, około czterdziestu pięciu lat i śpiewną wymowę, która zdradzała, że pochodzi z Barbadosu.

Wydał policzki jak ryba najeżkkształtna i wykrzyknął:

- Dobry Boże! To wygląda jak pole bitwy. - Zerknął na podziurawiony kulami wrak Olbrzyma. - A to co?

- To jest, a raczej był zdalnie sterowany pojazd podwodny przeznaczony do poruszania się po dnie oceanu - wyjaśnił Zavalę.

- Hm... Sądząc po wyglądzie, nieprędka znów będzie na chodzie. - Randolph pokręcił głową. - Co się z nim stało?

- Austin - Joe wskazał przyjaciela - użył pojazdu jako osłony i bandyci wystrzelali go spod niego.

Nadinspektor zerknął badawczo najpierw na Austina, a potem na Zavalę. Nie dopatrzwszy się w ich minach oznak, że Joe żartuje, kazał swoim ludziom otoczyć miejsce zdarzenia żółtą taśmą policyjną.

- Byłbym wdzięczny - zwrócił się do kapitana - gdyby zechciał mi pan opowiedzieć, co zaszło na pańskim statku tej nocy.

- Bardzo chętnie - odparł Gannon. - Około trzeciej nad ranem czterej uzbrojeni mężczyźni dostali się na pokład z małej łodzi i wyrwali mnie ze snu. - Skubnął przód pizamy. - Jak pan widzi, nie spodziewałem się towarzystwa. Szukali doktora Maxa Kane'a, naukowca zaangażowanego w projekt wypróbowania batysfery.

- Wyjaśnili, czego od niego chcą?

Gannon wzruszył ramionami.

- Dowodził nimi odrażający facet z ogoloną głową. Kiedy mu powiedziałem, że Kane opuścił statek, kazał mi zebrać całą załogę i zagroził, że wszystkich zabije. Zrobiłby to, gdyby Kurt i Joe nie wkroczyli do akcji.

Randolph odwrócił się do Austina i Zawali:

- Więc to wy jesteście odpowiedzialni za to pobojuwisko?

- Nie mieliśmy wielkiego wyboru - odparł Austin.

- Czy na wszystkich statkach badawczych NUMA jest uzbrojona ochrona? - zainteresował się nadinspektor.

- Joe i ja początkowo nie byliśmy uzbrojeni. Pożyczyliśmy broń od bandytów. I nie jesteśmy ochroniarzami, tylko inżynierami. Realizowaliśmy projekt „Batysfera 3”.

Austin równie dobrze mógłby powiedzieć, że jest z Francji, jak Stożkogłowi w starej komedii pod tym tytułem.

Randolph jeszcze raz omiół wzrokiem miejsce zdarzenia. Przygryzał dolną wargę, jakby miał trudności z pogodzeniem widoku zakrwawionego pokładu z wyjaśnieniem Austina.

- Inżynierami - powtórzył beznamiętnie, po czym odchrząknął i zapytał: - Jakimi?

- Moja specjalność to nurkowanie głębinowe i ratownictwo morskie - odparł Kurt. - Joe konstruuje i pilotuje pojazdy podwodne. To on zbudował naszą batysferę.

- I wy, dwaj inżynierowie, pokonaliście bandę napastników, zabijając dwóch z ich własnej broni?

- Trzech - sprostował Austin. - Jest jeszcze jedno ciało, na mostku.

- Mieliśmy fart - dodał Zavala, jakby to wszystko wyjaśniało.
- A co się stało z czwartym bandytą, tym z ogoloną głową? - zapytał nadinspektor.

- On też miał fart - odparł Austin. - Uciekł.

Randolph był absolwentem akademii policyjnej i doświadczonym gliniarzem, ale nawet niewykształcony obserwator dostrzegłby coś niezwykłego w tych dwóch inżynierach z NUMA. Barczysty Austin sprawiał wrażenie rozluźnionego i miał sympatyczną twarz o otwartym spojrzeniu intensywnie niebieskich oczu. A przystojny Zavala wyglądał jak bohater hollywoodzkiego filmu płaszcza i szpady.

- Czy to mogli być piraci? - zapytał policjant. - Bermudy żyją z turystyki, pogłoski o piractwie mogłyby być bardzo szkodliwe.

- Akt piractwa jest możliwy, ale mało prawdopodobny - odpowiedział Austin. - To nie Somalia, a tych facetów nie interesowała aparatura naukowa, o którą zwykle chodzi piratom, kiedy napadają na statki badawcze. Wiedzieli, że doktor Kane był na pokładzie, i szukali go.

- Dzięki Bogu! W takim razie zarejestruję to jako odosobniony atak.

- Czy Straż Przybrzeżna wpadła na jakiś trop? - spytał Austin.

- Przeczesał rejon wokół statku i nadal będą się tu rozglądali. Przypuszczam, że łódź sprawców dawno zniknęła. Chciałbym mieć pełne zeznania panów i wszystkich członków załogi. Mogę jakoś złapać doktora Kane'a?

- Nie wiemy, gdzie teraz jest - odparł Gannon. - Ale spróbujemy się z nim skontaktować.

- Proszę to zrobić, kapitanie. Mógłby pan również przygotować listę wszystkich na pokładzie.

- Zaraz się tym zajmę, nadinspektorze. Może pan prowadzić przesłuchania w mesie.

- Bardzo dziękuję za współpracę, kapitanie.

Kiedy Gannon odszedł, Randolph zwrócił się do Austina i Zavali:

- Ponieważ tak dobrze znacie panowie wypadki ostatniej nocy, chyba nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żeby złożyć zeznanie jako pierwsi?

- Chętnie opowiemy panu całą historię - zapewnił Austin.
Uścisnęli sobie dłonie. Wracając do swojej ekipy, nadinspektor mruknął pod nosem:

- Inżynierowie, dobre sobie.

Austin zaproponował Joemu, żeby pierwszy poszedł na przesłuchanie, a on tymczasem spróbuje złapać Kane'a. Oddalił się od krzątaniny na pokładzie rufowym, zadzwonił z komórki do informacji telefonicznej i spytał o numer Ośrodka Morskiego Bonefish Key. Wygenerowany komputerowo głos oznajmił, że numer jest zastrzeżony, i odesłał go na stronę internetową ośrodka.

Austin wybrał inny numer ze swojej listy.

Po chwili usłyszał niski kobiecy głos.

- Cześć, Kurt - powiedziała Gamay Morgan-Trout - gratulacje. Oglądaliśmy z Paulem nurkowanie batysfery w telewizji, dopóki transmisja się nie urwała. Jak wrażenia ze słonej głębi?

- Niezapomniane. Opowiem o tym przy okazji. Przepraszam, że przerywam wam urlop, ale muszę was poprosić o przysługę. Chodzi mi o to, żebyście skombinowali zaproszenie do laboratorium morskiego Bonefish Key na Florydzie. Unikają gości, ale jeśli ktokolwiek potrafi się tam dostać, to właśnie wy.

- Czy to nie dyrektor Bonefish Key nurkował w B3 razem z Joem?

- Tak. Nazywa się Max Kane, ale nie liczcie na pomoc z jego strony.

- Spróbuję, Kurt. Czego konkretnie mam szukać?

- Nie wiem. Wypatruj po prostu czegoś nietypowego. Gamay zachichotała.

- Uwielbiam precyzję twoich poleceń, Kurt.

- Jest taki kurs dla menedżerów o nazwie Chroń Swój Tyłek. Pierwsza ze stu jeden zasad ChST brzmi: jeśli coś pójdzie źle, to nie twoja wina. Zadzwonieć do mnie, kiedy ty albo Paul dostaniecie się do Bonefish Key. Zostaniemy z Zawałą na „Beebie” jeszcze dzień lub dwa.

Austin się rozłączył i podszedł do relingu. Niechętnie przerwał Paulowi i Gamay urlop naukowy, ale dopóki on i Zawała byli uwi-

klani w policyjne śledztwo, Troutowie musieli być oczami i uszami zespołu.

Popatrzył na blask porannego słońca na wodzie. Czasami żartował, że jest dotknięty syndromem Neptuna. Spędził na oceanie i pod jego powierzchnią taki kawał życia, że czuł się właścicielem dwóch trzecich kuli ziemskiej pokrytych wodą.

Opracował projekt „Batysfera 3”, żeby wpoić szacunek do morza młodym ludziom, którzy pewnego dnia staną się opiekunami oceanów.

Anonimowy organizator ataków niemal to zniweczył.

Kurt znał własne możliwości. Był zwykłym śmiertelnikiem i w przeciwieństwie do Neptuna nie mógł wywołać sztormu jednym ruchem trójzęba.

Złoty błysk pojawił się w jego oczach i zacisnął usta w niewesołym uśmiechu.

Nie ma trójzęba, ale już wiele razy pokazał, że potrafi rozpętać piekło. Nie mógł się doczekać, żeby zejść ze statku i zatrząść murami Hadesu.

17

Paul Trout prowadził wykład na temat globalnego ocieplenia, gdy zawibrowała jego komórka. Natychmiast sięgnął do kieszeni sportowej marynarki, wyłączył telefon i wyświetlił następny wykres na ekranie projekcyjnym. Po chwili usłyszał za plecami cichy śmiech, odwrócił się więc, ciekaw, co może być zabawnego w diagramie kołowym zasolenia oceanów.

Nikt nie patrzył na wykres. Wszyscy przyglądali się atrakcyjnej rudej kobiecie w bikini, która stała na trawniku przed oknem i, podskakując, machała komórką.

Trout opuścił głowę, jakby spoglądał nad okularami w głębokim zamyśleniu, i poprawił dużą, kolorową muszkę pod szyją.

- Co to za zakręcona kobieta? - spytał któryś ze studentów i zarechotał.

Trout uśmiechnął się niepewnie.

- Obawiam się, że to moja żona. Proszę mi wybaczyć.

Szmer niedowierzania towarzyszył jego wyjściu z sali, ale Trout

zdażył się przyzwyczaić do takich reakcji. Był przystojnym młodym mężczyzną o dużych piwnych oczach i jasnobrązowych włosach z równym przedziałkiem pośrodku, zaczesanych do tyłu w stylu Gatsby'ego. W szytym na miarę garniturze, który doskonale leżał na jego ponaddwumetrowej sylwetce, wyglądał bardzo elegancko. Chociaż więc nie brakowało mu poczucia humoru, ludzie często uważali, że jego powściągliwość nie pasuje do gwałtownego temperamentu jego żony.

Na korytarzu Trout zerknął na swój telefon i zobaczył wiadomość tekstową: „Możesz rozmawiać?”

Wcisnął klawisz pamięci, żeby oddzwonić.

- Dałaś niezłe przedstawienie podczas mojego seminarium na temat zmiany klimatu - powiedział z akcentem, który zdradzał, że pochodzi z Nowej Anglii. - Ubiegasz się o przyjęcie do zespołu tanecznego?

W słuchawce zabrzmiał kobiecy śmiech.

- Dzwoniłam do ciebie, ale nie odbierałeś telefonu, *Herr Professor* - odparła Gamay. - Machałam rękami przed twoim oknem, dopóki nie zabrakło mi tchu. A że mam na sobie bikini po porannym nurkowaniu, w desperacji zdjęłam sukienkę i pokazałam trochę ciała. Najwyraźniej z dobrym skutkiem.

Paul uśmiechnął się szeroko.

- Fakt - przyznał. - Wszystkim facetom w sali temperatura ciała wzrosła o co najmniej pół stopnia. Twój striptiz mógł wywołać nową falę globalnego ocieplenia.

- Przepraszam - odparła lekko - ale dzwonił Kurt. On i Joe są jeszcze na „Beebie”.

- Kurt? Dopiero teraz mi to mówisz? Jak poszło nurkowanie w batysferze?

- Powiedziała mu, że oglądaliśmy je w telewizji, dopóki trwała transmisja. Wspomniał o niezapomnianych wrażeniach.

- Co miał na myśli?
- Obiecał, że później to wytłumaczy. Ale nasz pobyt w Scrippsie dobiegł końca. Kurt chce, żeby któreś z nas wybrało się na Florydę i przyjrzało bliżej Ośrodkowi Morskiemu Bonefish Key.
- Skąd zainteresowanie Bonefish?
- To też ma wyjaśnić później. Chce, żebyśmy tam powęszyli i dali mu znać, jeśli wpadnie nam w oko coś „nietypowego”.
- Nie bardzo mogę urwać się wcześniej - rzekł Paul. - Zobowiązałem się do prowadzenia wykładów jeszcze przez dwa dni.
- Na szczęście już zakończyłam nurkowania badawcze - oświadczyła Gamay - więc spokojnie rób swoje, a ja polecę na Florydę. Dołączysz do mnie.

Paul zerknął na zegarek.

- Porozmawiajmy o tym przy lunchu - zaproponował. - Spotkamy się w stołówce, jak uspokoję moją grupę.

Nie był zaskoczony sposobem zwrócenia na siebie uwagi przez Gamay, niekonwencjonalnym, ale typowym dla jej zaradności i śmiałości. Chociaż jej otwartość kontrastowała z jego powściągliwością, natychmiast przypadli sobie do gustu, gdy spotkali się w Instytucie Oceanograficznym Scrippsa w La Jolla w Kalifornii. Paul przygotowywał się do doktoratu z oceanologii, a Gamay przeniosła zainteresowania z archeologii na biologię morską i też była doktorantką.

Poznali się bliżej na zajęciach terenowych zorganizowanych przez Instytut w La Paz w Meksyku i pobrali po uzyskaniu dyplomów rok później. Ówczesny szef NUMA James Sandecker dostrzegł ich niezwykle talenty i zaproponował im pracę w zespole specjalnym kierowanym przez Austina. Gdy po wykonaniu poprzedniego zadania zostali zaproszeni do Scrippsa, chętnie skorzystali z okazji. Między seminariami a nurkowaniami odwiedzali znajome miejsca i spotykali się ze starymi przyjaciółmi.

Trout zignorował uśmiechy, które go powitały, kiedy wrócił do sali, i dokończył prezentację. Żona czekała na niego w stołówce. Odetchnął z ulgą, widząc, że włożyła sukienkę.

Gamay była wielką fanatyczką aktywności fizycznej i zdrowego odżywiania, ale w kampusie serwowano niemal wyłącznie

wysokokaloryczne potrawy. Umoczyła frytkę w kałuży keczupu i wsunęła do ust.

- Dobrze, że stąd wyjeżdżam - oznajmiła. - Przytyłam chyba z dziesięć kilo, odkąd tu jesteśmy.

Paul przewrócił oczami. Gamay co dzień wstawiała o szóstej i przebiegała osiem kilometrów, więc nawet najtłustsze potrawy nie mogły zaszkodzić jej sylwetce. Choć miała prawie metr osiemdziesiąt, ważyła tylko pięćdziesiąt dziewięć kilogramów, a jej ciało składało się głównie z mięśni.

Spojrzał na wysoką szklanę mrożonego koktajlu mleczno-truskawkowego.

- Może nie powinnaś tego pić.

Gamay odgarnęła kosmyk rudych włosów z czoła i uśmiechnęła się, odsłaniając niewielką przerwę między przednimi zębami.

- To ostatni... przyrzekam.

W jej oczach pojawił się wyraz rozmarzenia, gdy pociągnęła duży łyk.

- Łatwo ci będzie dotrzymać przyrzeczenia, bo wyjeżdżasz. Co wiesz o Bonefish Key?

Starła serwetką różowe wąsy z górnej wargi i odparła:

- Tylko to, co wyczytałam w pismach naukowych i Internecie. Ośrodek znajduje się na zachodnim wybrzeżu Florydy. Dokonali kilku wynalazków w dziedzinie biomedycyny i je opatentowali. Zainteresowanie poszukiwaniami w przyrodzie tego, co mogłoby leczyć choroby, jest coraz większe.

- Jakiś czas temu spotkaliśmy takich poszukiwaczy w amazońskiej dżungli.

- No właśnie - przytaknęła Gamay. - Tyle że ocean może być o wiele bogatszym źródłem surowców do produkcji farmaceutyków niż las tropikalny. Organizmy żyjące w morzu są znacznie bardziej dynamiczne od tych na lądzie.

Paul zmarszczył czoło.

- Skoro Kurta tak interesuje ten ośrodek morski, dlaczego nie wykorzysta znajomości z Kane'em? - spytał.

- Zadałam mu to samo pytanie. Powiedział, żebyśmy nie liczyli na pomoc Kane'a i że...

- Wyjaśni to później - dokończył Paul. Udała zdumienie.
- Skąd wiedziałeś? Czyżbyś był jasnowidzem? Przyłożył palec wskazujący do skroni i przymknął powieki.
- Wyraźnie widzę, że zamierzasz mnie poczęstować resztą twojego koktajlu truskawkowego.
Zachichotała i podsunęła mu szklanę.
- Jak, twoim zdaniem, powinniśmy to rozegrać? - spytała, poważniejąc.
- Mogłabyś załatwić wizytę w ośrodku za pośrednictwem NUMA.
- Prawdopodobnie, ale nie wiem, czy podczas takiej wizyty udałoby mi się zobaczyć coś osobliwego.
Paul skinął głową.
- Pewnie nie. Zostałabyś potraktowana jak VIP, oprowadzona przez kogoś od public relations, poczęstowana kawą i uprzejmie pożegnana. A Kurt najwyraźniej chce, żebyśmy zajrzeli za kulisy.
- No właśnie. Potrzebuję innego dojścia i chyba wiem, gdzie mogę je znaleźć.
- Gdy będziesz się tym zajmowała, spróbuję zarezerwować ci miejsce w jakimś samolocie na Florydę.
Paul poszedł do swojego biura, żeby zabukować bilet, a Gamay wybrała się na przystań powiedzieć ekipie nurków, że wyjeżdża. Po powrocie z pokoju w akademiku, który dzieliła z mężem, zadzwoniła do znajomego z Instytutu Scripps. Swoim zwyczajem od razu przeszła do rzeczy.
- Chcę spędzić dobę w Bonefish Key. O ile pamiętam, pracowaliście razem z nimi nad lekami na astmę i artretyzm.
- Zgadza się - potwierdził Stu Simpson, biolog morski. - Większość instytutów, które się tym zajmują, wymienia informacje. Ale Bonefish Key jest dość tajemniczy. Rozmawiałaś z ich szefem, doktorem Kane'em?
- Trudno go złapać.
- Słyszałem, że często przebywa w terenie. Zastępuje go doktor Mayhew. Spotykam go czasami na konferencjach. Nie przyjaźnimy się, ale postaram się pomóc. Mam kumpla w Instytucie

Oceanograficznym Harbor Branch na Florydzie, który dobrze zna Mayhew. Jest mi winien przysługę. Spróbuję ci to załatwić.

Czekając na telefon od Simpsona, Gamay włączyła laptop i ściągnęła wszystkie dostępne informacje o Bonefish Key. Właśnie zaczęła je czytać, gdy zadzwonił doktor Mayhew. Powiedziała mu, że teraz jest w Scrippsie, ale wybiera się na Florydę do przyjaciół i chciałaby odwiedzić laboratorium. Mayhew zapewnił, że docenia zainteresowanie kogoś z NUMA pracą ośrodka, lecz niestety nie mają miejsc dla gości.

- Szkoda - odparła Gamay. - NUMA bez problemu znalazła miejsce dla waszego szefa w B3. Może pan porozmawia z doktorem Kane'em? Na pewno chętnie zrewanżuje się za gościnność NUMA, jeśli pan go poprosi.

- To niemożliwe - rzucił krótko i po chwili dodał: - Mamy wolny pokój gościnny, ale tylko na jutrzejszą noc. Szkoda, że jest pani na drugim końcu kraju.

Gamay dostrzegła szansę i zaatakowała z szybkością kobry.

- Będę u was jutro - oznajmiła.

- Czy warto lecieć taki kawał drogi tylko na jedną noc? - próbował się wykręcić.

- To żaden problem, mogę zmienić plany. Niech będą dwie noce. Jak dostanę się na wyspę?

Mayhew zaniemówił na moment.

- Po wylądowaniu w Fort Myers proszę zadzwonić do niej kiego Dooleya Greene'a. Pracuje dla ośrodka i ma łódź.

Omali się nie rozłączył bez podania jej numeru telefonu Greene'a. Gamay była jednak za cwana na takie sztuczki. Gdy kilka minut później wrócił Paul, pakowała swój worek marynarski.

- Załatwiłaś sprawę? - spytał.

- Jakoś się udało.

Opowiedziała mu, jak przycisnęła Mayhew.

- Sprytnie - odrzekł. - Byłabyś dobrą telemarketerką. Swoją drogą, masz szczęście. Biuro podróży NUMA zarezerwowało ci miejsce w porannym samolocie do Fort Myers. Dołączę do ciebie, jak skończę seminarium.

Przez resztę popołudnia chodzili po kampusie, odwiedzając stare kąty z czasów ich studiów podyplomowych. Po kolacji Gamay dokończyła pakowanie i poszli wcześniej spać. Następnego ranka Paul odwiózł żonę na lotnisko, pocałował ją na pożegnanie i obiecał, że zobaczą się za kilka dni.

Samolot oderwał się od ziemi i wypoziomował na wysokości jedenastu tysięcy metrów. Gamay usadowiła się wygodnie w fotelu, otworzyła laptop i zaczęła czytać o Bonefish Key, wąskim pasie lądu nieopodal Pine Island w Zatoce Meksykańskiej. Na wyspie, pierwotnie zamieszkaney przez Indian, Hiszpanie zbudowali fort i założyli faktorię. Później stała się ośrodkiem rybackim, który ochrzczono angielską nazwą albuli, ryby żyjącej w pobliskich wodach.

Na początku XIX wieku pewien przedsiębiorczy nowojorczyk zbudował tam hotel, ale zniszczył go huragan. Potem wyspa przechodziła z rąk do rąk. Kiedy kolejny huragan udaremnił próbę uczynienia z niej ośrodka turystycznego, właściciel sprzedał ją fundacji nienastawionej na zyski i tak powstało laboratorium badające organizmy morskie o ewentualnej przydatności dla przemysłu farmaceutycznego.

Lot przebiegał bez zakłóceń, więc Gamay zajęła się pisaniem raportu o swojej pracy w Scrippsie. Późnym popołudniem samolot wylądował na lotnisku w Fort Myers. Sprawnie działające biuro podróży NUMA zorganizowało jej transport furgonetką do przystani promowej na Pine Island.

Dwukadłubowa łódź motorowa była przycumowana do nabrzeża. Mężczyzna przy sterze miał siwe włosy i ogorzałą cerę, która tylko częściowo maskowała zmarszczki na jego sympatycznej twarzy.

- Dooley Greene - przedstawił się. - Zapewne wybiera się pani do Bonefish. Wykonuję kursy dla ośrodka, więc oficjalnie witam gości.

Gamay weszła na pokład katamaranu pewnym krokiem osoby, która spędza mnóstwo czasu na łodziach.

- Doktor Morgan-Trout. - Uścisnęła Greene'owi dłoń z siłą, która go zaskoczyła. - Proszę mi mówić Gamay.

- Witam, doktor Gamay. - Nie potrafił pominąć tytułu naukowego, bo mimo bezpośredniości Gamay jej niemal królewska pewność siebie była onieśmielająca. Zachęcony życzliwością pasażerki, dodał: - Ładne imię. Rzadko spotykane.

- Mój ojciec miał bzika na punkcie win. Ochrzcił mnie nazwą swojego ulubionego szczepu.

- Ulubionym trunkiem mojego starego był tani dżin - odparł Dooley. - Chyba powinienem być zadowolony, że nie dał mi na imię Jałowiec.

Odknagował cumę i odepchnął łódź od pomostu. Wyłynęli na zatokę.

- Od dawna pracujesz dla ośrodka? - spytała Gamay.

- Zarządzałem przystanią Bonefish Key Inn, kiedy wszyscy okoliczni rybacy i wodniacy przesiadywali w barze. Ale huragan Charlie zniszczył hotel i właściciel zbankrutował. Wyspę kupił ośrodek morski. Wyremontowali zajazd i doktor Kane poprosił mnie, żebym transportował zaopatrzenie. Początkowo byłem bardzo zajęty, przerzucając personel tam i z powrotem, ale teraz się uspokoilo.

- Wozisz dużo gości?

- Nie. Ludzie z laboratorium nie są zbyt gościnni. Ech, ci naukowcy... - Westchnął, po czym uświadomił sobie, że strzelił gafę, i dodał: - O cholera, przecież pani też jest naukowcem?

- Tak, Dooley, ale gościnnym - odparła z ujmującym uśmiechem. - I doskonale rozumiem, o co ci chodzi. Rozmawiałam z doktorem Mayhew przez telefon.

Green zarechotał, sięgnął do kieszeni koszuli roboczej po wizytówkę i wręczył ją Gamay.

- Nie mieszkam na wyspie - powiedział. - Niech pani po mnie zadzwoni, jak będzie pani chciała wracać. Ale żeby połączyć się z komórki, trzeba wejść na wieżę ciśnień.

- Jak to? Doktor Mayhew dzwonił do mnie z wyspy.

- Bo mają radiotelefon w razie nagłej potrzeby i dla ważniaków.

Łódź zostawiła za sobą otwarte wody i wpłynęła do labiryntu zielonych namorzynów. Gamay czuła się, jakby się zapuszczała w głąb *Jądra ciemności* Conrada. W końcu pokonali zakręt i skierowali się ku wyspie, która wydawała się znacznie bardziej solidna niż jej otoczenie. Szpiczasty szczyt wieży ciśnień, o której wspomniał Dooley, wystawał ponad drzewa jak kapelusz kulisa. Greene przycumował katamaran do małego pomostu i wyłączył silnik.

Trawiaste zbocze prowadziło do patio i werandy budynku z białymi stiukowymi ozdobami. Zaslaniały go częściowo spalone słońcem palmy; lekka bryza przynosiła ich wilgotny zapach. Wzdłuż brzegu brodziła czapla. Chociaż sceneria była bardzo malownicza, Gamay czuła się nieswojo.

- Jak tu cicho - powiedziała szeptem. - Tak cicho, że aż strasznie. Dooley zachichotał.

- Ten bungalow stoi na indiańskim kurhanie - wyjaśnił. - Wyspa należała kiedyś do Indian Calusa, których biali wybili albo zarazili śmiertelnymi chorobami.

- Sugerujesz, że jest nawiedzona?

- Nie ma tu duchów, jeśli o to pani chodzi. Ale wszystko, co na niej powstało, obracało się wniwecz.

Gamay podniosła swój worek marynarski i wspięła się na pomost.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie to dotyczyć mojej krótkiej wizyty.

Próbowała rozwiać ponury nastrój żartem, ale Greene nie uśmiechał się, kiedy wszedł za nią na pomost.

- Witamy w raju, doktor Gamay.

18

Gamay dostrzegła młodą Azjatkę, która szła pomostem w ich stronę.

- Dzień dobry, doktor Li - powiedział Greene. - Przygotowałem pani kajak, zanim zrobiłem kurs na Pine Island.

- Dziękuję ci, Dooley.

Li zerknęła na Gamay, która oceniła jej minę jako ani przyjazną, ani nieprzyjazną. Po prostu obojętną.

- To doktor Morgan-Trout - wyjaśnił Dooley. - Będzie na wyspie parę dni. Mogłybyście powiosłować razem.

- Zapewne - przyznała Li bez zapалу. - Miło mi panią poznać. Życzę przyjemnego pobytu.

Musnęła dłonią wyciągniętą rękę Gamay i poszła dalej.

- Czy doktor Li długo tu jest? - spytała Gamay.

- Od kilku miesięcy - odpowiedział Greene. - Nie mówi wiele o tym, co robi, a ja nie pytam.

Zatrzymał się na końcu pomostu.

- Dalej nie mam wstępu - oznajmił. - Proszę zadzwonić, jak będę potrzebny. I niech pani pamięta, że zasięg jest tylko na szczyt wieży ciśnień.

Gamay podziękowała mu i patrzyła na jego łódź, dopóki nie zniknęła z widoku. Potem podniosła swój worek marynarski i zaczęła wspinać się po schodach. Zanim dotarła do frontowych drzwi bungalowu, te otworzyły się gwałtownie i przeraźliwie chudy mężczyzna w białym fartuchu laboratoryjnym zbiegł z werandy na patio. Podał Gamay sztywno wyciągniętą rękę. Dłoń miał miękką i wilgotną jak śnieżyca ryba.

- Doktor Morgan-Trout, jak mniemam - powiedział ze sztucznym uśmiechem. - Charles Mayhew, zarządca tego domu wariatów pod nieobecność doktora Kane'a.

Gamay przypuszczała, że już od jakiegoś czasu obserwował ją z bungalowu.

- Dziękuję, że udzielił mi pan gościny na wyspie - rzuciła.

Mayhew się rozpromienił.

- Cała przyjemność po naszej stronie - zapewnił. - Nie ma pani pojęcia, jacy byliśmy podekscytowani, kiedy dowiedzieliśmy się, że NUMA zaprosiła doktora Kane'a do nurkowania w batysferze. Oglądałem jego zanurzenie. Szkoda, że transmisja została przerwana.

- Czy będę miała okazję poznać doktora Kane'a? - spytała Gamay.

- Niestety nie. Jest zaangażowany w realizację pewnego projektu w terenie - rzekł Mayhew. - Pokażę pani jej pokój.

Wspięli się po schodkach na werandę, a potem przez szerokie dwuskrzydłowe drzwi weszli do wyłożonego boazerią holu. Za nim znajdowała się duża, słoneczna jadalnia, z ratanowymi krzesłami i stolikami z ciemnego drewna, a dalej mniejsze pomieszczenie o nazwie Dollar Bar, nawiązującej do czasów, kiedy goście podpisywali jednodolarówki i przyczepiali do ściany. Mayhew wyjaśnił, że wszystkie banknoty zdmuchnął huragan.

Pokój Gamay, sąsiadujący z barem, miał drewniane ściany i bardzo skromne umeblowanie, na które składały się stare metalowe łóżko i chyba jeszcze starsza komoda. Drugie drzwi prowadziły na osłonięty ganek z widokiem na wodę za suchymi palmami. Gamay rzuciła swój worek marynarski na łóżko.

- Sprzedaż drinków po niższych cenach zaczyna się o piątej - poinformował Mayhew. - Proszę się rozgościć. Gdyby miała pani ochotę na spacer, to całą wyspę przecinają naturalne ścieżki. Do stęp do kilku stref został wprawdzie ograniczony, żeby uniknąć skażenia z zewnątrz, ale szlaki są wyraźnie oznakowane.

Gdy wyszedł z pokoju, Gamay sięgnęła po komórkę. Chciała zawiadomić męża, że szczęśliwie dotarła do celu, ale przypomniała sobie ostrzeżenie Dooleya, że zasięg jest tylko na wieży ciśnień.

Przeszła ścieżką z rozgniecionych muszli wzdłuż rzędu schludnych domków i dotarła do podnóża wieży. Kiedy wspięła się na platformę na szczycie i złapała sygnał, zawahała się. Paul jest prawdopodobnie na seminarium, a nie chciała mu przeszkadzać. Schowała telefon do kieszeni i się rozejrzała.

Wyspa, mająca kształt zdeformowanej gruszki, należała do archipelagu, który wyglądał z góry jak skupisko dywaników.

Gamay zeszła z wieży i oddychając z trudem w wilgotnym powietrzu, dotarła do gąszcza namorzynów na końcu ścieżki. Tam znów rozejrzała się dookoła, próbując zarejestrować w pamięci sieć szlaków, po czym wróciła do swojego pokoju. Gdy po krzepiącej

drzemce wzięła prysznic i właśnie wycierała się ręcznikiem, usłyszała śmiech. Bar zaczął serwować tańsze drinki.

Włożyła białe szorty i jasnozieloną bawełnianą bluzkę, która podkreślała kolor jej ciemnorudych włosów, i wybrała się do baru. Przy kontuarze i stolikach siedziało kilkanaście osób w fartuchach laboratoryjnych. Kiedy weszła, rozmowy ucichły, jak w westernie, gdy rewolwerowiec pcha wahadłowe drzwi i wkracza do saloonu.

Doktor Mayhew wstał od stolika w rogu, podszedł do Gamay i powitał ją sztucznym uśmiechem.

- Czego się pani napije, doktor Trout? - spytał.
- Poproszę gibsona.
- Czystego czy z lodem?
- Czystego.

Mayhew przekazał zamówienie barmanowi, muskularnemu młodemu mężczyźnie ostrzyżonemu po wojskowemu na jeża. Ten nalał dzinu do szklanki i dodał trzy cebulki na wykałacze.

Mayhew wziął drinka i poprowadził Gamay do swojego stolika. Przedstawił ją czterem siedzącym przy nim osobom i wyjaśnił, że wszyscy należą do personelu naukowego ośrodka.

Jedyna kobieta przy stoliku miała krótkie włosy i ładną, lecz bardziej chłopięcą niż kobiecą twarz. Nazywała się Dory Bennett, była toksykologiem i piła mai tai w wysokiej szklance.

- Co panią sprowadza na tę *Wyspę Doktora Moreau*? - zapytała.
- Słyszałam o tym cudownym barze. - Gamay zerknęła na praktycznie gołe ściany wokół i dodała z poważną miną: - Zdaje się, że dolar nie trzyma się tak mocno jak kiedyś.

Towarzystwo przy stoliku się roześmiało.

- Kobieta naukowiec z poczuciem humoru - stwierdził Isaac Klein, chemik.

- Uważa pan, doktorze Klein, że ja nie mam poczucia humoru? - spytała doktor Bennett. - Jestem zdania, że pańskie prace naukowe są bardzo zabawne.

Przyjacielski żart wywołał kolejną salwę śmiechu.

- Doktor Bennett zapomniała nadmienić - powiedział doktor Mayhew - że wicedyrektor ośrodka to też kobieta: Lois Mitchell.

- Uda mi się ją poznać? - zapytała Gamay.

- Jeśli wróci z... - Bennett urwała w pół zdania. - Nie ma jej... jest w terenie.

- Pracuje z doktorem Kane'em - wyjaśnił Mayhew. - Kiedy Lois przebywa tutaj, wyspa nie jest tak zdominowana przez mężczyzn, jak może się wydawać na pierwszy rzut oka.

Gamay udała, że nie zauważyła, jak Mayhew szturchnął lekko Bennett w ramię.

- To cały personel laboratorium? - spytała, patrząc na inne stoliki.

- Tylko część - odparł Mayhew. - Większość naszych kolegów pracuje w terenie.

- To musi być bardzo duży teren - spróbowała być dowcipna.

Zapadła grobowa cisza.

W końcu Mayhew rzekł:

- Chyba tak.

Zerknął na innych. Uznali jego słowa za sygnał do wymuszonych uśmiechów.

Gamay odniosła wrażenie, że wszyscy są połączeni ze sobą przewodami, a Mayhew trzyma włącznik.

- Spotkałam jeszcze jedną kobietę na pomoście - powiedziała. - Doktor Li, o ile się nie mylę.

- A tak, doktor Song Li - odparł Mayhew. - Nie liczę jej, bo jest naukowcem wizytującym, a nie stałym członkiem personelu. Jest bardzo nieśmiała, nawet jada sama w swoim domku.

Chuck Hallum, szef sekcji immunologicznej, dodał:

- Jest absolwentką Harvardu i jednym z najlepszych immunologów, jakich znam. A skoro już mowa o ludziach spoza wyspy, to co naprawdę sprowadza panią do Bonefish Key?

- Zainteresowanie biologią morską - odrzekła Gamay. - Czytałam o waszych osiągnięciach w dziedzinie biomedycyny. Planowałam odwiedzić przyjaciół w Tampie i nie mogłam przepuścić okazji, żeby tu nie zajrzeć.

- Zna pani historię naszego ośrodka? - zagadnął Mayhew.

- O ile pamiętam, jesteście organizacją non profit finansowaną przez fundację, ale poza tym, niewiele wiem - wyznała Gamay.

- Kiedy doktor Kane zakładał laboratorium - powiedział May hew - dysponował środkami z zapisu absolwentki Uniwersytetu Florydzkiego, która odziedziczyła spory majątek po zmarłej krewnej . Niestety wskutek roszczeń niezadowolonych członków rodziny pieniądze wkrótce się skończyły, więc Kane założył fundację i zaczął zdobywać fundusze z innych źródeł. Miał wizję Bonefish Key jako idealnego ośrodka badawczego z racji oddalenia od pełnego zgiełku uniwersytetu.

Rozległ się dzwonek wzywający na kolację, przenieśli się więc do jadalni, a barman przeistoczył się w kelnera. Podano świeżo złowionego łososia, doskonale przyrządzonego w panierce z orzechów hikory, a do popicia delikatne francuskie sauvignon blanc. Przy posiłku dominowały swobodne tematy, prawie nie wspomniano o pracy na wyspie.

Po kolacji naukowcy wyszli na werandę i patio. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o laboratorium. Kiedy zapadł zmrok, większość udała się do swoich domków.

- Wcześniej kładziemy się spać - wyjaśnił Mayhew - i wstajemy o wschodzie słońca. Zamykamy bar, więc po dziesiątej niewiele się dzieje.

Zadał Gamay jeszcze kilka grzecznościowych pytań o jej pracę w NUMA, potem pożegnał się i powiedział, że spotkają się na śniadaniu. Reszta personelu też odeszła i Gamay została sama na werandzie, otoczona odgłosami subtropikalnej nocy.

Postanowiła zadzwonić do Paula, ruszyła więc do wieży ciśnień tą samą ścieżką co wcześniej. Pokruszone białe muszle lśniły w blasku księżyca. Zaczęła wspinać się na wieżę, lecz przystanąła w pół kroku. Z platformy dochodził kobiecy głos. Język brzmiał jak chiński.

Rozmowa skończyła się po minucie czy dwóch i Gamay usłyszała nad sobą ciche kroki. Wycofała się i ukryła za palmą. Zobaczyła, jak doktor Li schodzi po drabinie i oddala się szybko ścieżką.

Gamay poszła dróżką prowadzącą do domków. Tylko w jednym paliło się światło, ale i ono wkrótce zgasło. Patrzyła na domek i zastanawiała się, co Nancy Drew zrobiłaby w takiej sytuacji.

Postanowiła wrócić na wieżę ciśnień. Tam zostawiła Paulowi wiadomość głosową, że dotarła szczęśliwie do celu, po czym powędrowała z powrotem do pokoju.

Usiadła na osłoniętym ganku i podsumowała wrażenia z kilku godzin pobytu na wyspie. Miała dobrą intuicję i po latach obserwacji naukowych najpierw jako archeolog, a potem biolog morski była bardzo spostrzegawcza.

Pomyślała o sugestii Dooleya, że na Bonefish Key coś się kryje za tym, co widać. Barman wyglądał jak żywcem wyjęty z magazynu *Soldier of Fortune*. Mayhew i jego ludzie w niezdamy sposób próbowali robić uniki, ilekroć w rozmowie pojawiał się temat doktora Kane'a, realizacji tajemniczego projektu w terenie i miejsca pobytu reszty personelu.

Gamay intrygowała też młoda Azjatka, która przywitała ją chłodno na pomoście, a o której Mayhew nie wspomniał niby przez zapomnienie, oraz to, że inni naukowcy stronili od niej samej jak od zadżumionej.

Austin polecił jej szukać czegoś „nietypowego”.

- A może niesamowitego, Kurt? - mruknęła pod nosem.

Gamay siedziała w ciemności, słuchała odgłosów nocy i zaczynała rozumieć, dlaczego Dooley się nie uśmiechał, gdy witał ją w rajcu.

19

Dobroduszna nonszalancja nadinspektora Randolpha była myląca. Wydawało się, że potrafi być wszędzie jednocześnie. Wisiał nad technikami dochodzeniowymi, którzy fotografowali miejsce zdarzenia i zbierali dowody, słuchał zeznań świadków, szukając rozbieżności, i bardzo dokładnie przeczesywał „Beebe'a”.

Brakowało mu tylko czapki a la Sherlock Holmes i fajki z morskiej pianki.

Nadinspektor i jego ekipa pracowali do późnej nocy, zanim skorzystali z tymczasowych kwater, które przygotował dla nich Gannon. Nazajutrz na prośbę Randolpha kapitan doprowadził statek bliżej lądowej siedziby Morskiej Służby Policyjnej. Zwłoki przetransportowano do laboratorium patologicznego na sekcję.

Po złożeniu zeznań Austin i Zavała oczyścili batysferę i sprawdzili, czy ucierpiała. Z wyjątkiem miejsc, gdzie farba została zdrapana przy niespodziewanym uderzeniu w dno, mały okrągły keson wyszedł z ciężkiej próby w doskonałym stanie.

Austin żałował, że nie można powiedzieć tego samego o Olbrzymie. Nadzorował przeładunek wraka z pokładu „Beebe'a” na ciężarówkę platformową, a potem przewóz do garażu na stałym lądzie.

Zadowolony, że ostatni dowód rzeczowy jest w rękach policji, nadinspektor Randolph podziękował Gannonowi i jego załodze za współpracę i oznajmił, że statek może odpłynąć. Obiecał, że odpowie na pytania reporterów, od których roило się wokół posterunku, odkąd przeciekła wiadomość o ataku.

Odwiózł Austina i Zawałę samochodem służbowym na lotnisko, gdzie czekał odrzutowiec NUMA, którym mieli wrócić do domu. Joe był doświadczonym pilotem z licencją na latanie małymi odrzutowcami i późnym popołudniem kołował do hangaru dla maszyn NUMA w Narodowym Porcie Lotniczym imienia Ronalda Reagana w Waszyngtonie.

Austin i Zawała pożegnali się i umówili na następny dzień.

Kurt mieszkał w przerobionym budynku wiktoriańskiej przystani wioślarskiej, będącym częścią większej posiadłości, którą kupił w czasach, kiedy dojeżdżał do pracy w kwaterze głównej CIA w pobliskim Langley. „Obiekt do adaptacji”, jak to określali agenci handlu nieruchomościami, cuchnął pleśnią i starością, ale jego lokalizacja nad brzegiem Potomacu skłoniła Austina do poświęcenia sporej sumy i wielu godzin na własnoręczny remont.

Swoim zwyczajem zostawił worek marynarski w holu, ruszył do kuchni, wyjął butelkę zimnego piwa z lodówki i wyszedł na taras, żeby pooddychać błotnistym zapachem rzeki.

Wypił piwo, poszedł do swojego gabinetu i usiadł przed komputerem. Ten pokój był jego oazą. Austin porównywał się do kapitanów statków, którzy po zakończeniu kariery osiedlają się w Kansas czy gdziekolwiek, byle daleko od oceanu. Morze to wymagająca kochanka i dobrze jest wyrwać się z jej objęć. Oprócz kilku obrazów prymitywistów przedstawiających statki i zdjęć jego flotylli niewiele w domu Kurta wskazywało, że jest związany ze znana na świecie agencją oceanologiczną.

Pod ścianami stały regały ze zbiorem rozpraw filozoficznych. Czytał dzieła dawnych filozofów we względu na zawartą w nich mądrość, a także dlatego, że były jego moralną kotwicą chroniącą go przed dryfowaniem. Komandosi na pokładzie „Beebe'a” nie byli pierwszymi ludźmi, których zabił. I prawdopodobnie nie ostatnimi.

Nad kominkiem wisiała para pistoletów pojedynkowych, część jego okazałej kolekcji starej broni, którą uważał za swoją główną pasję. Podziwiał ją z powodu ciekawych rozwiązań technicznych, a jednocześnie przypominała mu, jaką rolę odgrywa przypadek w sytuacjach, gdy stawką jest życie.

Wyjął płytę Milesa Davisa z równie bogatego zbioru nagrań muzyki jazzowej i położył na talerzu obrotowym gramofonu. Oparł się wygodnie w fotelu, wysłuchał kilku kawałków z nowatorskiego *Birth of the Cool*, a potem pogimnastykował palce i zaczął pisać na klawiaturze. Chciał sporządzić roboczą wersję raportu o ataku na B3, dopóki miał świeżo w pamięci wszystkie szczegóły.

Krótko przed północą poszedł do sypialni urządzonej w wieżycze przerobionej przystani. Nazajutrz obudził się wypoczęty około siódmej. Zrobił sobie dzbanek jamajskiej kawy i opiekł w tosterze mrożonego bajgla, który znalazł w niemal pustej lodówce. Po śniadaniu wrócił do raportu.

Wymagał zaskakująco niewielu zmian. Austin wprowadził poprawki i wysłał swoje dzieło e-mailem do dyrektora NUMA Dirka Pitta.

Postanowił zrelaksować się po ciężkiej pracy umysłowej. Jego ulubioną formą aktywności fizycznej było wiosłowanie. Sprawiało

mu prawdziwą przyjemność i zarazem pozwalało zachować dobrą kondycję. Wyciągnął lekką łódź wiosłarską ze stojaka pod przystanią.

Kiedy mknął po rzece, miarowe ruchy wiosłami i piękno Potomacu uspokajały go. Teraz, płynąc, analizował w myślach wydarzenia ostatnich dni: atak na B3, swoją walkę z AUV-em i nocną napaść na „Beebe'a”. Nasuwał mu się nieodparty wniosek, że ktoś chce uśmiercić Maxa Kane'a i nie cofnie się przed niczym, aby to zrobić.

Po powrocie schował łódź, wziął prysznic, ogolił się i zadzwonił do Paula Trouta.

Dowiedział się od niego, że Gamay poleciała na Florydę poprzedniego dnia. Przysłała wiadomość, że dotarła szczęśliwie na Bonefish Key, ale Paul jeszcze z nią nie rozmawiał.

Austin streścił mu swój raport.

- Teraz wiem, dlaczego powiedziałaś Gamay, że nurkowanie było „niezapomniane” - skomentował Trout. - Co dalej?

- Mam nadzieję, że Gamay dowie się czegoś o Docu. Kane jest teraz naszym głównym tropem. Joe i ja porównamy notatki i rozważymy następny ruch.

Kurt obiecał Paulowi, że będzie go informował na bieżąco, a potem rozmroził następnego bajgla i zrobił sobie kanapkę z tuńczykiem. Właśnie jadł ją w kuchni, wspominając tęsknie wspaniałe posiłki w różnych stolicach świata, gdy zadzwieczał telefon.

Sprawdził, kto dzwoni, po czym odebrał.

- Cześć, Joe, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Zawała od razu przeszedł do rzeczy.

- Mógłbyś do mnie wpaść? - zapytał.

- Masz w notesie więcej kobiet, niż figuruje w waszyngtońskiej książce telefonicznej, więc samotność ci raczej nie dokucza. Co się urodziło?

- Chcę ci coś pokazać.

Kurt usłyszał nutę podniecenia w cichym głosie Zawali.

- Będę u ciebie za godzinę - odrzekł.

Podczas pracy na morzu Austin nosił hawajską koszulkę, szorty i sandały. Przeistoczenie się z wilka morskiego w szczura ląd-

wego zawsze było dla niego szokiem. Buty ścisnęły mu stopy jak imadła, nogi wydawały się uwięzione w jasnobrązowych bawełnianych spodniach, kołnierzyk niebieskiej garniturowej koszuli go uwierał. Choć włożył granatową lnianą marynarkę, ani myślał wiązać krawat. Czułby się jak ze stryczkiem na szyi.

W przeciwieństwie do Dirka Pitta, który kolekcjonował samochody i miał inny na każdą okazję, Kurt, pasjonat starych pistoletów pojedynkowych, jeździł turkusowym dżipem cherokee należącym do floty NUMA.

Podmiejski ruch gęstniał, ale Austin znał skrót i niecałą godzinę po telefonie Joego zaparkował przed małym budynkiem w Arlington.

Przy frontowych drzwiach dawnej biblioteki wprowadził kod do elektronicznego zamka szyfrowego i wszedł na główny poziom mieszkalny. Pomieszczenie, w którym kiedyś stały regały, teraz wyglądało jak wnętrze meksykańskiego domu z suszonej na słońcu cegły. Podłogę pokrywała ciemnoczerwona terakota, przejścia były łukowe, nisze w pobielanych ścianach zdobiły barwne dzieła sztuki ludowej, które Zavala przywoził z podróży do swojego gniazda rodzinnego w Morales. Jego ojciec, zdolny stolarz, zrobił dla niego pięknie rzeźbione meble.

Austin zawołał przyjaciela.

- Jestem na dole w pracowni Frankensteina! - odrzyknął Zavalę z suterenu, gdzie spędzał wolny czas, kiedy nie majstrował przy swojej corvette.

Kurt zszedł po schodach do jasno oświetlonego pomieszczenia. Joe wypełnił każdy centymetr kwadratowy dawnego magazynu lśniąco metalowymi tokarkami, wiertarkami i frezarkami. Dziwnie ukształtowane metalowe części o przeznaczeniu znanym tylko jemu wisiały na ścianach obok czarno-białych sztychów przedstawiających stare silniki.

W szklanych gablotach stały modele nowatorskich pojazdów podwodnych, które Zavala skonstruował dla NUMA. Restaurowany przez niego silnik parowy Stuarta leżał na stole. Joe nigdy nie bał się ubrudzić rąk, gdy chodziło o majstrowanie przy urządzeniach

mechanicznych, ale dziś siedział przed komputerem, odwrócony tyłem do gościa.

Austin rozejrzył się po zdumiewającym sanktuarium przyjaciela poświęconym technice.

- Myślałeś kiedyś o kontynuowaniu pracy Frankenstein? - spytał.

Zavala obrócił się na krześle.

- Robienie potworów ze szmelcu to zamierchłe dzieje - odparł z uśmiechem. - Teraz jest epoka robotów. Prawda, Juri?

Tyranozaur o wysokości około dwudziestu pięciu centymetrów i plastikowej skórze o barwie i fakturze awokado stał obok komputera. Pokiwał łbem, poruszył nogami, przewrócił oczami, otworzył zębatą paszczę i odrzekł:

- *Si, señor Zavala.*

Austin przysunął sobie stół.

- Kim jest twój zielony przyjaciel?

- Juri to skrót od *Parku jurajskiego*. Kupiłem tego malucha przez Internet. Ma zaprogramowanych około dwudziestu funkcji. Pomajstrowałem w jego wnętrznościach, żeby mówił po hiszpańsku.

- Dwujęzyczny tyranozaur - rzekł Austin. - Jestem pod wrażeniem.

- To nie było takie trudne - odparł Zavala. - Ma stosunkowo proste obwody. Potrafi się poruszać i gryźć i reaguje na bodźce zewnętrzne. Daj mu trochę więcej mięśni, większe zęby, sensory optyczne i wodoszczelną powłokę, a otrzymasz coś w rodzaju mechanicznego rekina, który na pewno pomyśli, że austinburger może być smaczną przekąską.

Odjechał na krześle w bok, żeby Kurt dobrze widział monitor. Na czarnym tle obracał się wolno trójwymiarowy jaskrawoniebieski AUV, który przeciął linę batysfery i zaatakował Austina.

Kurt gwizdnął cicho.

- Gdzie go znalazłeś?

- Na nagraniu z kamery hardsuita.

Zavala kliknął myszką, żeby cofnąć scenę walki. Pojawiły się szybko następujące po sobie obrazy, pęcherze powietrza i migawki pojazdu podwodnego.

- Nie dostarczyłem zbyt wiele materiału - stwierdził Austin.

- Tyle mi wystarczyło. Spowolniłem akcję i wyselekcjonowałem niektóre fragmenty. Wykorzystałem je do stworzenia zarysu AUV-a, a potem porównałem go z innymi w mojej bazie danych. Mam informacje praktycznie o wszystkich urządzeniach z własnym napędem, które kiedykolwiek zbudowano, ale tego początkowo nigdzie nie mogłem znaleźć.

- Moje pierwsze wrażenie było takie - powiedział Kurt - że przypomina mantę, bezzałogową łódź podwodną marynarki wojennej do wykrywania i niszczenia min.

- Dobre skojarzenie - przyznał Zavala. - To ma coś wspólnego z mantą. Niektóre elementy są takie same, kiedy komputer robi projekt. Tyle że temu brakuje miniwyrzutni do wystrzeliwania detektorów min i odpalania torped, które są w modelu marynarki wojennej.

- Całe szczęście. Nie siedzielibyśmy tutaj, gdyby nasz mały przyjaciel dysponował takim arsenałem.

- Po przejrzaniu modeli wojskowych wziąłem się do badawczych. Większość zautomatyzowanych pojazdów podwodnych, jakie znalazłem, ma kształt torpedy, na przykład ABE Instytutu Oceanograficznego Woods Hole czy rover Scrippsa. Po wykluczeniu AUV-ów wojskowych i badawczych zająłem się przemysłowymi. Gdy używane w branży naftowej, gazowej i telekomunikacyjnej odpadły, przeszedłem do rybołówstwa.

Wyświetlił artykuł z magazynu branżowego. Austin popatrzył na zdjęcia i się uśmiechnął.

- Bingo - powiedział.

- Ten pojazd jest używany do filmowania eksperymentalnych sieci rybackich - wyjaśnił Zavala.

- Stąd kształt płaszczki - zauważył Austin. - Do wpływania pod sieć potrzeba czegoś płaskiego i gładkiego, bez wystających stateczników, które mogłyby o nie zahaczać.

- Szczypce służą AUV-owi do przecinania splątanych sieci na jego drodze - ciągnął Zavala. - Jest stosowany przez chińską firmę Piramida, która zajmuje się eksportem owoców morza.

- Chińską? To ciekawe. Faceci, którzy zaatakowali nasz statek, byli Azjatami. I mieli chińską broń.

- Sprawdziłem tę Piramidę w Google'u - powiedział Zavala. - Ma centralę w Szanghaju, ale działa na całym świecie.

- Dlaczego legalnie działająca firma rybacka miałaby być zamieszana w atak na „Beebe'a” i batysferę? - zastanawiał się Kurt.

- Może będę mógł odpowiedzieć na to pytanie po dzisiejszym spotkaniu z moją znajomą z Sekcji Azjatyckiej FBI, Caitlin Lyons - odparł Joe.

Austin musiał przyznać, że niektóre z licznych przyjaciółek Zawali czasem się na coś przydają.

- Myślałeś o tym, jak przeprowadzono atak na B3? - zapytał.

- Pojazd mógł zostać zwodowany z którejś z łodzi prasowych lub obserwacyjnych w pobliżu miejsca zanurzenia - odparł Joe.

- Może ktoś to widział - powiedział Austin. - Moglibyśmy poprosić nadinspektora Randolpha i Bermudzką Straż Przybrzeżną, żeby popytali.

- Niezły pomysł, ale moim zdaniem pojazd poszedł pod wodę wiele godzin przed nurkowaniem batysfery, został ustawiony na tryb uśpienia i zaprogramowany tak, żeby się uaktywnił po jakimś czasie i zaczął jej szukać. Mógł być też sterowany z powierzchni gdzieś w okolicy „Beebe'a”.

- Jak zlokalizowałby cel?

- Sonar sprzężony z sensorami optycznymi szukałby pionowej linii i AUV naprowadziłby się na linę B3. Ciach, ciach, i po batysferze.

- A także po Docu i po tajemniczym programie badawczym podobno ważnym dla wszystkich na świecie.

- Kane się nie odezwał, odkąd zniknął w sonej dali? - spytał Zavala.

- Niestety nie. Próbowałem wykorzystać różne oficjalne i nie-oficjalne kanały. Bonefish Key to nasz jedyny trop.

- Wątpię, żeby tam był. Ktoś chciał, żeby Kane zginął straszną śmiercią na dnie morza. Bonefish Key byłby pierwszym miejscem, gdzie by go szukano po ustaleniu, że opuścił pokład „Beebe'a”.

Wyraz niepokoju pojawił się na opalonej twarzy Austina. Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer Paula Trouta.

- Rozmawiałeś z Gamay? - zapytał.

- Nie mogę się do niej dodzwonić - odparł Trout.

- Próbuj dalej - polecił Austin. - Jestem u Zavali. Chyba zbyt lekkomyślnie poprosiłem was o powęszenie wokół laboratorium Kane'a. Trzeba ostrzec Gamay, że może jej grozić niebezpieczeństwo ze strony ludzi, którzy chcą go załatwić.

- Bez obaw, Kurt - uspokoił go Paul - Gamay potrafi sobie radzić.

- Wiem - rzekł Austin - ale powiedz jej, żeby była ostrożna i nie ryzykowała.

Zrobiwszy wszystko, co mógł, żeby ostrzec Troutów, Austin zadzwonił do NUMA i poprosił o informacje o Przedsiębiorstwie Handlowym Piramida. Ośrodek komputerowy agencji kierowany przez cybergeniusza Hirma Yeagera należał do największych skarbnic specjalistycznej wiedzy na świecie. Potężne komputery NUMA były połączone z bazami danych na całej kuli ziemskiej i w mgnieniu oka mogły dostarczyć informacji na każdy temat związany z oceanami świata.

Austin powiedział Zavali, że porozmawiają później, kiedy przeanalizuje wyniki poszukiwań komputerowych. Wsiadł do swojego dżipa i pojechał do trzydziestopiętrowego zielonego szklanego wieżowca nad Potomakiem, gdzie mieściła się kwatera główna NUMA. Zaparkował w podziemnym garażu i wjechał windą na górę do swojego spartańsko urządzonego gabinetu.

Na jego biurku leżały grube akta z kartką od Yeagera: „Dobrej zabawy!”

Otworzył je, ale zdążył przeczytać tylko pierwszą stronę, gdy zadzwieczał telefon. Numer nie identyfikował dzwoniącego.

Austin zrozumiał dlaczego, kiedy odebrał i usłyszał energiczny głos Jamesa Sandeckera, założyciela i długoletniego dyrektora

NUMA, obecnie wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, mianowanego na miejsce zmarłego zastępcy głowy państwa. Swoim zwyczajem Sandecker od razu przeszedł do rzeczy.

- Pitt przysłał mi twój raport o wypadku B3. Co się, do diabła, dzieje, Kurt?

Austin przypomniał sobie żywe niebieskie oczy i płomiennorudą kozią bródkę Sandeckera.

- Sam chciałbym wiedzieć, panie admirale - odparł, używając jego stopnia z marynarki wojennej zamiast obecnego tytułu politycznego.

- Jak się miewa Zavalą po tym ciężkim przeżyciu?

- Z Joem jest wszystko w porządku, panie admirale.

- Całe szczęście. Gdyby z tego nie wyszedł, połowa kobiet w Waszyngtonie pogrzyżałaby się w żałobie i musielibyśmy zamknąć całe to cholerne miasto... A potem ten atak na „Beebe'a"... To cud, że nikt nie ucierpiał. Robicie jakieś postępy?

- Podejrzewamy, że stoją za tym Chińczycy - odparł Austin. - AUV, który zaatakował mnie i B3, to taki sam model, jakiego używa chińskie przedsiębiorstwo rybackie należące do międzynarodowej firmy o nazwie Piramida. Ludzie, którzy się wdarli na nasz statek, mieli chińską broń i byli Azjatami. Joe spróbuje wytropić ewentualne powiązania ze światem przestępczym. Ja zapytam bermudzka policję, czy ich spece znaleźli coś, co mogłoby się nam przydać. Naszym zdaniem kluczem do tego wszystkiego mogą być badania Doca Kane'a. Gamay jest na Bonefish Key i sprawdza tamtejsze laboratorium.

Sandecker zachichotał.

- Nie mam pojęcia, jak się tam wkręciła, ale głowę dam, że niczego się nie dowie. Ich praca jest ściśle tajna.

- Wygląda na to, że pan wie, co tam robią.

- Lepiej niżbym chciał. To fragment dużo większej całości, Kurt, i będziemy musieli działać naprawdę szybko. Sytuacja zbliża się do punktu krytycznego. Organizuję spotkanie, żeby wyjaśnić, jak sprawy stoją. Zadzwoń do ciebie za jakąś godzinę, więc bądź w pogotowiu. A w międzyczasie spakuj się do podróży.

- Jeszcze się nie rozpakowałem po ostatniej.
- To dobrze. Ty i Joe będziecie musieli niedługo wyjechać. Nie mam teraz czasu wdawać się w szczegóły. Nie wierz, jeśli ktoś ci powie, że wiceprezydent nie ma nic do roboty.
Sandecker się rozłączył. Austin odłożył słuchawkę i pograżył się w lekturze akt na biurku. Dość szybko zorientował się, że Piramida nie jest zwykłą korporacją.

20

Gamay obudziły wąskie smugi światła słonecznego przedostające się przez żaluzje w oknach. Wstała z łóżka, włożyła szorty do biegania, sportowy top i buty. Wyszła cicho przez osłonięty ganek, zrobiła rozgrzewkę i okrążywszy bungalow, by dojść do początku ścieżki, ruszyła truchtem, stopniowo zwiększając tempo.

Musze chrzęściły pod jej stopami, gdy biegła z gracją lekkoatletki. Miała oszczędne, eleganckie ruchy, które z pewnością sugerowały wierzącym w reinkarnację, że jej następnym wcieleniem będzie gepard. Biegała co rano od czasów, gdy jako nastolatka włóczyła się po ulicach Racine z bandą chłopaków.

Usłyszała za sobą kroki, odwróciła się i zobaczyła doktora Mayhew.

Przyspieszył i zrównał się z nią.

- Dzień dobry, doktor Trout - wydyszał. - Dobrze się pani biega?

- Bardzo, dziękuję.

- Cieszę się. - Uśmiechnął się przelotnie. - Do zobaczenia na śniadaniu.

Znowu przyspieszył i trzymał się parę metrów przed nią, dopóki nie zniknął za rogiem.

Legendarna florydzka wilgotność wkrótce zastąpiła chłód wczesnego poranka, więc Gamay wróciła do swojego pokoju mokra

od potu. Wzięła prysznic, włożyła świeże szorty, bezrękawnik i sandały i poszła do jadalni.

Doktor Mayhew zaprosił ją gestem, żeby dołączyła do grupy, którą poznała poprzedniego wieczoru, i wskazał jej wolne krzesło. Na śniadanie serwowano wyborne omlety z serem brie i pomidorami oraz domowy chleb z mąki owsianej.

Mayhew, widząc, że Gamay pałaszuje z apetytem, powiedział:

- Dobra kuchnia to był jeden z warunków, jakie postawiliśmy, zanim się zgodziliśmy, żeby nas porzucono na Bonefish Key.

Dopił kawę i wytarł usta serwetką. Potem sięgnął pod swoje krzesło i wręczył Gamay plastikową torbę z czystym fartuchem laboratoryjnym.

- Gotowa do zwiedzania, doktor Trout? Gamay wstała i włożyła fartuch.

- W każdej chwili, doktorze Mayhew.

Odpowiedział swoim charakterystycznym przelotnym uśmiechem.

- Proszę za mną.

Poszli nieoznakowaną muszlową ścieżką w przeciwnym kierunku, niż prowadził naturalny szlak, i dotarli do jasnozielonego parterowego budynku z pustaków. Powietrze wibrowało od szumu niewidocznych silników elektrycznych.

- Tutaj hodujemy materiał badawczy - wyjaśnił Mayhew. - Bu dynek wygląda wprawdzie jak garaż, ale to supernowoczesne laboratorium biomedyczne.

W mrocznym wnętrzu stały dziesiątki wielkich oświetlonych akwariów. Kilku laborantów w białych fartuchach chodziło z clipboardami od jednego do drugiego. Nie zwracali uwagi na nowo przybyłych, pomachali im tylko niedbale. W powietrzu unosił się zapach ryb.

- W tych akwariach dokładnie odtworzono naturalne środowisko, w jakim żyją znajdujące się w nich organizmy - wyjaśnił Mayhew.

- Ile ich badacie? - zapytała Gamay.

- Dziesiątki gatunków i podgatunków. Pokażę pani gwiazdę tego programu.

Podszedł do jednego z akwariów i wskazał jaskrawoczerwone bryłki wielkości mniej więcej grejpfrutów, zdobiące skały. Krótkie szpiczaste macki otaczały otwory gębowe tych morskich stworzeń.

- Piękne - powiedziała Gamay. - To muszą być kwiaty morskie, o których czytałam w pismach naukowych.

- Lubimy nadawać stworzeniom proste nazwy - odparł Mayhew. - Dzięki temu nie musimy łamać sobie języków na łacińskich. Mamy więc gwiazdę morską, kwiat morski i tak dalej. Ale te sympatyczne nazwy brzmią paradoksalnie, kiedy człowiek uświadamia sobie, że noszące je cudowne stworzenia to skuteczne maszyny do zadawania śmierci, zaprojektowane przez naturę do zwabiania małych ryb na taką odległość, by móc je ukąsić i pożreć.

- Jest też inny paradoks - zauważyła Gamay. - Mimo że są zabójcze, mogą leczyć choroby.

- Zabijanie i leczenie nie wykluczają się wzajemnie. Kurara to silna trucizna używana w medycynie. Jad kielbasiany też.

- Proszę mi opowiedzieć o gwiazdzie morskiej, doktorze Mayhew.

- Z przyjemnością. Ta mała piękność jest spokrewniona z inną gąbką, odkrytą w roku 1984. Naukowcy z Instytutu Oceanograficznego Harbor Branch, którzy nurkowali na Bermudach w pojeździe podwodnym Sea-Link, znaleźli w rurze ssącej kawałek gąbki. Zawierała ona związek chemiczny, który w warunkach laboratoryjnych zabijał komórki rakowe.

- Czytałam o tym. Ekscytujące odkrycie.

- I frustrujące.

- W jakim sensie, doktorze Mayhew?

- Przez następne dwadzieścia lat naukowcy szukali całej gąbki, ale bez powodzenia. Wreszcie kogoś olśniło: trzeba zanurkować głębiej i znaleźć środowisko naturalne gąbki. Już przy pierwszym nurkowaniu trafili na tyle gąbek, by móc prowadzić doświadczenia przez wiele lat. Ich gąbka rosła na głębokości trzystu metrów, gdzie dno morskie było praktycznie nagie.

- Zastosowaliście taką samą metodę w wypadku gwiazdy morskiej? - spytała Gamay.

- W zasadzie tak. Trafiliśmy na fragmenty nieznanego okazu niedaleko rejonu nurkowań kolegów z Harbor Branch, zrobiliśmy analizę środowiska naturalnego i znaleźliśmy całe gąbki, które też zawierały związek chemiczny zabijający komórki rakowe.

- Czy potencjał gwiazdy dorównuje jej urodzie?

- Okaz naukowców z Harbor Branch wytwarzał związek chemiczny kilkanaście razy silniejszy od najsilniejszego leku. A gwiazda produkuje jeszcze silniejszy.

- Czyżbym słyszała nutę samozadowolenia w pańskim głosie, doktorze Mayhew?

Na twarzy naukowca po raz pierwszy pojawił się uśmiech, który nie wyglądał sztucznie.

- Czekamy nas jeszcze długa droga, zanim będziemy mogli sprzedać licencję na produkcję tego środka jakiejś firmie farmaceutycznej, która z kolei przeprowadzi próby kliniczne. Musimy znaleźć sposób na wytwarzanie dużych ilości specyfiku. Zbieranie gąbek w głębi morza jest nieekonomiczne i nieekologiczne.

- A hodowla gąbek w akwakulturze?

- Badamy taką możliwość. Jeszcze lepiej byłoby hodować mikroorganizmy, które wytwarzają ten związek chemiczny. To by nam ułatwiło osiągnięcie ostatecznego celu, jakim jest jego syntetyzacja z myślą o szerszej dystrybucji. - Mayhew wzruszył ramionami. - Najpierw jednak musimy dokładnie sprawdzić, jak on działa.

- Widzę, że pasjonuje się pan swoją pracą, doktorze Mayhew.

- To prawda. Wyniki mogą być zdumiewające. Uważa się, że właśnie oceany będą w przyszłości największym źródłem farmaceutyków.

Gamay powiodła wzrokiem po laboratorium.

- Co jest w innych akwariach? - spytała.

- Też gąbki, różne odmiany. Każdy okaz ma własną charakterystykę chemiczną. To są potencjalne leki na mnóstwo ludzkich dolegliwości. Na przykład pewne koralowce wytwarzają środki przeciwbakteryjne i przeciwwirusowe, a także przeciwbólowe wielokrotnie silniejsze od morfiny, które jednak nie powodują uzależnienia. Możliwości są nieograniczone.

- Jestem trochę zdziwiona - powiedziała Gamay - bo czytałam na waszej stronie internetowej, że badacie też inne bezkręgowce. Tymczasem nie widzę tu żadnej *Cnidarii*.

Jej słowa wyraźnie zaskoczyły Mayhew. Zerknął na drzwi do oddzielonej części laboratorium.

- Meduzy?

Mayhew był znakomitym naukowcem, ale w tajnych sprawach - kompletnym amatorem. Gamay spojrzała tam, gdzie on, wzięła go pod rękę i skierowała w stronę drzwi.

- Założę się, że po prostu pan zapomniał - zagadnęła z czarującym uśmiechem.

- To nie tak - odparł. - Chodzi o to, że... nie chcemy ich płoszyć. - Wił się pod jej spojrzeniem. - No dobrze, chyba nic się nie stanie.

Otworzył drzwi i weszli do ciemnego pomieszczenia, które oświetlał tylko blask emanujący z przezroczystego plastikowego cylindra o średnicy stu dwudziestu centymetrów i dwukrotnie większej wysokości.

Około tuzina meduz wielkości mniej więcej główek kapusty pulsowało niebieskim światłem. Były w ciągłym ruchu, krążyły między dnem a szczytem akwarium w pełnym wdzięku hipnotycznym podwodnym tańcu.

Postać na drabinie, pochylona nad szczytem akwarium, spojrzała na intruzów. Upiorny blask oświetlił twarz doktor Bennett, toksykologa.

- Doktorze Mayhew, nie spodziewałam się...

- Nakłoniłam doktora Mayhew do pokazania mi tej części laboratorium - weszła jej w słowo Gamay. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Bennett zerknęła na Mayhew, który lekko skinął głową.

- Ależ nie, skądże - odparła z wymuszonym uśmiechem. Machnęła podbierakiem wędkarskim na długim trzonku. - To po prostu bywa trudne.

Gamay popatrzyła na jej rękawice ochronne, plastikową maskę na twarzy i kombinezon, po czym przeniosła wzrok z powrotem na

przezroczyste stworzenia falujące w dziwnym akrobatycznym balacie. Na swych koronkowych obrzeżach miały włoskowate czułki, a ich bioluminescencja wystarczałaby do czytania książki.

- Nurkuję od lat - powiedziała Gamay - ale jeszcze nie widziałam czegoś równie pięknego.

- I równie zabójczego - dodał Mayhew zza jej pleców. - Meduzy w tym akwarium wytwarzają toksynę, której mogłaby im pozazdrościć kobra.

Gamay poszukała w pamięci.

- To meduzy Fleckera?

- Zgadza się - potwierdził. - *Chironex fleckeri*, osa morska. Jej ukąszenie może zabić człowieka w ciągu trzech minut. Proponuję, żebyśmy się cofnęli i zrobili doktor Bennett trochę miejsca.

Bennett opuściła maskę na twarz i zanurzyła siatkę w akwarium.

Ku zaskoczeniu Gamay, meduzy nie uciekły od podbieraka, lecz skupiły się przy nim, co ułatwiło schwytanie jednej z nich i przeniesienie jej do zlewki. Barwa pozostałych pogłębiła się, a pulsowanie nasiliło, jakby zostały pobudzone.

- Pierwszy raz widzę takie zachowanie meduz - powiedziała Gamay. - Zwykle starają się uniknąć niebezpieczeństwa, jeśli je zauważą.

- Meduzy są drapieżnikami - odparł Mayhew - chociaż większość gatunków po prostu dryfuje i napotyka pożywienie przez przypadek. Meduza ma dobrze rozwinięty narząd wzroku, więc bardziej dostrzega, niż wyczuwa swoją ofiarę. Potrafi się poruszać na zasadzie odrzutu wody i może ścigać upatrzoną ofiarę.

Gamay pokręciła głową.

- Nie bardzo rozumiem. Powiedział pan „większość gatunków”, a wcześniej potwierdził, że to meduzy Fleckera.

Mayhew uświadomił sobie, że ujawnił więcej, niż zamierzał.

- Przejęzyczyłem się - odrzekł. - Ta jest tylko blisko spokrewniona z osą morską, ale wyżej rozwinięta i bardziej agresywna.

- Jeszcze nie widziałam osy morskiej takiego koloru - drażyła Gamay.

- Ja też nie. Wymyśliliśmy mnóstwo fantazyjnych nazw, zanim ostatecznie zdecydowaliśmy się na „meduzę błękitną”.

- Jaki jest jej potencjał farmaceutyczny?

- Na razie zdołaliśmy ustalić, że wytwarza związek chemiczny znacznie bardziej złożony niż wszystkie, z którymi stykaliśmy się dotychczas. Wszelkie eksperymenty z tym delikatnym stworzeniem są jak jazda na dzikim ogierze.

Mayhew zerknął na zegarek i zwrócił się do doktor Bennett:

- Zostawimy panią samą z jej jadowitymi przyjaciółkami.

Gamay wyszła za nim do głównej części laboratorium. Pokazał

jej inne badane gatunki, po czym opuścili budynek i skierowali się do sąsiedniego.

Było tam znacznie mniej akwariów. Oceanolodzy dzielą laboratoria na pracownie „mokre” i „suche”. W pierwszych trzyma się i przygotowuje okazy, w drugich zaś znajdują się komputery i aparatura analityczna. Mayhew wyjaśnił, że w tym budynku są pracownie obu rodzajów. W „mokrej” uzyskuje się związki chemiczne i oddziaływanie nimi na bakterie i wirusy, żeby zobaczyć reakcje.

Spędzili w tym laboratorium więcej czasu niż w poprzednim i gdy Gamay wyczerpały się pytania, było już prawie południe.

- Jestem głodny jak wilk - powiedział Mayhew. - Proponuję przerwę na lunch.

Kuchnia serwowała smakowite hamburgery. Mayhew mówił non stop właściwie o niczym, najwyraźniej chcąc przeciągnąć posiłek.

Wreszcie poszli do trzeciego budynku, gdzie było mnóstwo komputerów i żadnego akwarium. Mayhew wyjaśnił, że komputery dopasowują związki chemiczne do chorób znacznie szybciej niż ludzie. Doktor Song Li, która wpatrywała się w monitor, nawet nie odwróciła głowy, gdy koło niej przeszli.

Skończyli zwiedzanie ośrodka o trzeciej po południu. Mayhew, wyraźnie odprężony, zapytał Gamay, czy się nie obrazi, jeśli nie będzie jej towarzyszył w drodze powrotnej do bungalowu.

- Oczywiście, że nie - zapewniła. - Do zobaczenia w barze.

Gdy odszedł, roześmiała się w duchu. Od chwili, kiedy postawiła stopę na wyspie, została poczęstowana drinkiem, nakarmiona, oprowadzona i przygotowana do odesłania z powrotem. Mayhew chciał ją jak najszybciej splawić.

Obawiał się obecności wyszkolonego obserwatora - i słusznie. Mogła uznać jego zainteresowanie każdym jej krokiem za nieudolne próby bycia gościnnym, ale bez wątpienia próbował też sztuczki „przynęta z zamianą” w przypadku meduz w akwarium.

Szybko przejrzała zasłonę dymną Mayhew. Mały zespół badawczy to tylko fasada. Ludzie śmiali się za głośno, a sam Mayhew sztucznie. Naukowcy na wyspie byli niewątpliwie hermetyczną grupą pracującą nad tajnym projektem.

Gamay poszła na przystań, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Dooley Greene malował skifa. Na jej widok wyjął cygaro z ust.

- Dzień dobry, doktor Gamay. Czy doktor Mayhew pokazał pani laboratorium?

- Zwiedzanie było krótkie, ale interesujące - odparła. Natychmiast zorientował się, że nie jest zachwycona.

- Tak myślałem - odrzekł ze szczerbatym uśmiechem.

- W jednej z pracowni widziałam doktor Song Li. O ile pamiętam, pływa kajakiem każdego popołudnia mniej więcej o tej porze.

Dooley skinął głową.

- Zgadza się. Ale dziś przyjdzie trochę później.

Gamay wskazała stojak z kajakami.

- Mogłabym jeden wypożyczyć? - spytała. - Mam kilka godzin wolnych i pomyślałam, że przyjemnie byłoby powiosłować wśród namorzynów.

Greene włożył pędzel do puszeki z terpentyną.

- Chętnie zabiorę panią na wycieczkę moją łodzią, doktor Gamay. Zobaczysz pani dużo więcej i się nie zmęczy.

Nie mając nic innego do roboty, weszła do katamarana. Dooley odbił od brzegu, a kiedy zostawili za sobą wyspę, dał gazu. Dwa kadłuby ciąły wodę jak nożyczki jedwab. Po kilku minutach wpłynęli do małej zatoki otoczonej namorzynami.

Greene stał za konsolą sterowniczą z cygarem w zębach i mrużąc oczy przed słońcem, kierował się na drewnianą motorówkę kabinową, która tkwiła w wodzie pod kątem z zanurzoną rufą. W oknach brakowało szyb, a dziura ziejąca w gnijącym drewnianym kadłubie była wystarczająco duża, by zmieścić się w niej człowiek.

- Huragan wpełchnął tę łódź na bar ostrygowy - powiedział Dooley i zredukował prędkość do tempa szybkiego marszu. - Te raz to dobry punkt nawigacyjny, kiedy okrąża się namorzyny. Choć czasem może dezorientować, nawet jeśli ma się GPS i kompas.

Minęli kraniec Bonefish Key, długi, wąski cypel w kształcie poły koszuli. Nabrzeże przestało być widoczne, palmy zasłoniły wieżę ciśnień.

- Musisz znać te wody jak własną kieszeń - stwierdziła Gamay.

Popatrzył spod zmrużonych powiek na upstrzoną plamkami słońca powierzchnię zatoki.

- Wszystko wygląda tak samo, ale potrafię dostrzegać drobne szczegóły, których nie zauważyłaby większość ludzi. - Otworzył schowek i wskazał okulary noktowizyjne. - Oszukuję, kiedy wybieram się na ryby nocą. Kupiłem te okulary przez Internet. Zapasowe mam w hangarze łodziowym.

- Gdzie pływa doktor Li? - spytała Gamay.

- Wzdłuż przybrzeżnego wału akumulacyjnego. Jest tam mnóstwo ptaków. Pokażę pani.

Skierował łódź między dwa namorzyny. Przesmyk zwięzał się, aż w końcu stał się ślepą uliczką. Dooley zatrzymał katamaran i podał Gamay lornetkę. Gdy uniosła ją do oczu, zobaczyła tuziny czapli, białych i modrych. Brodziły w płytkiej wodzie, szukając pożywienia.

Greene wskazał drewniany palik, który sterczał z wody tuż przy brzegu.

- To początek ścieżki przez wyspę. Ma zaledwie kilkaset metrów i dochodzi do miejsca po drugiej stronie, gdzie dobrze się wędkuje w falach przyboju.

Odpalił silnik zaburtowy i wypłynęli z trójkątnej zatoczki w kierunku wraka motorówki. Tam ostro skręcili i wzięli kurs na Bonefish Key. Wkrótce ukazała się wieża ciśnień, a po kilku minutach Dooley zwolnił i przybił do nabrzeża. Gamay podziękowała mu i poprosiła o pożyczenie mapy lokalnych wód. Wyjaśniła, że chce zobaczyć, gdzie byli.

Mijając doktor Li, która szła na przystań, powiedziała jej „dzień dobry” i usłyszała pozdrowienie równie chłodne jak przy ich pierwszym spotkaniu.

Ze szczytu wzgórza nad przystania obserwowała Chinę, dopóki jej kajak nie zniknął za zakrętem.

Przyjrawszy się wyspie, Gamay dostrzegła, że jej piękno jest powierzchowne. Namorzyny były na wpół obumarłe, a ponieważ nawet wyżej położone tereny nigdy nie wyschły po huraganie, woń zgnilizny zabijała zapach kwiatów i wisiała nad ziemią jak niewidzialne miazmaty.

Zmarszczyła nos.

To miejsce cuchnie nie tylko w jeden sposób, pomyślała.

21

Joe Zavala siedział za kierownicą swojego chevroleta corvet-te rocznik 1961. Jechał autostradą międzystanową numer 95 do Quantico w Wirginii z prędkością o piętnaście kilometrów na godzinę wyższą od dozwolonej. Dach kabrioletu był opuszczony, więc wiatr rozwiewał jego ciemnobrązowe włosy, potężny ośmiocylindrowy silnik pod maską mruczał jak zadowolony tygrys, Any Gabriel śpiewała i czekało go spotkanie z piękną kobietą. Krótko mówiąc - żyć, nie umierać.

Sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Waszyngtonu zjechał z autostrady na ocienioną drzewami drogę. Minał kilka budynków, zatrzymał się przy punkcie kontrolnym i po-

kazał uzbrojonemu wartownikowi swoją legitymację służbową NUMA. Gdy jego nazwisko zostało odnalezione na liście gości, mógł jechać dalej do głównego budynku Akademii FBI.

Otoczona stu pięćdziesięcioma czterema hektarami lasów Akademia powstała w latach siedemdziesiątych XX wieku. Kompleks w stylu kampusu składa się z dwudziestu jeden budynków w uspokajającym miodowym kolorze, połączonych siecią oszklonych korytarzy.

Zawała wszedł frontowymi drzwiami do głównego gmachu i minawszy hol z bulgoczącą fontanną, zameldował się w recepcji. Powiedział, że jest umówiony z agentką Caitlin Lyons. Wkrótce dostał imienny identyfikator i młodą przewodniczkę, która poprowadziła go przez kolejne budynki.

Gdy usłyszał hałas przypominający wymianę ognia w korralu O.K., zorientował się, że są blisko strzelnicy. Przewodniczka wpuściła go do środka i wskazała rząd boksów.

- Numer dziesięć - powiedziała. - Zaczekam na zewnątrz. Trochę tu głośno. Niech pan się nie śpieszy.

Joe skinął jej głową, wziął od dyżurnego ochraniacze na uszy, po czym poszedł do wskazanego boksu i stanął za kobietą, która strzelała do kartonowej sylwetki. Trzymała pistolet oburącz i metodycznie kierowała pociski do celu, trafiając w miejsca, gdzie rany okazałyby się śmiertelne, gdyby to było ludzkie ciało, a nie papier.

Zawała, nie chcąc przestraszyć wyszkolonej agentki FBI z bronią w ręku, czekał cierpliwie, aż kobieta się odwróci. Gdy go zobaczyła, przywołała go gestem do boksu. Zmieniła magazynek z pustego na pełny, wręczyła Joemu pistolet i wskazała cel.

Walther PPK, ulubiona broń krótka Zawali, doskonale leżał mu w dłoni. Uniósł pistolet na wysokość oczu, przesunął bezpiecznik i szybko oddał sześć strzałów. Po każdym naciśnięciu spustu w środkowym kręgu tarczy pojawiała się dziura.

Opróżniwszy magazynek, Joe zabezpieczył broń i oddał kobiecie. Ta nacisnęła przycisk, a gdy cel podjechał do boksu, wsadziła palec w jeden z otworów po pociskach i powiedziała coś, czego nie zdołał usłyszeć. Zdjął ochraniacze na uszy.

- Pozer - powtórzyła.

Wsunęła pistolet do kabury na biodrze, wskazała swój zegarek i razem ruszyli do drzwi, po drodze zostawiając ochraniacze. Przewodniczka czekała na korytarzu, ale Caitlin powiedziała jej, że sama odprowadzi Zavalę po ich spotkaniu.

- Przejdźmy się - zaproponowała.

Ruszyli zacienioną ścieżką, jakby z innego świata niż pełna huk i zapachu kordytu strzelnica.

Caitlin Lyons, atrakcyjna kobieta po trzydziestce, miała brzoskwiniową cerę, niezwykle niebieskozielone oczy, wysokie łukowate brwi i ciemnoblond włosy. Gdyby nie czarny kombinezon z krótkimi rękawami, kabura przy pasie i czarna bejsbolowa czapka z napisem „FBI”, mogłaby uchodzić za członkinię zespołu Celtic Woman.

- Nieźle strzelasz, Joe. Myślałeś kiedyś o wstąpieniu do FBI?

- Jak tylko będą mieli marynarkę - odrzekł Zawała. Roześmiała się.

- Wykazałeś sporą odwagę, podchodząc do mnie, kiedy trzymałam broń w ręku.

- A powinienem był się bać?

- Wiesz, co się mówi o wzgardzonej kobiecie...

Zawała się skrzywił. Dzięki latynoskiej urodzie i bezpretensjonalności miał ogromne powodzenie u płci przeciwnej. Spotykał się kiedyś z Caitlin, ale ich romans przerwało pewne zadanie dla zespołu specjalnego. Joe nie widział się z nią od tamtej pory aż do dziś.

- „Wzgardzona” to niewłaściwe słowo - wyjaśnił. - Planowałem skontaktować się z tobą po ostatniej robocie.

- Więc może opuszczona? Albo porzucona? Zostawiona na lodzie? Wystawiona do wiatru? -Widząc jego zboląłą minę, uśmiechnęła się. - Bez obaw, Joe. Nie mam do ciebie żalu, że uciekłeś ode mnie, by wykonać kolejne zadanie dla NUMA. Sama jestem gliną i wiem, że mogło być odwrotnie. Zresztą i tak nie szukam nikogo na stałe. Praca w FBI jest równie absorbująca jak w NUMA. A jeśli mam ochotę cię zobaczyć, przystojniaku, to wystarczy, że włączę telewizor. Oglądałam nurkowanie batysfery. Szalenie ekscytujące.

- Najbardziej ekscytujące było to, czego nie widziałaś - od rzekł.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, wskazał więc ławkę przy alejce, a kiedy usiedli, opowiedział Caitlin o ataku na batysferę, o niebezpiecznej przygodzie Austina i o tropie prowadzącym do Przedsiębiorstwa Handlowego Piramida. Gdy skończył, ujęła jego dłoń i powiedziała:

- Jesteś draniem, Joe, ale byłabym zdruzgotana, gdyby coś ci się stało. - Cmoknęła go w policzek. - Jak mogę pomóc w wyjaśnieniu przestępstwa na morzu? Przecież dobrze wiesz, że jestem szcurem lądowym.

- Ale jednocześnie znawczynią azjatyckich organizacji przestępczych, w odróżnieniu ode mnie.

Opisał trójkątny znak znaleziony przez Austina na ostrzu AUV-a i związek między podwodnym robotem, który zaatakował batysferę, a spółką rybacką należącą do Piramidy.

Caitlin gwizdnęła cicho.

- Piramida to najgorsi z najgorszych. Nie mogliście wejść w konflikt z groźniejszą bandą. Ty i Kurt macie cholerne szczęście, że jeszcze żyjecie.

- Co wiesz o Piramidzie?

- Przedstawię ci to w szerszym kontekście - odparła. - Zajmuję się wyjaśnianiem przestępstw popełnianych przez Azjatów w Stanach i przeciwdziałaniem im. To niemal syzyfowa praca. Azjatyckie organizacje przestępcze istnieją u nas od początku XX wieku. Zaczęło się od tongów, chińskich tajnych stowarzyszeń.

- Czy nie stamtąd pochodzi określenie „faceci od brudnej roboty”? - spytał Zawała.

- Faceci od brudnej roboty to byli bandyci walczący podczas wojen między tongami, które powstały jako kluby towarzyskie, ale potem zamieniły się w gangi. Nadal istnieją jako część międzynarodowej sieci zdominowanej przez duże organizacje przestępcze nazywane triadami. Trójkąt, który opisałeś, jest bardzo interesujący.

- Dlaczego?

- Termin „triada” wymyślili Brytyjczycy, kiedy zorientowali się, że symbolem chińskich tajnych stowarzyszeń jest trójkąt.

Zavala zmrużył oczy.

- Masz rację - powiedział. - To interesujące.

- Trójkąt symbolizował jedność niebios, ziemi i człowieka -ciągnęła Caitlin. - Piramida wykorzystuje go jako znak firmowy swoich legalnie działających przedsiębiorstw, ale nadal zajmuje się wymuszeniami, zabójstwami, prostytutką, narkotykami, lichwą i praniem pieniędzy.

- Pewny zysk - zauważył Joe.

- Ma też sieć gangów na całym świecie. Są chyba w każdym wielkim mieście. Nazwy wszystkich zawierają słowo „upiorny”: Upiorne Diabły, Upiorne Cienie, Upiorne Smoki. Wykonują brudną robotę: zastraszają, torturują, mordują, i zawsze są gotowi do akcji.

- A co z legalną działalnością?

- Działalność przestępcza jest podstawą, ale Piramida przekształciła się w organizację prowadzącą legalne interesy w takich branżach, jak przemysłowa, filmowa, farmaceutyczna czy rynek nieruchomości. I, jak sam odkryłeś, rybołówstwo. Niektóre jej filie wpadły w poważne tarapaty, bo oferowały skażone produkty.

- Czy kierownictwo Piramidy ma jakąś ludzką twarz?

- Nawet trzy. Mówi się, że na czele konsorcjum stoją trojaczki.

- To nietypowy układ.

- Wcale nie, jeśli wziąć pod uwagę wielkość ich imperium. Piramida jest jak mocarstwo. Dysponuje ogromnym majątkiem, armią bandziorów i korpusem dyplomatycznym utrzymującym kontakty z chińskim rządem, który tradycyjnie wspierał triady. Mają sieć gangów w każdym dużym kraju, łącznie z naszym. To największa organizacja przestępcza w Chinach, a może nawet na świecie.

- Jak z nią walczyć? - spytał Zavala.

- Z trudem. Azjatyckie grupy przestępcze są bogate, znakomicie zorganizowane i bardzo elastyczne. Rozwój transportu i telekomunikacji umożliwił im działanie na skalę globalną. Potrafimy utrudniać życie ich gangom ulicznym i niszczyć peryferie ich imperium finansowego, ale jak dotąd centrala była nie do ugryzienia.

- Co się zmieniło?
 - Zwrócili się przeciwko jednemu wrogowi, który mógłby im zaszkodzić: chińskiemu rządowi. Usiłuje bowiem usunąć Piramidę ze sceny.
 - Zaraz, zaraz, mówiłaś, że chiński rząd tradycyjnie wspierał triady.
 - Bo wspierał. W Chinach istnieje ogromna szara strefa. To w niej operują triady. Rząd nie walczył z nimi, bo robią pieniądze, utrzymują porządek i są nastawione bardzo patriotycznie.
 - Skąd więc ta zmiana kursu?
 - Chińska armia od lat zapewniała triadom ochronę ich przestępczych interesów, ale obecny rząd obawia się, że ta współpraca dała Piramidzie zbyt dużą władzę. Posłano za kratki tysiące skorumpowanych członków Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, ale jeszcze bardziej przykręcono śrubę po skandalach z niebezpiecznymi produktami. Chiny żyją z eksportu, więc wszystko, co mu zagraża, zagraża również stabilności kraju i jego przywódcom.
 - Opowiedz mi o trojaczkach - poprosił Zawała.
 - Nie ma wiele do opowiadania. Triada nadaje swoim szefom numery zależne od rangi, ale zwykle tylko jeden z nich reprezentuje ją publicznie. Przedstawicielem Piramidy jest niesamowicie nadziany facet nazwiskiem Wen Lo. Pozostałych dwóch nikt nigdy nie widział
 - przerwała na chwilę i poprosiła: - Teraz twoja kolej, Joe. Dlaczego chińska triada miałaby chcieć zatopić batysferę?
 - Kurt uważa, że zamierzali wyeliminować doktora Kane'a, bo był zaangażowany w tajny projekt badawczy. Czy to brzmi prawdopodobnie?
 - W wypadku Piramidy wszystko jest możliwe. Czego oczekujesz ode mnie?
 - Miałem nadzieję, że trochę się rozejrzysz i spróbujesz coś wygrzebać.
- Caitlin przekrzywiła głowę.
- Nie żebym się wykręcała, ale co zaoferujesz w zamian?
 - Przejazdkę moją vetta i romantyczną kolację w starym wiejskim zajeździe w Wirginii.

- Już to przerabialiśmy, *señor*. Coś ci powiem, Joe. Jeśli Piramida jest w coś zamieszana, jest to fragment dużo większej całości. Oni nie działają na pół gwizdka.

- Czy zmiana postawy rządu może mieć z tym coś wspólnego?

- Niewykluczone. Piramida reaguje jak rozdrażniony wąż, odkąd zaczęła się czystka. Zabijają gliniarzy, sędziów i wysokich urzędników państwowych, ale prawdę mówiąc, nie widzę żadnego związku z twoim doktorem Kane'em.

- Ja też nie. Spróbujesz mi pomóc?

- Skontaktuję cię z agentem Charliem Yoo. To spec od gangów oddelegowany przez chińską agencję bezpieczeństwa do pracy w FBI. Piramida popełniła błąd, nie doceniając ciebie i Kurta. Ale dam wam dobrą radę....

- Zawsze słuchamy rad zawodowców, Cate.

Caitlin położyła rękę na kaburze, jakby wyczuła niebezpieczeństwo.

- To dobrze, Joe, bo o ile znam Piramidę, ty i Kurt jesteście na ich celownikach. A oni nie spudłują drugi raz.

Tysiące kilometrów od Wirginii pułkownik Ming, szczupły mężczyzna o cichym głosie i gęstych siwych włosach, stał kilkadziesiąt metrów od walącego się budynku w szanghajskich slumsach. Ktoś usiłował spalić tę ruinę, nie bacząc na to, że ogień może rozprzestrzenić się na sąsiednie domy, ale na szczęście strażacy zdołali zdusić pożar w zarodku.

Dym szczypał pułkownika w oczy, chociaż ten znajdował się w sporej odległości. Pomyślał, że przynajmniej popiół unoszący się w powietrzu nie osiadzie na jego starannie wyprasowanym mundurze. Zresztą nawet gdyby chciał podejść bliżej, nie przedostałby się przez krąg pojazdów ekip odkażających i kordon uzbrojonych policjantów.

Spojrzał na ministra zdrowia, który po niego zadzwonił.

- Nie rozumiem, po co pan mnie wezwał - rzekł. - Miasto całkiem dobrze sobie radzi z sytuacją. Wojsko nie jest potrzebne do zapanowania nad tłumem.

- To nie był zwykły budynek - wyjaśnił minister Fong. - Robiono tu jakieś testy medyczne.

- W takim miejscu? Jest pan pewien?

- W zupełności - potwierdził Fong. - Znaleźliśmy ludzi zamkniętych w celach. Zostawiono ich, żeby się spalili razem z budynkiem, ale na szczęście ocalili i mogli mówić mimo kiepskiego stanu. Twierdzą, że zostali porwani, a wielu ich towarzyszy zabrano z cel i już nigdy nie wrócili. Podejrzewamy, że przeniesiono ich do laboratoriów. Sprzęt znaleziony w budynku wskazuje, że przeprowadzano na nich eksperymenty medyczne.

- Jakiego rodzaju?

- Jeszcze nie wiemy. Ale znaleźliśmy ślady wirusa, który spowodował wybuch choroby w pewnej wiosce na północy. Osoba, od której zaczęła się epidemia, była z Szanghaju.

- Co za zbieg okoliczności - mruknął Ming.

- Ten człowiek pracował w ochronie tutejszej filii Piramidy. I... pewnie się pan zdziwi... właśnie Piramida jest właścicielem podpalonego budynku.

- Rozumiem, do czego pan zmierza, Fong - odparł Ming. - Powszechnie wiadomo, że armia prowadzi sieć burdeli do spółki z Piramidą. Ale to nie ma żadnego związku z tym tutaj.

- Wierzę panu, pułkowniku, może jednak przyjrzy się pan dokładniej waszej spółce, kiedy powiem, co jeszcze znaleźliśmy w tym budynku. Otóż znaleźliśmy krematorium ze szczątkami dziesiątek ludzi. Sądzimy, że byli królikami doświadczalnymi.

Ming poczuł lęk i odrazę. Przestraszył się, że jego nazwisko zostanie powiązane z Piramidą, i wzdrygnął na myśl o eksperymentach.

Spojrzał na budynek, próbując sobie wyobrazić, co odbywało się za jego murami.

- Dziękuję, panie ministrze - powiedział cicho. - Zbadam to i podejmę odpowiednie kroki.

- Mam nadzieję - rzekł Fong. - To, co się tam działo, nie służy dobru Chin. Ktokolwiek jest za to odpowiedzialny, musi ponieść konsekwencje, ale sprawę trzeba załatwić po cichu.

- To oczywiste, że w tej sprawie należy zachować dyskrecję - przyznał Ming. - I chyba wiem, od czego zacząć.

22

Dooley Greene podniósł wzrok znad silnika zaburtowego, który właśnie naprawiał, i wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu na widok nadchodzącej młodej Azjatki.

- Dzień dobry, pani doktor - przywitał ją. - Chce pani jeszcze raz podkraść się do tego różowego ptaka?

Song Li postukała w zoom aparatu cyfrowego, który miała zawieszony na szyi.

- Tak - potwierdziła. - Wiesz, jak mi zależy na sfotografowaniu warzęchy różowej.

- Warzęchy są bardzo płochliwe - rzekł Dooley i dodał z uśmiechem: - Kajak już czeka. Pójdę po sprzęt.

Przyniósł wiosło i kapok z hangaru łodziowego, po czym oboje ruszyli plażą do miejsca, gdzie na piasku stał jasnoniebieski fiberglasowy kajak. Gdy Li włożyła kamizelkę ratunkową i wsiadła do kajaka, Greene podał jej wiosło i zepchnął łódkę na wodę.

- Pewnie już mnie tu nie będzie, kiedy pani wróci, więc proszę zostawić sprzęt w hangarze - powiedział. - Powodzenia z warzęchą. I niech pani uważa na Dziadziusia Gatora.

Li w odpowiedzi machnęła wiosłem.

- Dziękuję, Dooley. Będę go wypatrywała.

To ostrzeżenie było ich prywatnym żartem. Gdy Greene wioził Song Li na Bonefish Key, powiedział jej, że wśród namorzynów czai się ogromny aligator. Widząc, że naprawdę się przestraszyła, szybko wyjaśnił, że żadnego aligatora nie widziano wokół Bonefish Key od kilkudziesięciu lat.

Teraz obserwował, jak młoda Chinka wypływa kajakiem z wąskiej zatoczki. Doceniał jej urodę, lecz jego uznanie było dalekie

od lubieżności. Li miała około trzydziestki, tak jak jego córka, która wyrzekła się go przed laty, kiedy doprowadził do ruiny rodzinny krewetkowy interes za sprawą dzinu, pokera i licznych romansów. Przestał pić, grać i romansować, ale nadal nie widywał się z córką.

Greene wrócił do silnika zaburtowego, a Li powiosłowała wzdłuż brzegu wyspy i wyłoniła się spośród namorzynów w małej zatoce. Wycelowała dziób kajaka w stronę motorówki kabinowej na mieliźnie, po czym skierowała się do trójkątnej zatoczki, gdzie Dooley wpłynął wcześniej z Gamay. Dostrzegłszy zmarszczkę na wodzie, uniosła wiosło i po chwili powierzchnię przebił lśniący grzbiet.

Manat!

Pstryknęła kilka fotek, zanim ocieęzały ssak ponownie się zanurzył, by poucztować na dnie. Li znów sięgnęła po wiosło i zapuściła się dalej w zatoczkę.

Wspaniała czapla modra wzbijała się w powietrze silnymi machnięciami długich skrzydeł. Chinka obserwowała ptaka, dopóki nie zniknął z widoku, a potem uniosła lornetkę i patrzyła na dwie czaple białe brodzące na płyciźnie. Serce jej zamarło, kiedy coś różowego mignęło za jedną z nich.

Przyłożyła aparat do oka. W wizjerze zobaczyła ptaka o wyglądzie flaminga z kaczym dziobem. Sfotografowała kilka razy warzęchę różową i obejrzała zdjęcia. Wszystkie wyszły doskonale. Li, zadowolona z uzyskanego efektu, ruszyła dalej.

Kilkoma ruchami wiosel skierowała kajak w stronę podnieszzonego drewnianego słupka, który wystawał z wody nieopodal granicy namorzynów. Wskazywał wąski przesmyk w płataninie korzeni. Kadłub otarł się o ławicę ostryg i łódka zatrzymała się przy brzegu.

Li weszła do sięgającej jej kolan ciepłej wody. Chociaż wiedziała, że ogromny aligator Dooleya to tylko mit, szybko wciągnęła kajak na wąską plażę.

Chwyciła plecak z wodą pitną i batonami energetycznymi, przeszła około trzydziestu metrów tunelem z gałęzi drzew i wy dostała się na otwartą przestrzeń. Piaszczystą ścieżką wijącą się między kaktusami i zaroślami dotarła na drugą stronę wyspy.

Wiatr znad turkusowych wód Zatoki Meksykańskiej ochłodził jej twarz, gdy doszła do przybrzeżnego wału akumulacyjnego. Przeszła kawałek wzdłuż plaży, usiadła na piasku i oparła się plecami o posrebrzoną przez morze kłodę wyrzuconą na brzeg.

Łódź rybacka z niebieskim kadłubem była zakotwiczona tuż za linią przyboju. Poza tym Li miała plażę tylko dla siebie. Widziała tę łódź kilka razy w ciągu ostatniego tygodnia, ale znacznie dalej od wyspy. Teraz przyjrzała się jej przez zoom aparatu, nie dostrzegła jednak nikogo na pokładzie.

Kiedy wylądowała na Bonefish Key kilka miesięcy temu, doktor Kane doradził jej, żeby znalazła sobie jakiś sposób na oderwanie się od pracy. Niektórzy naukowcy unikali „przegrzania mózgu”, wędkując, inni grając w szachy lub czytając, a kilku spędzało sporo czasu w barze. Ją relaksowało pływanie kajakiem wśród namorzynów. Dzięki copopołudniowym wycieczkom mogła potem pracować do późnej nocy.

Projekt dobiegał końca i Li wiedziała, że kiedy wróci do Chin, będzie jej brakowało piękna odległej wyspy. Zastanawiała się, czy zostanie nagrodzona przez rząd za swój wysiłek, czy też powróci do praktyki lekarskiej na wsi.

Pogrążona w tych rozmyślaniach zasnęła. Kiedy się obudziła, zerknęła na zegarek i powiodła wzrokiem wzdłuż plaży. Łodzi z niebieskim kadłubem już nie było. Zmarszczyła brwi. Odzyskała prywatność, ale nadszedł czas powrotu do pracy. Wstała, otrzepała szorty z piasku i ruszyła przez wyspę do kajaka.

Kiedy się wyłoniła spomiędzy drzew, zobaczyła, że nie ma go tam, gdzie go zostawiła. Położyła plecak na piasku, weszła do wody i rozejrzała się po lagunie.

Kajak zniknął bez śladu.

Odwróciła się w stronę wyspy i dostrzegłszy lśnienie niebieskiego plastiku, wydała westchnienie ulgi. Kajak został wciągnięty w wysoką trawę. Idąc po niego, zastanawiała się, kto i po co to zrobił. Czowała się nieswojo ze świadomością, że nie jest na wyspie sama.

Gdy ciągnęła kajak do wody, poczuła na karku mrowienie, które nie miało nic wspólnego z upałem. Obejrzała się za siebie i zobaczyła mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych.

Bezszelestnie wynurzył się z zarośli i teraz blokował jej drogę do brzegu. Wyglądał groźnie. Twarz o azjatyckich rysach sprawiała wrażenie wykutej młotem na kowadło, a wąskie usta wyglądały, jakby nie dało się ich rozciągnąć w uśmiech nawet łomem. Był bardzo umięśniony, a w potężnych dłoniach, którymi mógłby rozbić nawet ceglany mur, trzymał automat wycelowany w serce Li.

Mimo strachu zdołała wykrztusić:

- Kim pan jest?

- Upiorem, który obserwuje - odparł, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Co za bzdura, pomyślała. Mężczyzna najwyraźniej był obłąkany. Spróbowała przejąć kontrolę nad sytuacją.

- To pan schował mi kajak? - spytała.

Zdawało jej się, że dostrzegła lekkie skinienie głową.

- Więc będę wdzięczna za pomoc w zepchnięciu go na wodę.

Uśmiechnął się jednak i opuścił broń. Przekonana, że się udało, odwróciła się, by chwycić kajak.

- Doktor Li?

Usłyszawszy swoje nazwisko, zrozumiała, że spotkanie nie jest przypadkowe. Dostrzegła kątem oka szybki ruch, kiedy mężczyzna uniósł automat nad głowę i zamachnął się nim w dół. Poczowała uderzenie, zobaczyła błysk światła, a potem ogarnęła ją ciemność. Straciła przytomność, zanim upadła na ziemię.

23

Kwatera główna FBI przy Pennsylvania Avenue jest przeciwieństwem sielankowego, ocienionego drzewami kampusu w Quanti-co. Siedmiokondygnacyjny betonowy gmach, zbudowany w stylu popularnym w latach sześćdziesiątych, zaczął jeszcze bardziej przypominać fortecę po jedenastym wrześniu. Skończyło się zwiedzanie, a wokół parteru ustawiono zapory.

Zavala zdobył pozwolenie na wejście do sanktuarium FBI dzięki pomocy Caitlin. Dostał identyfikator gościa i sympatycznego przewodnika. Młody mężczyzna, który jakimś cudem potrafił się poruszać w labiryncie korytarzy bez mapy ani GPS-u, zatrzymał się przed nieoznakowanymi drzwiami. Zapukał cicho i ktoś po drugiej stronie zawołał, żeby wejść. Joe podziękował przewodnikowi i otworzył drzwi.

W ciasnym pokoju ledwo się mieściły metalowe biurko i dwa krzesła. Ścianę naprzeciwko wejścia zdobiło czarno-białe zdjęcie Wielkiego Muru. Za biurkiem siedział mężczyzna i rozmawiał po chińsku przez telefon. Wskazał gościowi krzesło, nie przerywając rozmowy.

Gdy wreszcie odłożył słuchawkę, zerwał się na nogi jak diabełek wyskakujący z pudełka, uściśnął Zavalę dłoń, potrząsając nią, jakby próbował wydusić wodę z odpornej pompy, i opadł z powrotem na krzesło.

- Przepraszam, że kazałem panu czekać. Nazywam się Charlie Yoo. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Tylko proszę nie żartować z mojego nazwiska. Już tyle razy słyszałem „Yoo-hoo” i „Hey Yoo”, że wystarczy mi do końca życia.

Yoo miał około trzydziestu pięciu lat i był chudy jak patyk. Nosił modnie skrojony błyszczący szary garnitur, kobaltowobłękitną koszulę i niebiesko-czerwony prążkowany krawat. Jego wyszukana elegancja byłaby bardziej na miejscu w hotelu Willard niż w siedzibie FBI, gdzie dominowały konserwatywne granatowe garnitury. Mówił po angielsku z nowojorskim akcentem i wyrzucał z siebie zdania jak eksplozje energii fotonowej.

- Miło mi pana poznać, agencie Yoo. Joe Zavala, przyjaciel Caitlin.

- Człowiek ze słynnej NUMA. Mów mi Charlie, Joe. Caitlin to fantastyczna kobieta i doskonała policjantka. Powiedziała, że chodzi ci o triadę Piramida.

- Zgadza się. Uważa, że mógłbyś pomóc.

Yoo wyciągnął się na krześle i złączył końce palców.

- Wybacz, że o to zapytam, Joe, ale o ile wiem, NUMA zajmuje się badaniami podwodnymi. Dlaczego interesuje was chińska organizacja przestępcza?

- Normalnie by nas nie interesowała. Ale ktoś próbował nam przeszkodzić w pewnej operacji i mamy pośredni dowód, że mogło być w to zamieszane przedsiębiorstwo rybackie należące do koncernu Piramida.

Yoo uniósł brwi jak Groucho Mara.

- Wybacz mi sceptycyzm, Joe, ale to nie wygląda na robotę Piramidy. Co to za dowód?

- Pozwól, że zacznę od początku. Kilka dni temu NUMA zwozowała na Bermudach „Batysferę 3”, replikę historycznego kesonu. Nurkowanie transmitowano na cały świat... Może widziałeś to w telewizji...

Yoo pokręcił głową.

- Jestem bardzo zajęty, Joe. Rzadko oglądam telewizję. Czy właśnie w tej operacji Piramida rzekomo usiłowała wam przeszkodzić?

Zawała przytaknął.

- Ja skonstruowałem keson - powiedział - a Kurt Austin, mój partner z NUMA, kierował projektem. Najciekawsza część zanurzenia nie była transmitowana, bo jakiś podwodny robot przeciął linę batysfery.

- Coś takiego! - wykrzyknął Yoo z szerokim uśmiechem. - Podwodny robot. Nie do wiary.

- A jednak. Kiedy lina puściła, batysfera wbiła się w muł na głębokości ponad dziewięciuset metrów.

Yoo pochylił się nad biurkiem. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie żartujesz? To niesamowita historia! Jak z tego wyszliście?

- Kurt zanurkował w charakterze ratownika i udało nam się uruchomić system pływaków. Ale gdy byliśmy w drodze na powierzchnię, robot zaatakował Austina. Poradził sobie z maszyną i odłamał jej jedno z ostrzy szczypiec, którymi przecięła naszą linę. Jest na nim taki sam trójkąt jak w logo Piramidy.

Yoo pokręcił głową, wyraźnie zawiedziony.

- Przykro mi, Joe - rzekł - ale trójkąt to dość powszechny symbol. Może oznaczać cokolwiek.

- Masz rację, Charlie, ale jest jeszcze coś. Dokładnie takiego samego robota używa pewna firma Piramidy zajmująca się eksportem owoców morza.

- Jesteś tego pewien?

Zavala wyjął z kieszeni złożoną kopię artykułu o bezzałogowym pojeździe podwodnym działu oraz zdjęcia z kamery hardsuita Austina i położył na biurku. Yoo przeczytał artykuł i obejrzał fotografie.

- Okej, Joe, przekonałeś mnie - powiedział. - Piramida próbowała przeszkodzić wam w nurkowaniu. Ale dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Właśnie dlatego zwróciłem się do Caitlin. Powiedziała, że Piramida jest najgorszą z najgorszych, jeśli chodzi o chińskie triady.

- Jest bez wątpienia poważnym graczem. Ale to tylko jedna z setek triad usadowionych w chińskich miastach. Czy Caitlin powiedziała ci, czym się zajmują?

- Tylko to, że jesteś specjalistą od chińskich gangów.

- Jestem kimś więcej niż specjalistą od gangów, jestem byłym członkiem gangu. Pochodzę z Hongkongu. Moi rodzice przenieśli się do Nowego Jorku.

- Stał twój nowojorski akcent - wtrącił Zavala.

- Uczyłem się angielskiego na Mulberry Street. I tam wstąpiłem do Upiornych Cieni, jednego z największych gangów w kraju.

- Caitlin mówiła mi, że to gang Piramidy.

- Zgadza się. Moi rodzice zobaczyli, co się dzieje, i wrócili do Chin, żeby odseparować mnie od gangu. Ojciec miał warsztat rowerowy i dawał mi tyle roboty, że byłem zajęty od rana do nocy. Trzymałem się z dala od kłopotów i poszedłem na studia. Teraz pracuję w jednostce specjalnej Ministerstwa Bezpieczeństwa.

- Jak trafiłeś do Waszyngtonu?

- Waszym ludziom była potrzebna moja wiedza, więc zaprosili mnie na kilka miesięcy, żebym podzielił się nią z FBI. To tymczasowe biuro, jak się pewnie domyśliłeś.

- Caitlin twierdzi, że Piramida jest w konflikcie z chińskim rządem, bo wbrew tradycji chce konsolidować swoją władzę i odpowiada za afery spowodowane sprzedażą skażonych produktów.

- Caitlin jest ekspertem od triad - odparł Yoo. - Na pewno ma rację.

- Powiedziała mi też, że Piramidę reprezentuje publicznie niejaki Wen Lo.

Yoo jakby się zawahał.

- Caitlin doskonale orientuje się w strukturze triad - rzekł po chwili. - Ja znam organizację ich gangów na poziomie ulicy, o przywódcach wiem bardzo mało.

Przez kilka minut mówił o zasadach obowiązujących w ulicznych gangach, po czym spojrzął na zegarek i oznajmił:

- Przykro mi, Joe, ale musimy się pożegnać, bo mam następne spotkanie.

- Nie ma sprawy - odparł Zavalą i wstał. - Dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas, Charlie. Bardzo mi pomogłeś.

Uścisnęli sobie dłonie i Yoo zadzwonił do ochrony. Kilka minut później zjawił się przewodnik, żeby odprowadzić gościa.

- Ten robot naprawdę mnie zaciekał - powiedział Yoo. - Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

Zapisał numer komórki Zavalą i życzył mu powodzenia. Gdy Joe odszedł, wrócił do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Usiadł za biurkiem i wybrał numer na swojej komórce. Sygnał kilkakrotnie okrążył kulę ziemską, przechodząc przez szereg filtrów, aż stał się nie do wytopienia.

- Melduj, trzydzieści dziewięć - odezwał się szorstki głos.

- Właśnie wyszedł - powiedział Yoo.

- Co wie?

- O wiele za dużo.

Yoo zrelacjonował swoją rozmowę z Zavalą.

- Zavalą to płotka - podsumował głos. - Użyj go jako przynęty. Zależy mi na Austinie. Chcę go mieć. Żywego.

- Będziesz go miał - obiecał Yoo. - Już się do tego biorę.

- Natychmiast - rozkazał głos.

Gdy Zavalą jechał swoją corvetta do centrali NUMA, zadzwie-
czyła jego komórka. Dzwonił Charlie Yoo.

- Cześć, Joe, mam coś dla ciebie o triadzie Piramida.
 - Szybki jesteś - odrzekł Zavala z autentycznym zaskoczeniem. Yoo zrobił na nim wrażenie przeciętniaka w policyjnej branży.
 - Mieliśmy fart. Z tymi facetami w Biurze nie jest lekko. Chcą wyciągnąć z ciebie wszystko i nie dać ci nic w zamian. Ale jestem cudzoziemcem, więc może nie do końca mi ufają. Tak czy owak, prowadzę inwigilację gangu przemycającego ludzi i gdy im wspomniałem o naszej krótkiej pogawędce, zaprosili nas do gry. Możesz porozmawiać z innymi specami od azjatyckich organizacji przestępczych. Będzie trochę adrenaliny, bo szykują nalot.
 - Gdzie i kiedy? - spytał Zavala.
 - Dziś w nocy po drugiej stronie rzeki. Jesteś zainteresowany? Możesz wziąć ze sobą Austina, jeśli nie jest zajęty.
 - Zapytam go i odezwę się do ciebie - odparł Joe.
- Rozłączył się, zadzwonił do Austina i przedstawił mu propozycję Yoo.
- Czekam na telefon od Sandeckera - powiedział Kurt. - Nie mam pojęcia, co kombinuje ten stary lis.
 - Przekręć do mnie, jak będziesz wolny. I nie pozwól, żeby admirał trzymał cię za długo.
 - Nie ma szans, przyjacielu - zapewnił Austin. - Do cholery, Joe, nie chcę, żebyś bawił się sam.

24

Drugie posiedzenie w Dollar Bar było powtórką pierwszego. Czcza gadanina przy stoliku działała Gamay na nerwy, ale musiała przyznać, że gibson był doskonały, a kolacja wyśmienita. Podano aromatyczną jambalayę ze świeżo złowionymi krewetkami.

Mayhew uprzejmie zaczął, aż podadzą deser, po czym oznajmił:

- Dooley pojawi się jutro rano dokładnie o dziewiątej piętnaście. Może pani wyjechać zaraz po śniadaniu. - Uśmiechnął się szeroko. - Gościliśmy panią z prawdziwą przyjemnością, doktor Trout. Bardzo żałujemy, że pani nas opuszcza.

Gamay zastanawiała się, czy nadal by się uśmiechał, gdyby powiedziała, że zostanie jeszcze jeden dzień.

- Ja też żałuję, że wyjeżdżam - odparła, dając popis aktorstwa godny Ethel Barrymore. - Dziękuję za gościnność i pokazanie mi, jak wspaniałą pracę wykonujecie w tym rajskim zakątku.

Mayhew, szczęśliwy, że wkrótce pozbędzie się intruza, nie wychwyił sarkazmu w jej głosie. zaproponował, żeby wszyscy wyszli na patio wypić drinka przed snem i popatrzeć na zachód słońca.

Naukowcy utworzyli kilkusobowe grupki i rozmawiali przyciszonymi głosami. Gamay słyszała sporadycznie jakiś fachowy termin sugerujący, że mówią o swoich badaniach.

O dziewiątej zaczęli się rozchodzić i wkrótce została sama. Oczekała jeszcze pół godziny, po czym ruszyła muszlową ścieżką do kwatery Song Li. Okna jej domku były ciemne.

Weszła po schodach na ganek i zapukała do drzwi, najpierw cicho, potem głośniej. Gdy nikt nie odpowiedział, nacisnęła klamkę.

Ku jej zaskoczeniu drzwi się otworzyły. Weszła do środka i zapaliła światło. Wystarczyło jej kilka sekund, by się zorientować, że domek jest pusty. Nic też nie wskazywało, że Li jadła tu kolację. Gamay zgasiła światło, wyszła z domku i pobiegła na przystań. Kajak Li nie było w hangarze łodziowym.

Gamay zastanawiała się chwilę, co zrobić. Mogła obudzić Mayhew i resztę personelu, ale przez ich skłonność do trzymania wszystkiego w tajemnicy, najprawdopodobniej zostałaby wyłączona z akcji.

Pod wpływem impulsu zdjęła ze stojaka drugi kajak i przeniosła go na plażę.

Tam przypomniała sobie o goglach noktowizyjnych Dooleya. Pobiegła po nie do hangaru, wróciła na przystań, zepchnęła kajak na wodę i wsiadłszy do niego, popłynęła wzdłuż wyspy.

Widziana przez gogle motorówka na mieliźnie była zielonkawa i ziarnista. Gamay wzięła kurs prosto na nią, po czym skręciła do trójkątnej zatoczki, którą pokazał jej Dooley.

Namorzyny zacieśniały się do środka z obu stron. W najwęższej części zatoczki Gamay dostrzegła słupek wskazujący przesmyk między roślinnością. Dobiła do brzegu i wysiadła z kajaka. Kiedy wciągała go na plażę, potknęła się o leżący na piasku plecak Song Li.

Rozejrzała się i zobaczyła w trawie coś lśniącego. To był kajak Chinki.

Gamay ruszyła w głąb lądu, dzierżąc w dłoni drewniane wiosło. Ścieżka wiodła najpierw między drzewami, a potem wiła się na otwartej przestrzeni, wśród kaktusów i zarośli. Szum fal omywających plażę był tłem dla chóru owadów.

Dzięki goglom noktowizyjnym Gamay mogła dostrzec każdą przeszkodę, więc szła szybko. Gdy dotarła na przeciwległy brzeg, przystanęła i się rozejrzała. Na plaży widniały odciski stóp dwóch osób. Ruszyła ich śladem niczym pies myśliwski, który złapał trop. Biegła truchtem i zwolniła dopiero za zakrętem na widok żółtego blasku w oddali. Stał tam dom częściowo zasłonięty drzewami i krzakami. Zbliżyła się i zobaczyła, że światło pada z siatkowych drzwi i okna.

Podkraśla się do domu i przywarła plecami do ściany kilkadziesiąt centymetrów od okna. Usłyszała dwoje ludzi rozmawiających po chińsku. Mówili coraz głośniejsze. W głosie mężczyzny brzmiał gniew, w głosie kobiety panika.

Gamay przysunęła się do okna, podniosła gogle na czoło i zajrzała przez szybę. Zobaczyła skąpo umeblowane wnętrze oświetlone turystycznymi lampami gazowymi.

Song Li siedziała przy kuchennym stole na wprost zwalistego Azjaty w szortach i T-shircie. Automat leżał na blacie obok kucharki. Mężczyzna najwyraźniej właśnie stracił cierpliwość, bo zamachnął się i spoliczkował Li tak mocno, że spadła z krzesła na podłogę.

Odwrócił się, żeby sięgnąć po broń. Popęnił błąd. Li dźwignęła się na kolana i chwyciła nóż kuchenny ze stojaka w jej zasię-

gu. Ostrze błysnęło, kiedy wbijała je w udo mężczyzny. Wrzasnął z bólu, upuścił automat i złapał się za zranioną nogę.

Li poderwała się z podłogi i rzuciła do wyjścia. Mężczyzna, rycząc wściekle, dał nura za nią, ale była dla niego za szybka. Wypadła przez siatkowe drzwi i pobięła plażą.

Azjata schylił się po broń i dokuśtykał do drzwi. Krzyknął coś po chińsku i przyłożył automat do ramienia.

Zanim zdążył strzelić, z ciemności wyłoniła się Gamay. Uniosła wysoko wiosło i z całej siły uderzyła mężczyznę w głowę. Trzonek pękł jak sucha gałązka, a Azjata runął na ziemię, przykrywając sobą broń.

Gamay miała nadzieję, że pozbawiła go przytomności, ale po chwili jęknął i zaczął wstawać.

Opuściła gogle i popędziła plażą. Dostrzegłszy biegnącą Li jakieś trzydzieści metrów przed sobą, zawołała ją po nazwisku. Chinka zatrzymała się i odwróciła. W dłoni ścisnęła kuchenny nóż, gotowa się bronić.

Gamay zerwała gogle z głowy.

- To ja... doktor Trout!

- Doktor Trout... Co pani tu robi?

- Trafiłam tu za panią. - Gamay zerknęła za siebie w stronę domu. - Nie ma czasu na rozmowę. Zatrzymałam pani przyjaciela tylko na chwilę.

Odrzuciła bezużyteczne wiosło i pobięły dalej razem. W pośpiechu przeoczyły ścieżkę przecinającą wyspę, musiały więc zawrócić i straciły cenny czas. Na szczęście obie były bardzo szybkie i już po kilku minutach znalazły się na drugim brzegu. Wyciągnęły kajak z trawy.

Na ścieżce rozległy się ciche kroki i parę sekund później z zarośli wypadła jakaś postać. Mężczyzna, który więził Song Li, zapalił latarkę. Obecność Gamay zaskoczyła go, ale tylko na moment. Wycelował w nią broń.

Gamay pochyliła się i zaatakowała go bykiem. Mięśnie brzucha miał twarde jak kamienny mur. Zdzielił ją automatem w potylicę. Upadając, walnęła go w zranioną nogę. Azjata wrzasnął z bólu.

Li wskoczyła mu na plecy, ale strząsnął ją bez trudu i wylądowała na ziemi. Przez chwilę stał bez ruchu i tylko na nią patrzył, potem wypuścił broń i osunął się na piasek, jakby uszło z niego całe powietrze. Światło latarki spoczęło na drewnianej rękojeści noża, który tkwił w jego piersi.

Kiedy Gamay pomogła Li wstać, Chinka spojrzała na swoje krwawe dzieło.

- Nigdy nie zrobiłam czegoś takiego - wyszeptwała z przerażeniem. - Nigdy.

- Przyzwyczaj się pani - odparła Gamay. - Kto to jest?

- Nie wiem. Pojawił się, kiedy ciągnęłam kajak do wody, i uderzył mnie automatem. Powiedział, że mnie śledził i że inni płyną po mnie łodzią.

Gamay położyła Li dłoń na ramieniu.

- Cicho - szepnęła.

Na ścieżce zabrzmiały głosy mężczyzn mówiących po chińsku. Tajemniczy „inni” właśnie się zjawili.

Kajak Li był gotowy do drogi. Wyjęła ze środka zapasowe wiosło i podała je Gamay. Zepchnęły swoje łódki z plaży, wsiadły i zaczęły energicznie wiosłować. Były jakieś trzydzieści metrów od brzegu, gdy latarki oświetliły wodę wokół nich.

Błask odbił się w lśniących fiberglasowych kadłubach. Gamay kazała Li trzymać się blisko ładu, żeby stanowiły trudniejsze cele. Steżała w oczekiwaniu na strzały, ale latarki zgasły.

- Wracają do swojej łodzi - odezwała się Li. - Okrążą wyspę i nas złapią.

- Ile im to zajmie? - spytała Gamay, nie przerywając wiosłowania.

- Pięć, najwyżej dziesięć minut.

- Więc musimy się pospieszyć.

Wkładały całą siłę w każdy ruch, ale ledwo wypłynęły z zatoczki, warkot silnika zakłócił nocną ciszę. Światło szperacza przesunęło się wolno po wodzie tam i z powrotem. Wzdłuż brzegu nie było żadnego miejsca, gdzie mogłyby się ukryć. Grube, pokręcone korzenie namorzynów tworzyły zaporę nie do pokonania.

Gamay dostrzegła na wprost jakiś kształt. Zbliżały się do motorówki kabinowej na mieliźnie. Powiosłowała ku niej, Li tuż za nią. Weszły na pokład, wciągnęły za sobą kajaki i położyły się płasko na gnijących deskach.

Przez szpary w kadłubie zobaczyły, że światła reflektora mijają starą łajbę. W Gamay wstąpiła nadzieja, ale rozwiła się, kiedy poszukująca ich łódź zmieniła kierunek, okrążyła wrak i podpłynęła bliżej. Światło przeniknęło przez szpary i padło na ich twarze.

Chińczycy ostrzelali motorówkę od dziobu do rufy. Nie śpieszyli się, szpikując ją ołowiem. Gamay osłoniła głowę rękami i przeklinała własną głupotę. Wchodząc na starą łódź, osiągnęły tylko to, że napastnicy mieli okazję poćwiczyć strzelanie. Lada chwila mogli zacząć trafiać.

Nagle strzelanina ustała.

Gamay spodziewała się, że atakujący dokonają abordażu, lecz zamiast tego w powietrze poszybował koktajl Mołotowa i wylądował na pokładzie. Kałuża płonącej benzyny dosięgła ich stóp. Gorąco stało się nie do zniesienia. Kobiety podniosły się, woląc zginąć od kul niż spalić się żywcem. Ale łódź z ich prześladowcami oddalała się, nabierając prędkości. Tymczasem motorówka stanęła w ogniu.

- Skaczemy do wody! - krzyknęła Gamay.

Zanurkowały i odpłynęły od płynącej łodzi. Skierowały się w stronę najbliższych namorzynów, ale pokonały tylko kilkanaście metrów, zanim znów usłyszały silnik łodzi i zobaczyły zbliżający się blask szperacza.

Bandyci wracali, żeby je zabić.

Łódź zwolniła, snop światła omiółł wodę i wyłowił z ciemności dwie pływaczki. Gamay pomyślała, że terkot broni automatycznej będzie ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszy, ale zamiast tego rozległ się znajomy głos.

- Gamay! - zawołał Paul Trout. - To ty?!

Zatrzymała się w wodzie i uniosła rękę. Łódź się zbliżyła, Gamay spojrzała w górę i zobaczyła, jak sięgają po nią ramiona męża.

25

Zavala wjechał na parking centrum handlowego Eden Center w Falls Church w Wirginii, tak jak mu polecił Charlie Yoo. Chińczyk czekał na niego nieopodal wieży zegarowej w czarnym służbowym fordzie crown victoria. Opuścił szybę.

- A gdzie twój przyjaciel Austin? - spytał.

- Nie wyrobił się - odparł Zavala. - Dołączy do nas później, chyba że możemy zaczekać.

Yoo zmarszczył brwi, uniósł palec wskazujący, jakby chciał powiedzieć „moment”, i zamknął okno. Joe zobaczył, jak porusza wargami, i domyślił się, że rozmawia przez bezprzewodowy zestaw Bluetooth. Po chwili szyba znów się opuściła.

- Faceci na inwigilacji kazali nam przyjechać teraz. Możesz potem zadzwonić do Austina i powiedzieć mu, gdzie jesteśmy. Wskakuj.

Zavali nie podobał się pomysł zostawienia cennej corvetty na publicznym parkingu, ale cóż było robić? Podniósł dach kabrioletu, starannie zamknął drzwi i wsiadł od strony pasażera do crown victorii.

Yoo wyjechał z parkingu, przeciął Seven Corners i skierował się w stronę Wilson Boulevard. Po kilku kilometrach zwolnił, żeby skrócić. Wkrótce znaleźli się w dzielnicy przemysłowej, gdzie wielkie blaszane hale ciągnęły się na odcinku kilku przecznic. Nad wrotami na rampach przeładunkowych paliły się żółte lampy, poza tym kompleks był ciemny i pozornie opuszczony.

Gdy Yoo zwolnił, Zavala pomyślał, że zamierza gdzieś zaparkować i resztę drogi przejdą pieszo. Chińczyk nie zatrzymał się, tylko obrócił kierownicę w prawo, przyśpieszył i przejechał przez otwartą bramę z szyldem: „Hurtownia ciasteczek z wróżbą Szczęśliwy Traf”.

Trzymając nogę na pedale gazu, skręcił ostro za róg budynku i skierował przód auta w drzwi garażowe. Kiedy ford pędził w stronę dużego czarnego kwadratu, Zavala przygotował się na uderze-

nie, ale po chwili zobaczył w świetle reflektorów, że drzwi są uniesione. Yoo w końcu nacisnął hamulec; wóz zarzucił i wpadł na ścianę tekturowych pudeł.

Oslona chłodnicy uderzyła w nie z hałasem. Kartony rozleciały się i setki zapakowanych w plastik ciasteczek z wróżbą wysypały się na maskę.

Poduszki powietrzne crown victorii eksplodowały, amortyzując uderzenie.

Zavala sięgnął w dół i odpiął pas bezpieczeństwa. Odepchnął na bok poduszkę powietrzną i zobaczył, że Yoo nie ma za kierownicą. Wygramolił się z samochodu i opadł na jedno kolano. Nie był porywczy, ale kiedy wstał, miał ochotę urwać agentowi głowę.

Lampy pod sufitem rozbłysły. Charlie Yoo zniknął bez śladu, ale Zavala nie był sam.

Otaczało go kilku Azjatów w czarnych dresach. Wszyscy trzymali automaty wycelowane w jego pierś.

Mężczyzna stojący najbliżej szturchnął go lufą w brzuch.

- Ruszaj - warknął.

26

Austin odłożył ostatnią kartkę obszernych akt Przedsiębiorstwa Handlowego Piramida, wyciągnął się na krześle i przetarł oczy. Z tego, co przeczytał, wynikało, że potężna korporacja nie dba o ludzkie życie. Piramida wypuściła na rynek ponad trzysta szkodliwych produktów. Eksportowała skażone ryby, zabójczy pokarm dla zwierząt domowych, niebezpieczne opony, trującą pastę do zębów, słodczyce, witaminy i leki. Pod międzynarodowym naciskiem chiński rząd przyznał, że istnieje problem z Piramidą, i obiecał naprawić sytuację. Nic w aktach nie wyjaśniało natomiast, dlaczego Piramida miałaby chcieć wyeliminować Kane'a i storpedować jego projekt badawczy.

Kurt podszedł do okna i patrzył na światła Waszyngtonu, jakby mogły się połączyć w szklaną kulę, w której znajdzie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Zadzwieczał telefon. Austin odebrał i usłyszał lakoniczne zdanie wypowiedziane charakterystycznym, pełnym autorytetu głosem admirała:

- Kurt, bądź na dole za pięć minut.

Sandecker rozłączył się bez żadnego wyjaśnienia.

Austin schował akta Piramidy do szuflady biurka, zgasił światło i ruszył do windy. Pięć minut później wyszedł z kwatery głównej NUMA w momencie, gdy granatowy SUV chevrolet suburban zatrzymywał się przy krawężniku.

Z samochodu wysiadł młody mężczyzna w mundurze porucznika marynarki wojennej. Austin rozpoznał dobrze zapowiadającego się oficera nazwiskiem Charley Casey, którego Sandecker przedstawił mu na jakimś przyjęciu w Białym Domu.

- Cześć, Kurt - powiedział Casey. - Zapraszam na pokład.

Usiedli razem na tylnym siedzeniu i SUV włączył się do waszyngtońskiego ruchu.

- Miło cię widzieć, poruczniku. Co się urodziło?

- Przepraszam, że zrobię unik, Kurt, ale admirał prosił, żebym na razie nie odpowiadał na żadne pytania.

- W porządku. Ale chyba możesz mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

- Nie my, tylko ty - odparł Casey i wskazał kierunek. - Tam.

Samochód przeciął zaledwie kilka przecznic i znów stanął przy krawężniku. Austin podziękował Caseyowi za podwiezienie, wysiadł z SUV-a i podszedł do drzwi restauracji. Neon nad wejściem informował, że lokal nazywa się Aegean Grotto.

Właściciel, tryskający energią Grek z wyspy Naksos nazwiskiem Stavros, powitał Kurta tuż za progiem.

- Dobry wieczór, panie Austin. Jak tam sprawy w Rybim Domu?

Użył żartobliwej nazwy kwatery głównej NUMA, gdzie pracowało wielu jego klientów - naukowców i techników.

- Śliskie, jak zwykle - odrzekł Austin z uśmiechem. - Mam się tu z kimś spotkać.

- Pański znajomy przyszedł kilka minut temu - oznajmił Stavros. - Posadziłem go przy stoliku admirała.

Zaprowadził Austina do wnęki na końcu sali. Admirał Sandecker często jadał w Aegean Grotto, kiedy był dyrektorem NUMA. Stolik we wnęce zapewniał odrobinę prywatności i widok na całą restaurację. Wisiały nad nim zdjęcia kalmarów, ośmiornic i różnych innych morskich stworzeń serwowanych w lokalu Stavrosa.

Mężczyzna przy stoliku pomachał do Kurta.

Austin odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko Maxa Kane'a.

- Cześć, Doc - powiedział. - Co za miła niespodzianka.

- Jestem zdumiony, że tak łatwo mnie rozpoznałeś.

- Na chwilę dałem się nabrać, ale zauważyłem, że twoje włosy mają przechył na sterburkę.

Max zerwał z głowy czarną perukę i rzucił ją niezym włochate frisbee w kierunku sąsiedniego stolika, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Omal nie wylądowała w greckiej zupie cytrynowej. Spojrzeli gniewnie na Kane'a, jeden z nich schował perukę pod marynarkę ciemnego garnituru i wrócili do jedzenia.

Doc wybuchnął śmiechem.

- Nie rób takiej miny, Kurt. Ci faceci to moje niańki. To oni się uparli, żeby włożyć perukę.

Austin uśmiechnął się przelotnie, ale nie był w nastroju do żartów. Podczas krótkiej znajomości z ekstrawaganckim mikrobiologiem o mało nie stracił członka swojego zespołu, batysfery i życia w walce z podwodnym robotem na głębokości dziewięciuset metrów. Potrzebował wyjaśnień, a nie rzutów peruką, nawet celnych. Uniósł dłoń, żeby przywołać Stavrosa, po czym odwrócił się do Kane'a i utkwiał w nim świdrujące spojrzenie błękitnych oczu.

- Co tu, do cholery, jest grane? - zapytał.

Kane skulił się na krześle, jakby uszło z niego powietrze.

- Przepraszam, Kurt. Ostatnie kilka dni spędziłem z tymi palantami w bezpiecznym domu, żywiąc się pizzą i chińskim żarciem na wynos. Zaczynam trochę świrować.

Austin podał mu kartę.

- Oto moje antidotum na żarcie na wynos. Polecam psari plaki, rybę po ateńsku. A na przystawkę tzatziki i taramosalatę.

Kiedy Stavros podał ouzo, Kurt zamówił dwie porcje ryby. Potem uniósł swój kieliszek i spojrzał Kane'owi w oczy.

- Za odkrycie ważne dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka na świecie - wygłosił toast.

- Joe musiał ci wspomnieć o moim prawie przedśmiertnym wyznaniu.

- Powiedział, że mając w perspektywie wieczny spoczynek w podwodnym grobie, stałeś się rozmowny.

Kane uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu.

- Chyba jestem ci winien wyjaśnienie.

- Chyba tak - zgodził się Austin.

Max wypił łyk ouzo i odstawił kieliszek.

- Od kilku lat przewodniczę naukowej grupie doradczej nazywanej Komitetem Biologii Morskiej. Wśród jego członków jest kilka znakomitości w dziedzinie biomedycyny oceanicznej. Współpracujemy z Narodową Radą Naukową i doradzamy rządowi w sprawach obiecujących odkryć.

- A jakiego obiecującego odkrycia ty dokonałeś, Doc?

- Mniej więcej rok po przeniesieniu laboratorium na Bonefish Key zdobyliśmy rzadkie okazy meduzy spokrewnionej z osą morską. Nazwaliśmy ją meduzą błękitną z powodu jej zdumiewająco jasnej luminescencji, ale najbardziej zaintrygowała nas wytwarzana przez nią toksyna.

- Dlaczego?

- Ta trucizna nie zabija, tylko paraliżuje ofiarę, żeby meduza mogła zjeść ją żywą. Nie jest to odosobnione w naturze. Pająki i osy też lubią mieć pod ręką świeżą przekąskę.

Austin wskazał głową restauracyjne akwarium z homarami.

- Ludzie również.

- Widzę, że rozumiesz, o co mi chodzi. Woły i tuczniaki, które przerabiamy na steki i kotlety schabowe, mają lepszą opiekę medyczną niż wiele istot ludzkich. Szpikujemy je antybiotykami i innymi lekami, żeby były możliwie najzdrowsze, dopóki ich nie zjemy.

- Hodowla nie jest moją mocną stroną, Doc. Do czego zmierzasz?

- Toksyna meduzy błękitnej to najbardziej złożony naturalny związek chemiczny, jaki kiedykolwiek badałem. Tworzy zaporę dla patogenów. Ofiara cieszy się jak najlepszym zdrowiem, zanim stanie pożąta. - Kane pochylił się nad stolikiem i zniżył głos. - Teraz wyobraź sobie, że udałoby się nam opracować lek o takich samych właściwościach ochronnych.

Austin rozważył jego słowa.

- Mielibyście pigułkę na wszystko - rzekł. - Istne panaceum.

- Bingo! Tyle że to nie jest panaceum. Natrafiliśmy na medyczny cud, który mógłby zlikwidować największe plagi gnębiące ludzkość, choroby powodowane przez wirusy, od zwykłego przeziębienia do raka.

- Więc po co ta cała tajemnica? - zapytał Austin. - Gdyby świat się dowiedział, że odkryliście cudowny lek, ludzie stawialiby wam pomniki.

- To nie jest takie proste, Kurt. Najpierw uznaliśmy się za przyszłych zdobywców Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. Ale kiedy minęła początkowa euforia, uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy bliscy otwarciu puszczy Pandory.

- Wprawdzie nie dostalibyście listów miłosnych od branży farmaceutycznej i ubezpieczeniowej - powiedział Austin - ale na dłuższą metę uczynilibyście świat zdrowszym.

- Właśnie ta dłuższa meta nas niepokoi - wyjaśnił Kane. - Załóżmy, że dajemy światu to dobrodziejstwo bez żadnych zobowiązań. Łatwo dostępny cudowny lek wchodzi do produkcji. Przeciętna długość życia wzrasta niebotycznie. Zamiast sześciu miliardów ludzi na świecie wkrótce mamy dziesięć czy dwanaście. Wyobraź sobie zapotrzebowanie na ziemię, wodę, jedzenie i energię.

- Wybuchąby zamieszki i wojny, upadałyby rządy, szerzyłby się głód.

Kane rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć voila!

- A teraz wyobraź sobie, co by się stało, gdybyśmy zachowali nasze odkrycie w tajemnicy.

- Niczego nie da się zachować w tajemnicy na zawsze. Wcześniej czy później nastąpiłby jakiś przeciek. Ci, którzy nie mieliby

dostępu do leku, czuliby niechęć do tych, którzy by mieli. Ludzie cierpiący na choroby zagrażające życiu dobijaliby się do drzwi ratusz. Znowu chaos.

- Komitet doszedł do tego samego wniosku - rzekł Kane. -Mieliśmy poważny dylemat, więc sporządziliśmy raport dla rządu. I wtedy w Chinach wybuchła epidemia. Sprawcą okazał się wirus podobny do wirusa grypy, zdolny wywołać światową pandemię z milionami ofiar, a nasze zwariowane małe laboratorium miało klucz do leku.

- Meduzę błękitną?

- Zgadza się.

- O to ci chodziło, kiedy mówiłeś, że wasze badania mogą dotyczyć wszystkich ludzi na świecie?

Kane skinął głową.

- Okazało się, że nasze badania to jedyna nadzieja na zwalczanie tej choroby. Rząd przejął laboratorium i uzgodnił z Chińczykami, że badania pozostaną tajemnicą, dopóki nie uda nam się uzyskać syntetycznej postaci tego związku chemicznego. Oficjalnie podano, że nowy wirus powoduje SARS, więc sytuacja jest do opanowania. Ale to nieprawda. To zmutowana odmiana, jeszcze bardziej zjadliwa od wirusa, który wywołał pandemię grypy w 1918. Zmarły wtedy miliony ludzi.

Austin gwizdnął cicho.

- Przy obecnej łatwości podróżowania po świecie tamta liczba byłaby kroplą w morzu.

- Tym razem to by było całe morze - przyznał Max. - Federalni utajnili nasze badania i nadali wszystkim zatrudnionym w laboratorium status pracowników państwowych, żeby w razie czyjegóż gadulstwa móc go oskarżyć o zdradę stanu. Włączyli przedstawicieli Białego Domu i armii do Komitetu, a potem przenieśli większość personelu do tajnego podwodnego laboratorium.

- Dlaczego? - zapytał Austin.

- Przede wszystkim dlatego, że Benefish Key to łatwo dostępne miejsce. Ale były też przyczyny praktyczne. Chcieliśmy być blisko źródła. Kiedyś meduza błękitna występowała na dużym obszarze,

ale teraz żyje tylko w rejonie pewnego głębokiego podmorskiego kanionu. I woleliśmy pracować w odosobnieniu, bo tworzyliśmy powiększoną wersję meduzy, coś w rodzaju supermeduzy, groźnego drapieznika, którego wolałbyś nie znaleźć w swoim basenie.

- Pracowaliście z niebezpiecznie zmutowanymi formami życia?

- W zasadzie tak.

- A co by było, gdyby wydostały się na wolność?

- Nie ma zagrożenia, że wytrzebią oceaniczną biomasę. Nie mogą się rozmnażać, więc w końcu by wymarły. Eksperymenty genetyczne prowadziliśmy bardzo ostrożnie, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się tych organizmów.

- Mimo wszystko to igranie z ogniem, Doc. Matka Natura nie lubi, jak się ją poprawia.

- Wiem, wiem... - rzekł Kane - ale rząd mocno nas naciskał. Musieliśmy mieć więcej toksyny, żeby dokonywać prób syntezy, więc po prostu hodowaliśmy większe meduzy. Okazały się bardziej agresywne niż naturalne i zaspokajały nasze zapotrzebowanie na toksynę.

- Zanim dotarłeś na „Beebe'a”, byłeś na zachodnim Pacyfiku - zauważył Austin. - Czy tam ulokowano laboratorium?

- Tak, konkretnie w Mikronezji. Rząd wykorzystał podwodne obserwatorium budowane dla marynarki wojennej. Nazwaliśmy je Schowkiem. Pracowałem tam, kiedy się okazało, że zostałem wytypowany do nurkowania w B3. Projekt był na ukończeniu, więc zostawiłem w Schowku moją asystentkę Lois Mitchell i wziąłem urlop. Resztę już wiesz.

- Tylko do chwili, kiedy Straż Przybrzeżna zabrała cię z „Beebe'a”.

- Dostałem telefon, że nasze tajne laboratorium zniknęło mniej więcej w tym samym czasie, kiedy miał miejsce atak na batysferę. Patrolowiec ochraniający Schówek został poważnie uszkodzony pociskiem, który mógł zostać wystrzelony z okrętu podwodnego, a cały podmorski kompleks, składający się z pracowni naukowych i kwater mieszkalnych, przepadł razem z personelem. Marynarka wojenna wciąż go szuka.

- Jesteś pełen niespodzianek, Doc - skomentował Austin. Widząc Stavrosa, który szedł do ich stolika z talerzami w rękach, zaproponował: - Może opowiesz mi o tym przy przystawkach?

Między kęsami pity Kane dokładnie zrelacjonował atak na okręt wsparcia i opisał wgłębienia pozostałe w dnie morskim. Kiedy spytał Kurta, czy orientuje się, jak laboratorium mogło zostać przemieszczone, ten obiecał, że skonsultuje się z Zawalą, po czym sam zadał pytanie.

- Jak dalece były zaawansowane badania w chwili zniknięcia laboratorium?

- Zidentyfikowaliśmy mikroorganizm wytwarzający interesujący nas związek chemiczny w meduzie. Byliśmy o krok od rozpoczęcia produkcji syntetyku w dużych ilościach. Zamierzaliśmy zrezygnować z prób klinicznych i ograniczyć się do testów laboratoryjnych oraz modeli komputerowych. Inaczej nie wystarczyłoby nam czasu. Lek musiał być dostępny jak najszybciej, na wypadek gdyby wirus rozprzestrzenił się z Chin na inne kraje.

- Zastanawiałeś się, kto może stać za zniknięciem laboratorium?

- Wciąż o tym myślę, ale nikt nie przychodzi mi do głowy.

- Mówiłeś, że patrolowiec uszkodził pocisk wystrzelony prawdopodobnie z okrętu podwodnego. Tylko jakiś rząd albo bardzo potężna organizacja mogą dysponować środkami niezbędnymi do przeprowadzenia ataku na batysferę i przemieszczenia laboratorium.

- Zgadza się. To zaś oznacza, że tylko jakiś rząd ma środki umożliwiające rozwiązanie tego problemu. Bez podwodnego laboratorium nie mamy żadnej obrony przed pandemią. Na razie wirus rozprzestrzenił się w odległych chińskich prowincjach. Ale kiedy dotrze do dużych miast, błyskawicznie wydostanie się poza granice kraju.

- Okręty marynarki wojennej muszą szukać.

- Cały czas przeczesują rejon. Ale sprawcy musieli się tego spodziewać i na pewno coś wykombinowali, żeby nie wpaść. Na zebraniu mojego Komitetu facet z Białego Domu wspomniał, że wiceprezydent Sandecker wychwalał cię pod niebiosa. Zresztą

sam widziałem, czego dokonałeś, kiedy batysfera była prawie stracona, poprosiłem więc o zorganizowanie mi spotkania z tobą. No i siedzimy teraz tutaj.

- A za chwilę zjemy kolację - rzekł Austin.

Zamówił do ryby białe wytrawne santorini. Przez następne pół godziny, między jednym kęsem a drugim, raczył Kane'a opowieściami o swoich nurkowaniach w kalderze na greckiej wyspie Santoryn i teoriami, że to legendarna Atlantyda. Wreszcie odsunął pusty talerz i zamówił mus waniliowy oraz mocną grecką kawę.

- No to jak? - zapytał Max.

- Zrobię, co będę mógł, ale musisz być ze mną całkowicie szczerzy, Doc. Niczego nie ukrywaj. Muszę też mieć możliwość skontaktowania się z tobą o każdej porze dnia i nocy.

- Obiecuję pełną współpracę, Kurt. - Kane spojrział na swoich ochroniarzy. - Moje niańki sygnalizują, że musimy iść. Uważają, że cała armia zabójców tylko czeka, żeby mnie wykończyć.

- Nie traktuj ich zbyt ostro, oni tylko chcą, żebyś przeżył. Ja zapłacę.

Kane zapisał numer, pod którym był osiągalny. Austin obserwował, jak wychodzi w towarzystwie dwóch mężczyzn. Potem dał znak Stavrosowi, że prosi o rachunek.

Porucznik Casey czekał w SUV-ie przed restauracją. Tym razem Austin wsiadł do wozu bez zaproszenia.

- Miło znów cię widzieć, poruczniku.

Casey bez słowa podał mu telefon i w słuchawce rozległ się głos Sandeckera.

- Doktor Kane wprowadził cię w sytuację?

- Powiedział mi o badaniach nad meduzą błękitną i o zaginięciu laboratorium.

- To dobrze. Ale będzie bardzo niedobrze, jeśli nie znajdziemy Schowka i nie zdobędziemy szczepionki. Musisz odnaleźć to laboratorium, Kurt. Dam ci do dyspozycji całą Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych.

- Ile mamy czasu, panie admirale?

- Według komputerów Ośrodka Zwalczenia Chorób wirus atakuje główne chińskie miasta za trzy doby, a rozprzestrzeni się na cały świat w ciągu kilku tygodni.

- Więc nie jest tak źle?

- Jest bardzo źle. Kiedy wirus wydostanie się poza granice Chin, będzie nie do powstrzymania. Prezydent postawił w stan pogotowia Gwardię Narodową, żeby móc wprowadzić stan wyjątkowy.

- W takim razie skorzystam z wszelkiej pomocy, jakiej może mi pan udzielić.

- Gdybyś potrzebował czegoś więcej, dzwoń bezpośrednio do mnie albo do Casey'a. Nie zwracaj sobie głowy pośrednikami - powiedział Sandecker i dodał łagodnie: - Powodzenia, Kurt. I miej oko na tego swojego lubieżnego meksykańskiego kumpla.

Austin oddał telefon Casey'owi.

- Kiedy wyruszamy? - spytał.

- Musimy być na lotnisku o trzeciej nad ranem. Wpadnę po ciebie. - Casey spojrzał na Kurta: - Mam żonę i dwoje dzieci. Podobno nie będzie sposobu, żeby ich ochronić, kiedy ta zaraza dotrze do Stanów.

- Więc są przynajmniej trzy ważne powody, żeby się pośpieszyć - odparł Austin.

Pożegnał się z porucznikiem i wysiadł z SUV-a przed wieżowcem NUMA. W drodze do swojego biura wybrał numer Zavali, ale się nie dodzwonił. Nie zdziwiło go to. Jeśli Joe dołączył do zespołu prowadzącego inwigilację, nie mógł rozmawiać. Zostawił mu wiadomość, żeby oddzwonił, gdy tylko będzie miał okazję.

Wziął akta Piramidy, wjechał windą na piętnaste piętro i ruszył korytarzem do drzwi z napisem „Numasat”. Otworzywszy je, wszedł do dużego pomieszczenia z ekranami telewizyjnymi na szerokiej półkolistej ścianie. Pokazywały obrazy z systemu satelitarnego NUMA, który zbierał wszelkie informacje o morzach i oceanach.

Sieć telekomunikacyjną nadzorował ekscentryczny geniusz Jack Wilmut. Zza konsoli na środku pomieszczenia, otoczonej sta-

nowiskami pracy, mógł śledzić realizację każdego projektu badawczego NUMA, każdy jej statek i każdego pracownika w terenie. Widząc nadchodzącego Austina, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Kurt. Co za niespodzianka.

Austin przysunął sobie krzesło do konsoli.

- Nie nabierzesz mnie, Jack. Możesz dokładnie określić, gdzie jestem, w ciągu zaledwie sekundy. Mam do ciebie prośbę. Straciłem kontakt z Joem. Spróbujesz go znaleźć?

Wilmut przygładził włosy zaczesane na pożyczkę.

- Pewnie jest w którymś z waszyngtońskich buduarów - odparł, a widząc, że Austin ma śmiertelnie poważną minę, dodał: -Postaram się. Co ma?

- Przede wszystkim nadajnik w swojej corvette.

- Pyszcz - mruknął Wilmut.

Przebiegł palcami po klawiaturze i po kilku sekundach ekran wyświetlił pulsującą czerwoną gwiazdkę na planie Falls Church.

- Samochód jest w Eden Center - oznajmił. - Joe pewnie wstał na wietnamskie jedzenie.

Kompleks Eden Center składał się ze sklepów i restauracji, które obsługiwały Wietnamczyków mieszkających w Falls Church.

- Joe nie lubi wietnamskiego jedzenia - powiedział Austin. - Spróbuj namierzyć jego telefon.

Wilmut namierzył komórkę Zavalii przez czip GPS.

Druga pulsująca gwiazdka pojawiła się na obrzeżach miasta, kilka kilometrów od pierwszej. Wilmut powiększył plan i przełączył się na obraz satelitarny. Gwiazdka była na jednym z kilkudziesięciu prostokątów, najwyraźniej dachów dużych budynków. Zrobił zbliżenie.

- To wygląda na kompleks przemysłowy - stwierdził. - Wszystkie budynki wyglądają bardzo podobnie.

- Potrzebny mi adres - odrzekł Austin.

Wilmut nacisnął klawisz i na ekranie pojawiła się nazwa hurtowni ciasteczek z wróżbą.

- Ale chińskie jedzenie chyba lubi - zauważył.

Austin podziękował mu, zjechał windą do garażu i wsiadł do swojego dzipa cherokee. Kiedy jechał wzdłuż Potomacu, wybrał numer Caitlin.

Od razu poznała go po głosie.

- To chyba mój szczęśliwy tydzień - powiedziała. - Dwóch przystojnych mężczyzn z NUMA dzwoni do mnie jeden po drugim. Co u ciebie, Kurt?

- Trochę się martwię o Joego. Wiesz coś o inwigilacji azjatyckiego gangu z udziałem Charliego Yoo?

- Pierwsze słyszę. Charlie jest gościem Biura. Informujemy go o niektórych operacjach w terenie, ale w tej chwili nic takiego nie ma miejsca.

- Tak myślałem. Dzięki za pomoc, Caitlin.

- Co się, do cholery...

Austin się rozłączył i niedokończone pytanie zaginęło w eterze. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wprowadził adres, który dostał od Wilmuta, do GPS-u na desce rozdzielczej.

Potem sięgnął pod fotel po kaburę z rewolwerem, położył ją na siedzeniu obok siebie i dodał gazu.

27

Przyczepa mieszkalna Dooleya nad kanałem na Pine Island nie była pięciogwiazdkowym hotelem, ale miała zalety, których próżno by szukać w Four Seasons.

Pine Island leży bowiem zaledwie kilka kilometrów od Bonefish Key, a z kanału rozciąga się wspaniały widok na zatokę. Dooley Greene siedział na leżaku na końcu rozpadającego się pomostu, z niedopałkiem cygara w zębach i strzelbą kaliber 16 na kolanach, i czuwał.

Doskonale znał lokalne wody, dopłynął więc na stały ląd, nie zapalając światła pozycyjnych swojej łodzi. Włączył je dopiero

w kanale, wzdłuż którego stały przyczepy mieszkalne. Kiedy przybił do pomostu i zgasił silnik, Gamay zwróciła się do Paula:

- Zanim umrę z ciekawości, wyjaśnij mi, jak to się stało, że przeniosłeś się z jednego wybrzeża na drugie i przybyłeś w samą porę, by uratować dziewicę w opałach. Miałeś się zjawić dopiero za parę dni.

- Kurt zadzwonił do mnie i powiedział, że mógł nieświadomie narazić cię na niebezpieczeństwo. Nie odbierałaś moich telefonów, więc przerwałem seminarium i przyleciałem na Florydę.

- A jak znalazłeś Dooleya?

- Właściwie to on mnie znalazł. Byłem na przystani na Pine Island i szukałem jakiegoś środka transportu na Bonefish Key. Zaglądałem do każdej łodzi w nadziei, że ktoś zostawił kluczyk w stacyjce. Dooley zobaczył mnie i zapytał, co robię. Kiedy wymieniłem twoje imię i nazwisko, zaproponował mi rejs na Bonefish. Potem zauważył, że brakuje dwóch kajaków, i domyślił się, gdzie możesz być.

- Dzięki, Dooley - powiedziała Gamay i cmoknęła go w policzek. - Pewnie się zastanawiasz, o co w tym wszystkim chodzi.

- Tutaj człowiek szybko się uczy, że lepiej pilnować własnych interesów, ale przyznam, że jestem trochę ciekaw, co się dzieje.

- Nie ty jeden - odparła Gamay i zerknęła na Song Li, która kulila się na siedzeniu.

Dooley przycumował łódź i zaprowadził całą trójkę do przyczepy. Wyjął z lodówki sześciopak dietetycznej coca-coli, dał trzy puszki gościom i dołożył torbę krakersów Goldfish. Potem wziął strzelbę z zamkniętej na klucz szafki i zawiesiwszy je na ramieniu, poszedł na pomost z resztą sześciopaku.

Song Li i Troutowie weszli do przyczepy i usiedli wokół kuchennego stołu. Chinka piła colę jak automat, patrząc w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Wciąż była w szoku po przemocy, której doświadczyła.

- Już dobrze, doktor Li - powiedziała Gamay. - Jest pani bez pieczna.

Li miała łzy w oczach.

- Jestem lekarką - odparła drżącym głosem. - Powinnam ratować, a nie odbierać życie.

- Uratowała pani życie sobie i mnie - przypomniała jej Gamay. - Tamten mężczyzna i jego kompani zabiliby nas.

- Wiem, ale...

- Orientuje się pani, kto to był? - wtrącił Paul.

Li otarła łzy wierzchem dłoni.

- Nie, ale powiedział, że mnie śledził od jakiegoś czasu. Czekał na brzegu i zmusił mnie, żebym z nim poszła do tamtego domu. Potem czekaliśmy na ludzi, którzy mieli mnie stamtąd zabrać. Błągałam go, żeby mnie puścił. Nie chciał. Wtedy chwyciłam nóż, dźgnęłam go i uciekłam.

Gamay położyła jej rękę na ramieniu.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli zacznie pani od początku - powiedziała łagodnie.

Li dokończyła colę i zaczęła opowiadać.

Pochodziła z ubogiej chińskiej wioski, ale że ukończyła z wyróżnieniem najpierw szkołę średnią, a potem uczelnię medyczną, pojechała do Stanów jako stypendystka chińskiego rządu. Widziała na własne oczy cierpienia swoich rodaków dotkniętych chorobami i chciała im jakoś zaradzić. Zrobiła więc specjalizację z immunologii na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Harvarda i odbyła staż w Szpitalu Ogólnym Stanu Massachusetts.

Po powrocie do Chin pracowała przy realizacji rządowego programu ochrony zdrowia mieszkańców slumsów. Koncentrowała się na profilaktyce i eliminowaniu źródeł chorób. Potem dostała etat w szpitalu, ale gdy wybuchła epidemia SARS, skrytykowała reakcję rządu i została zesłana na wieś. Spędziła tam kilka lat. Dopiero po wybuchu kolejnej epidemii zrehabilitowano ją i wysłano na Bonefish Key do pracy nad szczepionką robioną z pewnego organizmu morskiego przeciwko nowej odmianie wirusa.

- Z meduzy błękitnej? - spytała Gamay.

- Tak - potwierdziła Li. - Jest spokrewniona z wyjątkowo toksyczną osą morską. Skąd pani o tym wie?

- Wierciłam doktorowi Mayhew dziurę w brzuchu, aż mi pokazał laboratorium.

- Jestem zdumiona, że panią tam wpuścił. - Li popatrzyła na Gamay, jakby widziała ją pierwszy raz. - Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie wiem, kim pani jest.

- Biologiem morskim z NUMA. Przyjechałam na Bonefish Key, bo interesuje mnie biomedycyna oceaniczna.

- Coś mi się zdaje, że to ja bardziej panią interesuję.

- Czasami po prostu zdarza się tak, a nie inaczej.

Li się uśmiechnęła.

- Mówi pani jak pewien chiński filozof, doktor Trout. W każdym razie cieszę się, że wykazała pani zainteresowanie moją osobą, bo inaczej mogłoby mnie teraz tutaj nie być.

- Doktor Mayhew powiedział, że meduza błękitna to nowy gatunek.

- Zgadza się. Większy i bardziej agresywny niż osa morska. Po przeniesieniu badań do nowego laboratorium zamierzali za pomocą inżynierii genetycznej uzyskać silniejszą toksynę.

- Nie wiedziałam, że jest drugie laboratorium - zdziwiła się Gamay.

- To tajemnica. Nazywają je Schowkiem. Doktor Kane i jego asystentka Lois Mitchell opuścili Bonefish Key i zabrali ze sobą większość naukowców. Doktor Mayhew i reszta personelu zostali tutaj, aby dokładnie sprawdzić, czy nie było żadnych błędów w pierwotnych badaniach. Ja zajmowałam się prognozowaniem prawdopodobnego zasięgu wirusa i szukaniem najlepszego sposobu na powstrzymanie go.

- Jaką skuteczność ma lek otrzymywany z toksyny? - zapytał Paul.

- Toksyna meduzy błękitnej jest bardzo silna - odpowiedziała Li. - Nawet niewielka ilość mogłaby uśmiercić człowieka, więc początkowo więcej zwierząt w laboratorium zdychało, niż dawało się wyleczyć. Przełomowe okazało się poznanie budowy molekularnej drobnoustroju wytwarzającego toksynę. Byliśmy o krok od syntezy. Następnym etapem byłyby próby kliniczne.

Song Li dosłownie opadały powieki, Gamay zaproponowała więc, żeby się położyła na kanapie. Ona i Paul wyszli z przyczepy w ciepłą florydzką noc.

- Dzięki za przybycie nam na ratunek, dzielny Galahadzie - powiedziała do męża.

- Wybacz, pani, że sir Dooley i ja trochę się spóźniliśmy - odrzekł Paul. - Co sądzisz o opowieści Song Li?

- Nie wymyśliła sobie faceta, którego zabiła, ani jego chętnych do strzelania kumpli, więc przypuszczam, że cała reszta jej relacji to prawda.

- Pogadam z Dooleyem. Może będzie miał coś do dodania - powiedział Paul i ruszył na pomost.

Poczuł zapach dymu z cygara, zanim zobaczył Dooleya. Zaczął mówić, ale Greene uciszył go gestem. Paul nadstawił uszu i usłyszał warkot silnika u wylotu kanału. Dooley zgasił cygaro, złapał Trouta za ramię i pociągnął go za stos skrzynek do transportu ryb.

Warkot narastał i wkrótce do kanału wpłynęła łódź. Poruszała się bardzo wolno, jej szperacz przesunął się tam i z powrotem. Dotarła do końca kanału, zawróciła i skierowała się ku otwartej wodzie.

Dopiero gdy odgłos silnika ucichł w oddali, Dooley opuścił strzelbę i zapalił następne cygaro.

- Będę czuwał, ale lepiej zabierzmy stąd doktor Li - powiedział.

- Słusznie - zgodził się Trout.

Wrócił do przyczepy. Kiedy mówił żonie o podejrzanym łodzi, zadzwieczyła jego komórka. Sprawdził numer. Austin. Dzwonił, żeby zapytać, co z Gamay.

- Jestem już na Florydzie - odparł Paul. - Z Gamay wszystko w porządku. Ale wpadliśmy w tarapaty przy Bonefish Key.

- Co się stało?

- Ktoś zaatakował Gamay i pewną naukowiczkę z tutejszego laboratorium, doktor Song Li, która pracowała nad czymś o nazwie meduza błękitna.

- Chcę porozmawiać z doktor Li osobiście - oznajmił Kurt. - Zadzwoń do NUMA i każ im natychmiast przysłać po was samolot. Joe i ja wyjeżdżamy za parę godzin. Spotkamy się na lotnisku.

- Zaraz się tym zajmę.
- Dzięki. Mam jeszcze prośbę. - Podał Troutowi numer telefonu i wyjaśnił: - Zadzwoń do Cate Lyons, przyjaciółki Joego z FBI, i przeproś ją ode mnie za to, że się rozłączyłem podczas naszej rozmowy. Powiedz jej, że jestem w drodze do hurtowni ciasteczek z wróżbą Szczęśliwy Traf w Falls Church. Muszę kończyć.

Chwilę później Paul przekazał Lyons wiadomość od Austina. Podziękowała i się rozłączyła. Kiedy wybierał numer działu transportu NUMA, zwrócił się do Gamay:

- Wracamy dziś w nocy do Waszyngtonu. Kurt chce jak najszybciej porozmawiać z Song Li.

Pokiwała głową.

- Instynkt go nie zawiodł, jak zwykle. Kazał mi szukać na Bonefish Key czegoś zabawnego.

- To wcale nie jest zabawne - stwierdził Paul.

Gamay zerknęła na śpiącą Chinkę, myśląc o tym, jak bliskie były śmierci na porzuconej łodzi.

- Masz rację - powiedziała, podnosząc wzrok na poważną twarz męża.

28

Kilka minut przed telefonem do Troutów Austin minął corvette Joego zaparkowaną blisko wieży zegarowej Eden Center. Zawała musiał mieć naprawdę ważny powód, żeby zostawić swoją dumę i radość bez opieki, pomyślał. Wjechał na Wilson Boulevard i włączył się do ruchu, który odbywał się w ślimaczym tempie. W końcu zostawił za sobą podmiejskie centra handlowe i osiedla i znalazł się w dzielnicy przemysłowej.

GPS pokazał, że jest zaledwie przecnicę od celu. Austin uznał, że turkusowy cherokee może przyciągać niepożądaną uwagę, zaparkował więc w zaułku między dwoma budynkami i ruszył pieszo

do frontowej bramy hurtowni ciasteczek. Parking był pusty, jedyne światło padało znad drzwi biura.

Frontowa brama okazała się zaryglowana, więc Austin ruszył wzdłuż ogrodzenia z siatki do tylnej. Pchnął ją i skierował się w stronę rampy przeładunkowej oświetlonej pojedynczą żarówką. Starał się trzymać w cieniu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ma dobry adres. Wątpliwości zniknęły, gdy ktoś wyłonił się zza dużego pojemnika na śmieci i oślepił go silną latarką.

- Stój, żołnierzu - rozkazał basowy głos. - Ręce do góry.

Austin wykonał polecenie. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że

ktos podkrada się do niego z tyłu i wyjmuje mu rewolwer z kabury.

- Teraz lepiej - stwierdził głos. - Odwróć się... bardzo wolno.

Ostrzegam cię po przyjacielsku. Ci faceci nie bez powodu nazywa ją siebie Upiornymi Diabłami. Lepiej z nimi nie zadzierać.

Co najmniej pół tuzina innych postaci wynurzyło się z ciemności.

- A ty jesteś diabłem czy upiorem? - spytał Kurt.

Mężczyzna podszedł bliżej.

- Po prostu facetem, który wykonuje swoją robotę. Nazywam się Phelps. - Skierował latarkę na swoją uśmiechniętą twarz, której jaskrawe światło nadało wygląd halloweenowej maski. - Tutaj roi się od kamer. Mysz się nie prześliznie. Obserwowaliśmy cię od chwili, kiedy się pojawiłeś przy frontowej bramie. Dziękuję, że ułatwiłeś mi zadanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ale skąd wiesz, że nie dałem się złapać celowo?

- Nie wiem, dlatego podchodziliśmy do ciebie bardzo ostrożnie.

- Gdzie jest Joe?

Phelps wskazał latarką wrota na rampie przeładunkowej.

- Tędy - powiedział.

Wrota się uniosły. Phelps wszedł po schodach na rampę i wprowadził Austina do ciemnego magazynu. Sięgnął do włącznika i wewnątrz zalało jasne światło. Wielkie pomieszczenie było prawie

puste. Oprócz sterty pogniecionych tekturowych pudeł pod ścianą znajdowały się w nim tylko dwa krzesła ustawione przodem do ekranu.

- Ciasteczka z wróżką to chyba kiepski interes - zauważył Austin.

- To przykrywka - odparł Phelps. - Przeważnie trzyma się tutaj przemycanych nielegalnych imigrantów. Poza tym lepiej, żebyś nie znał swojego losu. Ludzie, dla których pracuję, nie są z ciebie zadowoleni.

Austin musiał przyznać, że ma niewielkie szanse na długie i szczęśliwe życie. Oprócz Phelpsa pilnowali go wyglądający na twardzieli uzbrojeni Azjaci w czarnych dresach, sportowych butach i czerwonych chustach na głowach. Wydawali się nieprzewidywalni, a ich nonszalancka pewność siebie sugerowała, że są również niezdyscyplinowani.

Phelps był wysoki, muskularny i zbliżał się do pięćdziesiątki. Nosił dżinsy, buty Doc Martens, czarny T-shirt i czapkę bejsbolową U.S. Navy Seals. Spojrzał z uznaniem na bowena Austina.

- Ładna sztuka - stwierdził.

- Dzięki. Kiedy dostanę ją z powrotem?

Phelps zachichotał, wsunął rewolwer do kabury, po czym zerknął na zegarek i zawołał coś do Azjatów. Wyszli przez drzwi prowadzące na front budynku i po chwili wrócili z Zawalą. Pchnęli go na jedno z krzeseł, kazali Austinowi usiąść na drugim, i przykuli im obu ręce do podłokietników.

Joe miał na twarzy zaschniętą krew, ale zdołał się uśmiechnąć na widok przyjaciela.

- Cześć, Kurt, fajnie, że wpadłeś na imprezę. Czas na nas?

- Będziesz musiał zapytać pana Phelpsa. Jesteś cały?

- Charlie Yoo mnie w to wpakował, a ci faceci użyli mojej głowy jako worka treningowego, ale chyba nie mam nic złamanego.

- Pamiętaj, że musimy im się odwdziżyć za gościnność.

Zawała się uśmiechnął.

- Właśnie to mi się w tobie podoba, Kurt. Szklanka jest za wsze do połowy pełna. Łups...

Zgasło światło i w magazynie zrobiło się prawie całkiem czarno. Po chwili dokładnie nad nimi rozbłysnął reflektor punktowy i znaleźli się w kręgu jasnego światła. Drugi reflektor zapalił się jakieś osiem metrów dalej.

Ekran zniknął, odsłaniając stół pokryty beżowym sukniem. Siedząca przy nim kobieta przyglądała się więźniom. Była w ciemnopurpurowym dwuczęściowym stroju i narzuconej na ramiona pelerynie tego samego koloru. Miała ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku, wysokie łukowate brwi i rysy Euroazjatyki.

Austin patrzył na nią z niedowierzaniem.

- To jakiś obłąd - szepnął - ale ja ją znam. To Smoczyca.
- Widziałem brzydsze smoki - stwierdził Zawała. - Przedstaw mnie.
- Nie jestem pewien, czy mi się uda, Joe. Smoczyca to postać fikcyjna.

Zawała spojrział na przyjaciela, jakby ten stracił rozum.

- To mnie wygrzmocili po głowie - przypomniał mu. - Na mnie ona sprawia wrażenie całkiem rzeczywistej.

- Na mnie też, Joe, ale Smoczyca to bohaterka komiksu *Jerry i piraci*. Ojciec czytał mi go, kiedy byłem mały. Klasyczna femme fatale. Zawsze sprawiała kłopoty. Jak ona się nazywała?

Kobieta się uśmiechnęła.

- Nazywam się Lai Czoj San - odezwała się głosem, który brzmiałby uwodzicielsko, gdyby nie był pozbawiony wszelkich emocji. - Brawo, panie Austin. Niewielu ludzi wie, że w ogóle mam nazwisko. Nie mogłam się doczekać tego spotkania.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego - odparł. - Ale skoro już się znamy, może zechciałaby nam pani wyjaśnić, dlaczego nas tu zaprosiła.

Ledwo mógł uwierzyć, że rozmawia z bohaterką komiksu. Następna będzie pogawędka z Królikiem Rogerem.

- Na początek chciałabym się dowiedzieć, gdzie jest doktor Kane - odrzekła.

Austin wzruszył ramionami.

- Kane jest w rządowym areszcie prewencyjnym. Nie wiem, gdzie go trzymają. Najwyraźniej ktoś próbuje go zabić.

- Doprawdy? - zapytała miękkim głosem. - Kto mógłby chcieć uśmiercić takiego błyskotliwego naukowca?

- Ci sami ludzie, którzy porwali laboratorium, gdzie opracowywano szczepionkę z toksyny meduzy.

Kobieta popatrzyła na niego z ledwo tłumioną irytacją; wydawało się, że jej twarz dosłownie płonie gniewem.

- Nie wie pan, że ten nowy wirus to dzieło Piramidy. Nasza firma farmaceutyczna eksperymentowała ze szczepionką przeciwko grypie i nieumyślnie stworzyła bardziej zjadliwą odmianę wirusa. Chcieli go zniszczyć, ale mądrzejsze głowy nie dopuściły do tego.

- A dlaczego te mądrzejsze głowy nie zapobiegły wybuchowi epidemii?

- To był wypadek. Uniknęlibyśmy tego, gdybyśmy mieli gotowe antidotum, które najpierw trafiłoby do członków mojej organizacji. Bo widzi pan, ten wirus pasuje do naszego planu osłabienia pozycji chińskich przywódców. Już epidemia SARS o mało nie doprowadziła do upadku rządu. Niech pan pomyśli, jak społeczeństwo zareagowałoby na bezsilność władz wobec jeszcze bardziej zabójczego wirusa. Piramida wkroczyłaby na scenę i uzdrowiła masy. W zamian zdobylibyśmy władzę i bogactwo. Zastąpilibyśmy rząd.

- Czy pani wie, że za parę dni wirus zaatakuje wasze duże miasta?

- To było tylko kwestią czasu, bez względu na to, co by zrobił rząd. Im więcej ofiar, tym weselej.

Austin przyjrzał się zjawie.

- Chcecie uśmiercić część rodaków, żeby wasz rząd miał kłopoty?

- Wie pan dużo i zarazem bardzo mało - odparła. - Co z tego, że zabilibyśmy kilka tysięcy czy nawet kilka milionów Chińczyków? Jest nas ponad miliard. Epidemia byłaby znacznie skuteczniejszym narzędziem kontroli urodzeń niż zasada jedno dziecko w rodzinie.

- Nigdy nie zdołacie powstrzymać tego wirusa, nawet mając szczepionkę opracowywaną w porwanym laboratorium. On się rozprzestrzeni za szybko. Za tydzień będzie na całym świecie.

- Nie uważa pan, że śmierć milionów ludzi najskuteczniej przekona innych do kupowania naszej szczepionki? Niech pan potraktuje to jako marketing i promocję.

- Jest pani szalona, jeśli wierzy pani, że ten plan się powiedzie - odrzekł Austin.

- To chińscy przywódcy są szaleni. Piramida funkcjonuje w naszej rodzinie od pokoleń. Poprzednie rządy, które próbowały ją zniszczyć, drogo za to zapłaciły. Istnieliśmy znacznie wcześniej, niż ci pożał się Boże przywódcy się urodzili. Nie trafimy na śmietnik historii.

Postać przy stoliku zdawała się żarzyć, gdy wygłaszała diatribę przeciwko komunistycznym władzom Chin, które miały czelność stanąć do walki z organizacją założoną setki lat temu.

Zawała patrzył na kobietę jak urzeczony.

- Kurt - szepnął - można ją przeniknąć wzrokiem na wylot. Spójrz na jej prawą rękę, tę, którą wymachuje.

Austin skoncentrował się na prawej ręce kobiety. Przez luźny jedwabny rękaw dostrzegł niewyraźnie ceglana ścianę za nią.

- Faktycznie, ona jest tylko projekcją, jak Max - powiedział, mając na myśli holograficzną postać, którą generował interaktywny komputer Hiram Yeagera.

Smoczyca zauważyła szeroki uśmiech Kurta i przerwała tyradę.

- Dziwny z pana człowiek, panie Austin. Nie przeraża pana perspektywa śmierci?

- Nie z ręki kogoś, kto istnieje tylko w komiksie.

- Dosyć! - warknęła. - Pokażę panu, jaka jestem rzeczywista. Mój brat Czang czeka na pana. Dopilnuje, żeby miał pan długą i bolesną śmierć.

Wydała rozkaz po chińsku i jej ludzie wkroczyli do akcji.

- Chwileczkę! - zawołał Austin. - A jeśli sprowadzę doktora Kane'a?

Jej drugi rozkaz osadził gangsterów na miejscu.

- Podobno jest w areszcie prewencyjnym - odparła. - Nieosiągalny.

- Skłamałem... Bardzo często to robię.

- To prawda - wtrącił się Zavala. - Kurt to jeden z największych kłamców, jakich znam.

Austin zerknął na niego z ukosa, jakby chciał powiedzieć, że trochę przesadził.

- Niech mi pani pozwoli zadzwonić - zwrócił się do Smoczy cy. - Ściągnę go.

Starął się zyskać na czasie w nadziei, że jeśli uwolnią go z krzesła, zdoła chwycić jakąś broń. To była zagrywka va banque ale nie pozostało mu nic innego.

- Daremny trud, panie Austin - odparła. - Nie obchodzi mnie, czy Kane przeżyje, czy zginie. Realizacja projektu zbliża się ku końcowi i jego usługi nie są już potrzebne. Żegnam.

Austin spodziewał się, że Upiorne Diabły znów wkroczą, ale oni stali nieruchomo i patrzyli w stronę tyłu magazynu. Hologram zadrgał.

- O co chodzi? - zapytała Smoczyca.

W odpowiedzi na zewnątrz zabrzmiał wzmocniony przez megafon kobiecego głosu.

- Tu FBI. Rzućcie broń i wyjdźcie z podniesionymi rękami.

Gordon Phelps, który obserwował z boku wymianę zdań między Austinem i hologramem, wyszedł z cienia w krąg światła. Krzyknął coś po chińsku do Upiornych Diabłów, po czym zwrócił się po angielsku do Kurta i Joego:

- Nigdzie nie odchodźcie, chłopcy.

On i gangsterzy pobiegli w stronę rampy. Austin i Zavala wymienili spojrzenia.

- Teraz albo nigdy - powiedział Kurt.

Szarpnął nadgarstek przykuty do krzesła, wstał i powlókł je za sobą w kierunku Smoczy cy. Po kilku krokach uniósł krzesło na wysokość piersi nogami do przodu.

Zavala poszedł w jego ślady i razem przypuścili szarżę na stół.

Żywa osoba zrobiłaby unik lub rzuciła się do ucieczki. Ale system złożony z kamery, projektorów, mikrofonów i komputerów, który był siłą napędową holograficznej projekcji, nie miał ludzkich odruchów.

Postać zastygła w miejscu, tylko rysy jej twarzy zaczęły się zmieniać. Smoczyca przeistoczyła się najpierw w mężczyznę w szkarłatnym jedwabnym kapeluszu, a potem w kilkanaście innych męskich i kobiecych obliczy. Ostatnie z nich zamazało się na obrzeżach i zamieniło w chmurę wirujących i połyskujących drobinek.

Zanim Austin i Zavala uderzyli w stół i przewrócili go, pozostała tylko pusta przestrzeń. Dźwignęli się na nogi i w kręgu światła, gdzie przed chwilą siedzieli, zobaczyli Phelpsa. Celował do nich z bowena.

- Szefowej to się nie spodoba - powiedział spokojnie.

- Tak, zapewne nie będzie zachwycona - przyznał Austin. - Cholerna szkoda.

Phelps uniósł lekko kąciki ust.

- Co mówiliście o szczepionce w laboratorium i wirusie? - spytał.

- Amerykański i chiński rząd opracowywały w tajemnicy szczepionkę przeciwko zabójczemu wirusowi, ale banda twojej szefowej porwała laboratorium.

- Wiem - odparł Phelps. - To ja je porwałem.

- Jeśli mówisz prawdę - rzekł Austin - to wiesz, gdzie teraz jest. Pomóż nam odebrać je tym błaznom.

- Nie żartowałeś, mówiąc, że wirus rozprzestrzeni się na Stany? Austin spojrzał mu w oczy.

- A jak myślisz, Phelps?

- Nie chodzi o to, co myślę, tylko co wiem. Mam rodzinę w Stanach.

- Nic ich nie będzie chronić przed zachorowaniem - powiedział Austin. - Nie możesz dopuścić, żeby tak się stało.

- Nie zamierzam. Ale muszę to zrobić po swojemu i zawsze pracuję sam.

Odwrócił głowę na odgłos strzałów i krzyków w oddali.

Sięgnął do kieszeni koszuli po kluczyki od kajdanków i rzucił je na ziemię. Potem odczepił od pasa kaburę, schował do niej bowena, schylił się i puścił ją po podłodze. Chwilę później zniknął w ciemności.

Gdy po kolejnej chwili w magazynie rozbłysły światła, Phelpsa już nie było. Cate Lyons trzymała jedną rękę na włączniku, drugą na pistolecie. Kiedy zobaczyła Austina i Zawalę, podbiegła do nich.

- Jesteście cali? Boże, Joe, cholernie kiepsko wyglądasz. Przepraszam, że się spóźniłam, czekałam na wsparcie. Przeszukują bu dynek, ale chyba wszyscy uciekli. Czy powiecie mi, co się dzieje?

Austin podniósł kluczyki, otworzył swoje kajdanki i oswobodziwszy Zawalę, poszedł po bowena.

- Powiemy ci wszystko w powrotnej drodze do Waszyngtonu - obiecał, przypinając kaburę do pasa. - A potem chcemy pogadać z agentem Yoo.

29

Zostawiwszy Zawalę w Falls Church, Charlie Yoo wrócił do kwatery głównej FBI. Pogawędził chwilę z agentem z Sekcji Azjatyckiej, żeby zdobyć pewne informacje i przekazać je swoim pracodawcom. Jako członek jednej z największych organizacji przestępczych na świecie czuł podniecenie, ilekroć wędrował korytarzami centrali największej agencji policyjnej świata. Był jeszcze w Hoover Building, kiedy zadzwoniła Caitlin Lyons i spytała, czy mogliby się umówić na drinka w pewnym barze w Georgetown. Yoo chętnie skorzystał z zaproszenia. Caitlin знаła różne plotki krążące w FBI, a do tego była bardzo atrakcyjna.

Zjechał windą do garażu i właśnie szedł do swojego samochodu, gdy Lyons wyłoniła się zza betonowego filara.

- Cześć, Charlie - powiedziała.

Yoo uśmiechnął się szeroko.

- Czyżbym źle zrozumiał? - spytał. - Myślałem, że mamy się spotkać w barze.

- Postanowiłam oszczędzić ci jazdy. Musisz być cholernie zmęczony po wystawieniu moich przyjaciół, Joego i Kurta.

Yoo, nie przestając się uśmiechać, sięgnął pod marynarkę.

- Sie masz, Charlie.

Zavala wyszedł z za jego pleców.

- Joe! - wykrzyknął Yoo. - Cieszę się, że cię widzę. Co za niespodzianka...

- Że żyję?

- Co? Nie rozumiem, o czym mówisz. Chyba się rozdzieliliśmy w magazynie.

Ręka Yoo przesuwiała się pod marynarką w sposób, który niewyszkolonemu obserwatorowi wydałby się niedbały.

- Załóżmy się, Charlie - zaproponował Zavala. - Stawiam pięć dolców, że Lyons wpakuje ci kulkę w łeb, zanim wyciągniesz spluwę z kabury.

- Czuję, że dziś mam szczęście - powiedziała Caitlin. - Postaw dychę.

Trzymała pistolet w wyciągniętych rękach.

- Zdejmij wolno marynarkę i rzuć na podłogę - rozkazał Zavala.

Yoo wykonał polecenie. Joe podszedł do niego i zabrał mu dwie sztuki broni palnej. Jedna była w kaburze pod pachą, druga w kaburze przy pasie. W pochwie na kostce znalazł krótki nóż o podwójnym ostrzu.

- Przejedźmy się, Charlie.

Uniósł rękę, jakby zatrzymywał taksówkę. Rozbłyły reflektory, samochód wystartował z piskiem opon i zahamował gwałtownie centymetry od Yoo. Zavala wyjął rolkę taśmy samoprzylepnej, którą skrępował mu nadgarstki za plecami oraz zakleił oczy i usta. Potem wepchnął Yoo na tylną kanapę. Usiadł obok niego, a Lyons z drugiej strony.

Jechali w milczeniu przez pół godziny. Gdy się zatrzymali, wywlekli Yoo z samochodu i sprowadzili po krótkich schodach. Posadzili go na krześle i usunęli taśmę z oczu i ust. Rozejrzał się po skąpo umeblowanym pokoju.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- W bezpiecznym domu FBI - odparła Lyons.

Siedziała przy drugim końcu prostokątnego stołu. Zawała zajmował miejsce obok niej i patrzył na Chińczyka bez cienia uśmiechu na pokierszowanej twarzy. Naprzeciwko Joego siedział mężczyzna o siwych włosach; jego oczy przeszywały Yoo niczym dwa niebieskie lasery.

- Nazywam się Kurt Austin - przedstawił się. - Dla kogo pracujesz?

- Dla chińskiej agencji bezpieczeństwa państwowego - odparł Yoo.

Austin westchnął i zerknął na Lyons.

- Pamiętasz, Charlie - zaczęła - jak poszliśmy na strzelnicę i pokazałam ci, jak celnie strzelam? - Uniosła pistolet i wycelowała w Chińczyka. - Odpowiedz Kurtowi na pytanie, bo inaczej zrobię ci trzecie oko.

Yoo przełknął z trudem ślinę.

- Pracuję też dla triady Piramida - wykrztusił. Austin pokazał Lyons, żeby opuściła broń.

- Co dla nich robisz? - spytał.

- Nigdy nie odszedłem z gangu - wyznał Yoo. - Ale jestem szeregowym członkiem. Nie podejmuję decyzji, wykonuję tylko rozkazy.

- Kto ci kazał zawieźć Joego do magazynu hurtowni ciasteczek z wróżbą?

- Gdy Joe wyszedł z mojego biura, zameldowałem o jego wizycie. Zwykle rozmawiam tylko z moim bezpośrednim szefem, z nikim wyżej. To dlatego, żeby w razie wpadki nie mógł nikogo sypnąć. Ale tym razem rozmawiałem z samą górą.

Austin wrócił myślami do napadu na „Beebe'a”.

- Jesteś w triadzie od dawna - powiedział. - Co wiesz o potężnym facecie ogolonym na łyso?

Yoo zamrugał, zaskoczony.

- Musi chodzić o Czanga - odparł. - To właśnie z nim rozmawiałem. Kieruje światową siecią gangów, takich jak Upiorne Diabły. Zna go pan?

Austin zignorował pytanie.

- Kim są inni przywódcy? - ciągnął.
- Daj spokój, Charlie - wtrąciła Caitlin Lyons, kiedy Yoo zwlekał z odpowiedzią. - Wiemy, że Piramidę firmuje swoim nazwiskiem Wen Lo.
- Tak, chyba tak - potwierdził skwapliwie.
- Opowiedz mi o Phelpsie - zażądał Austin. - To on dowodził gangiem w magazynie.
- Upiorne Diabły to lokalny gang waszyngtoński. Spotykają się w hurtowni ciasteczek i tam ktoś przekazuje im rozkazy od szefa. Nigdy nie wiadomo, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta. Ale ten hologram jest super, no nie? - Popatrzył na surowe twarze rozmówców i przestał szczerzyć zęby w uśmiechu. Skulił się na krześle. - No dobra. Phelps to najemnik. Mało o nim wiem, ale wykonuje dużo ważnych zadań dla triady.
- Cudzoziemiec na tak wysokim szczeblu? - zdziwił się Austin.
- Góra nie do końca ufa Chińczykom. Nie ufają nawet sobie nawzajem, dlatego używają hologramów. W ten sposób mogą się pojawiać wszędzie na świecie i wydawać rozkazy, fizycznie będąc gdzie indziej.
- Dlaczego twoi szefowie chcieli porwać Joego i mnie?
- Nie podobacie im się. Powiedziałem Phelpsowi, że porwanie ludzi z tak dużej agencji rządowej jak NUMA jest bardzo ryzykowne. Odparł, że to nieważne, bo przyszedł rozkaz z samej góry. Mieli nadzieję, że pojawicie się razem, tymczasem Joe musiał być przynętą.
- Skąd wiedzieliście, że go znajdzie?
- Phelps zamierzał do pana zadzwonić, przedstawić się jako agent FBI i powiedzieć, gdzie jest Joe. Domyślam się, że nie otrzymał pan tej wiadomości.
- Słusznie się domyślasz - potwierdził Austin i nagle zmienił temat.
- Co wiesz o Bonefish Key?
- Nic. - Yoo zrobił taką minę, jakby pierwszy raz słyszał tę nazwę.

Austin uważał, że Chińczyk wie więcej, niż mówi, i jest wyżej w triadzie, niż twierdzi, ale postanowił zakończyć przesłuchanie.

- To na razie tyle.

- Mogę wrócić do domu? - spytał Yoo.

- Porozmawiamy jeszcze chwilę - odparła Lyons - a potem odwieziemy cię do Waszyngtonu. Ale na tym się nie skończy.

- Możemy się dogadać - zapewnił Chińczyk. - Jestem otwarty na propozycje.

- W porządku. Będziesz naszą wtyczką w triadzie. Ale jeśli uznamy, że wciskasz nam kit, damy cynk przez naszych ludzi w Hongkongu, że jesteś kapusiem.

- Co nie wyszłoby mi na zdrowie - zauważył Yoo. - Zgadzą się.

Wypytywali go dalej, aż doszli do wniosku, że więcej się nie dowiedzą. Ponownie zakleili mu usta i oczy taśmą i odwieźli go do Hoover Building. Potem pojechali do siedziby NUMA.

- Mam mętlik w głowie - powiedziała Caitlin. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Piramida stworzyła wirusa grypy, którego chce wykorzystać do obalenia chińskiego rządu - wyjaśnił Austin. - Porwali laboratorium pracujące nad szczepionką przeciwko temu wirusowi, bo mają nadzieję, że kiedy rząd upadnie, zaczną sprzedawać lek przeciwwirusowy na całym świecie i zarobią miliardy.

- Zanim to nastąpi, mogą umrzeć setki tysięcy ludzi.

- Myślisz, że kogoś z Piramidy to obchodzi?

- Po tym, co widziałam, raczej nie. Od czego zaczniemy?

- Niech Sekcja Azjatycka rozprawi się z Upiornymi Diabłami. Kiedy będziesz się tym zajmowała, Joe i ja spróbujemy odnaleźć laboratorium.

- Co zrobić z Charliem Yoo?

- Wykorzystaj go, a potem wyłącz z gry.

- Dobry pomysł - mruknęła z szatańskim uśmiechem.

Austin i Zavala wysiedli przed wieżowcem NUMA. Umówili się na lotnisku i rozjechali do domów po bagaże.

W drodze do domu Kurt sprawdził pocztę głosową w swojej komórce, którą zostawił w samochodzie, kiedy poszedł do hurtowni ciasteczek. Odsłuchał wiadomość od Phelps, który podał się za agenta FBI. Yoo nie skłamał.

Wyłączył komórkę i dodał gazu.

Zaczął się wyścig z czasem.

Jak zawsze.

30

O trzeciej nad ranem granatowy SUV podjechał do hangaru w Narodowym Porcie Lotniczym imienia Ronalda Reagana i zaparkował obok smukłego odrzutowca Cessna Citation X z czarnym napisem „NUMA” na turkusowym kadłubie. Austin i Casey wysiedli z wozu i porucznik wręczył swojemu towarzyszowi plastikową torbę o wymiarach dwadzieścia osiem na czterdzieści centymetrów.

- W środku są szczegóły operacji, o której rozmawialiśmy w drodze na lotnisko - wyjaśnił. - Powodzenia, Kurt. I uważaj na rekiny.

- Dzięki, poruczniku - odparł Austin i uścisnęli sobie dłonie. - Ale prawdę mówiąc, wolę ludojada z płetwą grzbietową od ludojadów z ostrymi zębami, od których aż roi się nad Potomakiem.

- Będę pamiętał, żeby mieć pod ręką środek odstraszący rekiny - zapewnił Casey z uśmiechem.

- W Waszyngtonie bardziej przydałby się inny środek odstraszący, ale życzę szczęścia.

Kurt wyjął z SUV-a swój worek marynarski i podał bagażowemu, który włożył go do ładowni samolotu. Wetknął plastikową torbę pod pachę, wspiął się po trapie do otwartych drzwi i przystanął. Citationa oświetliły silne reflektory, a z samochodowego stereo ryknęła salsa, gdy czerwona corvetta Zavali przemknęła z opuszczonym dachem po płycie lotniska.

Kabriolet zatrzymał się przy hangarze i Joe pomachał Austinowi. Nigdy zwyczajnie nie przyjeżdżał na miejsce, tylko robił z tego przedstawienie.

Kurt pozdrowił przyjaciela, wszedł do luksusowej kabiny cessny i położył torbę na stoliku do kawy. Kiedy rozmawiał w kokpicie z pilotami, Zawała podniósł dach auta, rzucił swój worek marynarski bagażowemu i wbiegł na pokład. Austin właśnie wychodził z kokpitu.

- Wszystko idzie zgodnie z planem - poinformował Joego.

Beżowe skórzane fotele i kanapę w kabinie można było rozłożyć do spania. Zawała wyciągnął się w jednym z wygodnych foteli, ziewnął i zapytał:

- Wiadomo, dokąd lecimy?

Austin opadł na kanapę, wziął torbę ze stolika i uniósł ją, żeby Joe mógł zobaczyć nalepkę „Ścisłe tajne”.

- Nasze rozkazy - oznajmił.

Zerwał pieczęć paznokciem kciuka i wyjął ze środka plik kartek. Zerknąwszy na pierwszą stronę, wypełnioną schematami, podał dokumenty Zawali. Joe rzucił okiem na schematy i przeczytał nagłówek: „Podwodna baza i obserwatorium Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych”.

- To plany Schowka - powiedział z błyskiem podniecenia w ciemnych oczach.

Rozłożył plany na stoliku i wpatrywał się w nie z takim zainteresowaniem, z jakim nastolatek ogląda zdjęcia nagich dziewczyn. Jako konstruktor pojazdów podwodnych, szczególną uwagę zwrócił na schematy wahadłowca towarowego i miniłodzi podwodnych do zbierania okazów dla laboratorium. Po kilku minutach wygłosił opinię doświadczonego inżyniera, który wiele razy zmagał się z takimi problemami, jak prądy morskie, głębokość, ciśnienie i słona woda.

- Genialne - stwierdził ze szczerym podziwem. - Aż trudno uwierzyć, że coś tej wielkości po prostu zniknęło.

- Konstrukcja kompleksu mogła ułatwić porwanie - odparł Austin. - Jak widzisz, zaprojektowano go jako ruchome podmorskie obserwatorium. Porucznik Casey powiedział mi, że poszczególne

części kompleksu zbudowano na lądzie, a potem przetransportowano je na morze na specjalnie skonstruowanych barkach, złożono w całość i opuszczono pod powierzchnię. Kule i łączniki wzmocniono tak, żeby kompleks się nie rozpadł podczas przemieszczania go z jednego punktu do drugiego. Ma też system stabilizacji, żeby pozostawał w poziomie podczas transportu.

Zavala wyjął z kieszeni długopis i położył na schematach.

- Wyobraźmy sobie, że ten długopis to okręt podwodny albo wielki AUV - powiedział. - Porywacze przyczepili do niego laboratorium, wypompowali je do zerowej pływalności i wzięli na hol.

- Wszystkie wielkie umysły rozumują podobnie - odrzekł Austin. - Rosyjski rząd próbował sprzedać swoje tajfuny do wykorzystania jako transportowce w Arktyce. Może znalazł kupca.

- To wyjaśnia tylko część zagadki - zauważył Zavala. - Jeśli to była taka wielka tajemnica, skąd porywacze wiedzieli, że Schowek w ogóle istnieje i gdzie jest?

- Ochronę laboratorium powierzono prywatnej firmie - wyjaśnił Kurt - i to mógł być słaby punkt. Ocaleli członkowie załogi okrętu wsparcia twierdzą, że na krótko przed atakiem dostali polecenie od tej firmy, by dostarczyć wahadłowcem jej przedstawiciela do laboratorium. Według ich relacji to był sympatyczny facet mówiący z południowym akcentem. Wypisz wymaluj Phelps. Zresztą sam się przyznał do porwania laboratorium. Przemilczał natomiast, że przedstawiciel firmy ochroniarskiej, który wydał zgodę na jego wizytę, zginął w wypadku samochodowym. Przypuszczam, że został zmuszony do załatwienia Phelpsowi wstępu, a potem zlikwidowany.

- Korzystny zbieg okoliczności - skomentował Zavala. - Jaka była ostatnia pozycja laboratorium?

Austin wyjął z torby mapę i rozłożył na stoliku. Obszar Pacyfiku w pobliżu wyspy Pohnpei w Mikronezji był zakreślony czarnym flamastrem.

Joe założył ręce za głowę i zmarszczył brwi.

- Niezły kawał oceanu - zauważył. - Poszukiwania mogą potrwać miesiące.

- Sandecker dał nam na nie trzy doby - odparł Austin.

- Dziwię się, że nie poprosił nas o rozwiązanie przy okazji problemu głodu na świecie i kryzysu energetycznego.

- Nie podsuwaj mu żadnych pomysłów - ostrzegł Austin - bo zażąda, żebyśmy oczyścili oceany w przerwie na kawę.

Narastający huk silników odrzutowych przerwał poranną ciszę. Austin wyjrzał przez okno. Jakiś samolot NUMA kołował do hangaru. Gdy silniki umilkły, z maszyny wysiadły trzy osoby i ruszyły przez płytę lotniska w kierunku cessny. Kurt rozpoznał wysoką chudą postać Paula Trouta i rude włosy Gamay, ale towarzyszącą im Azjatkę widział pierwszy raz.

Przywitał się z Troutami i uprzedził Paula, żeby schylił głowę, wchodząc do kabiny. Uśmiechnął się przyjaźnie do Azjatki.

- Doktor Song Li, jak się domyślam. Nazywam się Kurt Austin. A to jest Joe Zavała. Jesteśmy z NUMA. Dziękuję, że zechciała pani przylecieć do Waszyngtonu.

- A ja dziękuję za przysłanie Paula i Gamay na Bonefish Key, panie Austin - odparła. - Gdyby nie oni, już bym nie żyła.

Kurt pożerał wzrokiem urodziwą Chinę.

- To byłaby niepowetowana strata, doktor Li - powiedział. - Proszę usiąść. Na pewno ma pani mnóstwo pytań.

Song Li usiadła na kanapie i przyjrzała się nowo poznanym mężczyznom. Troutowie zaimponowali jej sprawnością fizyczną, sprytem i poczuciem humoru w obliczu niebezpieczeństwa. Ale siwowłosy barczysty Austin z profilem jakby odlanym z brązu intrygował ją jeszcze bardziej. Nienaganne maniery łączył z odwagą, którą dostrzegła w jego niezwykłych koralowoniebieskich oczach. A jego przyjaciel o smagłej cerze wyglądał na zawadiackiego księcia piratów.

- Troutowie powiedzieli mi o ataku na batysferę - zaczęła. - Wie pan może, gdzie jest doktor Kane?

- Bezpieczny w areszcie prewencyjnym. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem. Opowiedział mi o pracy w ośrodku na Bonefish Key i o podwodnym laboratorium nazywanym Schowkiem.

Li była zdumiona.

- Wiedziała o tajnym obiekcie - wykrzyknęła - ale nie miałam pojęcia, że jest pod powierzchnią morza!

- Pacyfiku, ściśle mówiąc. Ulokowano go na wodach mikronezyjskich, dokładnie na głębokości dziewięćdziesięciu jeden metrów.

- Spodziewałabym się po doktorze Kanie czegoś nieszablonowego - odparła - ale coś takiego nawet mi się nie śniło.

- Przeznaczenie i lokalizację laboratorium trzymano w ścisłej tajemnicy - ciągnął Austin - lecz mimo to zostało porwane razem z personelem. Joe i ja uważamy, że zniknięcie Schowka, atak na batysferę i próba uprowadzenia pani wiążą się ze sobą. Doktor Kane opowiedział mi o projekcie „Błękitna Meduza”. Na czym polegała pani praca w ośrodku na Florydzie?

- Jestem wirusologiem i epidemiologiem. W Bonefish Key koncentrowałam się na prawdopodobnym kierunku rozprzestrzeniania się epidemii i opracowywałam plan dystrybucji szczepionki.

- Więc odgrywała pani bardzo istotną rolę w realizacji projektu.

- Muszę przyznać, że tak. Szczepionka byłaby bezużyteczna bez opracowania strategii jej dystrybucji.

- Co by się stało z projektem, gdyby panią porwano?

- Nie zagroziłoby to jego realizacji. Prawie wszystko jest już zaplanowane, pozostały tylko syntetyzacja leku i nadanie mu postaci szczepionki. Ale po zniknięciu laboratorium jest na to mała szansa.

- Proszę nie tracić nadziei, doktor Li. Wciąż trwają intensywne poszukiwania Schowka. Joe i ja lecimy do Mikronezji, żeby w nich pomóc.

Li spojrzała na mapę rozłożoną na stoliku.

- Będziecie na Pohnpei? - spytała.

- Na to się zanoszą - odparł Austin. - Była pani tam?

- Nie, ale właśnie na tej wyspie w połowie XIX wieku wybuchła epidemia, która zdziesiątkowała flotę wielorybniczą na Pacyfiku. To bardzo ciekawe.

- W jakim sensie, doktor Li?

- Na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Harvarda pisałam pracę dla profesora Codmana na podstawie artykułu, który znalazłam w starym periodyku medycznym. Autor tego tekstu, lekarz, badał

grupę wielorybników z New Bedford, którzy po epidemii do końca długiego życia cieszyli się dobrym zdrowiem.

Austin zerknął dyskretnie na zegarek, niespecjalnie zainteresowany tym fenomenem medycznym. Odgłos rozgrzewanych silników citationa dostarczył mu zręcznej wymówki.

- Miło się rozmawiało - powiedział - ale niedługo startujemy...

- Niech pan mnie wysłucha, panie Austin! - Li podniosła głos, żeby przekrzyczeć hałas.

Kurt uśmiechnął się na tę niespodziewaną stanowczość.

- Dobrze, doktor Li, ale proszę się streszczać.

- Mężczyźni ujęci w zestawieniu - podjęła - służyli na statku wielorybniczym „Princess”. Zachorowali po jego postoju na Pohnpei.

- Wciąż nie widzę związku z laboratorium...

Teraz Song Li okazała zniecierpliwienie.

- Czyżby, panie Austin? Cała załoga „Princess” przeżyła! Jeśli to nie wydaje się panu uwagi, to może zainteresuje pana coś innego. Objawy choroby były niemal identyczne z występującymi w czasie ostatniej epidemii. Członkowie załogi powinni byli umrzeć, tymczasem cieszyli się dobrym zdrowiem do końca życia. W jakiś sposób zostali wyleczeni.

- Sugeruje pani, że to, co uzdrowiło wielorybników, może po-
działać na nowego wirusa?

- Dokładnie.

Austin wreszcie zaskoczył. Grupa wielorybników dożyła w dobrym zdrowiu sędziwego wieku po rejsie do Mikronezji, gdzie żyje meduza błękitna. Powiązał to ze słowami Kane'a, że toksyna zapewnia ofierze zdrowie, dopóki meduza jej nie zje.

- Dziennik okrętowy „Princess” z tamtej wyprawy byłby nader ciekawą lekturą - zauważył Paul.

- Próbowałam go odnaleźć przez Bibliotekę Widenera na Uniwersytecie Harvarda - powiedziała Li. - Poszukiwania zaprowadziły mnie do New Bedford. Pewien antykwariusz nazwiskiem Brimmer obiecał rozejrzeć się za tym dziennikiem, ale to było tuż przed moim powrotem do Chin i musiałam odłożyć całą sprawę.

Z kokpitu dobiegł głos pilota:

- Dostaliśmy pozwolenie na start. Gdy tylko będziecie gotowi...
- Dziękuję pani, doktor Li - powiedział Austin. - Przepraszam, że pani przerywam, ale naprawdę musimy już lecieć.

- Chcę polecieć z wami - wypaliła bez zastanowienia.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - odparł Kurt. - Może być bardzo niebezpiecznie. Joe zdobył informację, z której wynika, że jest w to zamieszana chińska triada o nazwie Piramida.

- Triada? - zdumiała się Li. - Dlaczego triadę miałyby interesować prace nad szczepionką przeciwwirusową?

- Piramida stworzyła nowego wirusa - wyjaśnił Zawała - w ramach planu obalenia chińskiego rządu. Szczepionka pokrzyżowałaby im szyki, musieli więc porwać laboratorium.

- Brzmi niewiarygodnie - odrzekła - ale ma sens. Mój rząd bardzo się boi jakichkolwiek niepokoju społecznych i dlatego tak brutalnie tłumi każdy zorganizowany protest. Uważam, że powinniście zabrać mnie ze sobą. Chcę uczestniczyć w próbie powstrzymania tego, co zaczęli moi rodacy. Dobrze znam cały program badawczy i może zdołam wam pomóc.

Austin popatrzył na jej T-shirt i szorty.

- Nie ma pani żadnego bagażu - zauważył. - Możemy pani dać tylko szczoteczkę do zębów.

- Kupię sobie jakieś ubranie, gdy będziemy na miejscu. Kurtowi podobał się hart ducha młodej Chinki.

- Słucham, doktor Li. Ma pani pół minuty, żeby mnie przekonać. Skinęła głową.

- Uważam, że meduza badana w laboratorium została użyta przez wyspiarzy do wyleczenia załogi „Princess”. Gdyby udało nam się znaleźć tamto miejsce, może dotarlibyśmy do Schowka.

- To założenie oparte na raczej wątplych przesłankach.

- Wiem, ale w tej chwili nie mamy nic więcej. I proszę mi nie mówić, że to będzie bardziej niebezpieczne niż moja przygoda na Florydzie, gdzie o mało nie straciłam życia.

Zawała zachichotał.

- Ta dama ma rację - stwierdził.

Austin zwrócił się do Troutów.

- Co o tym myślicie? - spytał.

- Chciałem umieścić doktor Li u mojej ciotki Lizbeth na Cuttyhunk Island, dopóki niebezpieczeństwo nie minie - odparł Paul.

- Dobrze znam cioteczkę Lizzy - wtrąciła Gamay. - Doprowadziłaby tę biedną kobietę do szaleństwa swoim nieustannym gadaniem o dzemie śliwkowym.

- Co do Lizzy Gamay ma rację - przyznał Paul. - A doktor Li ma rację co do tego, że jej wiedza na temat pracy w laboratorium może się przydać. Dobrze mieć zabezpieczenie.

Austin miał w NUMA opinię człowieka, którego odwaga graniczy z brawurą. Ale jego współpracownicy wiedzieli, że podejmuje tylko wykalkulowane ryzyko. Był jak hazardzista, który zawsze miał w kieszeni zapasowy żeton.

- Wygląda na to, że zostałem przegłosowany - powiedział i połączył się przez interkom z kokpitem. - Startujemy za pięć minut

- oznajmił po chwili.

- Co mamy robić, gdy będziecie w Mikronezji? - spytała Gamay.

- Zawiadomcie porucznika Caseya, że doktor Li poleciała z nami - odparł Austin. - Skontaktujcie się też z przyjaciółką Joego z FBI i wprowadźcie ją w sprawę. - Po chwili namysłu dodał:

- I spróbujcie odnaleźć dziennik okrętowy „Princess”.

Troutowie pożegnali się i zeszli na płytę lotniska. Gdy cessna wzbiła się w powietrze, Paul spojrzął na horyzont i wyrecytował:

- Niebo rankiem się czerwieni, marynarze ostrzeżeni.

- Ten tekst przestał być aktualny, odkąd satelity meteorologiczne zaczęły krążyć po orbitach - odparła Gamay.

Paul, rybak od trzech pokoleń, umiejętność przewidywania pogody miał we krwi.

- Być może - przyznał. - Ale sztorm to zawsze sztorm.

Żona wzięła go pod rękę.

- Włóż sztormiak. Żadna nawałnica nie może się równać z wyciągnięciem Perlmuttera z łóżka.

St. Julien Perlmutter zwykł pracować do późnej nocy i wstawać długo po wschodzie słońca. Kiedy więc przy jego szerokim łóżku wodnym zadzwieczał telefon, sławny historyk morski, wyrwany z głębokiego snu, był bardzo niezadowolony.

Sięgnął dłonią do nocnego stolika, chwycił słuchawkę staroświeckiego francuskiego aparatu i przyłożył ją do ucha. Wciąż półprzytomny jak bokser po zainkasowaniu silnego ciosu, zagrzmiął:

- St. Julien Perlmutter! Streszczaj się, człowieku. I lepiej, żebyś miał coś ważnego, skoro dzwonisz o tak nieludzkiej porze!

- Dzień dobry, Julienie - usłyszał kobiecy głos. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

Jego rumiana twarz okolona gęstą siwą brodą przeszła cudowną transformację, jakby jej właściciel przeistoczył się z mistera Hyde'a w doktora Jekylla. Gniewna mina zniknęła, niebieskie oczy rozbłyły radością, a różowe usta pod małym nosem rozciągnęły się w ciepłym uśmiechu.

- Witaj, droga Gamay - powiedział Perlmutter. - Oczywiście, że mnie nie obudziłaś. Byłem w tym cudownym stanie między snem a jawą i marzyłem o pysznym śniadaniu.

Gamay zachichotała. Ważący ponad sto osiemdziesiąt kilogramów Perlmutter rzadko kiedy nie myślał o jedzeniu.

- Cieszę się, Julienie, bo Paul i ja chcielibyśmy do ciebie wpaść. Przyniesiemy ci coś dobrego.

Perlmutter aż cmoknął na tę perspektywę.

- Zaparzę kawę. Znacnie mój adres.

Odłożył słuchawkę i zsunął nogi z łóżka, które stało we wnęce dużego pokoju będącego połączeniem sypialni, salonu i gabinetu. Perlmutter mieszkał w dawnej powozowni przy N Street, zaledwie kilka przecznic od miejskiej rezydencji Troutów. W pokoju przy wszystkich czterech ścianach stały regały sięgające od podłogi do sufitu i dosłownie uginające się pod ciężarem tysięcy książek. Książki piętrzyły się też na stołach i krzesłach, leżały na podłodze

w niebezpiecznie wysokich stosach, a nawet w nogach falującego łóżka wodnego.

Pierwszą rzeczą, jaką Perlmutter widział co rano, kiedy otwierał oczy, była właśnie ta kolekcja książek, uznawana przez wielu ekspertów za najbogatszy zbiór literatury na temat historycznych statków, jaki kiedykolwiek zgromadzono. Naukowcy na całym świecie zazdrościli mu ogromnej biblioteki. Perlmutter stale odprawiał z kwitkiem przedstawicieli muzeów, którzy namawiali go na podarowanie jej ich placówkom.

Narzucił czerwono-złoty szlafrok w tureckie wzory na purpurową jedwabną piżamę, wsunął stopy w skórzane ranne pantofle i poszedł do kuchni zaparzyć kawę z Nowej Gwinei. Gdy nalał mocnego naparu do filizanki z porcelany Limoges, od aromatu aż zakręciło mu się w głowie.

Jeden łyk wystarczył, by się całkiem rozbudził. Był w pełni przytomny, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Otworzył z uśmiechem, ale mina mu zrzedła na widok płaskiego tekturowego pudełka na ciastka w rękach Paula. Wzdrygnął się jak wampir poczęstowany czosnkiem i uciekłby do mieszkania, gdyby Trout nie uniósł wieka.

- To żart - powiedział Paul z szelmowskim uśmiechem.

- Kupiliśmy te smakołyki w delikatesach za rogiem - wyjaśniła Gamay. - Są tu wędzony łosoś, bliny z kawiozem i świeże croissanty. Wprawdzie nie umywają się do twoich specjałów, ale pomyśleliśmy, że nie będzie ci się chciało nic przygotowywać tak wcześnie.

Perlmutter położył jedną rękę na piersi, a drugą sięgnął po pudełko. Trzymał je, jakby się obawiał skażenia, gdy prowadził gości w głąb mieszkania.

- Nabraliście mnie - przyznał, kiedy odzyskał swój zwykły dobry humor. - Chyba za dużo przebywacie z tym starym łobuzem Austinem. Gdzie się teraz podziewają Kurt i Joe? Ostatnie, co wiem, to że nurkowali w batysferze.

- Są w drodze do Mikronezji - odparła Gamay.

- Do Mikronezji? To jest miejsce, które chciałbym odwiedzić. Podobno wszystkim ważnym uroczystościom towarzyszą tam ucztę z ogromną ilością jedzenia.

Skierował Troutów do kuchni, nalał im kawy i wyłożył przysmaki z pudełka na trzy porcelanowe talerze. Usiedli wokół lśniącego drewnianego stołu, którego blat był jedną z niewielu powierzchni w dawnej powozowni, na której nie piętrzyły się książki.

- Przepraszamy za telefon o tak wczesnej porze - zaczął Paul - ale trochę nam się śpieszy. Próbujemy odnaleźć dziennik okrę towy z 1848 roku ze statku wielorybniczego z Nowej Anglii o nazwie „Princess”. Mieliliśmy nadzieję, że doradzisz nam, od czego zacząć.

Perlmutter uniósł krzaczaste brwi.

- Statek Caleba Nye'a! - wykrzyknął.

Gamay odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Julien. Wspominamy o jakimś statku wielorybniczym, jednym z setek, a ty masz nazwisko kapitana na końcu języka.

- Tylko dlatego, że ów młody człowiek przeżył niezwykłą przygodę uwiecznioną w annałach wielorybnictwa. Caleb nie był kapitanem, tylko żółtodziobem, nowicjuszem w branży. Twierdził, że połknął go kaszalot. Za jego życia ta historia cieszyła się dużą popularnością.

- Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? - spytał Paul.

Perlmutter poskubał w zamyśleniu croissanta.

- No cóż - rzekł - ta kwestia jest dyskutowana od czasów Jonasza. Nye nie był jedynym, który rzekomo tego doświadczył. W roku 1891 u wybrzeży Falklandów na południowym Atlantyku wielorybnik nazwiskiem James Bartley, członek załogi „Star of the East”, zniknął, gdy kaszalot przewrócił jego łódź. Kiedy później marynarze rozcinali wieloryba, by wytopić tłuszcz, znaleźli w środku skulonego żywego Bartleya. Zbielały mu skóra i włosy, prawdopodobnie od soków żołądkowych, ale po kilku tygodniach wrócił do pracy.

- Słyszę sceptycyzm w twoim głosie - zauważył Paul.

- Bo historia Bartleya to właściwie legenda, tak jak opowieść o Wielkiej Stopie czy o potworze z Loch Ness. Czasem jakiś autor zainteresowany przygodą Bartleya zwraca się do mnie i pyta, ile

w niej prawdy. Odsyłam wszystkich do ustaleń Edwarda B. Davisa, który dokładnie zbadał tę sprawę.

- I do jakich wniosków doszedł?

- Davis przestudiował każdy dokument dotyczący przygody Bartleya, jaki zdołał znaleźć. „Star of the East” istniał naprawdę, ale nic nie potwierdza, że Bartley przebywał w pewnym londyńskim szpitalu w związku z odbarwieniem skóry przez soki żołądkowe wieloryba. Co więcej, według żony kapitana statku cała historia została zmyślona. „Star” nie była statkiem wielorybniczym, a Brytyjczycy nie polowali wówczas na walenie u wybrzeży Falklandów. Mimo to opowieść o rzekomej męce Bartleya przetrwała lata.

Paul zwrócił się do Gamay.

- Jesteś biologiem morskim, więc znasz się na rzeczy. Czy kaszalot mógłby połknąć człowieka?

- W żołądkach kaszalotów są znajdowane olbrzymie kałamarnice, zatem pod względem fizjologicznym byłoby to możliwe.

Perlmutter zjadł ostatni kawałek łososia, wytarł usta i oświadczył, że śniadanie było nie najgorsze.

- Według Davisa - wrócił do tematu - Bartley zbil kapitał na swojej naturalnie jasnej cerze. Wykorzystał nazwę istniejącego statku, zamieścił jakieś historyjki w lokalnej prasie i nawet namówił przyjaciela do udawania kapitana. W końcu zaczął występować w cyrku jako „Jonasz XX wieku”.

Gamay zmarszczyła czoło.

- Fascynujące, ale co to ma wspólnego z Calebem Nye'em i „Princess”?

Perlmutter odsunął na bok pusty talerz, wstał od stołu i podszedł do wysokiej metalowej szafki, w której, jak wyjaśnił, jest utrzymywana wilgotność i temperatura odpowiednia do przechowywania papieru. Wyjął z szafki plakat o wymiarach sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów. Duży napis o ozdobnym kroju pisma oznajmiał, że „Caleb Nye, współczesny Jonasz, da ilustrowane przedstawienie w Pierwszym Parafialnym Kościele Metodystów w Worcester w Massachusetts”. Kolorowy rysunek pod spodem przedstawiał kaszalota atakującego łódź wielorybniczą.

- Przypuszczam, że Bartley usłyszał o występach Caleba i poszedł w jego ślady - powiedział Perlmutter. - Po telefonie od kolejnego pismaka z jakiegoś brukowca postanowiłem przeprowadzić własne badania w szerszym zakresie niż Davis. Właśnie wtedy odkryłem, że jakieś pięćdziesiąt lat przed pojawieniem się Bartleya to Nye był gwiazdą objazdowego widowiska jako współczesny Jonasz.

- Historia Caleba była po prostu wcześniejszą wersją oszustwa? - spytała Gamay.

- Nie sędę. W przeciwieństwie do Bartleya, Caleb Nye rzeczywiście służył na statku wielorybniczym, był na Pacyfiku i miał świadków na to, że został połknięty przez wieloryba. Pokazywał pisemne oświadczenia kapitana statku Horatia Dobbsa i kolegów z załogi, że jego historia jest prawdziwa. Bartley wykorzystał opowieść Nye'a, a sceptyczne podejście do jego rewelacji odbiło się niekorzystnie na relacji Caleba. Mówicie, że szukacie dziennika okrętowego „Princess” z roku 1848?

- Zgadza się - potwierdził Paul. - Możesz nam pomóc?

- Bardzo mądrze zrobiliście, przychodząc z tym do mnie. Proponuję, żebyście zaczęli od Rachael Dobbs.

- Jest spokrewniona z naszym pocziwym kapitanem? - zapytała Gamay.

- To jego prapraprawnuczka. Mieszka w New Bedford i jest kustoszem Muzeum Dobbsa. Rozmawiałem z nią, kiedy badałem sprawę Bartleya.

- Możemy tam być za parę godzin - powiedział Paul.

- Doskonale. Zadzwoń do niej.

Perlmutter znalazł numer w organizerze biurkowym Rolodex i zatelefonował. Gawędził z kimś przyjaźnie, po czym rozłączył się i oznajmił:

- Będzie na was czekała o trzeciej, ale ma złą wiadomość. Dziennik okrętowy „Princess” trafił w ręce Caleba Nye'a, a jego biblioteka spłonęła.

Paul pokręcił głową.

- Więc chyba się nie wybierzemy do New Bedford.

- Dlaczego ludzie z Nowej Anglii są takimi pesymistami? - westchnęła Gamay.

- Raczej realistami - ocenił. - Bez dziennika okrętowego nie dowiemy się, dokąd popłynęła „Princess” po opuszczeniu Pohnpei.

- To prawda - przyznała. - Ale może dziennik nie będzie nam potrzebny, jeśli się skoncentrujemy na Calebie Nye'u.

Paul strzelił palcami.

- Jasne. Caleb opowiadał setkom ludzi o swoim przeżyciu. Może znajdziemy jakąś relację ze szczegółami tamtego rejsu.

- Warto porozmawiać z panią Dobbs - orzekł Perlmutter. - A właściwie dlaczego interesuje was ten dziennik?

- To długa historia, Julienie - odparł Paul. - Opowiemy ci wszystko przy kolacji po powrocie. My stawiamy.

Zaproszenie na kolację sprawiło, że Perlmutter zapomniał o dzienniku, i właśnie o to chodziło Paulowi.

- Niedawno otworzono nową francuską restaurację blisko Wa tergate - oznajmił Julien. - Zamierzałem się tam wybrać. Ale wracamy do sprawy.

Przesunął dłonią wzdłuż półek. Kilka minut później Troutowie wyszli z dawnej powozowni obładowani wybranymi przez Perlmuttera książkami o wielorybnictwie. Włożyli je na tył mini coopera clubmana, którego używali do jazdy po mieście.

- Nie chcę znów być pesymistą - powiedział Paul - ale Kurt i Joe podjęli się naprawdę trudnego zadania. Odnalezienie zaginionego laboratorium może być niewykonalne. Moglibyśmy się zająć czymś pożyteczniejszym niż odgrzebywanie historii dziewiętnastowiecznego wielorybnika, którego przygody wcale nie muszą mieć związku z tą sprawą.

- Mam świadomość, że ta podróż może być stratą cennego czasu - odezwała się Gamay - ale jedno jest pewne.

- Co mianowicie?

- Caleb Nye to nasz jedyny trop.

Kiedy citation X leciał na zachód z prędkością dziewięciuset sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, w kabinie panowała całkowita cisza. Pasażerowie smacznie spali, nie bacząc na to, że od ziemi dzieli ich trzynaście tysięcy metrów.

Song Li zasnęła pierwsza, a wkrótce w jej ślady poszedł Joe Zawała, wyciągnięty w miękkim fotelu. Kurt Austin czytał jeszcze parę minut, lecz w końcu odłożył akta i zerknął na śpiącą Chinę. Jej nagie stopy wystawały spod koca. Austin poprawił go, poszedł do kokpitu i połączył się przez radio z szefem obsługi naziemnej na lotnisku w Los Angeles. Wrócił, usadowił się w drugim fotelu i po kilku minutach był pogrążony w głębokim śnie.

Gdy na LAX pasażerowie wyszli z samolotu, żeby rozprostować kości, szef obsługi naziemnej już czekał i wręczył Li plastikową torbę. Na prośbę Austina skontaktował się ze swoją żoną, która skompletowała garderobę, żeby Chinka mogła wreszcie zdjąć przesiąknięte dymem T-shirt i szorty.

Song Li otworzyła torbę, wydała okrzyk zachwytu i pobiegła do hangaru przymierzyć nowe rzeczy. Ledwo wzięła szybki prysznic, przebrała się i wykonała krótki telefon, odrzutowiec znów wzbił się pod niebo i wziął kurs na Honolulu. Gdy wybrzeże Kalifornii zniknęło w oddali, Li usiadła obok Austina, który studiował z Zawałą plany z pakietu porucznika Caseya. Miała teraz na sobie czarne bawełniane spodnie i białą bawełnianą bluzkę bez rękawów, wyglądające bardzo szykownie na jej szczupłej figurze.

- Domyślam się, że to ty załatwiłeś mi ubranie - zwróciła się do Austina. - Bardzo ci dziękuję, Kurt. Wszystko leży na mnie doskonale.

- Marynarze są dobrzy w ocenie wymiarów na oko - odparł z uśmiechem.

Zauważył, że Joe wymówił bezgłośnie słowo „smukła”, i zdał sobie sprawę, że porównał zgrabną sylwetkę Song Li do kształtu łodzi. Szybko zmienił temat.

- To są plany podwodnego laboratorium doktora Kane'a - wyjaśnił. - Czy na ich podstawie potrafiłabyś powiedzieć, co się tam działo?

- Spróbuję. - Uważnie przyjrzała się schematom. - W wypadku kul oznaczonych jako kwatery mieszkalne i biura sprawa jest oczywista. Ale te opisane jako laboratorium i hodowla zasobów ujawniają tylko część historii.

- Mamy mnóstwo czasu. Chciałbym poznać całość.
Zastanawiała się dłuższą chwilę.

- Wyobraź sobie projekt „Błękitna Meduza” jako trzyaktową sztukę - rzekła wreszcie. - Akt pierwszy to badania toksyny na Bonefish Key. Akt drugi: praktyczne wykorzystanie tych badań, ukierunkowane na syntetyzację szczepionki, co miało miejsce w Schowku. Akt trzeci to byłaby produkcja szczepionki w przystosowanych do tego ośrodkach. Byliśmy w drugim antrakcie.

- Dlaczego odnieśliście większy sukces niż inne laboratoria zajmujące się biotechnologią oceaniczną? - spytał Austin.

- Bo doktor Kane to geniusz - oświadczyła Li. - Zebrał najlepszych ekspertów w zupełnie nowej dziedzinie nazywanej biologią systemową. Ich praca polega na badaniu białek z wykorzystywaniem znajomości genetyki i matematyki. Laboratorium używało komputerów najnowszej generacji.

- Czym to się różni od badań tradycyjnymi metodami?

- Tym samym, czym się różni patrzenie przez teleskop od patrzenia dwójgim oczu. Laboratorium miało setki oczu chłonących informacje, analizowane następnie przez komputerowy mózg. Mimo to musieliśmy dać z siebie wszystko, żeby rozszyfrować budowę molekularną toksyny i poznać mechanizm reakcji odpornościowej wywoływanej przez nią w żywym organizmie.

- Doktor Kane wspomniał o stworzeniu zmodyfikowanej genetycznie odmiany meduzy, większej i bardziej jadowitej - powiedział Austin.

Li skinęła głową.

- Chciał mieć więcej toksyny i mocniej świecący organizm - wyjaśniła.

- Rozumiem, że im większa meduza, tym więcej toksyny do badań. A co z bioluminescencją?

- Jasność świecenia organizmu wskazuje, co się dzieje z jego procesami molekularnymi. To działa jak biologiczny termometr. Celem była masowa produkcja szczepionki. Przenosiliśmy geny wytwarzające ważne związki chemiczne do bakterii, które mogły być szybko hodowane.

- Doktor Kane mówił, że toksyna meduzy nie zabija ofiary, tylko ją paraliżuje, zapewniając jej zdrowie i świeżość.

- Lek przeciwwirusowy musi zabijać patogeny w sposób niegroźny dla gospodarza. Toksyna meduzy działa jeszcze lepiej, bo wręcz chroni organizm gospodarza... przynajmniej przez jakiś czas. To zjawisko nazywane hormezą. Małe dawki toksyny uruchamiają mechanizmy naprawcze w organizmie, a nawet opóźniają starzenie się. To działa jak ćwiczenia fizyczne; powoduje obciążenie organizmu i tym samym poprawia metabolizm.

- Co nas nie zabije, to nas wzmocni - podsumował Austin.

- Dokładnie.

- Czy hormeza mogła mieć coś wspólnego z anomalią nowo-bedfordzką?

- Oczywiście. Toksyna meduzy błękitnej podana chorym we właściwej ilości mogła ich uzdrowić i przedłużyć im życie. - Li przechyliła głowę. - Pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie.

- Bardzo proszę.

- Ty, Joe i Troutowie najwyraźniej pracowaliście już razem. Kim jesteście?

Austin odpowiedział w taki sposób, żeby zaspokoić ciekawość Li i zarazem nie ujawnić zbyt wiele.

- Wszyscy należymy do specjalnego zespołu NUMA badającego tajemnice oceanów, których wyjaśnienie wymaga niestandardowych działań.

- Ta tajemnica na pewno podpada pod tę kategorię - odrzekła Li.

- Dziękuję za szczerą.

- To ja dziękuję za wyjaśnienie mi istoty badań w waszym laboratorium. Teraz porozmawiajmy o tym nowym wirusie.

Byłoby bardzo źle, gdyby epidemia rozprzestrzeniła się poza Chiny?

- Bardzo. Na SARS zachorowało około ośmiu tysięcy osób i prawie tysiąc zmarło. Gdyby ten wirus dotarł do twojego kraju, byłoby co najmniej dwieście tysięcy ofiar śmiertelnych.

- A maksymalnie?

- Prawdopodobnie miliony. Ale nawet przy setkach tysięcy epidemia sparaliżowałaby służbę zdrowia. Zmarłoby wielu członków personelu medycznego, co zwiększyłoby rozmiary tragedii. Ogółem w krajach uprzemysłowionych byłoby prawie siedemset tysięcy zgonów i ponad dwa miliony hospitalizowanych chorych. W krajach rozwijających się byłoby znacznie gorzej. Ogółem straty materialne mogłyby sięgnąć biliona dolarów.

Austin kręcił głową, słuchając tej ponurej statystyki.

- Właśnie opisałeś globalną katastrofę - podsumował.

- Środowisko lekarskie od lat obawia się zmutowanego wirusa grypy. Taki wirus może w każdej chwili zmienić swoją budowę genetyczną i zaatakować ludzi nieuodpornionych na niego.

- Medycyna bardzo się rozwinęła, dysponujemy lekami, które nie były dostępne podczas wcześniejszych epidemii - zauważył Austin.

- To prawda - przyznała Li. - Ale dziś człowiek zarażony w Stanach czy Chinach może przenieść chorobę do każdego zakątka świata w ciągu godzin. Istniejące szczepionki są bezużyteczne i dlatego tak ważne jest opracowanie szczepionki z meduzy.

- Jak się przenosi nowy wirus?

- Podobnie jak stary, przez bezpośredni kontakt, może się przenosić także przez wodę.

- Chcesz powiedzieć, że mógłby przeniknąć do wód gruntowych?

- Istnieje takie niebezpieczeństwo.

- Więc mógłby się znaleźć w wodzie pitnej?

- Tak, a to by jeszcze bardziej utrudniło powstrzymanie go.

Wodę piją wszyscy, podczas gdy zarażenie się przez osobisty

kontakt to kwestia przypadku. Tak czy inaczej, jest bardzo niebezpieczny. Możliwe, że zostałyby zarażona cała ludzkość.

Li, wyczerpana psychicznie implikacjami tego, co powiedziała, spodziewała się, że Austin będzie podzielał jej pesymizm. Tymczasem ku jej zaskoczeniu rzekł:

- Dziękuję za analizę, doktor Li, ale nie możemy do tego dopuścić.
- Co zamierzasz zrobić?
- Kiedy odnajdziemy laboratorium, zapewnimy bezpieczeństwo personelowi, doprowadzimy do zakończenia badań i uruchomienia produkcji szczepionki, a potem wykończymy triadę. Co ty na to, Joe?
- Wygląda na to, że musimy dobrze się najeść, żeby mieć energię - odparł Zavała. - Zobaczę, co jest w kuchni.

Austin przedstawił swoją strategię takim tonem, jakby mówił o rozegraniu towarzyskiego meczu w piłkę nożną. A Joe, zamiast panikować, organizował śniadanie. Li nie dostrzegła na twarzach obu mężczyzn żadnych oznak szaleństwa, tylko chłodną determinację.

Po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się o zniknięciu Schowka, wstąpiła w nią nadzieja.

33

Troutowie musieli czekać do popołudnia na wolny odrzutowiec NUMA, ale New Bedford było oddalone od Waszyngtonu tylko o godzinę lotu.

Paul minął wypożyczonym SUV-em okazałe stare domy wznoszące się wzdłuż County Street i skręcił na półkolisty podjazd. Tablica przed orzechowomusztardowym dworkiem w stylu neogreckim informowała: „Muzeum i ogrody kapitana Horatia Dobbsa”.

Troutowie wspięli się na ganek, przeszli między wysokimi kolumnami doryckimi i zadzwonili do drzwi. Otworzyła im kobieta w średnim wieku.

- Ojej - powiedziała, nie kryjąc rozczarowania - myślałam, że to elektryk.

- Niestety nie - odparła Gamay. - Jesteśmy z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Dzwoniliśmy dziś do pani z Waszyngtonu.

Uśmiech rozjaśnił twarz kobiety.

- A tak, przyjaciele pana Perlmuttera. St. Julien to uroczy człowiek. Proszę wejść. Nazywam się Rachael Dobbs. Przepraszam, ale jestem trochę zdenerwowana. Fundacja Dobbsa wynajęła namiot na patio na koncert jazzowy dziś wieczorem i jest jakiś problem z systemem dźwiękowym.

Weszli do wysokiego westybulu i ruszyli za Rachael długim korytarzem. Wypolerowany parkiet lśnił jak lustro. Gospodyni stanęła przed dwoma portretami olejnymi. Jeden przedstawiał brodatego mężczyznę z sekstansem w dłoniach, o szarych oczach i orlim nosie. Kobieta na drugim portrecie miała na sobie ciemną aksamitną suknię z koronkowym kołnierzykiem wokół smukłej szyi. Duże piwne oczy patrzyły nieruchomo, a na wąskich wargach błąkał się uśmiech, jakby rozbawił ją jakiś żart.

- To moi praprapradziadkowie - wyjaśniła Rachael. - Kapitan Horatio Dobbs i jego żona Hepsa.

Hepsa i Rachael miały takie same marchewkowe włosy.

- Uderzające podobieństwo - stwierdził Paul.

- Cieszę się, że odziedziczyłam po Hepsie rude włosy, ale wolałabym nie dostać nosa po kapitanie. Jak widać, miał narząd powonienia słusznych rozmiarów

Oprowadziła Troutów po rezydencji i przedstawiła im członków rodziny na portretach, które wisiały na każdej ścianie. Mężczyźni nosili kapelusze z szerokimi rondami w kwakerskim stylu, a kobiety skromne czepki.

Wskazała gablotę z podniszczonym cylindrem w środku.

- To był szczęśliwy *chapeau* kapitana. Zabierał go na każdą wyprawę wielorybniczą.

Wyszli na taras z widokiem na ogród angielski okolony różanymi krzewami.

Rachael posadziła gości przy stoliku pod parasolem i przyniosła mrożoną herbatę.

- Dziękujemy za oprowadzenie nas - powiedziała Gamay. - To bardzo piękny dom.

- Kapitan i jego żona przeprowadzili się tutaj z Johnny Cake Hill. Wielorybnicy chcieli mieć duże domy i ogrody, odzwierciedlające ich status w lokalnej społeczności. Jak mogę państwu pomóc? St. Julien wspomniał, że szukacie jednego z dzienników okrętowych kapitana.

- Interesuje nas epidemia, która zaatakowała flotę wielorybniczą na Pacyfiku w roku 1848 - odrzekła Gamay. - Przeglądamy dzienniki okrętowe z tamtego okresu w poszukiwaniu wzmianki o tym zdarzeniu.

- Tamten rejs był ostatnią wyprawą wielorybniczą kapitana - odparła Rachael. - Po powrocie wycofał się z branży.

- Czy to nie dziwne? - spytał Paul. - Słyszeliśmy, że pani przodek odnosił wyjątkowe sukcesy jako wielorybnik.

- Był najlepszy. Ma pan rację, to dziwne, że przestał wypływać w morze u szczytu kariery. Przywiózł pełną ładownię oleju spermacetowego z dziewiczego rejsu „Princess” i mógłby dowodzić każdym statkiem. Ale jak sam twierdził, chciał spędzać więcej czasu z Hepsą, którą poślubił tuż przed swoją ostatnią wyprawą.

- Nie dziwię mu się - powiedział Paul. - Pani antenatka była piękną kobietą.

Rachael zarumieniła się na ten pośredni komplement.

- Dziękuję. Kapitan pracował dla Rotchów. To oni wynaleźli model integracji pionowej, nadal stosowany w międzynarodowych korporacjach, i wdrożyli go w wielorybnictwie - urwała na chwilę, a potem dodała: - Jak głosi rodzinna saga Dobbsów, podczas tego ostatniego rejsu wydarzyło się coś, co zmieniło jego nastawienie.

- Kapitan nie wygląda na strachliwego - zauważył Paul.

- Owszem, panie Trout. Zaczynał od harpunnika. Kto stoi w kruchej drewnianej łódce i atakuje ponaddwudziestometrowego kaszalota, nie może być tchórzem.

- Więc może przygoda Caleba Nye'a miała coś wspólnego z decyzją kapitana? - zapytała Gamay.

Rachael pokręciła głową.

- Nie sądzę. Przygoda Caleba byłaby dla niego wspaniałą historią do opowiadania w gronie innych kapitanów.

- Powiedziała pani St. Julienowi, że dziennik okrętowy z rejsu w 1848 uległ zniszczeniu - przypomniała Gamay.

Rachael westchnęła.

- Niestety tak. Biblioteka wielorybnicza Caleba spłonęła w pożarze jego domu. Musiał być załamany po stracie swojego księgozbioru. Na miejscu dawnej rezydencji Nye'a w Fairhaven jest teraz dom starców.

- Czy to nie intrygujące, że kapitan podarował dziennik okrętowy byłemu podwładnemu?

- Nie. Wiedział, że Caleb zbiera książki. Poza tym łączyła ich szczególna więź. Kapitan czuł się odpowiedzialny za to, co spotkało tego młodego człowieka. Napisał nawet oświadczenie, że opowieść „współczesnego Jonasza” jest prawdziwa. Odczytywano je na objazdowych przedstawieniach, co pomogło Calebowi się wzbogacić.

- Czy Caleb napisał książkę o swojej przygodzie?

- Nic o tym nie wiem. Przez wiele lat dawał publiczne przedstawienia, które organizował niejaki Strater. Na tych spektaklach sprzedawali broszurki, co pewnie było bardziej opłacalne niż książka. Dużo pisano o Calebie. Powinni państwo zajrzeć do archiwów prasowych.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Rachael przeprosiła, poszła otworzyć i po chwili wróciła.

- Jest już elektryk. Możemy dokończyć rozmowę później, jeśli zechcą państwo zaczekać.

- Trochę nam się śpieszy - odparła Gamay. - Orientuje się pani, gdzie moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o Calebie Nye'u?

- Zaczniście od naszej piwnicy. Mamy część dioramy, której Nye używał podczas swoich prezentacji. Przekazał ją jakiejś bibliotece, ale zabrakło im miejsca i przysłali ją tutaj. Mogę ją państwu

pokazać, jak będę miała chwilę. Moglibyście odwiedzić tutejsze Muzeum Wielorybnictwa i lokalne towarzystwa historyczne. Ale skoro macie mało czasu, jest jeszcze jedna możliwość. Chociaż waham się, czy ją zaproponować.

- Chwytny się wszystkiego - odrzekł Paul.

- No dobrze. Mogliby państwo porozmawiać z Harveyem Brimmerem, który ma antykwarjat blisko Marynarskiego Domu Modlitwy na Johnny Cake Hill. Handluje między innymi starymi dokumentami.

- Dlaczego wahała się pani go polecić?

- Harvey ma złą reputację. Pobiera z góry opłaty za odnajdywanie dokumentów, a potem się z tego nie wywiązuje. Krążą też pogłoski o fałszerstwach i handlu kradzionymi materiałami, ale albo są nieprawdziwe, albo jest za sprytny, żeby dać się przyłapać. Raczej to drugie.

- Dziękujemy za ostrzeżenie - powiedział Paul. - Będziemy uważali, jeśli się wybierzemy do pana Brimmera.

- Proszę mu nie mówić, że o nim wspomniałam. Uznałby to za pozwolenie na używanie naszego nazwiska w reklamach.

Troutowie zostawili Rachael pokaźny datek na utrzymanie muzeum. Kiedy ich odprowadzała do wyjścia, przystanęła przed ryciną przedstawiającą wielki zakład włókienniczy.

- To fabryka kapitana. Zbił jeszcze większy majątek, kiedy za inwestował w produkcję tekstyliów. Był zdrowy i silny, więc z pewnością żyłby bardzo długo, gdyby nie przygniotło go krosno. Życzę powodzenia w poszukiwaniach.

Pożegnała ich i pobiegła do elektryka.

- Czy Brimmer to nie ten facet, do którego zwróciła się Song Li, kiedy próbowała odnaleźć dziennik okrętowy? - zapytał Paul.

- Tak, na pewno podała to nazwisko. Może będziemy mieli więcej szczęścia niż ona.

Po wyjściu z rezydencji Dobbsa Troutowie pojechali wzdłuż brzegu. Niedysiejsze światowe centrum przemysłu wielorybniczego skurczyło się przez wieki do kilku kwartałów historycznych budynków. Stare banki i firmy dostawców okrętowych, które kie-

dyś obsługiwały branżę spermacetową, teraz sąsiadowały z portem rybackim i przetwórniami nad rzeką Acushnet.

Antykwariat Brimmera mieścił się na parterze dwupiętrowego oszalowanego budynku. Złuszczona czerwona farba odsłaniała szary podkład, a czarny drewniany szyld nad drzwiami tak wyblakł, że trudno było odczytać napis: „H. Brimmer. Stare książki, mapy, dokumenty”.

W słabo oświetlonym pomieszczeniu panował półmrok. Pod ścianami, na których wisiały obrazy pokazujące różne aspekty wielorybniczego fachu, stało kilka szafek na akta. Środek zajmował duży drewniany stół. Światło dwóch lamp o spłowiałych zielonych kloszach padało na dziesiątki map różnej wielkości zapelniających blat.

Na dźwięk dzwonka przy frontowych drzwiach z zaplecza wyszedł chudy mężczyzna. Popatrzył na Troutów zza okularów o grubych szklach. Ci goście nie wyglądali na kolekcjonerów ani turystów, którzy zwykle byli jego klientami. Paul miał ponad dwa metry wzrostu, a Gamay wyróżniała się nie tyle urodą, ile zniewalającym wdziękiem.

- Dzień dobry - powiedział z uśmiechem antykwariusz. - Nazywam się Harvey Brimmer. Czym mogę służyć?

Brimmer mógłby zagrać wiejskiego aptekarza w jakimś filmie Franka Capry. Był niski i lekko zgarbiony, jakby dużo czasu spędzał pochylony nad biurkiem. Przerzedzone i przyprószone siwizną włosy czesał z przedziałkiem blisko środka głowy. Miał na sobie szare spodnie od garnituru i białą koszulę z błękitnym krawatem z wielorybim motywem, zawiązanym w węzeł windsorski.

- Nazywam się Paul Trout, a to jest moja żona Gamay. Szuka my materiałów dotyczących Caleba Nye'a.

Niebieskie oczy Brimmera za dwuogniskowymi okularami w drucianych oprawkach zrobiły się okrągłe.

- Caleb Nye! To nazwisko nieczęsto się słyszy. Skąd państwo wiedzą o naszym lokalnym Jonaszu?

- Pasjonuje nas historia wielorybnictwa. Natknęliśmy się na nazwisko Caleba w związku z kapitanem Horacjuszem Dobbsem. Jadąc do Muzeum Wielorybnictwa, zobaczyliśmy pański szyld.

- Dobrze państwo trafili. Mam broszury z jego objazdowego przedstawienia. Trzymam je w mojej pracowni.

- A czy jakieś dzienniki okrętowe „Princess” mogły ocaleć z pożaru rezydencji Nye'a? - zapytała Gamay.

Brimmer westchnął.

- Dla mnie, antykwariusza, to była prawdziwa tragedia. Mogę się tylko domyślać, jakie białe kruki miał w swojej bibliotece. Ale na szczęście nie wszystko uległo zniszczeniu. Może uda mi się zdobyć jakiś dziennik okrętowy „Princess”. Pływała przez wiele lat, zanim weszła w skład Kamiennej Floty i zatonięła nieopodal portu w Charlestonie podczas wojny secesyjnej. Dzienniki okrętowe trafiły do muzeów i kolekcjonerów prywatnych. Postaram się zdobyć któryś dla państwa, ale muszę poprosić o opłacenie poszukiwań z góry.

- Oczywiście - zgodziła się Gamay. - Interesuje nas dziennik okrętowy z roku 1848.

Brimmer zmrużył oczy.

- Dlaczego akurat ten?

- To była ostatnia wyprawa wielorybnicza kapitana Dobbsa - wyjaśniła. - Jesteśmy przygotowani na opłacenie poszukiwań.

Brimmer podrapał się w brodę.

- Chyba będę mógł państwu pomóc - oznajmił.

- Więc ten dziennik nie uległ zniszczeniu? - spytał Paul.

- To możliwe. Jest pewna mało znana historia dotycząca Caleba Nye'a. Ożenił się z dziewczyną z Fairhaven, ale jej rodzina nie była zadowolona, że wyszła za kogoś, kogo uważano za dziwoląga, więc tego nie rozgłaszano. Nye'owie mieli córkę, która dostała w posagu część książek z biblioteki ojca. Mogę sprawdzić, czy był wśród nich ten dziennik, ale będę potrzebował kilku godzin. Mogę do państwa zadzwonić?

Paul podał Brimmerowi swoją wizytówkę z numerem komórki.

Antykwariusz spojrział na logo.

- NUMA? Doskonale. Zainteresowanie słynnej agencji może ułatwić sprawę.

- Proszę dać nam znać, jak tylko pan coś ustali - powiedział Paul.

Gamay podpisała umowę i wystawiła czek na żadaną sumę. Uścisnęli sobie dłonie.

Harvey Brimmer obserwował Troutów przez okno, dopóki nie zniknęli z widoku. Potem wywiesił na drzwiach tabliczkę „Zamknięte” i poszedł do swojego biura na zapleczu. Dokumenty i mapy w jego antykwariacie były zbyt wysoko wycenionymi kopiami oryginałów lub bezwartościowymi starociami dla turystów.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer, który miał w rololeksie.

- Harvey Brimmer - przedstawił się osobie na drugim końcu linii.
- Rozmawialiśmy kilka dni temu o pewnej książce. Mam na nią kupców, więc cena może wzrosnąć. Tak, mogę poczekać na telefon, byle nie za długo.

Rozłączył się i usiadł wygodnie z wyrazem samozadowolenia na twarzy. Kilka lat temu o dziennik okrętowy „Princess” z 1848 roku zapytała go młoda doktorantka z Harvardu. Powiedział jej, że się rozejrzy, ale odparła, że nie może czekać, bo wkrótce wraca do Chin. Przypomniał sobie o tej rozmowie, gdy przed paroma tygodniami do antykwariatu przyszedł jakiś Azjata, który szukał tego samego dziennika. Był młody, wyglądał na twardziela i nie krył irytacji, kiedy usłyszał, że dziennik nie jest dostępny.

Brimmer nie wiedział, że młodego Azjatę przysłano do niego po tym, jak Song Li zadzwoniła z Bonefish Key do doktora Huanga i wspomniała mu o anomalii nowobedfordzkiej. Powiedziała swojemu mentorowi, że owa anomalia prawdopodobnie ma związek z jej pracą, zamierza więc wybrać się do New Bedford do antykwariusza nazwiskiem Brimmer, gdy tylko będzie miała czas.

Zgodnie z instrukcją doktor Huang przekazał dalej treść rozmowy z młodą epidemiolog. W ciągu kilku minut ktoś wykonał telefon do pewnego klubu w chińskiej dzielnicy Bostonu i kazał złożyć wizytę Brimmerowi. Wkrótce potem przywódca lokalnej sekcji Upiornych Smoków wszedł do jego antykwariatu i powiedział, że szuka dziennika okrętowego „Princess” z 1848 roku.

Chińska doktorantka, młody Azjata, a teraz ta para z NUMA.

Brimmer nie miał pojęcia, o co tu chodzi, ale dla antykwariusza nie ma nic lepszego od licytujących się kolekcjonerów. Stworzy pozory i wykona kilka telefonów. Zatrzyma honoraria od wszystkich i zaoferuje im coś innego. Był mistrzem w sztuczce „przynęta z zamianą”. Ostatnimi czasy interes szedł kiepsko, ale dziś zapowiadał się dobry dzień.

Nie wiedział, że dla niego będzie ostatni.

Troutowie wyszli z mrocznego wnętrza w popołudniowe słońce i skierowali się w górę Johnny Cake Hill do Marynarskiego Domu Modlitwy. Wrzucili kilka banknotów do skrzynki na datki i weszli do środka. Ambonę przebudowano tak, żeby przypominała dziób statku z czasów Hermana Melville'a.

Paul zaczekał, aż z kościoła wyjdzie grupka turystów, i odwrócił się do żony.

- Co myślisz o Brimmerze?

- Jest śliski jak piskorz. Podejrzewam, że weźmie pierwszy dziennik okrętowy, jaki uda mu się skądś wygrzebać, sfałszuje datę i spróbuje go nam wcisnąć.

- Widziałaś, jak zmienił mu się wyraz twarzy, kiedy wspomnieliśmy o dzienniku z 1848 roku?

- Trudno było nie zauważyć.

Paul popatrzył na marmurowe tablice, na których widniały nazwiska kapitanów i marynarzy zaginionych w odległych zakątkach świata.

- Dawni wielorybnicy to dopiero byli twardziele - powiedział.

- Niektórzy byli twardsi od innych, jeśli wierzyć w opowieść Song Li o załodze „Princess”.

- Tamten fenomen medyczny jest ogniwem łączącym przeszłość z teraźniejszością. Chętnie bym przeczytał pracę, którą Li napisała na Harvardzie.

Gamay wyjęła z torebki swojego blackberry.

- Pamiętasz nazwisko jej profesora?

- Jak mógłbym zapomnieć? - odrzekł Paul z uśmiechem. - Codman.

- Dlaczego w Nowej Anglii praktycznie wszyscy mają nazwiska pochodzące od ryb? On od dorsza, ty od pstrąga...

- Bo nasi ojcowie nie są znawcami win - odparował.

- Punkt dla ciebie.

Gamay wywołała na blackberry Wydział Medycyny Uniwersytetu Harvarda, wpisała nazwisko Codmana do wyszukiwarki osób i zadzwoniła pod wyświetlony numer. Telefon odebrał mężczyzna, który przedstawił się jako Lysander Codman.

- Dzień dobry, profesorze Codman. Mówi doktor Gamay Morgan-Trout. Jestem znajomą doktor Song Li. Mam nadzieję, że pan ją pamięta.

- Doktor Li? Jak mógłbym nie pamiętać tej błyskotliwej młodej kobiety? Co u niej słychać?

- Wszystko w porządku. Widziałyśmy się wczoraj. Pracuje z moimi kolegami z NUMA, ale wspomniała o pewnej rozprawie naukowej, którą napisała na Harvardzie pod pana kierunkiem. To miało coś wspólnego z fenomenem medycznym określanym jako anomalia nowobedfordzka.

- A tak. - Codman zachichotał. - Wybrała sobie niezwykły temat.

- Będziemy z mężem w okolicy, więc Song Li zapytała nas, czy moglibyśmy wpaść i wziąć dla niej kopię tej pracy, bo zgubiła oryginał.

- Normalnie nie przechowuję prac studentów - odparł - ale temat tej rozprawy był tak dziwaczny, że trzymam ją w mojej *Księdze rzeczy wyklętych*, jak Charles Fort określił fakty, których ani nie można dowieść, ani zadać im kłamu. Mogę państwu dać kopię.

Gamay pokazała Paulowi uniesiony kciuk.

- Bardzo panu dziękuję, profesorze. Będziemy u pana za jakąś godzinę, jeśli można.

Zapisała w blackberry, jak trafić do gabinetu Codmana, a potem wyszli z Paulem z kaplicy wielorybników. Kilka minut później wyjeżdżali z miasta na północ.

Z interkomu w kabinie citationa X dobiegł głos pilota:

- Przepraszam za pobudkę, ale podchodzimy do lądowania na Pohnpei. Proszę zapiąć pasy.

Austin ziewnął i spojrzał na Zawalę, który potrafiłby przespać trzęsienie ziemi. Potem zerknął przez okno na pas startowy na wyspie Deketik i półtorakilometrową drogę na grobli łączącą ją z główną wyspą. Na pogodnym niebie widniały rozproszone obłoki.

- Witamy na Bali Ha'i - zwrócił się do przecierającej oczy Song Li.

Zmarszczyła brwi, zdezorientowana wzmianką o mitycznej wyspie z musicalu *South Pacific*. Przycisnęła nos do pleksiglasowej szyby. Wyspa w dole miała niemal idealnie okrągły kształt, była otoczona rafą koralową odgradzającą rozległą ciemnobłękitną lagunę, a górujący nad nią szczyt porastały bujne zielone lasy pełne wodospadów.

- Pięknie tu - powiedziała Li z zachwytem.

- Kilka lat temu nasz statek badawczy zrobił tu krótki postój - rzekł Austin. - Ta góra to wulkan Nahna Laud. Właśnie od niego pochodzi nadana przez europejskich badaczy nazwa Wyspa Wniebowstąpienia. Wydawało im się, że szczyt sięga nieba.

- Czy jest jakieś miejsce na świecie, w którym jeszcze nie byłeś? - zapytała Li.

- Jeśli wiąże się z jakimś oceanem, to nie - odparł Austin. -Zobacz, widać ruiny Nan Madol na południowo-wschodnim brzegu, zwanym „Wenecją Pacyfiku”. Może uda nam się je zwiedzić, gdy załatwimy sprawę. Zabiorę cię na kolację do restauracji z widokiem na lagunę i spróbujesz *sakau*. To tutejsza woda ognista, miejscowa pieprzówka.

Kurt był wyraźnie podekscytowany perspektywą powrotu do Nan Madol. Nie wyglądał na przejętego faktem, że czeka go iście herkulesowe zadanie i ma w swoich rękach los milionów ludzi. Jego pewność siebie musiała być zaraźliwa, bo Li odrzekła:

- Bardzo chętnie. Może nawet wybierzemy się do Nan Madol wcześniej, niż przypuszczasz. Uważam, że może mieć związek ze „sprawą”, jak to określiłeś.

- W jakim sensie?

- Intryguje mnie pewna relacja pierwszego oficera „Princess”. Mieszkańcy wyspy, do której dopłynął statek, kiedy załoga zachorowała, byli wrogo nastawieni do wielorybników, więc po rzuceniu kotwicy on i kapitan zeszli na ląd, by zobaczyć, czy gdzieś w pobliżu nie ma tubylców. Nikogo nie zauważyli, ale trafili na jakieś ruiny. Kapitana zainteresowały dziwne rzeźby i stwierdził, że są podobne do tych, które widział w pewnej świątyni w Nan Madol.

- Jeżeli więc znajdziemy wyspę z takimi ruinami jak w Nan Madol, może to być miejsce postoju „Princess” - podsumował Austin.

- Tak myślę.

- Ale czy to nam pomoże odnaleźć laboratorium? Nie zapominajmy, doktor Li, że to jest główny powód naszego przylotu do Mikronezji.

- Pamiętam o tym. Ale kiedy byłam na Bonefish Key, usłyszałam, że w laboratorium terenowym kończą się zapasy meduzy i trzeba znaleźć nowe źródło zaopatrzenia.

- Kane mówił, że stworzono jej zmutowaną odmianę - przypomniał Austin. - Do czego potrzebowałiby oryginalnych okazów?

- Początkowo nie mieli pewności, czy mutant będzie właściwym rozwiązaniem i czy nie trzeba będzie szukać innych - wyjaśniła Li. - Dlatego planowano pozyskać meduzy z nowego źródła. Jeśli znajdziemy to źródło, laboratorium może być w pobliżu.

- Ale przecież Kane chyba wiedziałby, gdzie jest nowe źródło.

- Niekoniecznie. Przekazał sporo codziennych obowiązków doktor Mitchell.

Austin się zastanowił.

- Znam pewnego przewodnika nazwiskiem Jeremiah Whittles, który mieszka w Kolonii, stolicy Pohnpei i zarazem największym mieście na wyspie. To on oprowadził mnie po ruinach Nan Madol. Ma wręcz encyklopedyczną wiedzę na ich temat. Warto z nim po rozmawiać. Może wie coś, co mogłoby nam pomóc.

Citation X zatoczył ostatni krąg, zszedł w dół i wylądował z lekkim wstrząsem. Zawrócił na końcu pojedynczego pasa startowego i podkołował do terminalu.

Gdy ruchome schodki uderzyły o kadłub, Austin pechnął drzwi, wyszedł z samolotu i wciągnął do płuc powietrze przesycone zapachem tropikalnych kwiatów. Było gorąco jak w łaźni parowej, ale po tylu godzinach zamknięcia w klimatyzowanej kabinie nikt nie narzekał na upał i wilgotność.

Uprzejmy celnik ostemplował im paszporty i serdecznie ich powitał w Sfederowanych Stanach Mikronezji. Paszport Li został na Bonefish Key, ale Departament Stanu załatwił jej w Honolulu tymczasowy dokument uprawniający do wjazdu i wyjazdu z Mikronezji.

W pustym terminalu stał mężczyzna trzymający nad głową tekturową tabliczkę z napisem „NUMA”. Był w czapce bejsbolowej, workowatych szortach z mnóstwem kieszeni, sandałach i T-shircie z nadrukowaną mikronezyjską flagą - czterema białymi gwiazdami na niebieskim prostokącie.

Austin przedstawił mu się i wymienił nazwiska swoich towarzyszy.

- Chorąży Frank Daley - odparł mężczyzna. - Przepraszam za cywilne ubranie. Miejscowi są przyzwyczajeni do mundurów marynarki wojennej, ale tę operację staramy się utrzymać w tajemnicy.

Mimo swobodnego stroju trzymał się prosto jak struna, był ostrzyżony na rekruta i ogolony tak gładko, że nietrudno było rozpoznać w nim wojskowego.

- Całkiem słusznie - powiedział Kurt. - Co dla nas zaplanowaliście?

- Mamy śmigłowiec, który zabierze was do punktu dowodzenia poszukiwaniami na moim okręcie, krążowniku „Concord”.

Kiedy szli do szarego helikoptera Sikorsky Seahawk, Austin zapytał Daleya o stan poszukiwań.

- Przeczesał setki kilometrów kwadratowych z powierzchni morza i z powietrza - odpowiedział chorąży. - Jak do tąd, bez skutku.

- Zrzucacie boje sonarowe, żeby nasłuchiwać ruchów pod wodą?

Daley poklepał dziób seahawka.

- Ten ptaszek służy do zwalczania okrętów podwodnych. Ma najnowsze urządzenia do detekcji akustycznej. Dane z sensorów są transmitowane na krążownik i trafiają do sieciowego systemu komputerowego. Na razie nic nie wykryliśmy.

- Czy miejsce, gdzie było laboratorium, zostało dokładnie zbadane? - spytał Zavala.

- Na tyle dokładnie, na ile pozwalają możliwości ROV-a - odparł Daley.

- Słyszałem, że w poszukiwaniach pomaga jakiś statek NUMA - powiedział Joe. - Spróbuję pożyczyć od nich pojazd podwodny i przyjrę się bliżej miejscu po laboratorium.

Austin przypomniał sobie rozmowę z Li.

- Doktor Li ma na wyspie trop, którym chcielibyśmy pójść - rzekł. - Możecie zabrać Joego na okręt i przylecieć po nas za kilka godzin?

- Poinformowano mnie, że cała marynarka wojenna jest do waszej dyspozycji, panie Austin - odparł Daley. - Ten śmigłowiec rozwija prędkość trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Możemy wrócić na wyspę w każdej chwili.

Kurt zwrócił się do Zawali, który już zaczął ładować ich bagaże do helikoptera.

- Song znalazła coś interesującego o Nan Madol, Joe. To może mieć związek z laboratorium. Zajmij się poszukiwaniami, a my zrobimy tutaj szybkie rozpoznanie.

- Zaraz, zaraz, przyjacielu. Zamierzasz zniknąć z piękną doktor Li, a ja mam się grzebać w mule? Chyba coś tu nie gra?

- Moim zdaniem wszystko gra - odparł Austin.

- No dobra, niech ci będzie - powiedział Zavala z szerokim uśmiechem. - Do zobaczenia za kilka godzin.

Wsiadł z Daleyem do helikoptera. Silniki ożyły, wirujące rotory nabrały obrotów i maszyna długości dwudziestu metrów uniosła się z płyty lotniska. Zawisła wysoko w powietrzu, obróciła się i poleciała nad laguną w stronę pełnego morza.

Austin i Li wyszli z terminalu, żeby poszukać postoju taksówek. Przed budynkiem zobaczyli młodego mężczyznę, ważącego ze sto pięćdziesiąt kilo, który opierał się o spłowiałego rdzawoczerwonego pontiaca kombi z panelami ze sztucznego drewna. Na drzwiach samochodu widniał napis „Kolońska Korporacja Taksówkowa”. Austin zapytał grubasa, czy zna przewodnika nazwiskiem Jeremiah Whittles.

- Starego Jerry'ego? Jasne. Ale jest już na emeryturze. Jeśli potrzebujecie przewodnika, mogę pana skontaktować z moim kuzynem.

- Dzięki, ale wolałbym porozmawiać z Jerrym - powiedział Austin.
- Może mnie pan do niego zawieźć?

- Pewnie - odparł mężczyzna z promiennym uśmiechem. - Mieszka w Kolonii. Wskakujcie.

Austin puścił przodem Song Li, a potem usiadł obok niej i zamknął drzwiczki. Taksówkarz, który przedstawił się jako Elwood, władował swoje potężne cielsko za kierownicę. Zawieszenie jęknęło, nadwozie przechyliło się na bok. Kiedy ruszył, czarny pikap chevrolet silverado, zaparkowany kilkanaście metrów dalej, podążył za nim. Kolonia, około sześciotysięczne miasto z pełną dziur główną ulicą, przypominała miasteczko z Dzikiego Zachodu.

Elwood skręcił z Main Street do dzielnicy mieszkalnej i zatrzymał się przed schludnym żółtym domem z białymi wykończeniami. Silverado ominął pontiaca i stanął niedaleko przed nim, w miejscu, z którego kierowca mógł obserwować w lusterku wstecznym, jak Austin i Li podchodzą do frontowych drzwi.

Kurt nacisnął dzwonek i po chwili usłyszał kroki. Drzwi otworzył szczupły mężczyzna wyglądający na ponad osiemdziesiąt lat.

Jeremiah Whittles najpierw się uśmiechnął do Li. Potem spojrzął na Austina i zaskoczony wytrzeszczył oczy.

- Czy to Kurt Austin z NUMA? Mój Boże, nie wierzę! Jak długo się nie widzieliśmy?

- Zbyt długo, Whit. Co u ciebie?

- Postarzałem się, ale chyba nie zmądrzałem. Co cię sprowadza na moją piękną wyspę, Kurt?

- Rutynowa robota NUMA dla marynarki wojennej. Mam pokazać doktor Li, jak tu jest. Interesuje ją Nan Madol. Nie przyszedł mi do głowy nikt, kto miałby większą wiedzę na ten temat niż naj-słynniejszy przewodnik na Pohnpei.

- Były przewodnik - sprostował Whittles. - Wejdźcie.

Z różową skórą na łysiejącej czaszce, cienkim orlim nosem, życzliwym, lecz zarazem badawczym spojrzeniem błękitnych oczu za dwuogniskowymi okularami w drucianych oprawkach i z lekko zgarbionymi plecami przypominał myszołowa.

- Podobno przeszedłeś na emeryturę - powiedział Austin.

- Pamięć mi dopisuje, ale zeszywniał mi kręgosłup i z trudem odwracam głowę, więc nie bardzo mogę oprowadzać ludzi. No i tracę wzrok, a na co komu półślepy przewodnik? Pomyślałem, że najlepiej będzie zrezygnować.

Poprowadził ich przez pokoje pełne wytworów mikronezyjskiej sztuki ludowej. Maski, totemy i rzeźbione groteskowe figurki wisiały na każdej ścianie. Gdy Kurt i Li usiedli na osłoniętej werandzie, poszedł po zimną wodę dla gości.

Podróżując po świecie, Austin spotkał wielu Anglików, którzy tak jak Whittles osiedlili się gdzieś daleko od rodzinnej wyspy i potem oprowadzali turystów po tamtejszych katedrach, wspaniałych pałacach i zapomnianych świątyniach. Przyswajali sobie każdy fakt, nawet najdrobniejszy, i stawali się lokalnymi znakomitościami.

Poznał Jeremiaha, gdy zwiedzał Nan Madol, i zaimponowała mu jego rozległa wiedza na temat samych ruin oraz historii i kultury Mikronezji. Wcześniej Whittles był nawigatorem na statku handlowym, który zawijał do portu na Pohnpei, i zauroczyło go jej piękno. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę i za zgromadzone oszczędności kupił dom na wyspie. Żył jak mnich, a ruiny Nan Madol stały się nie tylko jego źródłem utrzymania, lecz także jedyną pasją.

Kiedy wrócił, podał gościom wodę, usiadł i zapytał Li, co wie o Nan Madol.

- Niewiele - odparła. - Tylko to, że nazwano je „Wenecją Pa cyfiku”.

- Nan Madol daleko do prawdziwej Wenecji - powiedział Jeremiach - ale mimo to robi wrażenie. Składa się z dziewięćdziesięciu dwóch sztucznych wysepek i zostało założone pod koniec XI wieku. Budowniczości przetransportowali tratwami na niziny pływowe i rafę u wybrzeża sześciokątne bazaltowe kłocę, niektóre o długości ponad sześć metrów. Ułożyli je jeden przy drugim, tworząc sztuczne wysepki połączone siecią płytkich kanałów. Ponieważ miasto jest tajemnicze i leży tam, gdzie nic takiego nie powinno istnieć, pojawiły się teorie, że było częścią zaginionego kontynentu Mu lub Lemurii.

- A co pan o tym sądzi, panie Whittles? - zapytała Li.

- Sądzę, że rzeczywistość jest bardziej prozaiczna, ale równie ciekawa. W Nan Madol były świątynie, grobowce, domy kapłanów i arystokratów oraz staw, gdzie podobno żył święty węgorz... Jak mogę pani pomóc, doktor Li?

- Czy słyszał pan o jakichś ruinach ozdobionych rzeźbami podobnymi do tych w Nan Madol?

- Tak - odparł. - Ponoć taki sam przybytek sekty kapłanów uzdrowicieli znajdował się na innej wyspie, ale nigdy nie byłem w stanie tego zweryfikować.

- Co to była za sekta? - spytał Austin.

- Powstała na jednej z wysp w pobliżu Pohnpei. Ci kapłani podróżowali po archipelagu, zajmowali się chorymi i stali się znani z cudownego uzdrawiania.

Austin i Li wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Jestem lekarką - powiedziała Chinką - więc bardzo mnie to interesuje.

- Niestety nic więcej nie wiem - odrzekł Whittles. - Ta cywilizacja upadła na skutek bratobójczych wojen. Bardzo możliwe, że wierzenia i obrzędy sekty przetrwały w jakiejś bardziej prymitywnej formie, ale większość tego, co dziś wiemy, przekazywano ustnie. Nie ma żadnych relacji pisemnych.

- A czy za takie nie mogłyby być uznane rzeźby? - zdażył Austin.

- Oczywiście, ale z tego, co widziałem, są bardziej symboliczne i alegoryczne niż obrazujące historię.

- Co przedstawiają? - spytała Li.
- Lepiej je pani pokażę, zamiast opisywać.

Whittles poszedł do swojego gabinetu, pogrzebał w szafkach na akta i wrócił z brązową kopertą. Otworzył ją i wyciągnął plik zdjęć o wymiarach trzynaście na osiemnaście centymetrów. Rozłożył je w wachlarz jak talię kart, wybrał jedno i podał Li.

- To jest fasada świątyni widziana z kanału - objaśnił. - Pod podłogą budowli znajduje się pusta przestrzeń, która chyba była jakimś basenem. Na tej fotografii widać rzeźby wewnątrz.

Li patrzyła chwilę na zdjęcie, po czym podała je Austinowi. Przyjrzał się uważnie dzwonowatym kształtom i podniósł wzrok.

- Meduzy? - zapytał.

Whittles przytaknął.

- Na to wygląda. Nie wiem, czemu ozdobili ścianę świątyni wizerunkami tych stworzeń. Ale jak mówiłem, był staw ze świętym węgorzem, więc dlaczego nie miałyby być innego z meduzami?

- No właśnie. - W ciemnych oczach Li błyszczało podniecenie.

- Chciałbym zobaczyć to miejsce - powiedział Austin. - Gdzie ono jest?

- Pokażę ci, ale mam nadzieję, że wzięłeś ze sobą strój pływacki. Platforma, na której stała świątynia, zatoneła w kanale podczas trzęsienia ziemi lata temu. Nie jest tam zbyt głęboko. Najwyżej trzy i pół metra.

Austin spojrzał na Li.

- Co pani woli, madame? Udać się na nasz statek czy wybrać do Nan Madol?

- To chyba oczywiste - odparła.

Odpowiedź go nie zaskoczyła. Znał jej determinację.

Poprosił o lokalną książkę telefoniczną i w ciągu kilku minut załatwił wypożyczenie łodzi oraz sprzętu do nurkowania. Whittles zaznaczył położenie świątyni na mapce turystycznej zrujnowanego miasta. Podziękowali mu, pożegnali się i wrócili do czekającego pontiaca. Kiedy taksówka ruszyła w stronę portu, Chevy Silverado oderwał się od krawężnika i pojechał za nią, utrzymując odległość kilkunastu metrów.

Lysander Codman powitał Troutów w holu budynku stojącego frontem do trawiastego skweru przy Longwood Avenue, siedzibie Wydziału Medycyny Uniwersytetu Harvarda. Profesor był wysoki, po sześćdziesiątce i miał miękkie ruchy. Jego pociągła twarz i duże zęby rodziły podejrzenie, że część starych jankeskich rodzin jest spokrewniona z końmi.

Zaprowadził Troutów korytarzem do swojego przestronnego gabinetu. Poprosił, żeby się rozgościli, i nalał do filiżanek herbatę Earl Grey z elektrycznego czajnika. Potem usiadł za biurkiem, zadał kilka pytań o ich pracę w NUMA i uniósł do góry oprawiony egzemplarz rozprawy naukowej, żeby mogli przeczytać tytuł na granatowej okładce:

„Anomalia nowobedfordzka:

monografia reakcji odpornościowej

załogi statku wielorybniczego »Princess«".

Codman wziął łyk herbaty i rzekł:

- Miałem okazję przejrzeć pracę doktor Li. Jest ciekawsza, niż pamiętałem.

- W jakim sensie, profesorze? - zapytał Paul.

- Zrozumie pan po jej przeczytaniu. Pierwsza część jest oparta głównie na doniesieniach prasowych. Dziennikarz, który przeprowadzał wywiady z emerytowanymi wielorybnikami do reportażu o ich wyczynach, uświadomił sobie, że natrafił na coś intrygującego. Zauważył mianowicie, że ci mężczyźni po siedemdziesiątce i osiemdziesiątce w ogóle nie chorowali przez większość długiego życia.

- Byliśmy dziś w Marynarskim Domu Modlitwy w New Bedford - powiedziała Gamay. - Na ścianach są tablice upamiętniające załogi zaginionych statków wielorybniczych. Paul zrobił uwagę, jacy twardzi musieli być ci ludzie.

- W tym wypadku to było coś więcej - odparł Codman. - Oni nigdy nie mieli żadnych dolegliwości, nawet się nie przeziębiali.

Umierali w podeszłym wieku, zwykle na skutek starczych schorzeń, takich jak zastoinowa niewydolność serca.

- Gazetowe relacje potrafią być przesadzone - zauważyła Gamay.

- Zwłaszcza dziewiętnastowieczne - zgodził się Codman. -Ale zainteresowały immunologa z tutejszego wydziału medycyny, niejakiego doktora Fullera. Zorganizował zespół lekarzy do zbadania tej sprawy. Rozmawiali z tamtymi wielorybnikami i medykami, którzy ich leczyli. Dowiedzieli się jeszcze dziwniejszych rzeczy, niż były w gazetach. Wszyscy wielorybnicy cieszący się doskonałym zdrowiem należeli do załogi „Princess” podczas rejsu w 1848 roku. Zarazili się wtedy jakąś chorobą tropikalną nękającą pacyficzną flotę wielorybniczą. Niektórzy później nadal pływali i zginęli w sztormach, ale czternastu jeszcze żyło. Porównano stan zdrowia ich i marynarzy z innych statków. Różnice były zdumiewające. Lekarze poparli swoje ustalenia tabelami, wykresami i tak dalej.

- Pan jednak miał wątpliwości co do ustaleń doktor Li - przypomniała Gamay.

Profesor Codman usiadł wygodnie, złączył końce palców i wpatrzył się w przestrzeń.

- Wstępne stwierdzenie faktów nie nurtowało mnie tak bardzo jak jej wnioski - odparł po chwili. - Podstawą rozprawy doktor Li były dowody trudne dla mnie do przyjęcia: głównie jej spostrzeżenia oparte na anegdotach opowiadanych przez tamtych wielorybników. Niestety kapitan statku zmarł, zanim przeprowadzono wywiady z członkami załogi. Jego dziennika okrętowego nigdy nie odnaleziono.

- Czy obserwacje z pierwszej ręki nie są ważne? - zapytał Paul.

- Owszem, ale proszę pomyśleć: ci ludzie byli wtedy bardzo chorzy, niektórzy zapadli nawet w śpiączkę, a ich wspomnienia spisano kilkadziesiąt lat po zdarzeniu.

- Co opowiadali?

- Wszyscy to samo: zachorowali po wyjściu z portu, stracili przytomność i ocknęli się następnego dnia zdrowi.

- Czy to mogła być remisja? - spytała Gamay.
- Doktor Li przedstawiła raporty o ówczesnej epidemii choroby podobnej do grypy we flocie. Biorąc pod uwagę szybkość i gwałtowność jej postępowania, a także wysoką umieralność na grypę, remisja nie wydaje się prawdopodobna.
- Powiedział pan, że wszyscy członkowie załogi mówili to samo
- przypomniała Gamay. - Czy to nie uwiarygodnia tej historii?
- Załoga statku wielorybniczego stanowiła małą społeczność. Sądzę, że uzgodnili relację. - Codman urwał. - Tylko pierwszy oficer podał inną wersję.
- Zaprzeczył opowieści załogi? - spytała Gamay.
- Nie. Nawet ją uzupełnił. Według jego słów statek rzucił kotwicę przy brzegu jakiejś wyspy i on zszedł na ląd z kapitanem. Pamiętał też, że widział blask niebieskich świateł i poczuł ukłucie w pierś. Obudził się zdrów jak ryba.
- To ciekawe z tym ukłuciem - stwierdziła Gamay. - Myśli pan, że mówił o prymitywnej formie szczepienia?
- Na to wygląda. Powiedział, że wszyscy ocaleli marynarze i oficerowie mieli czerwone ślady na piersiach. Światła mogły być halucynacją lub zjawiskiem nazywanym ogniami świętego Elma, a ślady ukąszeniami owadów. Tak czy inaczej, szczepienie może zapobiec chorobie, ale jej nie leczy.
- Czy zespół z Harvardu pobrał próbki krwi tamtych ludzi?
- Tak. Obejrzano je pod mikroskopem. Zauważono aktywność jakiegoś niezwyklego antygeny, ale należy pamiętać, że przyrządy optyczne były wówczas dość prymitywne. Immunologia jest stosunkowo młodą dziedziną nauki. Jenner i Pasteur jeszcze nie dokonali swoich doniosłych odkryć wyjaśniających, dlaczego osoby, które przeżyły jakąś chorobę, rzadko łapią ją ponownie.
- Czy tamte próbki krwi można byłoby poddać analizie teraz?
- spytała Gamay.
- Oczywiście, gdybyśmy je mieli. Najwyraźniej jednak je wyrzuciono albo po prostu zaginęły. - Codman wręczył Gamay rozprawę Li. - Tak czy owak, na pewno uznają to państwo za fascynującą lekturę.

Gdy Troutowie wracali do samochodu, zadzwiała komórka Paula.

Odebrał i słuchał przez chwilę.

- W porządku - powiedział wreszcie, zamknął telefon i zwrócił się do żony: - Chyba jesteśmy winni przeprosiny naszemu przyjacielowi Brimmerowi.

- Znalazł jakieś materiały dotyczące objazdowego przedstawienia Caleba Nye'a? - zapytała.

- Lepiej - odparł. - Ma dziennik okrętowy „Princess” z 1848 roku. Zaprasza nas do swojego biura.

Harvey Brimmer odłożył słuchawkę i popatrzył na czterech Azjatów. Byli młodzi, ubrani w jednakowe czarne skórzane kurtki i dżinsy i wszyscy mieli na głowach czarne opaski z czerwonymi chińskimi literami. Przyjechali do New Bedford wkrótce po telefonie antykwariusza w sprawie dziennika okrętowego. Ich przywódca o szczupłej twarzy z blizną na prawym policzku był tym, który odwiedził antykwariat w poszukiwaniu dziennika. To on kazał Brimmerowi zadzwonić do Troutów.

- Są w drodze - oznajmił Brimmer. - Po co chcecie się z nimi zobaczyć?

Przywódca wyciągnął pistolet i wyszczerzył w uśmiechu zęby. Na jednym widniała złota piramida.

- Nie chcemy się z nimi zobaczyć - odparł. - Chcemy ich zabić.

Wyrwał kabel telefonu ze ściany, kazał antykwariuszowi oddać komórkę i schował ją do kieszeni.

Brimmera przeszedł dreszcz. Był wystarczająco inteligentny, by się zorientować, że nie pozostawia go przy życiu po tym, jak będzie świadkiem podwójnego zabójstwa. Pomyślał o zapasowej komórce zamkniętej w jednej z szuflad biurka, przy którym siedział. Postanowił wykonać swój ruch, gdy tylko nadarzy się okazja.

Jak wiele łodzi z czasów, kiedy skutnicy jeszcze dobrze nie wiedzieli, jaką grubość powinien mieć kadłub z będącego wówczas nowością włókna szklanego, podniszczony ponadtrzyipółmetrowy skif, który Austin wypożyczył w kolońskim porcie, wyglądał jak pancernik. Napędzał go nadający się do muzeum techniki sfatygowany silnik zaburtowy Evinrude o mocy piętnastu koni mechanicznych.

Kurt stwierdził z zadowoleniem, że sprzęt do nurkowania jest w dużo lepszym stanie niż skif i jego napęd. Sprawdził automat oddechowy, węże oraz butlę i przekonał się, że o akwalung dbano. Po namyśle kupił jednorazowy podwodny aparat fotograficzny w plastikowej obudowie. Załadował worek z ekwipunkiem i pomógł Song Li wejść do łodzi. Po kilku pociągnięciach linki rozruchowej evinrude czknał i zaskoczył. Okazało się, że mimo zaawansowanego wieku ma zdrowe mechaniczne serce i pcha ciężkiego skifa w wolnym, ale równym tempie wzdłuż wybrzeża.

Do Nan Madol płynęło się z Kolonii około czterdziestu pięciu minut. Gdy zbliżyli się do miasta na południowo-wschodnim brzegu wyspy Tenwen, Austin spróbował sobie przypomnieć to, co Whittles mówił mu o ruinach podczas jego poprzedniej wizyty. Uroczystości odbywały się tu od II wieku naszej ery, ale megalityczna architektura zaczęła nabierać kształtu dopiero w XII stuleciu.

W Nan Madol mieszkali tylko arystokracja i kapłani, więc liczba ludności nigdy nie przekraczała tysiąca. Nekropolia zajmowała pięćdziesiąt osiem wysp w północno-wschodniej części miasta nazywanej Madol Powe. Whittles zabrał tam Austina i pokazał mu wysepki, na których mieszkali i pracowali kapłani. Madol Pah był sektorem administracyjnym w południowo-zachodniej części Nan Madol. Tutaj mieli swoje rezydencje arystokracji i kwaterowali wojownicy.

Budowniczo Nan Madol wzniesli wały nadmorskie dla ochrony miasta przed kapryсами Pacyfiku. Poszczególne prostokątne wysepki właściwie nie różniły się od siebie. Mury oporo-

we stawiano z ułożonych w stosy ciężkich bazaltowych kolumn, a przestrzeń między nimi wypełniano koralowym tłuczniem. Kiedy konstrukcja sięgała ponad poziom morza, na górze budowano platformy, które stanowiły fundamenty rezydencji, świątyń, a nawet grobowców. Bardziej wymyślne z wysepek, takie jak Nandauwas z ogromnym domem pogrzebowym, miały wokół kompleksu dwa ponad siedmioipółmetrowe mury.

Według szkicu Whittlesa świątynia sekty kapłanów uzdrowicieli znajdowała się w cmentarnym sektorze Nan Madol. Wysepka była mniejszą wersją Nandauwas, co sugerowało, że miała spore znaczenie dla mieszkańców miasta. Do świątyni wchodziło się przez portal w murze otaczającym dziedziniec, a potem przez następny w wewnętrznym murze.

Austin skierował łódź do miasta. Mijając walące się mury, pomachali do pasażerów kilku odkrytych stateczków wycieczkowych: turystów z aparatami fotograficznymi i kamerami wideo, chronionych przed tropikalnym słońcem kolorowymi zadaszeniami. Skif minął także przewodnika prowadzącego za sobą kilka kajaków jak rząd kaczątek.

Korzystając z mapki, Kurt opuścił główny rejon turystyczny i skręcił do cichego kanału z bazaltowymi murami oraz palmami po obu stronach. Kiedyś świątynia kapłanów uzdrowicieli zapewne górowała nad jego krańcem, ale teraz jedynym śladem jej istnienia była sterta kolumn wystająca kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnię wody. Austin wyłączył silnik, pozwolił łodzi dodryfować do gruzów na odległość kilku metrów i rzucił kotwicę.

W sklepie ze sprzętem do nurkowania kupił hawajski strój pływacki, pomarańczowo-czerwony z tancerkami hula, jedyny, jaki mieli w jego rozmiarze. Schował portfel i telefon do wodoszczelnego worka na sprzęt, włożył kamizelkę ratunkową, pas balastowy, akwalung i płetwy. Potem zsunął się z krawędzi burty do letniej toni i pomachawszy Song Li, zanurkował pod powierzchnię wolno płynącej brązowawozielonej wody.

Włączył wodoszczelną latarkę, którą również kupił w miejscowym sklepie. W mętnej toni widoczność była ograniczona, ale

światło latarki wyłowiło z mroku rozbity bazaltowy fundament wysępki. Austin okrążył go i wrócił do łodzi.

Whittles wyjaśnił, że koralowe wypełnienie podtrzymujące świątynię pokruszyło się, gdy miasto nawiedziło trzęsienie ziemi, i w rezultacie budowla poszła na dno ogrodzonego miejsca, a mury runęły na nią.

Austin ponownie opłynął gruzy, tym razem na innej głębokości, i zobaczył otwór w miejscu, gdzie bazaltowe płyty upadły pod kątem. Wetknął do dziury latarkę. Światło zniknęło w głębi, co wskazywało, że dalej jest pusto. Kurt przecisnął się przez ciasny otwór, zawiadując butlą akwalungu o bazalt.

Kiedy znalazł się w środku, poświecił wokół i zobaczył, że jest w jakby grocie, powstałej, gdy wewnętrzne i zewnętrzne mury przewróciły się. Nawet jeśli świątynia nie uległa zniszczeniu, została przysypana kawałkami wewnętrznego muru, który zwałił się na nią.

Austin pomyślał, że to koniec poszukiwań. Już zamierzał się wycofać, ale jeszcze raz omiół latarką komorę. Tym razem dostrzegł, że kawałek na prawo od niego cienie padają na gruzy w dziwny sposób. Podpłynął bliżej i zobaczył, że jakaś płyta blokuje kilka kolumn, tworząc wyłom.

Wśliznął się tam i po przepłynięciu kilku metrów dotarł do niemal idealnie prostokątnego wejścia. Świątynia przechyliła się w lewo i powinny były zasypać je szczątki, ale nadproże upadło tak, że pozostało nietknięte. Austin zbadał wzrokiem wejście, by się upewnić, że nie runie, po czym wpłynął do świątyni.

Światło latarki natychmiast padło na opisany przez Whittlesa basen. Był prostokątny, o wymiarach mniej więcej sześć na cztery i pół metra. W środku leżał gruz, ale Kurt ocenił głębokość na jakieś dwa metry. Oświetlił jedną ze ścian i zobaczył, że zdobiją ją wyrzeźbione postacie sześciu mężczyzn w przepaskach na biodrach. Stali profilem, każdy trzymając miskę nad głową, po obu stronach wielkiej meduzy w kształcie dzwonu. Jej czułki opadały do kamiennego podestu o wymiarach metr na dwa. Austin poświecił latarką dookoła i dostrzegł identyczne rzeźby oraz podesty na pozostałych trzech ścianach.

Powiódłszy palcami po konturach jednej z meduz, jakby mogło go to połączyć z sektą uzdrowicieli sprzed wieków, cofnął się kawałek, wyjął jednorazowy aparat fotograficzny z fleszem i pstryknął kilkanaście zdjęć.

Chcąc jak najszybciej powiedzieć Li o swoim odkryciu, wypłynął ze świątyni, a potem poza wewnętrzny i zewnętrzny mur. Spojrzał w górę, aby się zorientować w swoim położeniu, i zobaczył sylwetkę skifa na połyskującej powierzchni wody. Kiedy się wznosił, usłyszał przytłumiony odgłos silnika pracującego na wysokich obrotach. Hałas narastał. Zastanawiał się chwilę, dlaczego ktoś tak pędzi po spokojnym kanale, i nagle w jego głowie odezwał się alarm.

Popłynął do góry wzdłuż liny kotwicznej i wynurzył się kilkadziesiąt centymetrów od kadłuba. Podniósł maskę na czoło, zamrugał w jasnym słońcu i zobaczył łódź prującą od wejścia do kanału w kierunku skifa. Odległość była jeszcze spora, nie widział więc wyraźnie twarzy pasażerów, ale słońce odbijało się w tysej czaszce Czanga, przywódcy gangu triady, który zaatakował „Beebe'a”. Wskazówka na skali niebezpieczeństwa Austina przesunęła się na czerwone pole.

Song Li siedziała w wypożyczonej łodzi, nieświadoma zagrożenia. Kurt krzyknął i wskazał zbliżający się ponton. Li zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Spojrzał na ponton. Czang, szczerząc zęby w złowieszczym uśmiechu, klęknął na dziobie i uniósł broń do ramienia. Znalazłby się przy nich w ciągu sekund, ale mijane wcześniej kajaki zagroziły mu drogę. Gdy łódź skreśliła gwałtownie, żeby je ominąć, jej kilwater przewrócił dwa z nich.

- Skacz! - krzyknął Austin do Li.

Położyła ręce na krawędzi burty i pochyliła się nad wodą. Nie zdawała sobie sprawy, że jest w niebezpieczeństwie, dopóki nie zobaczyła błysków z lufy i nie usłyszała terkotu serii. Na wodzie pojawił się rząd małych gejzerów, który prowadził prosto do skifa niczym zbliżające się ostrze piły tarczowej. Zamarła z przerażenia.

Austin wyskoczył z wody najwyżej, jak mógł, sięgnął w górę, złapał Li za przód bluzki i pociągnął ją ze sobą w dół. Wypadła za

burtę zaledwie sekundy przed tym, jak pociski Czanga posiekały łódź wśród fruujących fiberglasowych drzazg.

Ciężar Li sprawił, że oboje poszli kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnię. Austin wypuścił powietrze ze swojej kamizelki ratunkowej i opadł głębiej. Objął Chinkę w talii, jakby prowadził ją w walcu, i wolną ręką skierował latarkę na swoją twarz. Odruchowo nabrała powietrza, zanim wylądowała w wodzie, ale teraz zabrakło go jej i zaczęła się miotać w panice. Austin zrobił głęboki wdech, wyjął regulator akwalungu z ust i wskazał wydobywające się z niego pęcherze powietrza.

Li, choć przerażona, zrozumiała, co próbuje jej przekazać. Wzięła ustnik i włożyła między wargi. Kiedy napelniła płuca, wyraz paniki zniknął z jej twarzy. Zwróciła regulator Austinowi.

Mogli dzielić się powietrzem jeszcze przez jakiś czas, ale tkwiąc nieruchomo pod wodą, wcale nie byli bezpieczni. Stało się to dla Kurta aż nazbyt jasne, gdy zobaczył spieniony rozbryzg wody, a potem drugi. Ludzie Czanga zanurkowali.

Mogliby bez trudu wytropić Austina i Li w płytkim kanale, wypatrując pęcherzy powietrza na powierzchni. Czang mógłby też po prostu zaczekać, aż tych dwoje pod wodą nie będzie miało czym oddychać. Ale był niecierpliwy.

Kurt nabrał powietrza do płuc, podał Li ustnik i wskazał palcem kierunek.

Tędy.

Wziął ją za rękę i popłynął w stronę wejścia do świątyni. Ludzie Czanga nie mieli butli tlenowych, więc szybko zostali z tyłu. Zanim Kurt i Li zniknęli za murem budowli, wynurzyli się. Łódź krążyła w poszukiwaniu pęcherzy powietrza uciekinierów. Nie widząc ich, Czang uznał, że zdołali prześliznąć się obok niego, i rozkazał wprowadzić ponton dalej w głąb kanału. Ale uciekinierzy byli już w świątyni.

Li, która przy wspólnym oddychaniu spisywała się jak profesjonalistka, omal nie opła się wody, kiedy Austin pokazał jej rzeźby na ścianach. Tak jak on dotknęła meduzy i pokręciła głową, sfrustrowana, że nie może mówić. Wskazał aparat fotograficzny

przyczepiony do jego kamizelki ratunkowej i uniósł kciuk w geście „wszystko w porządku”.

Usadowieni na krawędzi basenu w świątyni, dzielili się powietrzem i chłonęli wzrokiem wspaniałe rzeźby. Po kilku minutach Austin sprawdził zapas pozostały w butli, postukał w zegarek i wskazał wyjście ze świątyni. Li skinęła głową na znak, że zrozumiała. Popłynęli obok siebie, jakby zrosnięci biodrami, do zewnętrznego muru. Tam Kurt zasygnalizował Chince, żeby zaczekała, po czym zdjął kamizelkę ratunkową i wypłynął do kanału. Wokół panował spokój. Spojrzał w górę na powierzchnię, ale nie zobaczył ani łodzi Czanga, ani wynajętego skifa.

Usłyszał odgłos silnika. Brzmiał inaczej niż tamten szybkoobrotowy, napędzający ponton, postanowił więc zaryzykować. Zbliżył się do fundamentu wysepki, wynurzył i wyjrzał zza wypiętrzenia, które tworzyła rozbita bazaltowa podstawa.

W stronę wypożyczonej łodzi płynął kanałem statek wycieczkowy. Skif tonął, z wody wystawał tylko dziób, a Czang i jego ludzie zniknęli.

Austin machał, dopóki nie zauważył go ktoś na statku. Odetchnął głęboko i wrócił po Song Li. Pokazał jej uniesiony kciuk, potem wskazał w górę. Odpowiedziała takim samym gestem i razem unieśli się ku powierzchni.

37

Po starcie seahawka z Pohnpei Zavala wyjął mapę z torby, którą zostawił mu Austin, i porównywał to, co na niej widniało, z wysepkami i atolami widocznymi z helikoptera. Przerwał mu chorąży Daley. Klepnął go w ramię i wskazał na wprost, gdzie sylwetki okrętów odcinały się na tle oceanu.

- To wygląda jak flota inwazyjna - powiedział Joe.
- Jesteśmy już w rejonie poszukiwań - wyjaśnił Daley. -Sześć naszych jednostek przeczesuje morze wokół dawnej pozycji

laboratorium. Dołączył do nich statek badawczy NUMA. Na moim krążowniku jest centrum dowodzenia. Będziemy tam koło południa. Sikorski szybko pokonał odległość do „Concorda”, wisiał chwilę nad jego rufą, po czym usiadł w samym środku dużego okręgu namalowanego na pokładzie. Zavala odsunął drzwi śmigłowca i wysiadł. Powitał go siwy mężczyzna w mundurze khaki.

- Hank Dixon - przedstawił się, wyciągając rękę. - Kapitan krążownika rakietowego „Concord”. Witam na pokładzie, panie Zavala.

- Witam, kapitanie. Proszę mi mówić Joe. Mój szef, Kurt Austin, został na Pohnpei, ale zjawi się za kilka godzin. Chorąży Daley powiedział mi, że na „Concordzie” jest centrum dowodzenia operacją.

- Zgadza się. Chodźmy, pokażę panu, co robimy.

Kapitan zaprowadził Zavalę do centrum poszukiwawczo-ratowniczego tuż przy głównym pokładzie. Przed monitorami komputerów przetwarzających dane, które napływały od załóg okrętów i samolotów zaangażowanych w operację, siedziało kilkanaście osób.

- Gdzie znajdowało się laboratorium? - spytał Joe.

Dixon wskazał pokład.

- Około stu metrów pod naszym kadłubem. Byliśmy w pobliżu jako posiłki dla okrętu wsparcia. Dotarliśmy tu kilka godzin po odebraniu sygnału SOS z „Proud Mary”.

- Gdzie jest teraz okręt wsparcia?

- Jednostka ratownicza marynarki wojennej właśnie holuje to, co z niego zostało, do stoczni. Zajęliśmy się rozbitkami, więc minęło trochę czasu, zanim sprawdziliśmy laboratorium. Nie udało nam się nawiązać z nim łączności radiowej i początkowo przypuszczaliśmy, że boja telekomunikacyjna została zniszczona. Mamy ROV-a do kontrolowania stanu kadłuba, więc posłaliśmy go na dół. - Dixon podszedł do ekranu komputera. - Te okrągłe wgłębienia w dnie odpowiadają wielkością podstawom podpór Schowka.

- Nie ma śladów ciągnięcia - zauważył Zavala - co świadczy, że laboratorium uniesiono do góry. Może mi pan pokazać to miejsce na mapie satelitarnej?

Dixon polecił technikowi wyświetlić mapę i zdjęcie satelitarne przeszukiwanych wód.

- Korzystamy z orbitujących satelitów szpiegowskich, które potrafią nakierować się na miejsce o powierzchni zaledwie metra kwadratowego w poszukiwaniu promieniowania podczerwonego - wyjaśnił. - Schowek był na zachód od Pohnpei, między wyspami Nukuoro na północy a Oroluk na południu. Połączyliśmy liniami wszystkie trzy wyspy i nazwaliśmy główny rejon poszukiwań Trójkątem Pohnpei.

- Te czerwone kwadraty to przeczesywane sektory - domyślił się Zawała.

- Tak. Każdy oznacza teren badany sonarem. Okręty przesyłają dane sonarowe do naszej sieci komputerowej. Dzielimy ocean na kwadraty, a okręty poruszają się w każdym z nich równoległe do siebie po liniach o długości kilku mil morskich i następnie przepływają do kolejnego kwadratu. W ten sposób możemy przeszukać duży obszar w bardzo krótkim czasie. W operacji biorą też udział samoloty i śmigłowce. Prowadzą rozpoznanie wizualne.

- Czerwone punkty to wyspy - upewnił się Zawała.

- Zgadza się. Jedne są średniej wielkości, inne to zaledwie małeńkie atole. Na zaludnione wysłaliśmy helikoptery i rozmawialiśmy z mieszkańcami, ale nikt nie zgłosił niczego podejrzanego. Miejsca, do których nie możemy dotrzeć drogą morską ani powietrzną, sprawdza lotnictwo.

- Chorąży wspomniał, że rozmieszczacie boje sonarowe.

Dixon skinął głową.

- Nie od razu zorientowaliśmy się, że laboratorium zniknęło, więc użyliśmy sensorów akustycznych. Obrzeża trójkąta patrolują trzy okręty podwodne wyposażone w tak czułe elektroniczne uszy, że ich załogi są w stanie usłyszeć nawet kichnięcie ryby.

- Proszę im przekazać, żeby wykorzystali swoje detektory akustyczne do nasłuchiwania sygnatury dźwiękowej rosyjskiego okrętu podwodnego klasy Tajfun. Tajfuny są wprawdzie bardzo ciche, ale może coś wyłapiecie.

Kapitan spojrzał badawczo na Zawałę.

- Myśli pan, że są w to zamieszani Rosjanie?

- Nie - odparł Joe - ale jeden z ich starych okrętów podwodnych mógł brać w tym udział. Widzę, że zajęliście się wszystkim. Chciałbym jednak skontaktować się ze statkiem NUMA. Może uda mi się pożyczyć jakiś pojazd podwodny i osobiście przyjrę się temu miejscu.

- Zadzwoń do nich - obiecał Dixon i westchnął. - Brakuje mi już pomysłów. Może pan ma jakieś sugestie?

Zavala popatrzył na zdjęcie satelitarne. Marynarka wojenna stała przed trudnym, niemal niewykonalnym zadaniem. Mikronezja to ponad sześćset wysp rozrzuconych na przestrzeni trzech milionów osmiuset osiemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Całkowita powierzchnia wysepek jest mniejsza od stanu Rhode Island, ale uwzględniając ocean, Mikronezja zajmuje obszar wielkości dwóch trzecich obszaru Stanów Zjednoczonych.

- Wasz plan poszukiwań jest doskonały, kapitanie. Nie wątpię, że mając dość czasu, znaleźlibyście laboratorium.

- Dziękuję. - Dixon zmrużył oczy. - Ale?... Zavala uśmiechnął się smutno.

- Ale nie mamy czasu.

38

Paul Trout wjechał wypożyczonym SUV-em na pusty parking za trzypiętrowym zakładem przemysłowym opuszczonym dziesiątki lat wcześniej, kiedy włókiennicy wycofali się z New Bedford. Odcinający się na tle nocnego nieba granitowy budynek byłby tylko reliktem minionej epoki, gdyby nie ogromny banner reklamujący sprzedaż mebli z rabatem. Światło lampy nad frontowymi drzwiami padało na mały drewniany szyld: „Starocie Brimmera, III piętro”.

Poza nocnym oświetleniem w salonie wystawowym i żółtym blaskiem w oknie na trzecim piętrze w budynku było ciemno.

- Wygląda znajomo - zauważyła Gamay.

- Owszem - przyznał Paul. - To stara fabryka Dobbsa. Widzieliśmy ją na tamtej rycinie, którą pokazała nam Rachael.

Gamay wskazała okno na ostatnim piętrze.

- Albo Brimmer jest na górze, albo duch kapitana Dobbsa wyrabia nadgodziny.

Paul wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer antykwariusza.

- Dziwne - powiedział po chwili. - Światło się pali, ale Brimmer nie odbiera. Nawet automatyczna sekretarka się nie zgłasza. Chyba coś tu nie gra.

Gamay zmarszczyła nos.

- Raczej śmierdzi - odparła i zaczęła wyliczać na palcach: -Brimmer mówi nam, że dziennik okrętowy zaginął, a potem dzwoni z wiadomością, że się znalazł. Zaprasza nas na spotkanie w tym nawiedzonym domu, zamiast w swoim antykwariacie czy jakimś miejscu publicznym. Po co ta tajemniczość?

- Widzę oczami wyobraźni pułapkę na myszy - rzekł Paul. -Tyle że zamiast sera przynętą jest stara książka, a myszy to my.

- Może to ten przyprawiający o gęsią skórę stary budynek tak na nas działa. Brimmer nie sprawiał wrażenia faceta używającego przemocy. Co robimy?

- Nie wiem, czy informacje w dzienniku okrętowym Dobbsa pomogą Kurtowi i Joemu odnaleźć laboratorium. Ale skoro w grę wchodzi ludzkie życie, uważam, że nie można się wycofać.

- Patrząc na bilans zysków i strat, zgadzam się z tobą. Tylko ograniczmy ryzyko i zorientujmy się w sytuacji.

Wysiedli z SUV-a i podeszli ostrożnie do głównego wejścia.

- Otwarte - powiedział Paul. - Nie widzę nic podejrzanego. Brimmer pewnie na nas czeka.

- Nie odebrał telefonu - przypomniała Gamay. - A jeśli go tu nie ma, drzwi powinny być zamknięte.

Przeszli wzdłuż prawie pięćdziesięciometrowego budynku i w końcu trafili na drugie drzwi. Nie dały się otworzyć. Skręcili za róg i zobaczyli żelazne schody pożarowe, które zygzakowały w górę do poziomu ostatniego piętra. Wspięli się po nich, sprawdzając drzwi na każdym podeście, ale wszystkie były zaryglowane.

Paul dźgnął framugę drzwi na ostatnim piętrze kluczykiem od samochodu. Spróchniałe drewno było miękkie. Cofnął się o krok i uderzył w drzwi ramieniem. Poczul, że ustępują, więc naparł na nie jeszcze kilka razy i klamka oderwała się od reszty. Gamay wyjęła z torebki małą latarkę halogenową i weszli do środka.

Ich kroki na zakurzonej podłodze odbijały się echem w pustej hali, w której kiedyś robotnicy obsługiwali setki krosien. Skierowali się w stronę przeciwnego końca pomieszczenia, gdzie światło sączyło się spod drzwi, i dotarli do ścianki działowej. Piętrzyły się przy niej kartony. Widniało na nich nazwisko Brimmera wypisane tuszem.

Paul wziął ze sterty śmieci kantówkę o przekroju pięć na dziesięć centymetrów, uniósł ją jak kij bejsbolowy i szepnął do Gamay, żeby zapukała do drzwi. Zrobiła to. Kiedy nic się nie stało, odsunęła się na bok, a Paul znów zabawił się w żywy taran. Drzwi ustąpiły prawie bez oporu.

Trautowie weszli do pokoju. Na podłodze wały się książki zrzucone z pustych teraz półek umieszczonych wzdłuż ścian. Na sznurkach rozciągniętych w pomieszczeniu wisiały pojedyncze kartki. Światło widziane z zewnątrz przez okno rzucała przegubowa lampa nad biurkiem. Na blacie obok komputera i małego pulpitu kreślarskiego spoczywała głowa Brimmera.

Antykwariusz leżał twarzą w dół, z ręką wyciągniętą do komórki znajdującej się zaledwie centymetry od koniuszków palców. Na jego marynarce widniały dziura po pocisku i czerwona plama.

Paul przytknął palce do tętnicy szyjnej Brimmera.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie odebrał telefonu - powiedział.

Gamay pochyliła się nad pulpitem kreślarskim z niedokończonym dokumentem wypisanym ozdobnymi literami.

- „Imię moje Ismael” - przeczytała głośno.

- Pierwsze zdanie z *Moby Dicka*? - spytał Paul.

Gamay przytaknęła.

- Okazuje się, że świętej pamięci Brimmer fałszował rękopis Melville'a.

- Czy z tego powodu zginął?

- Jeśli tak, Rachael Dobbs byłaby pierwszą podejrzaną. Ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że morderca nie chciał, aby Brimmer skorzystał z telefonu.

Paul wsunął kawałek papieru pod komórkę antykwariusza i odwrócił ją ekranem do góry.

- Dzwonił na policję - powiedział. - Zdążył wybrać dziewięć i jeden.

- Został zmuszony do przyjścia tutaj - orzekła Gamay. -Z własnej woli nie wpuściłby nikogo do swojej fałszerskiej pracowni. A sądząc po bałaganie na podłodze, jego goście czegoś szukali.

- Dziennika okrętowego z 1848?

- Jak powiedziałby Sherlock Holmes, wyeliminuj niemożliwe, a otrzymasz rozwiązanie.

- Zwłoki są jeszcze ciepłe, pani Holmes. Co ci to mówi?

- Że powinniśmy być cicho. Zabójca wiedział, że mamy tu przyjść.

- Nie wydaje ci się to naciągane? Gamay wskazała ciało.

- Powiedz to Brimmerowi. Paul się uśmiechnął.

- W porządku. Przekonałaś mnie.

Położył palec na ustach i otworzył drzwi naprzeciwko tych, którymi weszli. Wyszedł na podest, przysunął się do poręczy i spojrzął w dół schodów. Zobaczył pomarańczowy ogień i poczuł dym z papierosa. Cofnął się do biura, cicho zamknął drzwi i zaryglował je.

Sięgnąwszy po komórkę antykwariusza, wcisnął drugą jedynekę, żeby wybrać cały numer alarmowy. Kiedy zgłosił się dyspozytor, Paul przedstawił się jako Brimmer, podał adres i powiedział, że po budynku kręcą się jacyś ludzie, prawdopodobnie uzbrojeni i niebezpieczni.

Rozłączył się i włożył telefon w martwe palce antykwariusza.

Wymknęli się z biura Brimmera i szybko przecięli dawną halę produkcyjną. Ledwo wyszli na schody pożarowe, zamarli.

Stare schody trzęsły się, słychać było kroki kogoś wspinającego się po żelaznych stopniach. Troutowie dali nura z powrotem do środka, a Paul chwycił kantówkę, którą przed chwilą zostawił. Przywarli do ściany po obu stronach drzwi.

Usłyszeli męskie głosy, a potem okrzyk zaskoczenia. Najwyraźniej mężczyźni zobaczyli wyrwaną klamkę.

Drzwi otworzyły się wolno i do środka weszła jakaś postać, a za nią druga. W rękę pierwszego mężczyzny zapłonęła zapalniczka. Paul, świadomy, że ma tylko sekundę na działanie, walnął kantówką tego drugiego. Na odgłos uderzenia mężczyzna z zapalniczką się odwrócił. W drugiej ręce trzymał rewolwer. Paul rąbnął go deską w brzuch, a kiedy facet zgiął się wpół, wymierzył mu cios w głowę.

Troutowie wypadli przez drzwi, przystanęli na moment, żeby sprawdzić, czy nikt więcej nie wspina się po schodach pożarowych, po czym zbiegli po stopniach i puścili się pędem do samochodu. Kiedy odjeżdżali, minęli dwa radiowozy policyjne mknące w kierunku fabryki z błyskającymi kogutami, ale bez syren.

- Gdzie się nauczyłeś machać kijem jak Ted Williams? - spytała Gamay, złapawszy oddech.

- Na meczach letniej ligi softballowej Woods Hall. Grałem na pierwszej bazie w drużynie instytutu oceanograficznego. Tylko dla zabawy. Nawet nie zdobywałem punktów.

- Przyznaję ci dwa za tamto piękne podwójne uderzenie - powiedziała Gamay.

- Dzięki. - Paul się uśmiechnął. - Ale z dziennikiem okrętowym Dobbsa dotarliśmy do martwego punktu... Dosłownie.

Gamay zacisnęła wargi w zamyśleniu.

- Nie tylko kapitan Dobbs spisywał swoje wspomnienia - odparła po chwili.

- Chodzi ci o Caleba Nye'a? - zapytał. - Wszystkie jego pamiętniki poszły z dymem.

- Rachael Dobbs wspomniała o dioramie. To też jest swojego rodzaju pamiętnik.

Paul nagle poczuł przyływ energii.

- Warto spróbować.

Nacisnął mocniej pedał gazu i skierował się do rezydencji Dobbsa.

Rachael właśnie żegnała się z ekipą sprzątającą, która zrobiła porządek po koncercie jazzowym. Wyglądała na mniej zdenerwowaną niż wcześniej.

- Straciliście państwo koncert - powiedziała. - Mam nadzieję, że przynajmniej znaleźliście antykwariat pana Brimmera.

- Tak, dziękujemy - odparła Gamay. - Niestety nie mógł nam pomóc, ale przypomniał nam sobie, że wspomniała pani o dioramie Nye'a. Moglibyśmy ją zobaczyć?

- Jeśli przyjdziecie państwo jutro, chętnie ją wam pokażę.

- Jutro będziemy w Waszyngtonie - zmartwiła się Gamay. -Może jednak jest jakaś możliwość...

- No cóż, w końcu dzięki hojnemu datkowi jesteście teraz członkami Towarzystwa Dobbsa - odrzekła Rachael. - Chodźmy na dół.

W przestronnej piwnicy pachniało stęchlizną. Rachael poprowadziła ich między starymi rupieciami do szafy sięgającej od podłogi do sufitu. Wyjaśniła, że to hermetyczny klimatyzowany sejf. Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi i ukazały się metalowe półki z opisanymi plastikowymi pudełkami. Na najniższej leżał cylindryczny przedmiot długości około dwóch metrów, zawinięty w plastik.

- To jest diorama Nye'a - powiedziała Rachael. - Niestety jest dość ciężka i pewnie dlatego nikt jej nie wyciąga i nie ogląda.

Paul ukucnął i uniósł jeden koniec cylindra na wysokość paru centymetrów.

- Da się to zrobić - oświadczył.

Przez cały okres studiów pomagał ojcu na kutrze rybackim, a od tamtej pory spędzał wiele godzin w siłowni, żeby zachować dobrą formę, konieczną w jego pracy. Gamay jeszcze bardziej dbała o kondycję i choć ze swoją figurą mogłaby pozować do zdjęć dla

„Vogue'a", była silniejsza od wielu mężczyzn. Troutowie bez trudu dźwignęli pakunek i zanieśli na górę.

Za radą Rachael wzięli cylinder do namiotu, gdzie było dość miejsca, by go rozpakować. Usunęli plastik i rozwiązali sznurki opasujące dioramę. Była zwinięta pustą brązowawoszarą stroną na zewnątrz.

Ostrożnie rozwinęli kawałek.

Ukazała się pierwsza część. Olejny obraz o wymiarach mniej więcej półtora metra na dwa przedstawiał statek wielorybiczny zacumowany w porcie. Pod spodem widniał podpis: „Koniec rejsu".

- To musi być ostatni fragment - powiedziała Rachael. - Pokazuje wyładunek połowu ze statku w New Bedford. Widzicie państwo beczki staczane po pochylni na nabrzeże?

Kolory morza i nieba były jasne, ale inne krzykliwe jak na cyrkowym afiszu. Pociągnięcia pędzlem wyglądały tak, jakby farbę nakładano w pośpiechu. Wykonawca musiał być niedoświadczony, bo nie zachował właściwej perspektywy.

- Orientuje się pani, kto to namalował? - zapytała Gamay. - Technika jest prymitywna, ale artysta miał oko do szczegółów. Widać nawet nazwę statku na kadłubie: „Princess".

- Jest pani bardzo spostrzegawcza - odparła Rachael. - To dzieło Setha Franklina, samouka, który sprzedawał obrazy statków ich kapitanom i właścicielom. Zanim zaczął malować, był stolarzem okrętowym. Wyobrażam sobie, że Nye stał na tle dioramy, kiedy ją stopniowo rozwijano, i snuł swoją opowieść. Dramatyzm potęgowały oświetlenie i może nawet efekty dźwiękowe. Wicie państwo, ktoś ukryty za dioramą krzyczał: „Wieloryb!"

Następna część pokazywała „Princess" okrążającą cypel opisany jako kraniec Afryki. Kolejny fragment przedstawiał statek zakotwiczony na tle wulkanicznej wyspy z bujną roślinnością. Ciemne postacie, które mogły być tubylcami, stały na pokładzie skąpanym w niebieskim blasku. Podpis głosił: „Wyspa Kłopotów - ostatni postój na Pacyfiku". Na kolejnym obrazie była inna wulkaniczna wy-

spa, dużo większa, i kilkanaście statków na kotwicy w jej porcie. Napis informował, że to Pohnpei.

Paul nadal rozwijał dioramę. Kolejne fragmenty pokazywały, jak załoga rozcina kaszalota i wytapia z jego tłuszczu olej. Szczególnie interesujący był białowłosy mężczyzna leżący na pokładzie nad podpisem: „Współczesny Jonasz”.

- Niesamowite! - wykrzyknęła Rachael. - Tak musiał wygląda Caleb Nye po wyciągnięciu go z żołądka wieloryba.

Sztywne płótno dioramy było trudne do trzymania, ale Paul je rozwijał, a Gamay nawijała z powrotem na wałek i wielorybnicza saga szła wstecz.

Fragment przed nimi przedstawiał kaszalota wśród spienionych fal trafionego harpunem z łodzi. Dwie nogi wystawały pomiędzy szczęk walenia. Opis sceny brzmiał: „Caleb Nye połknięty przez wieloryba”. Rachael Dobbs, wyraźnie podekscytowana, zaczęła mówić o zbiorce funduszy na odnowienie dioramy i znalezieniu miejsca na jej rozwieszenie. Paul i Gamay uznali dioramę za fascynującą, lecz mało przydatną. Obejrzel ją aż do ostatniej części, niemal lustrzanego odbicia statku na pierwszym obrazie, tylko wypływającego w rejs. Ten fragment pokazywał tłum ludzi na nabrzeżu i „Princess” pod żaglami. Podpis głosił: „Stawianie żagli”.

Paul wstał, żeby rozprostować nogi, ale Gamay dostrzegła, że jest jeszcze kawałek płótna. Poprosiła męża, żeby kontynuował rozwijanie, spodziewając się zobaczyć jakiś tytułowy obraz. Zamiast tego pojawiła się mapa południowego Pacyfiku. Na oceanie narysowano zakrzywione linie. Towarzyszyły im wielorybie ogony. Przy każdym naniesiono długość i szerokość geograficzną dla oznaczenia pozycji.

- To trasa „Princess” w 1848 roku - powiedziała Rachael. - Te współrzędne wskazują, gdzie schwymano wieloryby. Kapitanowie często ilustrowali swoje dzienniki okrętowe, żeby mieć rejestr do brych łowisk. Mapa dawała publiczności Caleba pojęcie o długości rejsu i pokazywała, gdzie rozegrały się jego przygody.

Opuściła się na czworaki i powiodła palcem po linii łączącej Pohnpei z Wyspą Kłopotów. Obok wyspy była podana jej pozycja.

Troutowie zapisali współrzędne, zrolowali dioramę i zanieśli do kuchni. Mimo protestów Rachael wręczyli jej duży datek na rozpoczęcie przygotowań do rozwieszenia dioramy na ścianie.

Kiedy kustoszka poszła zamknąć muzeum, wyszli do ogrodu.

- Co o tym myślisz? - zapytała Gamay.

- Nie wiem, czy to pomoże znaleźć laboratorium - odrzekł Paul - ale wszystko jakoś się łączy. Teraźniejszość, przeszłość, meduza błękitna i cudowne uzdrowienie załogi „Princess”.

- Nie zapominaj, że ktoś uznał dziennik okrętowy za wystarczająco ważny, by zabić Brimmera. Powinniśmy dać Kurtowi i Joemu znać, co znaleźliśmy.

Paul już trzymał w ręku komórkę i wybierał numer.

39

Jak każdy dobry detektyw, Joe Zavala zaczął poszukiwania Schowka od miejsca przestępstwa. W jednoosobowym pojeździe podwodnym, który pożyczył ze statku NUMA, zanurkował do dna oceanu i przepłynął kilka razy nad okrągłymi wgłębieniami pozostawionymi przez podpory laboratorium. Nie zauważywszy niczego nowego, oddalił się stamtąd i zaczął badać teren dookoła. W pewnej chwili blask szperaczy pojazdu odbił się w kawałku metalu.

Manipulując mechanicznymi ramionami, Zavala podniósł pogięty stalowy przedmiot z dna i obejrzał dokładnie w świetle reflektorów, zanim włożył go do kosza podwieszono pod kadłubem.

- Właśnie znalazłem fragment „Proud Mary” - zawiadomił sterownię statku.

- Jesteś pewien, że to nie fragment laboratorium? - spytał kapitan Campbell.

- Całkowicie. Metal jest pogięty i stopiony jak po uderzeniu pocisku rakietowego. Nie wygląda na część żadnej z konstrukcji,

które widziałem na schematach. To, co tutaj zobaczyłem, pasuje do naszej teorii, że laboratorium uniesiono do góry i gdzieś odnotowano.

- Sprawdziłeś kanion, gdzie zbierali meduzy?

- Tak, jest kilkaset metrów od miejsca, gdzie stał Schowek. Zszedłem na głębokość kilkudziesięciu metrów. Widziałem trochę błękitnych meduz, ale to wszystko. Mógłbym zanurkować głębiej, ale słyszałem, że powtarzanie tych samych bezcelowych czynności to oznaka szaleństwa.

- Więc wynurz się po powietrze - odparł Campbell. - Skontaktujemy się z „Concordem” i zdamy kapitanowi Dixonowi... Zaczekaj, Joe. Ktoś dzwoni do ciebie przez sieć NUMA. Połączę cię.

Po chwili w słuchawkach Zavala zabrzmiał kobiecy głos.

- Jak idą poszukiwania, Joe?

- Cześć, Gamay, miło mi cię słyszeć. Podniosłem z dna kawałek statku wsparcia, ale to wszystko. A co u was?

- Możliwe, że coś mamy - odparła. - Próbowaliśmy się skontaktować z Kurtem, ale nie mogliśmy się dodzwonić, więc wytropiliśmy ciebie pod wodą. Paul i ja zdobyliśmy współrzędne tak zwanej Wyspy Kłopotów. Leży około stu mil morskich od ostatniej pozycji laboratorium. Być może tam załoga „Princess” została cudownie uzdrowiona. Nie wiemy, czy to się wiąże z zaginionym laboratorium, ale może będzie pomocne.

- Przekaż dane kapitanowi - powiedział Zavala - a ja się wynurzę i zajmę tym.

- Jesteśmy w drodze do Waszyngtonu - poinformowała. - Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś od nas potrzebował.

Joe podziękował Gamay i Paulowi, po czym skierował dziób pojazdu ku powierzchni i włączył pędniki. Operator żurawia już czekał, żeby unieść go z morza.

Znalazszy się na pokładzie, Zavala otworzył właz, wydostał się z pojazdu i poszedł na mostek. Kapitan Campbell pochylał się nad stołem nawigacyjnym.

- To jest atol najbliższej pozycji, którą podali mi twoi przyjaciele. - Wskazał punkt na mapie mikronezyjskich wód. - Nie wygląda

na duży i, jak widzisz, leży w czerwonym kwadracie, co oznacza, że został przeszukany wizualnie. Co o tym myślisz? Zawała się zastanowił.

- Chyba muszę porozmawiać z ekspertem - odparł wreszcie.

Kilka minut później miał na linii sekcję nawigacyjną NUMA,

która dostarczała ekspedycjom agencji na całym świecie aktualne informacje nawigacyjne.

- Sprawdźmy, czy dobrze rozumiem - powiedziała specjalistka od map, kobieta o cichym głosie, imieniem Beth. - Szukasz wyspy na Pacyfiku, której już nie ma na mapach, i nie wiesz, czy w ogóle kiedykolwiek istniała.

Joe zachichotał.

- Przepraszam. To jak szukanie nieistniejącej igły w bardzo dużym stogu siana.

- Nie ma sprawy. Lubię wyzwania.

- Jest szansa, że ta wyspa została naniesiona na jakąś mapę brytyjskiej admiralicji?

- To zależy. Mapy admiralicji wyprzedzały swoją epokę pod względem dokładności. A choć wcześniejsze wykonywano prywatnie z mnóstwem błędów, admiralicja zatwierdzała czasem takie, których nie powinna.

- Więc jakaś wyspa może na jednych mapach być, a na innych nie?

- Oczywiście! Dziewiętnastowieczne mapy i atlasy pokazywały ponad dwieście wysp, które nigdy nie istniały.

- Jak to było możliwe?

- Różnie. Na przykład jakiś spragniony widoku lądu marynarz mógł wziąć formację chmur za wyspę i zaznaczyć jej pozycję. Określenie długości i szerokości geograficznej też było problematyczne, więc zdarzało się, że naniesiono istniejącą wyspę w złym miejscu. Oszuści wymyślali wyspy, żeby się szybko wzbogacić. Potem ktoś patrzył na swoją mapę i w miejscu, gdzie powinien być ląd, widział tylko puste morze... No dobra, powiedz mi, co wiesz o tej swojej wyspie.

- Wiem, że istniała - odparł Zawała. - Pewien amerykański statek wielorybniczy zatrzymał się tam w roku 1848. Tej wy-

spy nie ma na żadnej współczesnej mapie, ale dość blisko jest atol.

- Zacznę od znalezienia jakiejś mapy z połowy XIX wieku - powiedziała Beth. - Potem będziesz mógł ją porównać z mapą Pacyfiku o sygnaturze 2683.

- Dlaczego akurat z tą?

- Bo ma najwyższy standard wśród map admiralicji. Brytyjski Urząd Hydrograficzny wiedział, że wiele map admiralicji jest do niczego. Dokładne były sporządzane tylko dla marynarki wojennej i handlowej. W roku 1875 admiralicja ściągnęła głównego hydrografa, niejakiego kapitana Fredericka Evansa, żeby oczyścił wszystkie jej mapy z urojonych wysp. Na samym Pacyfiku usunął ponad setkę. Tę poprawioną mapę oznaczono numerem 2683.

- Więc jest możliwe, że ta wyspa nigdy nie istniała?

- Tak. Ale wyspy potrafią zniknąć. Twoja mogła zatonać po erupcji wulkanu, trzęsieniu ziemi lub powodzi. Historia zna takie przypadki. Najbardziej znany to wyspa Tuanah, która poszła pod wodę razem z mieszkańcami. Ale w archiwach są zarejestrowane inne podobne zdarzenia. Teraz w miejscu twojej wyspy pod powierzchnią może być rafa lub skała i nawet satelita jej nie wykryje. Musiałbyś się przyjrzeć z bliska.

- Od czego zaczniemy?

- Największy zbiór map admiralicji ma Biblioteka Brytyjska. Najpierw poszukam tam, a potem w Brytyjskich Archiwach Państwowych. Jeśli będę musiała sprawdzić w Królewskim Towarzystwie Geograficznym albo w Muzeum Morskim w Greenwich, to może trochę potrwać. Na szczęście większość materiałów jest w Internecie. Na kiedy potrzebujesz tej informacji?

- Na wczoraj - odparł. - Od tego, co znajdziemy, może zależeć ludzkie życie.

- Żartujesz, Joe?

- Chciałbym.

Po chwili milczenia Beth powiedziała:

- Jak już wspomniałam, lubię wyzwania.

Zawała zastanawiał się, czy nie naciska jej za mocno.

- Jesteś zamężna albo zaręczona, Beth? - spytał, próbując poprawić nastrój.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Bo w dowód wdzięczności chciałbym cię zaprosić na kolację.

- O rany! I kto mówi, że nie można poznać wolnego faceta, pracując w dziale kartograficznym? Muszę kończyć. Cześć.

Zavala się rozłączył i poszedł na lądowisko helikoptera NUMA. Śmigłowiec miał pływaki, żeby mógł siadać na wodzie. Joe popatrzył w zamyśleniu na maszynę i wrócił na mostek.

- Chciałbym prosić o jeszcze jedną przysługę - zwrócił się do kapitana.

- Zrobimy, co w naszej mocy, żeby pomóc - zapewnił Campbell.

- Nasza specjalistka od map szuka dla mnie historii atolu, którego współrzędne znaleźli Troutowie. Jeśli wpadnie na jakiś trop, chciałbym go sprawdzić i będzie mi potrzebny helikopter.

- Dopilnuję, żeby był zatankowany i gotowy do lotu.

Zavala podziękował Campbellowi i zszedł do magazynu na

głównym pokładzie. Odsunął na bok tratwę ratunkową i właśnie się zastanawiał, czy będzie mu potrzebny dodatkowy sprzęt, gdy zadzwęczała jego komórka. Dzwoniła Beth.

- Mam ją! - oznajmiła.

- Szybka jesteś.

- Dopisało mi szczęście. Znalazłam to, czego szukałam, w Brytyjskich Archiwach Państwowych. Ich materiały są w bazie danych, skatalogowane chronologicznie. Jaki jest twój adres e-mailowy?

Zavala podał go Beth i zanim się rozłączył, wziął od niej prywatny numer telefonu, żeby móc się z nią umówić na kolację.

W centrum telekomunikacyjnym statku pożyczył laptop. Otworzył swoją pocztę i po chwili na ekranie pojawiła się mapa brytyjskiej admiralicji z 1850 roku. Przyjrzał się jej uważnie, a zwłaszcza punktowi opisanemu jako Wyspa Kłopotów. Potem kliknął myszką i ekran wypełniła mapa Pacyfiku numer 2683.

Umieścił obie mapy obok siebie. Kółka na tej drugiej wskazywały położenie nieistniejących wysp, które usunęli hydrografowie admiralicji. Wyspa Kłopotów nie była zakreślona, ale pozbawiono ją nazwy i oznaczono kropką jako atol. Stała się nim między rokiem 1850 a 1875.

Joe zadzwonił do kolegi z NUMA, który specjalizował się w starych żaglowcach, i dowiedział się od niego, jaką prędkość rejsową mógł rozwinąć załadowany statek wielorybiczny. Potem zaczął odtwarzać w myślach prawdopodobny scenariusz wydarzeń sprzed ponad półtora wieku.

Song Li powiedziała, że zaraza uśmiercała ludzi w ciągu kilku dni od zarażenia. Po opuszczeniu Pohnpei załoga była jeszcze w dobrej formie, więc mogli płynąć z pełną prędkością.

Oznaczył krzyżykiem na mapie punkt na zachód od Pohnpei, gdzie „Princess” byłaby pod koniec pierwszego dnia.

Nazajutrz gorączka zaczęła powalać wielorybników. Stracili trochę czasu. Narysował drugi krzyżyk na hipotetycznej pozycji statku pod koniec drugiego dnia.

Trzeciego dnia na pokładzie panował chaos. Większość marynarzy i oficerów była niezdolna do działania. Statek musiał płynąć jeszcze wolniej. Joe postawił trzeci krzyżyk bliżej drugiego.

Okej, kapitanie Zavała, masz pełną ładownię cennego wielorybiego oleju, twoi oficerowie i marynarze umierają, a ty jesteś chory. Co robisz? Chcę dotrzeć do jakiegoś lądu, odpowiedział sobie w duchu. Ale nie do Pohnpei. To źródło zarazy. Zresztą jest poza zasięgiem.

Połączył komputer z satelitą obserwacyjnym i skoncentrował się na interesującym go atolu. Czy to możliwe, że ten atol bez nazwy był kiedyś wyspą? Beth powiedziała, że po zatopionej wyspie może pozostać atol. Erupcję wulkanu lub trzęsienie ziemi zauważyliby mieszkańcy pobliskich wysp, ale nie było czasu na sprawdzanie źródeł historycznych.

Zrobił kamerą satelity najazd na małą plamkę. Typowy pacyficzny atol: wysepka z kilkoma palmami, wokół niej laguna

otoczona rafą koralową, w większości litą i bez żadnego przesmyku na tyle szerokiego, aby mógł się w nim zmieścić duży okręt podwodny klasy Tajfun z laboratorium na holu. W przezroczystych wodach laguny niczego nie było widać.

Zavala zadzwonił do centrum dowodzenia poszukiwaniami na krążowniku i dostał potwierdzenie, że samoloty przelatywały nad atolem, a okręty podpłynęły do niego, ale uznano, że jest za mały, by go dokładnie badać.

Mimo swoich wątpliwości wciąż wracał do nazwy: Wyspa Kłopotów. Jakich? - zastanawiał się.

Wybrał numer Austina, ale Kurt się nie zgłosił. Musiał sam zdecydować, co robić dalej. Mógł zostać na statku NUMA i kręcić młynka palcami w oczekiwaniu, aż flotylla poszukiwawcza natrafi na żyłę złota, albo włączyć się do poszukiwań ze świadomością, że prawdopodobnie tylko marnuje czas.

Joe nie cierpiał bezczynności. Podniósł słuchawkę interkomu, połączył się z mostkiem i powiedział kapitanowi, że będzie mu potrzebny helikopter.

Członkowie załogi pomogli Joemu przenieść tratwę ratunkową z magazynu do śmigłowca. Wsiadł do kokpitu i chwilę później maszyna uniosła się z lądowiska. Zatoczyła krąg wokół statku i wzięła kurs na północ.

Zavala leciał z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, utrzymując helikopter na wysokości stu pięćdziesięciu metrów. Widziany z góry ocean był mieniącą się w słońcu niebieskozieloną plamą. Joe minął kilka okrętów z flotylli poszukiwawczej, ale większość przeczesywała inne rejony. Osłepiające lśnienie wody sprawiło, że zobaczył atol dopiero w ostatniej chwili.

Przechylił śmigłowiec w skręcie i popatrzył w dół na porośnięty palmami splechetek piasku wielkości chusteczki do nosa. Atol wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu satelitarnym. Zavala upewnił się, że w rafie nie ma żadnego przesmyku, w którym mógłby się zmieścić jakikolwiek statek. Zszedł w dół i posadził helikopter na pływakach kilkadziesiąt metrów od wysepki, usytuowanej nietypowo na jednym krańcu laguny, zamiast pośrodku.

Kiedy rotory przestały się obracać, odpiął pas i wyszedł na jeden z pływaków. Wokół panowała całkowita cisza, tylko fale szemrały przy brzegu. Spojrzał na krystalicznie czystą wodę i zobaczył kraba biegnącego po dnie.

Przyniósł z kokpitu jaskrawopomarańczowy plastikowy pojemnik, w którym mieściła się tratwa. Opuścił go do wody i szarpnął linkę pompowania. Ze zbiornika z dwutlenkiem węgla dobiegł syk i tratwa się napełniła. Zawała wszedł na nią i powiosłował do brzegu.

Wciągnął tratwę na oślepiająco biały piasek i obszedł atol dookoła. Czuł się jak rozbitek na jednej z miniaturowych bezludnych wysepek, które tak lubią rysować autorzy dowcipów obrazkowych.

Tropikalne słońce paliło niemiłosiernie. Schronił się w cieniu rachitycznych palm i rozejrzał, chłonąc wzrokiem piękno atolu o barwach jak z innego świata.

Jeszcze raz okrążył wysepkę po własnych śladach. Niezadowolony z oględzin zmarszczył brwi. Ten splachetek piasku nie mógł być Wyspą Kłopotów. Był atolem od niepamiętnych czasów. Zawała wrócił do tratwy i już miał odpłynąć, gdy dostrzegł, że coś błysnęło pod wierzchołkiem jednej z palm.

Poszedł z powrotem i stanął pod drzewem. Niestety z dołu nie było widać, co odbija światło. Wdrapał się więc po pochyłym pniu do miejsca, z którego wyrastały szerokie liście. Natychmiast znalazł źródło blasku. Słońce odbijało się w obiektywie miniaturowej kamery wideo przymocowanej do pnia.

Przeglądając się obiektywowi, uświadomił sobie, że może być widoczny w kamerze. Zaczął schodzić w dół, ale zatrzymał się w połowie drogi. Drzewo było nienaturalnie gładkie w dotyku. Wyciągnął nóż z pochwy przy pasie i próbował wbić w pień. Ostrze zagłębiło się na zaledwie kilka milimetrów. Zawała oderwał kawałek kory i doznał szoku: pień wydawał się utkany z plastikowego włókna pokrywającego twardy metalowy rdzeń.

Sięgnął w górę i odciął kawałek liścia. Wetknął go między zęby i zagryzł: też plastik. Schował nóż i zeskoczył na piasek. Zrobił kilka kroków w prawo, potem w lewo. Kamera się obracała, podążając za nim.

O cholera!

Popędził przez atol, zepchnął tratwę z piasku i zanurzył wiosło w wodzie. Musiał jak najszybciej dotrzeć do radia w helikopterze. Zerknął przez ramię, pewien, że ścigają go wszystkie piekielne demony. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że nikt nie próbuje go zatrzymać. Jeszcze kilka ruchów wiosłem i będzie przy śmigłowcu.

Nagle stała się przedziwna rzecz. Dno laguny uniosło się i wystrzeliło z wody w postaci długiego lśniącego kopca tuż przed nim. Kopiec się rozciągnął, a od dna laguny oderwała się wielka czarna płetwa, która rosła, aż osiągnęła wysokość ponad dwunastu metrów. Nad głową Zawali górował kiosk ogromnego okrętu podwodnego. Kilka sekund później pokład okrętu dźwignął tratwę w powietrze. W tym samym czasie helikopter powędrował ku niebu, przechylił się i zsunął z zaokrąglonego kadłuba. Gdy uderzył w spienioną wodę, ta wlała się do kokpitu.

Tratwa też spadła do laguny. Joe próbował wdrapać się na pokład okrętu, ale palce ślizgały mu się na gładkim mokrym metalu i prąd zepchnął go z powrotem.

Zakrztusił się słoną wodą, a gdy próbował złapać oddech, poczuł uderzenie w bok głowy. Świat zawirował mu przed oczyma, a potem ogarnęła go ciemność.

40

Kapitan statku wycieczkowego nie wiedział, co sądzić o ludziach, których wyciągnął z kanału w Nan Madol. Ledwo żywa młoda Azjatka wydawała się nieszkodliwa, ale muskularny płetwonurek w dziwacznych surferskich spodenkach wyglądał podejrzanie.

- Co się stało? - spytał, przyglądając się nieufnie Austinowi.

Kurt wskazał skifa, który tonął pod ostrym kątem. Tylko jakieś pół metra podziurawionego pociskami dziobu wystawało nad powierzchnię.

- Nieszczelna łódź - odparł.
- Słyszałem jakieś huki - powiedział kapitan. - Brzmiały jak strzały.

Austin zacisnął mu dłoń na ramieniu.

- Widzi pan tamten worek w wodzie? Jest mój. Możemy go wyłowić?

Mina kapitana wyraźnie sugerowała, że żałuje swojej decyzji, musiał jednak wyczuć, iż nowego pasażera nie należy lekceważyć, podpłynął bowiem bliżej, aby Kurt mógł wychylić się za burtę i odzyskać worek ze sprzętem do nurkowania.

Austin rozpiął suwak worka, wyjął portfel, wyciągnął z niego pięćdziesiątkę i wręczył kapitanowi.

- To za bilety - powiedział i sięgnął po drugi banknot pięćdziesięciodolarowy. - A to za niezadawanie pytań. - Gdy wyjął z portfela trzecią pięćdziesiątkę, otoczył kapitana ramieniem i zniżył głos, żeby nie usłyszeli go inni pasażerowie. - Ile czasu zostało do końca wycieczki?

- Jakież pół godziny - odparł kapitan.

- Byłbym wdzięczny, gdyby skrócił pan ten czas o połowę.

Kapitan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i trzeci banknot trafił do jego kieszeni w ślad za dwoma pierwszymi.

- Nie ma problemu - zapewnił. - Pan sobie usiądzie z tą panią.

Austin i Song Li, ignorując zaciekawione spojrzenia, rozejrzeli

się po pokładzie. Statek miał zadaszenie dla ochrony przed słońcem, ale nie było krzeseł i pasażerowie siedzieli na stosach kapoków. Młoda japońska para w podróży poślubnej zrobiła im miejsce.

Kapitan dotrzymał słowa. Kwadrans po tym, jak Austin i Li wspięli się na pokład, powiedział pasażerom, żeby ostatni raz przyjrzeni się tajemniczym ruinom. Potem usiadł na obudowie jednego z silników zaburtowych, wprowadził oba na wysokie obroty i wkrótce przybił do nabrzeża w Kolonii.

Li poszła do łazienki się odświeżyć, a Kurt udał się do sklepu ze sprzętem do nurkowania. Zwrócił akwalung i zapytał właściciela, ile jest winien za zniszczoną łódź. Kwota była astronomiczna, lecz Austin nie próbował się targować. Wyjął kartę kredytową

NUMA i tylko poprosił o fakturę. Księgowi agencji przyzwyczaili się do jego dziwnych wydatków.

Wypisując fakturę, właściciel łodzi spytał:

- Czy kolega pana znalazł?
- Jaki kolega? - zdziwił się Austin.

- Azjata w pikapie. Nie podał nazwiska. Przyjechał kilka minut po tym, jak pan odpłynął. Powiedziałem mu, że wybrał się pan do ruin.

Kurt podziękował mężczyźnie i poszedł do męskiej toalety przebrać się w suche ubranie. Wrzucił surferskie spodenki do kosza na śmieci i wyjął z worka komórkę. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że telefon działa, sprawdził listę nieodebranych połączeń. Dzwonili do niego Troutowie, a później kapitan „Concorda”. Najpierw oddzwonił do Dixona.

- Mówi Austin - powiedział. - Próbował się pan ze mną skontaktować, ale nie miałem przy sobie telefonu.

- Cieszę się, że pana słyszę, Kurt. Mam złą wiadomość. Joe zniknął. Pożyczył śmigłowiec NUMA ze statku waszej agencji i poleciał obejrzeć pewien atol. Straciliśmy go z radaru.

- Nadał SOS?
- Nie. Cokolwiek się stało, musiało stać się szybko.
- Kiedy może pan przysłać po mnie helikopter?
- Już jest w drodze.

Austin się rozłączył. Chciał zadzwonić do Troutów, ale widząc Li idącą w jego kierunku, schował komórkę, żeby złapać taksówkę.

Nie martwił się zbytnio o przyjaciela. Zawała, czarujący młody Amerykanin meksykańskiego pochodzenia, potrafił sobie radzić nawet w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. W tej chwili Austina bardziej niepokoił fakt, że Czang wie o jego obecności na wyspie. Ktoś go śledził do portu, a to oznaczało, że był inwigilowany od chwili, gdy citation wylądował na Pohnpei.

Dziwne, bo wiedziało o tym tylko kilka zaufanych osób. Najwyraźniej nie docenił triady.

Taksówka zawiozła ich na lotnisko. Gdy czekali na seahawkę, Austin chciał powiedzieć Li o zniknięciu Zawali, ale przerwała mu, zanim dokończył pierwsze zdanie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co znaleźliśmy? - emocjonowała się.

- Tam leczono ludzi toksyną meduzy! To przełomowe odkrycie w dziedzinie immunologii. Dowodzi, że już przed wiekami znano wartość szczepień i leczono w ten sposób choroby. Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tym doktorowi Huangowi.

- Kim jest doktor Huang? - spytał Austin.

- To mój przyjaciel i mentor - wyjaśniła. - Pracuje w Ministerstwie Zdrowia i włączył mnie do projektu „Meduza”.

- Kiedy rozmawiałaś z nim ostatnio?

- Prosił, żebym codziennie informowała go o tym, co robię, więc każdego wieczoru wchodziłam na wieżę ciśnień na Bonefish Key, żeby mieć sygnał, i dzwoniłam do niego.

- Przekazywałaś mu wszystkie szczegóły?

- Tak. Zadzwoiłam też do niego, kiedy się zatrzymaliśmy w Los Angeles, i powiedziałam, że lecimy na Pohnpei.

- Teraz wiem, skąd Czang i jego kumple wiedzieli, że tu jesteśmy.

- Chyba nie myślisz...

- Nasza operacja jest ściśle tajna - przerwał jej Austin. - Tylko kilka osób wiedziało, że tu będziemy. A Czang miał kogoś, kto nas śledził od chwili, kiedy wylądowaliśmy. Dobrze znasz doktora Huanga? Mógłby być informatorem?

- Poznałam go na Harvardzie, a potem pomógł mi znaleźć pracę.

- Pomyślała o bierności Huanga, gdy zsyłano ją na wieś. - Jest błyskotliwy, ale wystarczy najmniejsza groźba, żeby podporządkował się czyjejś woli.

- Na przykład triady.

- Tak - przyznała ze smutkiem. - Ale to moja wina. Uwierzyłam mu jak ostatnia idiotka.

- Nie powinnaś mieć do siebie pretensji - odparł Kurt. - Po prostu wyświadczyłaś przysługę komuś, kogo uważałaś za starego przyjaciela.

Odległy warkot znad laguny oznajmił przylot helikoptera z „Concorda”. Gdy seahawk wylądował, Austin i Li weszli do środka i śmigłowiec znowu wystartował. Lot trwał niecałą godzinę, ale

Kurtowi zdawało się, że upłynęły dni, zanim maszyna usiadła na pokładzie rufowym krążownika.

- Witam na „Concordzie”, doktor Li - odezwał się kapitan Di-xon. - Przedstawiciele chińskiego rządu już od jakiegoś czasu próbują się z panią skontaktować.

- Mieliśmy opóźnienie na Pohnpei - odparła.

- Rozumiem. Powiedziałem im, że jest pani w drodze. Mamy zestaw telekonferencyjny, z którego może pani skorzystać. Oficer telekomunikacyjny zaprowadzi tam panią.

Kiedy Dixon odszedł, żeby wydać rozkaz przez radiotelefon, Li zwróciła się do Austina.

- Będziesz musiał mi wybaczyć, Kurt - powiedziała. - Dziękuję ci za wspaniały dzień.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Może podczas następnej wycieczki do Nan Madol uda nam się spędzić więcej czasu nad powierzchnią.

- To byłoby cudowne. - Uśmiechnęła się.

Oficer telekomunikacyjny zjawił się po kilku minutach i zaprowadził Li na telekonferencję. Kapitan zaproponował Austinowi, że pokaże mu na mapie, gdzie zniknął Zawała. W drodze na mostek powiedział, że samoloty będące w pobliżu przeleciały kilka razy wokół atolu, ale nie zauważyły ani Zawali, ani helikoptera.

- Żadnych szczątków ani plamy oleju? - pytał Kurt.

- Nic - odparł Dixon. - Ale będziemy szukali dalej.

- Dziękuję, kapitanie, lecz nie może pan poświęcić więcej czasu na szukanie Joego - stwierdził Austin. - Naszym najwyższym priorytetem jest laboratorium - Na widok sfrustrowanej miny Di-xona dodał: - Niech pan się o niego nie martwi. Pojawi się, kiedy będzie się go pan najmniej spodziewał.

Studiując lokalizację atolu, zastanawiał się, co przyciągnęło Zawałę do tego małego skrawka lądu, a potem wybrał numer Troutów na swojej komórce. Telefon odebrała Gamay.

- Kurt! Dzięki Bogu, że dzwonisz. Martwiliśmy się o ciebie. Co się działo?

- Mieliśmy w Nan Madol spotkanie z jednym z przywódców triady, facetem nazwiskiem Czang. Okazuje się, że triada ma informatora. Li i ja jesteśmy już z powrotem na „Concordzie”, ale teraz z kolei Joe przepadł. Pożyczył helikopter i poleciał obejrzeć pewien atol, a tam ślad po nim zaginął.

- Podaliśmy mu współrzędne tego atolu - wyjaśniła Gamay. - Leży mniej więcej tam, gdzie była Wyspa Kłopotów, na której sto pięćdziesiąt lat temu zatrzymał się statek wielorybiczny kapitana Dobbsa.

- Znaleźliście dziennik okrętowy? - spytał Austin.

- Niestety nie - odparła. - Nie ty jeden odkryłeś, że triada ma długie ręce. Skontaktowaliśmy się z pewnym antykwariuszem, który twierdził, że ma trop prowadzący do dziennika, ale ktoś go zabił i próbował załatwić nas. Ledwo uszliśmy z życiem.

Austin odetchnął z ulgą.

- Na szczęście. Choć jednego nie rozumiem. Skoro nie znaleźliście dziennika okrętowego, to skąd mieliście informację o atolu?

Gamay opowiedziała mu o tropie Perlmuttera prowadzącym do Caleba Nye'a, o wizycie w rezydencji Dobbsa i w sklepie Brimmera, i o znalezieniu zwłok antykwariusza w starej fabryce. Austin cały się gotował, słuchając o zabójstwie Brimmera i próbie wciągnięcia Troutów w zasadzkę. Nawet bez doktora Huanga ogromna organizacja przestępcza zdawała się mieć oczy i uszy niemalże wszędzie. Poprosił o współrzędne geograficzne z dioramy Nye'a i powiedział, że sprawdzi je natychmiast.

- Co mamy robić w międzyczasie? - spytała Gamay.

- Zadzwońcie do Sandeckera i wprowadźcie go w sprawę - odparł. - Odezwe się do was, jak będę wiedział *coś* więcej.

Zakończył rozmowę, usiadł przed komputerem i wywołał obraz satelitarny miejsca o współrzędnych z dioramy Nye'a. Dziewiętnastowieczna nawigacja nie była precyzyjna i położenie atolu, który Kurt zobaczył na monitorze, nie zgadzało się z lokalizacją na mapie.

Ale odczyt radarowy lotu Zavali wskazywał, że Joe kierował się prosto na atol. Austin zrobił najazd na maleńką plamkę. Na

ekranie pojawił się porośnięty palmami spłachetek piasku otoczony rafą koralową. Nic niezwykłego, z wyjątkiem ciemnej smugi nieopodal jednego brzegu laguny. Kurt rozważył w myślach możliwości: ławica ryb, koralowce, podmorska roślinność, cienie... Nic nie pasowało. Obejrzał wcześniejsze zdjęcia wysepki: smuga była wtedy większa. Cofał się w czasie godzina za godziną.

W końcu zobaczył, że smuga zniknęła. Cofnął się jeszcze trochę i nagle się zatrzymał. Miejsce smugi zajął obiekt w kształcie cygara. Sterczący z niego kiosk pozwalał rozpoznać okręt podwodny. Austin powiększył obraz i szybko poszukał w Internecie okrętu podwodnego klasy Akula. Znalazł kilka zdjęć, wybrał jedno z kioskiem mniej więcej w tej samej pozycji i umieścił obie fotografie obok siebie. Okręty były identyczne.

Z rosnącym podnieceniem cofnął się jeszcze dalej w czasie. W lagunie nie było okrętu podwodnego ani nawet czarnej smugi, dostrzegł natomiast ciemny punkt, który po powiększeniu nabrał charakterystycznych konturów helikoptera. Zaczynając od tego zdjęcia, szybko przewiął wszystkie do przodu jak obrazy w kinematografie: pusta laguna, helikopter, okręt podwodny, brak helikoptera i wreszcie czarna smuga, stopniowo coraz krótsza.

- Dziękuję ci, Calebie Nye - powiedział na głos.

Dixon, który pochylał się nad jego ramieniem i wpatrywał z uwagą w monitor, zapytał:

- Kto to taki?

- Dziewiętnastowieczny wielorybnik, który właśnie pomógł mi znaleźć Joego.

Austin wyświetlił serię zdjęć satelitarnych.

- A niech mnie - skomentował kapitan. - Chyba rzeczywiście coś pan znalazł.

- Musimy się przyjrzeć temu z bliska. Będzie mi potrzebna pańska pomoc.

Dixon sięgnął po mikrofon okrętowego radiowęzła.

- Wszyscy oficerowie stawiają się natychmiast w mesie oficerskiej - zakomunikował.

Pięć minut później Austin był w mesie i pokazywał serię zdjęć satelitarnych oficerom krążownika. Szef artylerii zaproponował, żeby otoczyć atol wszystkimi okrętami flotylli i dokonać inwazji.

Kurt pokręcił głową.

- Moim zdaniem to nie wchodzi w rachubę. Mamy za mało informacji, żeby przeprowadzić atak. Jeden błąd mógłby spowodować masakrę naukowców w laboratorium.

Artylerzyście nie spodobało się odrzucenie jego pomysłu.

- Kto tu podejmuje decyzje, kapitanie? - zapytał. - Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych czy NUMA? Laboratorium jest własnością marynarki.

- To prawda - przyznał Dixon - ale dostałem rozkaz, żeby pozwolić NUMA kierować operacją.

- Nie chodzi mi o kompetencje - odparł oficer. - To kwestia siły ognia. O ile mi wiadomo, NUMA jest organizacją naukową.

- Wspomożemy ją najlepiej, jak zdołamy - rzekł Dixon. Zaczynał się irytować.

Kłótnia o strategię była ostatnią rzeczą, jakiej chciał Austin. Wtrącił się, żeby pomóc szefowi artylerii zachować twarz.

- Pański oficer ma rację co do siły ognia, kapitanie. Co pan na to, żeby rozmieścić kilka okrętów w zasięgu głosu? Moglibyście przyjść mi na ratunek, gdybym wpadł w tarapaty.

- Oczywiście - zgodził się Dixon. - Kilka zajęłoby pozycje w pobliżu, a reszta byłaby w pogotowiu na wypadek, gdyby musiały się włączyć.

- Zdam się na waszą ocenę - powiedział Austin. - Moim celem jest dostanie się do laguny niepostrzeżenie. Na co według was mogę się natknąć?

- Musimy założyć, że atol jest strzeżony przez system sensorów - odparł Dixon. - Noktowizory i radar stanowią pewien problem, ale najbardziej niepokoją mnie detektory termiczne.

- Jest jakiś sposób na ich ominięcie?

- Nisko lecący helikopter może się wtopić w zakłócenia radiolokacyjne na ekranie radaru powodowane przez morze. Szybko wykonany desant mógłby się udać.

Austin nie potrzebował dalszej zachęty.

- Załatwione - odparł. - Kiedy możemy zaczynać?

Kapitan popatrzył na swoich oficerów, żeby dać im ostatnią możliwość zabrania głosu.

- Panowie? - spytał.

Nikt się nie odezwał, więc Dixon sięgnął po słuchawkę, żeby wydać rozkazy. Ale Kurt już pobiegł do drzwi.

Kiedy Austin omawiał strategię z Dixonem i jego ludźmi, Song Li siedziała przy stole w innej części okrętu i patrzyła na pusty ekran.

- Proszę mówić do kamery normalnym tonem, tak jakby pani gawędziła z przyjaciółką - poinstruował ją oficer telekomunikacyjny. - Transmisja powinna się zacząć lada moment.

Li przypięła miniaturowy mikrofon do kołnierzyka i poprawiła włosy. Oficer poinformował innych uczestników telekonferencji, że wszystko jest gotowe, po czym zostawił ją samą w kabinie.

Na chwilę obraz się zamazał, a potem na ekranie pojawiło się sześć osób siedzących przy drewnianym stole w pokoju wyłożonym ciemną boazerią. Li rozpoznała dwóch pracowników Ministerstwa Zdrowia, ale resztę widziała pierwszy raz. Siwy mężczyzna w zielonkawobrazowym mundurze Armii Ludowo-Wyzwoleńczej zapytał ją, czy go widzi i słyszy.

Kiedy potwierdziła, powiedział:

- Doskonale, doktor Li. Dziękuję za to spotkanie. Jestem pułkownik Ming. Ponieważ mamy mało czasu, daruję sobie prezentacje i od razu przejdę do rzeczy. Ten komitet stanowi odpowiednik podobnej grupy w Stanach Zjednoczonych, z którą współpracujemy. Poproszono mnie, żebym był jego rzecznikiem, ponieważ armia jest na pierwszej linii w walce z epidemią.

- Nie śledziłam rozwoju sytuacji - odparła - więc wiem tylko tyle, że objęto kwarantanną rejon, w którym wystąpiły zachorowania.

- Zgadza się - potwierdził Ming. - Armia przez jakiś czas powstrzymywała epidemię, ale nie jesteśmy odpowiednio wyposażeni do walki z tym przeciwnikiem. Wirus zwycięża.

- Jak źle to wygląda, pułkowniku?

Ming najwyraźniej spodziewał się tego pytania, bo w górnym lewym rogu ekranu pojawiła się mapa północnych prowincji Chin. Czerwone punkty były zgrupowane wokół jednej wioski, poza tym terenem widniało zaledwie kilka kropek.

- Ta mapa obrazuje zasięg choroby przed kwarantanną - wyjaśnił.

Na ekranie ukazała się kolejna mapa. Punkty były skoncentrowane w jednym rejonie, ale pojedyncze kropki widniały w sąsiednich miastach.

- To również sytuacja sprzed kwarantanny? - spytała Li.

- Niestety nie - odparł Ming. - Mimo wprowadzenia kwarantanny wirus wydostał się poza objęty nią obszar. Proszę zobaczyć następne mapy.

Mapy wyświetlały się na ekranie jedna za drugą. Czerwone punkty zajmowały coraz większą część terytorium Chin, rozprzestrzeniając się jak komórki rakowe. Niepokojące były obecność wirusa blisko Pekinu na północnym wschodzie oraz posuwanie się choroby w kierunku Szanghaju wzdłuż południowo-wschodniego wybrzeża, Hongkongu na południu i dużego miasta Czungcing na zachodzie.

- Jaki okres obejmują te projekcje? - zapytała Li. W gardle tak jej zaschło, że ledwo mogła wydobyć z siebie głos.

- Jednego tygodnia - odparł Ming. - Ministerstwo Zdrowia przewiduje, że tempo rozprzestrzeniania się wirusa będzie rosło. Choroba zaatakuje najpierw Pekin, a do innych wielkich miast dotrze niecałe dwa tygodnie później. Wie pani lepiej niż ja, co to oznacza.

- Owszem, pułkowniku - przytaknęła. - Używając terminologii wojskowej, to będzie jak podpalenie lontów biegnących do wielu składów amunicji. A od iskier rozrzuconych przez te eksplozje zajmą się inne lonty na całym świecie.

Ming uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu.

- O ile wiem, zajmowała się pani planowaniem działań w wypadku tego najgorszego scenariusza.

- Zgadza się, pułkownik. Przygotowałam plany produkcji szczepionki i jej rozprowadzania. To coś jak opracowywanie strategii przed bitwą.

- Proszę mi opowiedzieć o pracach nad szczepionką w zaginionym laboratorium.

- Z tego, co wiem, brakowało bardzo niewiele do wysyntetyzowania jej z toksyny.

- To dobra wiadomość - stwierdził Ming.

- Owszem - przyznała Li. - Ale problemem było nie tylko wyizolowanie związku chemicznego, który mógłby zabić wirusa, lecz także szybka produkcja szczepionki do jego zwalczania. Stara metoda z wykorzystaniem kurzych jaj jest wolna i niewygodna: potrzebne byłyby miliony jaj i produkcja trwałaby całe tygodnie. Pozostawała też kwestia mutacji wirusa, wymagających ciągłego dostosowywania szczepionki do różnych odmian grypy. Ze szczepionek hodowanych w komórkach zwierzęcych albo ludzkich można otrzymać trzysta milionów dawek rocznie.

- Cała populacja mogłaby zginąć w krótszym czasie - zauważył Ming.

- Otóż to, i właśnie dlatego laboratorium szukało rozwiązania w inżynierii genetycznej. Nie wytwarza się samej szczepionki, tylko molekułę, która powoduje identyczny efekt.

- I jakie były wyniki tych badań?

- Nie wiem. Laboratorium przeniesiono w inne miejsce i nie zostałam dopuszczona do ostatniego etapu.

- A doktor Kane wiedziałby, co należy zrobić?

- Być może, chociaż nie znałby wyników ostatnich testów, bo przecież opuścił laboratorium.

- Więc nawet jeśli znajdziemy laboratorium i zaczniemy produkować szczepionkę, może być za późno?

- Niestety tak.

Pułkownik Ming odwrócił się do pozostałych zebranych.

- Są jakieś pytania? Nie? W takim razie bardzo dziękuję za poświęcenie nam czasu, doktor Li. Będziemy się z panią kontaktowali.

Obraz zniknął z ekranu. Song Li nie chciała zostać sama ze swoimi ponurymi myślami. Potrzebowała duchowego wsparcia. Wyszła na pokład i rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu Kurta Austina. Nigdzie go nie dostrzegła, więc wspięła się na mostek i zapytała Dixona, czy wie, gdzie jest.

- Witam, doktor Li - powiedział kapitan. - Kurt nie chciał przerywać pani spotkania. Prosił, abym pani przekazał, że wasza kolacja zostaje odłożona, bo on musi opuścić okręt.

- Jak to? Dokąd się wybrał?

Dixon podszedł do mapy i postukał palcem wskazującym w środek oceanu.

- W tej chwili powinien być mniej więcej tutaj.

41

Obudź się, *towariszcz!*

Joe Zavala znajdował się tuż poniżej stanu świadomości, ale był wystarczająco przytomny, by poczuć, że zimna ciecz wlewana do jego ust smakuje jak płyn do chłodnic. Wypluł to świństwo, a słysząc wybuch śmiechu, który wywołała ta odruchowa reakcja, całkowicie się ocknął.

Brodaty mężczyzna pochylający się nad nim szczyrzył złote zęby w szerokim uśmiechu. Gdy znów przechylił butelkę z ohydny płynem, Joe wyrzucił rękę do góry i zacisnął palce na jego grubym nadgarstku.

W niebieskich oczach mężczyzny pojawił się wyraz zaskoczenia błyskawicznym ruchem Zavali, ale czternastokaratowy uśmiech szybko powrócił.

- Nie lubisz naszej wódki? - zapytał. - No tak, zapomniałem. Amerykanie piją whisky.

Zavala rozwarł palce. Brodacz cofnął flaszkę, pociągnął z niej łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

- To nie trucizna - powiedział. - Co mogę ci dać?

- Nic - odparł Joe. - Ale możesz pomóc mi usiąść. Mężczyzna odstawił butelkę i pomógł mu usiąść na brzegu koi.

Zavala rozejrzył się po ciasnym pomieszczeniu.

- Gdzie ja jestem? - zapytał.

- Gdzie jesteś?

Brodacz odwrócił się i w języku, który Joe rozpoznał jako rosyjski, powiedział coś do trzech innych brodatych mężczyzn stłoczonych w ciasnej przestrzeni. Ryknęli śmiechem i energicznie pokiwali kudłatymi głowami.

- Co ich tak ubawiło? - zainteresował się Zavala.

- Powtórzyłem im twoje pytanie i powiedziałem, co ci odpowiem, a mianowicie, że jesteś w piekle.

Joe zdobył się na uśmiech i wyciągnął rękę.

- W takim razie - oznajmił - napiję się wódki.

Mężczyzna podał mu butelkę i Zavala wziął solidny łyk. Palący alkohol spłynął mu do gardła, ale niewiele to pomogło na ból głowy. Dotknął jej i wyczuł bandaż owinięty dookoła jak turban. Wciąż miał siniaki po przygodzie w B3.

- Krwawiłeś - wyjaśnił brodac. - Tylko tyle mogliśmy zrobić.

- Dzięki za pierwszą pomoc. Kim jesteście?

- Kapitan Miechdiew - przedstawił się Rosjanin - a to moi oficerowie. Jesteś na atomowym okręcie podwodnym klasy Akula, największym na świecie, nazywanym przez Amerykanów projektem „941 Tajfun”. Dowodzę nim.

- Miło mi cię poznać. - Zavala uściskał wyciągniętą dłoń kapitana. - Ja nazywam się Joe Zavala i jestem z amerykańskiej Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Pewnie o niej słyszałeś.

Miechdiew sięgnął do kieszeni wiatrówki i wyjął zalaminowaną legitymację służbową Zavali.

- Każdy marynarz słyszał o NUMA - odparł. - Wasze statki są znane na całym świecie.

Joe wziął od Rosjanina swoją legitymację i włożył do kieszeni koszuli. Potem chwycił koc z koi, owinał się nim, żeby wchłonął

wilgoć z jego ubrania, i pociągnawszy następny łyk wódki, oddał butelkę kapitanowi. Jeden z oficerów podszedł do umywalki i nalał mu szklanke wody. Zawała popił wódkę, odstawił szklanke i dotknął bandaża na głowie.

- Bez obrazy, kapitanie - powiedział - ale powinieneś bardziej uważać przy prowadzeniu swojego okrętu. Wynurzyłeś się dokładnie nie pode mną i moim helikopterem.

Miechdiew przetłumaczył jego słowa swoim oficerom, co wywołało kolejny wybuch śmiechu, ale kiedy odwrócił się z powrotem do Zawali, miał poważną minę.

- Przepraszam - rzekł. - Dostałem rozkaz wyjścia na powierzchnię i zabrania cię na pokład, a nawet dla kogoś z moim doświadczeniem precyzyjne manewrowanie okrętem o długości stu osiemdziesięciu metrów jest trudne. Przykro mi, że straciłeś helikopter.

- Kto kazał wam mnie uwięzić?

W łagodnych oczach Miechdiewa błysnął gniew.

- Ci sami bandyci, którzy porwali mój okręt i uwięzili mnie i moją załogę.

Opowiedział Zawali swoją historię. Był podwodniakiem weteranem, wiele lat służył na tajfunie. Gdy przeszedł w stan spoczynku, biuro projektowe Rubin, które skonstruowało okręt, wpadło na pomysł, żeby rozbrojone tajfuny wykorzystywać do transportu towarów pod Oceanem Arktycznym. Wyrzutnie pocisków zastąpiło ładowniami dla piętnastu tysięcy ton frachtu. Jakaś firma kupiła okręt i Miechdiew miał go dostarczyć nabywcy.

Załoga liczyła około siedemdziesięciu ludzi - zaledwie połowę normalnego stanu - ale ponieważ nie byli potrzebni specjaliści od uzbrojenia, tylu w zupełności wystarczyło do wykonania zadania. Obiecano im wysokie wynagrodzenie.

Gdy okręt wynurzył się w umówionym miejscu, czekał na niego chiński frachtowiec z uzbrojonymi ludźmi na pokładzie. Opanowali tajfuna i kazali Miechdiewowi płynąć na Pacyfik. Tam wystrzelili pocisk samosterujący, niszcząc jakiś okręt nawodny, a potem tajfun zabrał laboratorium z dna oceanu.

- Gdzie jest teraz laboratorium? - spytał Zavalą.
- Miechdiew wycelował palec wskazujący w dół.
- Około stu metrów pod naszym kadłubem. Kiedyś była tu wyspa. Ale wiele lat temu nastąpiła erupcja wulkanu, który się zapadł, i pozostała kaldera. Na obrzeżu wyrosły koralowce i powstała rafa, na którą się natknąłeś.
 - Jak się przez nią przebiliście?
 - Nie musieliśmy się przebijać. Po prostu przepłynęliśmy pod nią. W czasie II wojny światowej Japończycy zrobili tunel w kalderze przy użyciu materiałów wybuchowych, bo chcieli wykorzystać to miejsce jako bazę dla niemieckich okrętów podwodnych. Planowali, że gdy amerykańska flota minie atol, okręty wynurzą się za nią i ją zatopią. Sprytny plan. Ale alianci zbombardowali niemieckie stocznie, w których budowano okręty podwodne, a potem wojna się skończyła. - Miechdiew spojrzął na Zavalę i spytał: - Co wiesz o tym laboratorium? Musi być ważne.
 - Bardzo ważne - potwierdził Joe. - Szukają go okręty i samoloty Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Przelatywałem nad laguną. Woda jest przejrzysta jak kryształ. Dlaczego was nie widziałem?
 - Byliśmy pod siatką maskującą rozciągniętą w lagunie. Wy, Amerykanie, nazywacie to tradycyjnym rozwiązaniem technicznym.
 - A co z wysepką, na której wylądowałem?
 - To już najnowocześniejsza technika. Sztuczna platforma na pływakach utrzymywana w miejscu przez układ napędowy połączony z samokorygującym systemem nawigacyjnym. Jest na niej stanowisko obserwacyjne do wykrywania intruzów. Zostałeś zauważony na długo przed lądowaniem.
 - Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żeby stworzyć taką pułapkę.
 - Podejrzewam, że ludzie stojący za tym wszystkim wykorzystują ten atol do transpacyficznego przemytu.
- Walenie w drzwi przerwało im rozmowę. Po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do kabiny wszedł Azjata z pistoletem maszy-

nowym. Towarzyszył mu Phelps, który uśmiechnął się krzywo do Zavali i zagadnął:

- Cześć, żołnierzu. Jesteś kawał drogi od domu.

- Mógłbym powiedzieć to samo o tobie.

- Owszem, mógłbyś. Widzę, że zaprzyjaźniłeś się z kapitanem i jego załogą.

- Kapitan Miechdiew bardzo hojnie dzieli się zawartością swojego barku.

- Szkoda, że to już koniec imprezy. Kapitan i jego chłopcy mają robotę.

Miechdiew zrozumiał aluzję i kazał swoim oficerom wyjść z kabiny. Phelps polecił Azjacie zaprowadzić Rosjan na ich stanowiska, a potem przysunął sobie krzesło, usiadł i położył nogi na małym stoliku.

- Jak znalazłeś naszą małą kryjówkę? - spytał Zavalę.

- Przez przypadek - odparł Joe.

- Wątpię. Następne pytanie. Czy jeszcze ktoś wie o tym miejscu?

- Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. Ty i twoi kołesie możecie się spodziewać lada chwila wizyty lotniskowca.

- Czyżby? - parsknął Phelps. - Gdyby marynarka o nas wiedziała, wokół atolu już by się roilo od okrętów i samolotów. Kamera na wyspie wysłała zdjęcie twojej pięknej buźki prosto do mojego szefa, Czanga. To on kazał Miechdiewowi cię zgarnąć mimo ryzyka wykrycia. Wpakowałeś się w poważne tarapaty, Joe.

Joe się uśmiechnął.

- To tylko tak wygląda - odparł.

Phelps pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Co oni dają wam do picia w tej NUMA? - spytał. - Byczą krew?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział Zavala. - A teraz ja mam pytanie do ciebie: dlaczego dałeś nam kluczyk do kajdanków i zwróciłeś Kurtowi broń po naszej utarczce z twoją szefową?

Phelps zdjął nogi z blatu i przysunął się bliżej.

- Mam trójkę szefów - oznajmił. - Czang kieruje brutalnymi akcjami. Jego brat Wen Lo zajmuje się biznesem. Ale to hologram,

który widzieliście w Wirginii, jest na samej górze. Nie wiem, czy to on, czy ona.

- Jak to?

- Czasami przedstawia mężczyznę, a czasami kobietę.

- Po co te hologramy?

- Oni nie ufają nikomu, nawet sobie nawzajem. I są stuknięci, ale to już wiesz.

- Nie trzeba być geniuszem, żeby się zorientować, że mają nierówno pod sufitem. Jak się spiknąłeś z tą bandą szaleńców?

- Jestem byłym komandosem SEAL - wyjaśnił Phelps. - A oni, stuknięci czy nie, płacą o wiele lepiej niż nasza marynarka wojenna. Zamierzałem się wycofać po tej robocie - powiedział i dodał ciszej: - Jak już mówiłem, mam rodzinę w kraju. Naprawdę sądzisz, że wirus stworzony przez triadę zaatakuje Stany?

- Tak, to tylko kwestia czasu. Bardzo krótkiego.

- Cholera, Joe, musimy temu zapobiec.

- My? - prychnął Zawała. - Ja niewiele mogę zdziałać w obecnej sytuacji.

- Zamierzam ją zmienić i wiem, jak to zrobić. Ale będę potrzebował twojej pomocy.

Zadzwieczyła komórka Phelpsa. Odebrał, słuchał przez chwilę, powiedział „w porządku” i się rozłączył. Kazał Zawałi się nie ruszać i wyszedł z kabiny.

Joe rozważył ich rozmowę. Phelps był wynajętym cynglem, typem, którego normalnie nie wybrałby na sojusznika. Ale przecież mieli wspólny cel.

Wstał z koi i kilka razy obszedłabinę. Zatrzymał się przy umywalce, ochlapał twarz wodą i znów trochę pochodził. Czuł się prawie normalnie, gdy wrócił Phelps.

Był w neoprenowym „mokrym” skafandrze, trzymał duży worek marynarski i miał wyraz niepokoju w oczach.

- Musimy odłożyć naszą rozmowę - oznajmił. - To Czang dzwonił.

- Co się dzieje? - spytał Zawała.

- Nastąpiły pewne komplikacje. Masz ochotę popływać?

- A mam jakiś wybór?
- Nie - odparł Phelps i wręczył Joemu worek. Zawała ocenił jego ciężar.

- To część tych komplikacji? - spytał. Phelps skinął głową.

Kazał Zawali się przebrać i zostawił go samego w kabinie. Joe otworzył worek i znalazł w nim „mokry” skafander. Zdjął wilgotne ubranie, wciągnął na siebie górę i dół pianki, otworzył drzwi i wyszedł.

Phelps czekał przed kabiną z dwoma mężczyznami również w strojach płetwonurków. Skinął na Zawałę, żeby szedł za nim, i ruszył przez przypominające labirynt wnętrze ogromnego okrętu podwodnego. Minęli kilku członków załogi, którzy popatrzyli na Phelpsa spode łba. Gdy dwaj strażnicy się odłączyli, wszedł do przedziału w śródkręciu.

- Komora ewakuacyjna - powiedział, wskazując właz nad ich głowami. - Z drugiej, po przeciwnej stronie kiosku, skorzystają nasze dwa psy stróżujące.

Otworzył schowek w przegrodzie i wyjął dwa kompletne akwalungi z maskami wyposażonymi w bezprzewodowe urządzenia telekomunikacyjne. Kiedy byli gotowi, wspiał się po drabince do cylindrycznej komory. Zawała szedł za nim, poruszając się wolno w ciężkim sprzęcie.

W ciasnej komorze ledwo mieściło się dwóch ludzi w pełnym ekwipunku płetwonurka. Phelps zamknął przełącznikiem dno i do środka zaczęła wlewać się woda. Kiedy wypełniła komorę, otworzył właz nad ich głowami.

Wpuścił powietrze do kamizelki ratunkowej i uniósł się w górę szybu ewakuacyjnego. Zawała ruszył za nim. Wyłonili się z okrętu u podstawy wysokiego kiosku. Dwaj strażnicy już na nich czekali, uzbrojeni w kusze gazowe. Joe wsunął stopy w płetwy i się rozejrzał.

Zielonkawe światło przenikające przez siatkę maskującą rzuciło widmowy blask na czarny kadłub. Zawała widział kiedyś tajfuną w porcie i choć wtedy większa część kadłuba była zanurzona,

potężne rozmiary okrętu zrobiły na nim wrażenie. Teraz po raz pierwszy mógł podziwiać go w całości.

Usłyszał w słuchawkach dźwięk przypominający kwakanie. Gdy odwrócił wzrok od okrętu i spojrzął na Phelpsa, ten powiedział:

- Wystarczy tego oglądania, Joe. Za mną. To nurkowanie techniczne. Ponad dziewięćdziesiąt metrów, ale masz w butli trimiks, więc nic ci się nie stanie.

Włączył wodoszczelną lampę i kilkoma wprawnymi ruchami nóg oddalił się od okrętu, po czym skierował w dół. Zawała poszedł w jego ślady, a dwaj strażnicy podążyli za nim.

Płynęli w stronę skupiska lśniących bursztynowych świateł. Gdy zeszli niżej, Joe zobaczył, że to reflektory na zewnątrz czterech wielkich kul połączonych rurami. Natychmiast rozpoznał laboratorium ze schematów, które oglądał.

- Schowek! - wykrzyknął.

- Niezły widok, co? - rzekł Phelps.

Zawała dostrzegł jeszcze coś. W cieniach tuż poza zasięgiem szperaczy laboratorium poruszały się wolno świecące na niebiesko kształty.

- Czy to meduzy? - spytał.

- Tak - potwierdził Phelps. - Lepiej trzymać się od nich z daleka. Kąsają. Zwiedzanie okolicy odłożymy na później. Mamy zaledwie kilka minut. Tylko my dysponujemy sprzętem telekomunikacyjnym, więc nie przejmuj się facetami za sobą. Chciałem cię zatrzymać na okręcie, żebyśmy mogli opracować jakiś plan, ale Czang twierdzi, że jesteś mu potrzebny w laboratorium. Nie powiedział mi do czego, ale jedno jest pewne: nie wyda dla ciebie przyjęcia powitalnego.

- Nie liczyłem na to - odparł Zawała. - Może rzuciłbyś mi linę ratunkową?

- Postaram się. Dam ci znać, jak wykonam jakiś ruch. A na razie bądź grzeczny i nie prowokuj tych facetów z kuszami, bo jeszcze zrobią sobie z ciebie tarczę strzelniczą.

Byli nad półkulistą budowlą pośrodku kompleksu. Joe pamiętał, że to moduł przejściowy, w którym ulokowano służę po-

wietrzną dla wahadłowca. Phelps wpłynął pod moduł, minął cztery minilodzie podwodne przyczepione do spodu niczym karmione szczeniaki i wzniosł się do szybu wychodzącego na okrągły basen pośrodku kolistej komory.

Joe dołączył do niego, a strażnicy wynurzyli się chwilę później i zdjęli maski, odsłaniając twarze o azjatyckich rysach. Wszyscy czterej wyszli po drabinie z basenu i powiesili akwalungi na hakach w ścianie. Strażnicy odłożyli kusze na bok i wyjęli ze swoich wodoszczelnych plecaków pistolety maszynowe.

Phelps nacisnął przycisk, a gdy drzwi się odsunęły, ruszył korytarzem w kształcie rury ku następnym, które prowadziły do małego pomieszczenia. Kazał strażnikom zaczekać w przejściu i wszedł z Zavalą do środka.

Połowa jednej ściany była szklana, co umożliwiała obserwację wnętrza laboratorium. Pracowało tam kilka osób w białych kombinazonach ochronnych. Spojrzeli w górę, kiedy Phelps zastukał w szybę, po czym wrócili do swoich zajęć. Tylko Lois Mitchell pomachała gościom i zniknęła za drzwiami z napisem „Odkazanie”.

Gdy po chwili stamtąd wyszła, była w fartuchu laboratoryjnym i luźnych spodniach. Kruczoczarne włosy miała wilgotne po prysznicu odkażającym. Mimo kłopotliwego położenia Zavalę zasygnalizował uznanie dla jej nieprzeciętnej urody lekkim uśmiechem. Zauważyła to i kąciki jej ust się uniosły.

- Ja pana znam - powiedziała.

Szybko przebiegł w myślach setki kobiet, z którymi się spotykał w ciągu ostatnich lat, ale tej jakoś sobie nie przypominał.

- Skąd? - zapytał ostrożnie.

Lois się roześmiała.

- Z telewizji. Pan jest tym inżynierem z NUMA, który nurkował z doktorem Kane'em w batysferze. - Zmarszczyła brwi. - Co pan tu, na Boga, robi?

- Mógłbym panią zapytać o to samo - odparł.

- Doktor Mitchell - wtrącił się Phelps - przedstawiam pani Joego Zavalę z NUMA.

- Lois - poprawiła i wyciągnęła rękę do Zawali.

- Przykro mi, że muszę państwu przerwać - powiedział Phelps - ale niestety czas nas nagli. Mój szef jest w drodze. Przypuszczam, że chce skontrolować postęp prac nad projektem.

- Chce wziąć szczepionkę - odparła Mitchell. Phelps zmrużył oczy.
- Jak to?

- Kiedy pana nie było, pochwaliłam się jednemu z ludzi, którym kazał pan śledzić każdy mój krok, że wysyntetyzowaliśmy szczepionkę. - Odwróciła się i wskazała szklaną przegrodę. - To nasza pracownia fermentacji, hodowli komórek i analiz. Pański szef będzie mógł zabrać hodowlę szczepionki i niezwłocznie uruchomić produkcję.

- To niedobrze - mruknął Phelps.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lois. - Przecież produkcja szczepionki, która uchroni świat przed epidemią, była celem tego projektu.

Phelps pokręcił głową i spojrzał na Zawalę.

- Ty jej to wyjaśnij - poprosił.

- Kiedy dostaną szczepionkę - zaczął Joe - pozwolą, żeby epidemia trwała, dopóki nie obalą swojego rządu. Dopiero potem zaoferują lek reszcie świata. Płać albo giń. Pani i wasze laboratorium jesteście spisani na straty.

Krew odpłynęła z już i tak bladej twarzy Lois Mitchell.

- Co ja najlepszego zrobiłam - jęknęła.

- Liczy się to, co pani robi - odparł Phelps i w tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

Otworzył, chwilę słuchał jednego ze strażników, który szeptał mu coś do ucha, i cofnął się do środka.

- A co mogę zrobić? - spytała Lois.

- Cokolwiek to będzie, lepiej się pośpieszmy - odrzekł Phelps. - Czang już wystartował z Pohnpei i leci na okręt.

Zawali jeszcze się kręciło w głowie po uderzeniu w stuosiemdziesięciotrzymetrowego tajfuna i podejrzliwie odnosił się do nagłej przemiany Phelps'a. Ale wiadomość, że egzekutor triady wkrótce zjawi się w laboratorium, podziałała na niego skuteczniej niż zimny prysznic.

Nie miał wielkiego wyboru, postanowił więc zaufać byłemu wrogowi. Chwył Phelps za ramię i powiedział: - Musimy pogadać, żołnierzu.

42

Seahawk leciał bez świateł pozycyjnych osiem metrów nad powierzchnią oceanu. Niemal muskał grzbiety fal, kierując się z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę w stronę atolu. W miarę, jak zbliżali się do celu, napięcie w kokpicie rosło, tylko Austin zachowywał stoicki spokój. Siedział na fotelu pasażera w lekkim „mokrym” skafandrze pletwonurka i wpatrywał się w rozłożoną na kolanach mapę satelitarną, próbując zapamiętać każdy szczegół.

Narysował markerem trzy krzyżyki. Pierwszym oznaczył pozycję półtorej mili morskiej od atolu, gdzie helikopter go zrzuci, drugim wąski przesmyk w rafie koralowej, a trzecim widzianą z góry ciemną smugę w lagunie.

W jego słuchawkach rozległ się głos pilota:

- Pięć minut do celu, Kurt.

Austin złożył mapę i schował do wodoszczelnej sakwy na piersi. Wyjął z plastikowej torby swój rewolwer Bowen i sprawdziwszy bębenek, włożył go z powrotem. Potem odpiął pas i stanął przy otwartych drzwiach seahawka. Śmigłowiec zwolnił, po czym zawisł nad ustalonym punktem zrzutu.

- Czas na przedstawienie! - zawołał pilot.

- Dzięki za podwózkę - odpowiedział Austin. - Powtórzymy to kiedyś, jak będę mógł zostać dłużej.

Drugi pilot pomógł mu wypchnąć dwumetrowy ponton. Gdy spuścili go do morza za pomocą mechanicznej wciągarki, Kurt chwycił linę i zsunął się po niej w grubych rękawicach.

Ledwo puścił linę, seahawk oddalił się od punktu zrzutu, żeby podmuch rotorów nie burzył wody. Austin dopłynął żabką do

pontonu, stabilnego dzięki ciężarowi worka ze sprzętem przywiązanego do prowizorycznej drewnianej platformy między burtami. Wspiął się do środka, odczepił od pasa latarkę i wycelowawszy ją w śmigłowiec, błysnął kilka razy na znak, że wszystko gra.

Seahawk odleciał i po kilkunastu sekundach zniknął w ciemności.

Austin odwiązał worek z ekwipunkiem i wyciągnął z niego wiosło. Potem znalazł wodoszczelną torbę z przenośnym odbiornikiem GPS. Gdy włączył zasilanie, mały zielony ekran rozświetlił się i pokazał jego pozycję w stosunku do wysepki. Kurt zaczął wiosłować.

Noc była piękna. Gwiazdy lśniły na niebie niczym brylantowe okruchy na czarnym aksamicie, a ich srebrzysty blask odbijał się w morzu. Wiatr ucichł, więc Austin szybko dotarł do celu. Kiedy usłyszał szmer fal omywających rafę, zmrużył oczy i dostrzegł w ciemności niewyraźną linię przyboju.

Znów spojrzął na GPS i wziął kurs na przesmyk w rafie. Pokonanie go okazało się bardzo trudne. Woda wdzierła się do przesmyku z obu stron, tworząc barierę, która miała lekkim pontonem, obracając go niczym gumową kaczuszkę w wannie.

Kurt wiosłował energicznie, ale nie zdołał pokonać silnych przeciuprądów. Spróbował ponownie, tym razem krzyząc: „jeszcze raz do wyłomu!”, lecz słowa szekspirowskiego Henryka V nie pomogły mu w starciu z potęgą oceanu. Opił się tylko słonej wody.

Gdy wreszcie złapał oddech, odpłynął kawałek od rafy, wyjął z worka lekki przyczepny silnik elektryczny zasilany z akumulatora, przymocował go do burty i uruchomił. Dał maksymalne obroty i skierował dziób pontonu w kipieli wokół przesmyku w rafie.

Ponton podskoczył, zarzucił i zboczył z kursu. Austin zacisnął zęby, pewien, że uderzy w poszarpane koralowce. Ale łódź jakoś zmieściła się w przesmyku i wpłynęła do spokojnej laguny.

Kurt wyłączył silnik i czekał. Minęło pięć minut i nic nie wskazywało, że go wykryto. Nie rozbłysły oślepiające szperacze ani nie nadleciały serie pocisków, by obwieścić jego przybycie.

Uznał brak komitetu powitalnego za zaproszenie do pozostania w lagunie. Wyjął z worka akwalung, przypasał do pleców butlę z powietrzem i włożył kamizelkę ratunkową. Odbiornik GPS wskazywał, że ponton trochę zbczył, minąwszy rafę.

Kurt wiosłował energicznie, dopóki mały czarny trójkąt na ekranie GPS-u nie pokazał, że znów jest na odpowiednim kursie. Kilka minut później trójkąt nałożył się na okrąg oznaczający miejsce, gdzie satelita zlokalizował ciemną smugę w lagunie. Okręt podwodny widoczny na zdjęciu satelitarnym wyglądał, jakby dostał się z dna laguny, a potem w jakiś magiczny sposób przepadł bez śladu. Tajemnicze zniknięcie tajfunu sugerowało, że laguna kryje jakąś tajemnicę.

Wprawdzie wody laguny widziane z kosmosu wyglądały na płytkie, ale Kurt wolał nie ryzykować. Pożyczył ze statku badawczego NUMA butlę z trimiksem na wypadek, gdyby musiał zanurkować głębiej, niż się spodziewał.

Włożył maskę i płetwy, zagryzł ustnik automatu oddechowego, położył się na brzuchu na prawej burcie pontonu i stoczył do laguny.

Gdy woda dostała się między neopren a jego skórę, czuł chłód, dopóki się nie ogrzała do izolującej temperatury ciała. Przez kilka sekund trzymał się burty pontonu, a potem odepchnął się od niej, zanurkował w pozycji łamanej i zszedł na głębokość około sześciu metrów.

Zbliżywszy się do dna laguny, wyciągnął rękę i trafił na miękką, elastyczną powierzchnię. Zdziwiony zdjął rękawicę i odkrył, że to, co wyglądało na porośnięty morską roślinnością piasek, jest siatką utkaną w nieregularne kolorowe wzory.

Wyjął nóż z pochwy na udzie, przyłożył czubek do tkaniny i nacisnął. Ostrze łatwo przebiło siatkę. Przeciął ją na odcinku kilkunastu centymetrów, schował nóż do pochwy i popłynął do miejsca, gdzie widział smugę na zdjęciu satelitarnym.

Z odległości kilku centymetrów zobaczył, że smuga to po prostu częściowo zszyte rozdarcie w fałszywym dnie. Nierówny nylonowy szew wyglądał na zrobiony w pośpiechu.

Austin odczepił latarkę nurkową od kamizelki ratunkowej i trzymając ją przed sobą, wpłynął przez otwór. Ustawił się pionowo i pedałując płetwami, jakby jechał na rowerze, zaczął się wolno obracać dookoła. Mniej więcej w połowie obrotu zatrzymał się, dostrzegłszy w odległości około trzydziestu metrów masywny obiekt oświetlony chybliwym blaskiem gwiazd przenikającym przez siatkę. Szczegóły nie były wyraźnie widoczne, ale Austin nie miał wątpliwości, że to ogromny okręt podwodny.

Odruchowo wyłączył latarkę, choć wydawało się nieprawdopodobne, żeby ktoś na pokładzie wiedział o jego obecności.

Odpłynął nieco dalej i zobaczył punkty świetlne w ciemności poniżej. Zanurkował w dół, ale zatrzymał się na widok kilku żarzących się niebieskich kształtów unoszących się na jego drodze.

Błękitne meduzy!

Zaczekał, aż zabójcze stworzenia znajdą się poza zasięgiem, i znów zanurkował w kierunku dna. Po chwili zobaczył, że światła, które zwróciły jego uwagę, to lampy na szczytach czterech wielkich kul zbudowanych wokół półkulistego centrum. Każda stała na czterech patykowatych podporach z okrągłymi podstawami, podobnych do nóg pająka.

Jedna z metalowych kul miała przezroczystą kopułę. Austin podpłynął do niej i dostrzegł dwie osoby: ciemnowłosą kobietę i Joego Zawalę.

Oboje siedzieli w fotelach, pogrążeni w rozmowie. Zawała nie wyglądał na człowieka w tarapatach, miał wręcz zadowoloną minę. Kurt zarechotał. Tylko Joe mógł znaleźć atrakcyjną kobietę na dnie morza.

Austin wciąż się śmiał, kiedy kobieta spojrzała w górę i utkwiała w nim wzrok. Odskoczył od kopuły, popłynął w dół pod sferę, a potem w kierunku półkulistego centrum. Pamiętał ze schematu, że to moduł transportowy ze służą powietrzną dla wahadłowca towarowego.

Przepląnął obok czterech minilodzi podwodnych przyczepionych do dna półkuli i dostrzegł właz dla nurków. Napelniwszy powietrzem z butli kamizelkę, zaczął się powoli wznosić. Sięgnął do

sakwy po wodoszczelną torbę z bowenem. Ocenił, że zdąży wyciągnąć rewolwer i będzie gotowy do oddania strzału w ciągu pięciu sekund. Wraz z elementem zaskoczenia powinno mu to dać potrzebną przewagę.

Przebił głową powierzchnię basenu śluzy powietrznej w półkuli. Podniósł maskę na czoło, rozejrzał się i zorientował, że bowen na razie nie będzie mu potrzebny. Okrągła komora była pusta.

Podpłynął do drabinki. Torbę z rewolwerem położył na brzegu basenu w zasięgu ręki, po czym zdjął pas balastowy, płetwy i akwalung i umieścił je obok. Wspiąwszy się na górę, wyjął bowena z torby, sprzęt do nurkowania powiesił na haku obok czterech suchych kompletów. Nasłuchiwał przez chwilę przy jedynych drzwiach.

Wszędzie panowała cisza. Z rewolwerem w jednej ręce, drugą nacisnął przełącznik na ścianie. Drzwi odsunęły się cicho. Austin ruszył korytarzem, zdecydowany w razie potrzeby porządnie narozrabiać.

Nie musiał, bowiem korytarz był pusty.

Dotarł do drzwi z napisem: „Sekcja hodowli zasobów”. Otworzył je i znalazł się w mrocznym okrągłym pomieszczeniu. Powiódłszy wzrokiem wzdłuż ścian, przy których stały akwaria z różnymi meduzami, zatrzymał spojrzenie na sięgającym mu do piersi cylindrycznym akwariu pośrodku.

Pływało w nim kilkanaście ogromnych meduz. Miały kształt dzwonów, prawie metr średnicy i krótkie grube czułki zamiast delikatnych długich włókien. Żarzyły się pulsującym niebieskim blaskiem, który stanowił jedyne oświetlenie pomieszczenia.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i zniekształcone odbicie twarzy w zakrzywionej szklanej powierzchni. Zafascynowany dziwnymi okazami w głównym akwariu, zapomniał o ostrożności.

Wykonał błyskawiczny obrót i unióś dłoń z rewolwerem, ale potężnie zbudowany strażnik, który podkradł się do niego, zdzielił go metalowym łożem pistoletu maszynowego w wewnętrzną stronę nadgarstka, wytrącając mu broń. Austin poczuł silny ból przeszywający ramię aż do barku i bowen upadł z hałasem na podłogę.

Prawą rękę miał chwilowo bezwładną, więc wyciągnął do góry lewą, chwycił automat napastnika i szarpnął, usiłując mu go wyrwać. Strażnik pchnął Kurta na akwarium. Austin uderzył plecami w szklaną ścianę, ale nie puścił pistoletu maszynowego. Szarpnął automat w górę i tym razem zdołał odebrać go napastnikowi. Nie miał jednak dość siły, by utrzymać ciężką broń, i pistolet maszynowy wpadł do akwarium. Ogromne meduzy rozpierzchły się na wszystkie strony.

Obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Austin zaatakował pierwszy. Przycisnąwszy bezwładne ramię do boku, pochylił głowę i wałnął przeciwnika bykiem w pierś. Odrzucił go do tyłu i obaj wpadli na rząd akwariów pod ścianą. Kilka runęło i się roztrzaskało.

Galaretowate stworzenia wypłynęły na podłogę. Austin stracił równowagę na śliskiej brei i opadł na kolana. Kiedy starał się podnieść, strażnik kopnął go w skroń.

Ale gdy chciał wymierzyć drugiego kopniaka, też pośliznął się na mazi. Uderzenie trafiło Kurta w policzek i przewróciło na bok. Strażnik odzyskał równowagę, wyciągnął nóż z pochwy przy pasie i rzucił się na Austina z dzikim okrzykiem.

Kurt odruchowo zasłonił się lewą ręką, choć wiedział, że nie zdoła zablokować ciosu. Na szczęście w ostatniej chwili wymacał dłonią kilkunastocentymetrowy kawałek szkła. Chwycił go i wbił przeciwnikowi w szyję. Usłyszał gardłowy jęk i poczuł na twarzy strumień ciepłej krwi z przeciętej tętnicy. Strażnik wypuścił nóż, jeszcze chwilę chwiał się na nogach, po czym martwy osunął się na ziemię.

Austin przetoczył się w bok, zanim mężczyzna zwałił się na niego. Wciąż czuł piekący ból w prawym nadgarstku, więc sięgnął po bowena lewą ręką. Spojrzał na rosnącą kałużę krwi i na dziesiątki zdychających meduz, po czym przeniósł wzrok na cylindryczne akwarium. Ogromne zmutowane okazy świeciły jeszcze jaśniej, jakby pobudzone widokiem krwi.

Kurt nie tracił czasu. Wstał i zostawiwszy koszmarną scenę za sobą, ruszył korytarzem na poszukiwanie Zawali, zastanawiając się, jakie jeszcze niespodzianki czekają go w Schowku.

To Lois Mitchell zaproponowała miejsce do sformalizowania zawartego właśnie sojuszu z Phelpssem.

- Korzystam z biura doktora Kane'a - powiedziała. - Strażnicy dostali rozkaz, żeby mi nie przeszkadzać, kiedy pracuję. Będziemy mieli tam spokój.

- Co ty na to, Phelps? - spytał Zavala.

- W porządku, ale zrobimy to po mojemu. Laboratorium wciąż jest pod kontrolą zbirów Czanga, więc nie możemy tak po prostu wybrać się na spacer.

Kazał Mitchell i Zavali iść przodem, a on zamykał pochód z pistoletem maszynowym gotowym do strzału, jakby prowadził ich pod bronią.

Ludzie Czanga, których napotykali po drodze, tylko zerkali na nich i kiwali głowami, o nic nie pytając. Ominęli dyspozytornię, gdzie personel nie miał wstępu, i pracownię fermentacji, żeby nie wzbudzać ciekawości naukowców.

Mimo powagi sytuacji Joe nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy wszedł do biura Kane'a i zobaczył kolorowe ławice ryb wokół przezroczystej pleksiglasowej kopuły tworzącej sufit i ściany.

- Fantastyczne! - wykrzyknął.

- Widok jest naprawdę piękny - przyznała Mitchell. - Uwielbiam tu przebywać. Siadajcie, proszę.

Zapaliła światło, żeby ryby ich nie rozpraszały, i zajęła miejsce za biurkiem. Zavala i Phelps usadowili się w fotelach. Ich nowo narodzone przymierze miało jeszcze kruche podstawy, więc przez dłuższą chwilę panowała kłępująca cisza. W końcu Phelps odchrząknął i zwrócił się do Zavali:

- Gdzie jest twój kumpel Austin?

Joe, który sztukę robienia uników opanował podczas swoich występów bokserskich w college'u, udzielił wymijającej odpowiedzi.

- Ostatnio był na Pohnpei, o ile wiem.

Phelps zmarszczył brwi.

- Miejmy nadzieję, że nie wszedł Czangowi w celownik. Ten bandzior poluje na twojego przyjaciela.

- Nie martw się o Kurta, Phelps. On potrafi o siebie zadbać - odparł Zavała, po czym spytał: - Ile mamy czasu do wizyty twojego szefa?

- Lada moment wyląduje na frachtowcu, który służy mu za bazę. Ten statek wygląda na starą zardzewiałą łajbę, ale bez trudu prześcignie większość jednostek podobnej wielkości. Ma nawet basen zanurzeniowy dla wahadłowca z laboratorium. Powiniennem sprawdzić, czy ze służą powietrzną wszystko jest w porządku. Czang zjawi się tu za niecałą godzinę.

- Gdzie przebywa personel, kiedy nie pracuje? - chciał wiedzieć Zavała.

- W swoich kwaterach - odpowiedziała Mitchell. - Pod ścisłą strażą, dzięki panu Phelpsowi.

- Wykonywałem tylko swoją robotę - zachnął się Phelps.

- Jak to odkręcisz? - spytał go Zavała.

- Postaram się, Joe, ale to nie będzie łatwe.

- Bez obaw, będziesz miał mnóstwo okazji, żeby się zrehabilitować. Na początek wymyśl jakiś sposób ewakuowania stąd personelu.

- Myślałem o tym - odrzekł Phelps. - Możemy wykorzystać miniłodzie podwodne pod modulem przejściowym. Są czteroosobowe, a mamy tu piętnastu naukowców i pilota wahadłowca. Akurat szesnaście osób.

Zavała tak się rwał do działania, że zapomniał o bólu głowy.

- My dwaj moglibyśmy się stąd wydostać tak samo, jak się tu dostaliśmy - zasugerował. - Trzeba tylko zneutralizować tych facetów na tajfunie. Ilu ich jest?

- Triady lubią trójki - odparł Phelps. - To podobno szczęśliwa liczba. Na okręcie umieścili trzy trzyosobowe drużyny, czyli dziewięciu ludzi, łącznie z tymi dwoma, którzy towarzyszyli nam w drodze do Schowka. Wszyscy są uzbrojeni i bardziej niebezpieczni od grzechotników.

- Dotąd mieli łatwo - zauważył Joe - więc pewnie stracili czujność. Są bez szans.

Phelps się roześmiał.

- Jak powiedział generał Chesty Puller na wieść o tym, że jest okrążony: „tym razem nam nie uciekną”.

- Otóż to - przyznał Zavała. - No dobra, załadujemy personel do minilodzi podwodnych i wyślemy... dokąd?

- Wy płyną przez tunel w boku krateru, oddalą się od rafy, miną frachtowiec Czanga i dotrą do punktu, gdzie będą mogli się wynurzyć i nadać SOS.

- Dobry plan. Ale musimy się z nimi skontaktować i dać im znać, co się szykuje - stwierdził Joe.

- Ja to zrobię - zaoferowała się Mitchell. - Strażnicy są przyzwyczajeni do mojej obecności w laboratorium.

Phelps zerknął na zegarek i rzekł:

- Poczekajcie na mnie. Muszę poczynić niezbędne przygotowania do wizyty Czanga. Może przez ten czas poznacie się bliżej?

- Panie mają pierwszeństwo - powiedział Zavała, kiedy Phelps zamknął za sobą drzwi.

Mitchell przedstawiła mu w ogólnych zarysach pracę nad projektem „Błękitna Meduza”, począwszy od Bonefish Key.

- Gratuluję sukcesu - podsumował.

- Dziękuję - odrzekła z uśmiechem. - A jak pan znalazł się w tym okropnym miejscu?

- Jestem inżynierem z NUMA. Na prośbę marynarki wojennej uczestniczyłam wraz z moim szefem Kurtem Austinem w poszukiwaniach laboratorium. No i trafiłam tutaj.

Mitchell nie zadała mu więcej pytań. Wydawała się roztargniona, zupełnie jakby myślami była gdzie indziej. Joe miał wrażenie, że Lois coś ukrywa. Nagle zamrużyła i skupiła wzrok na czymś za nim.

- Co to było? - spytała.

Odwrócił się, ale zobaczył tylko pyszczki zaciekawionych ryb wokół przeszklonej kopuły.

- Widziała pani coś?

- Zdawało mi się, że ktoś tam pływa - odparła. Westchnęła i po chwili dodała: - Chyba za długo tu jestem. To pewnie była ja kaś duża ryba.

Urok osobisty Joego sprawił, że zaczęła się odprężyć. Uśmiechała się, dopóki nie zjawił się Phelps z wiadomością, że Czangowi będzie towarzyszył doktor Wu.

Na dźwięk tego nazwiska Mitchell zeszywniała.

- To nie lekarz, to potwór! - wykrzyknęła.

- Może powinna pani pokazać Joemu nagranie wideo - zasugerował Phelps.

Mitchell skinęła głową i zdjęła z szyi łańcuszek, na którym wisiał mały klucz. Otworzyła kluczykiem szufladę biurka, wysunęła ją i wyjęła pudełko z płytami CD-ROM. Wybrała płytę oznaczoną jako zapasowa kopia programu komputerowego. Dłonie jej drżały, gdy wsuwała ją do komputera. Rozległ się męski głos mówiący po chińsku.

- Nie ma napisów? - spytał Zavała.

- Nie będą ci potrzebne, gdy zobaczysz film - odparł Phelps.

- Wu to marionetka Czanga - wyjaśniła Mitchell. - Jego robota polega na kontrolowaniu naszych postępów. Kiedy tu jest, wyrzuca mnie z biura doktora Kane'a. Na szczęście nie lubi przebywać w laboratorium. Znalazłam tę płytę w komputerze po jego ostatniej wizycie. Pewnie przeglądał nagranie. Zrobiłam kopię i zostawiłam płytę tam, gdzie była. Gdy Wu zorientował się, że zapomniał ją zabrać, przysłał po nią jednego ze swoich bandziorów.

Na ekranie pojawił się obraz. Wu rozmawiał z jakimś mężczyzną w garniturze przed salą, w której stały łóżka osłonięte przezroczystymi cylindrami. Między łózkami poruszały się postacie w kombinezonach ochronnych. Kamera zrobiła najazd na ludzi w łózkach. Niektórzy wyglądali na martwych. Inni mieli twarze pokryte wysypką i wykrzywione cierpieniem.

- To szpital? - spytał Zavała.

- Skądże - odparła Mitchell. - Narratorem jest doktor Wu. O ile mogę się zorientować, ten film nagrano w jakimś chińskim

laboratorium, gdzie prowadzono eksperymenty ze szczepionkami stworzonymi przez triadę. Nie znam tego mężczyzny w garniturze. Wykorzystywali ludzi i oczywiście musieli ich zarazić wirusem. Rezultaty widać na ekranie. Wu jest gorszy od doktora Mengele z Auschwitz.

- Doktor Mitchell pokazała mi to jakiś czas temu - zwrócił się Phelps do Joego. - Teraz wiesz, dlaczego przeszedłem na waszą stronę.

Wściekłość zaczęła wzbierać w Zavali, a kiedy nagranie się skończyło, powiedział:

- Ktoś musi za to zapłacić.

- Zabawne usłyszeć to z twoich ust - rozległ się męski głos -bo pomyślałem to samo.

Trzy głowy odwróciły się jednocześnie i trzy pary oczu rozszerzyły się na widok Austina, który stał w drzwiach oparty o framugę. Trzymał luźno bowena w lewej ręce.

Joe patrzył na przyjaciela. Nie był zaskoczony jego obecnością: Kurt miał zwyczaj zjawiać się wtedy, gdy się go najmniej spodziewano. Ale jego „mokry” skafander był zakrwawiony i ubrudzony meduzim śluzem.

- Wyglądasz, jakbyś stoczył walkę zapaśniczą w galaretkę malinowej - stwierdził Zavala. - Nic ci się nie stało?

- Prawą rękę mam chwilowo do niczego, ale krew nie jest moja. W drodze tutaj zatrzymałem się w pomieszczeniu z wielkim okrągłym akwariem. Jakiś facet doskoczył do mnie i walcowaliśmy, aż kilka mniejszych akwariów się rozbiło i ich zawartość wylała się na podłogę.

- W małych akwariach były organizmy w różnych stadiach mutacji - powiedziała Mitchell. - Miał pan szczęście, że duże akwarium się nie rozbiło. Tamte stworzenia to ostateczne mutanty, z których otrzymuje się szczepionkę. W każdym czułku są tysiące nematocyst, maleńkich harpunów wstrzykujących toksynę ofierze.

- Przepraszam za szkody, ale nie mogłem na to nic poradzić - odrzekł Austin i przedstawił się Lois Mitchell. - Kiedy zobaczyłem

panią przez kopułę, pomyślałem, że tylko Joe Zavala mógł znaleźć piękną kobietę na dnie oceanu. Jej oczy zrobiły się okrągłe.

- To pana widziałam? Austin przytaknął.
- Obserwowałem panią i Joego i stałem się nieostrożny. Odwrócił się do Phelps'a.

- Z rozmowy, którą podsłuchałem kilka minut temu, wynika, że przeszedłeś z Ciemnej Strony na naszą.

- To nagranie przesądziło sprawę - odparł Phelps. - A Joemu chyba pasuje taki układ.

Kurt nie miał czasu poddać go badaniu na wykrywaczu kłamstw. Zerknął na Zavale, a gdy ten skinął głową, znów zwrócił się do Phelps'a:

- Witaj na pokładzie, żołnierzu. Jak wygląda sytuacja?
- Czang jest w drodze do laboratorium po szczepionkę.
- Będzie tu lada chwila - dodała Mitchell.
- To dobrze - orzekł niespodziewanie Austin. - Czang i ludzie odpowiedzialni za sceny na tym nagraniu są już martwi.

Lois nagle się rozplakała.

- Jestem jedną z nich - wykrztusiła. - Współpracowałam z nimi przy tworzeniu szczepionki.

- Nie ma pani powodu, żeby się obwiniać, doktor Mitchell - pocieszył ją Kurt łagodnym tonem. - Zmuszono panią do tego. Zabiliby panią i pani kolegów, gdybyście odmówili.

- Wiem. Ale wychodziłam z siebie, żeby projekt zakończył się sukcesem. Jakbym chciała im pokazać, że potrafimy sprostać wyzwaniu.

- Teraz, kiedy istnienie szczepionki jest faktem, nie będą już potrzebowali personelu ani laboratorium - stwierdził Phelps. - Joe i ja ułożyliśmy plan ewakuacji wszystkich ze Schowka.

Austin nie odpowiedział od razu. Zmrużył oczy i spojrział przez kopułę w miejsce, gdzie dostrzegł blask. Przypomniał sobie, że są doskonale widoczni z zewnątrz, i zgasił światło. Pomieszczenie pogrążyło się w ciemności.

- Lepiej, żeby wasz plan był dobry - rzekł. - Patrzcie.

Wszyscy się odwrócili i zobaczyli, jak wahadłowiec z Czangiem i doktorem Wu na pokładzie opuszcza się ku laboratorium niczym spadająca w zwolnionym tempie gwiazda.

44

Kilka minut później wahadłowiec osiadł na lądowisku i otwarty dach nad nim zamknął się z powrotem jak skorupa mięczaka. Włączyły się potężne pompy, ale choć szybko usuwały wodę ze śluzy powietrznej, Czang bardzo się niecierpliwił. Wreszcie wypadł z promu niczym murena wyskakująca ze swojej kryjówki i ruszył do drzwi wyjściowych, kiedy ostatnie centymetry wody znikwały z bulgotem w odpływach. Doktor Wu o szczurzej twarzy trzymał się kilka kroków za nim.

Drzwi śluzy powietrznej otworzyły się z sykiem. Phelps, który stał w sąsiedniej komorze przy pulpicie sterowniczym, podszedł do Czanga i rzekł z krzywym uśmiechem:

- Zjawił się pan piorunem, szefie. Musiał pan wciskać gaz do dechy.

Czang popatrzył na niego z ledwo skrywaną pogardą. Nie rozumiał amerykańskiego żargonu i drażniły go takie odzywki. Nigdy w pełni nie ufał Phelpsowi i podejrzewał, że jego lojalność potrwa tylko do następnej wypłaty.

- Dostyc gadania! - warknął. - Gdzie szczepionka?

- Doktor Mitchell ją ma - odrzekł Phelps. - Czeka na pana w jadalni. Ten facet z NUMA jest z nią.

- A personel laboratorium?

- Są w swoich kwaterach.

- Niech pan dopilnuje, żeby tam zostali. Unieruchomił pan miniłodzie podwodne, tak jak kazałem?

Phelps wyjął zza pasa cztery płaskie prostokątne pudełka.

- Te obwody sterują ich zasilaniem - wyjaśnił.

Czang wyrwał mu urządzenia, rzucił na metalową podłogę i rozdeptał obcasem na drobne kawałki. Wydał jakiś rozkaz swoim ludziom, którzy wyłonili się z promu z drewnianymi skrzyniami. Postawili je koło pulpitu i wrócili do ładowni po następne.

Na każdej skrzyni widniał duży czerwony napis: „Ostrożnie, materiały wybuchowe”.

Phelps postukał knykami w wieko jednej z nich.

- Po co te fajerwerki, panie Czang? - zapytał.

- To chyba oczywiste - odparł Chińczyk. - Wykorzysta pan swoje umiejętności pirotechniczne do wysadzenia laboratorium w powietrze. Spełniło swoją funkcję.

Phelps szturchnął czubkiem buta zmiażdżone obwody elektryczne.

- Jest jeden problem - powiedział. - Jak naukowcy się stąd wydadzą, skoro minilodzie podwodne są nie do użytku?

- Wykonali swoje zadanie. Zostaną tutaj.

Phelps stanął przed Czangiem.

- Wynajął mnie pan do porwania laboratorium - przypomniał mu. - Nie było mowy o zabijaniu niewinnych ludzi.

- Więc nie przygotowuje pan materiałów wybuchowych? - spytał Czang.

Phelps pokręcił głową.

- Niech pan na mnie nie liczy. Może mnie pan wyłączyć z tej sprawy.

Usta Czanga rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Doskonale, Phelps. Jesteś zwolniony.

Sięgnął do kabury, błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet i strzelił Phelpsowi w pierś. Phelps, trafiony z tak małej odległości, zatoczył się do tyłu, po czym runął na podłogę. Czang popatrzył na jego martwe ciało z miną rzemieślnika zadowolonego z dobrze wykonanej roboty. Kazał jednemu ze swoich ludzi przygotować materiały wybuchowe i ruszył dalej. Doktor Wu podążył za nim.

Gdy Czang wszedł do jadalni, spojrzenie jego jadeitowozielonych oczu padło na Joego Zawalę i Lois Mitchell. Siedzieli plecami

do siebie przywiązani do krzeseł, a pilnowali ich ci sami strażnicy, którzy przyplnęli na dół z Phelpsem. Czang podszedł do Zawali.

- Coś ty za jeden? - burknął.

- Masz kiepską pamięć - odparł Joe. - Spotkaliśmy się na „Beebie”. Uciekłeś stamtąd z podkulonym ogonem, kiedy Kurt Austin i ja załatwiliśmy twoich kumpli.

- No tak - powiedział Czang. - Inżynier z NUMA. Moi ludzie zasłużyli na swój los. Następnym razem będziemy ostrożniejsi. Jak nas znalazłeś?

- Jeden z naszych samolotów przelatywał nad atolem i zauważył coś podejrzanego.

- Łiesz! - Chińczyk złapał Zawalę za przód koszuli. - Nie lubię, jak ktoś uważa mnie za dumia. Gdyby tak było, wokół atolu już by się roilo od okrętów i samolotów, a moi obserwatorzy meldują, że jest spokojnie.

- Może właśnie to, czego nie widać, powinno cię niepokoić - odparował Joe.

- Gadaj, jak nas znalazłeś.

- No dobra, powiem. Mały ptaszek mi wyćwierkał. Czang uderzył Zawalę w twarz.

- Co jeszcze wyćwierkał ci ten ptaszek?

- Że umrzesz - wycodził Joe.

- Nie, kolego, to ty umrzesz.

Czang puścił koszulę Zawali i odwrócił się do Lois Mitchell, która patrzyła z przerażeniem na zakrwawioną twarz Joego.

- Gdzie moja szczepionka? - zapytał ostro.

Zmiażdżyła go wzrokiem.

- W bezpiecznym miejscu. Rozwiążcie mnie, to ją przyniosę.

Na znak Czanga jego ludzie rozwiązali Lois. Wstała, rozmasowała nadgarstki, podeszła do drzwi chłodni, gdzie przechowywano żywność, otworzyła je i zniknęła w środku. Po chwili wróciła z przenośną plastikową chłodziarką, którą postawiła na podłodze. Doktor Wu odblokował i uniósł wieko.

- To są kultury drobnoustrojów, z których będziecie mogli wy syntetyzować duże ilości szczepionki - wyjaśniła Mitchell.

Widząc zapakowane w piankę płytki Petriego, Wu się uśmiechnął.

- To istny cud - powiedział.

- W rzeczywistości - uściśliła - to po prostu bardzo innowacyjna inżynieria genetyczna.

Schyliła się i wyjęła górną półkę z płytkami Petriego, odsłaniając trzy pojemniki z nierdzewnej stali, również zapakowane w piankę.

- Oto trzy porcje szczepionki, których zażądaliście - powiedziała. - Z kultur będziecie w stanie otrzymać więcej. - Włożyła półkę z powrotem, zamknęła wieko i się wyprostowała. - Skończyliśmy naszą pracę. Pan Phelps obiecał, że po zrealizowaniu projektu zostaniemy uwolnieni.

- Pan Phelps nie jest już przez nas zatrudniony - poinformował ją Czang.

Zbladła na dźwięk jego złowróżbnego tonu.

- Co to znaczy? - spytała.

Zignorował pytanie, kazał swoim ludziom związać ją z powrotem i zwrócił się do Zavali:

- Twój przyjaciel Austin znów mi uciekł. Ale jeszcze się spotkamy, to tylko kwestia czasu, a wtedy z ogromną przyjemnością opiszę mu twoje ostatnie chwile.

Wziął chłodziarkę od Wu i kazał lekarzowi oraz strażnikom iść z nim do wahadłowca. Austin wyłonił się z chłodni z bowenem w lewej ręce kilka sekund po ich wyjściu.

- Całe szczęście, że ten łysol wreszcie się wyniósł - powiedział - bo już zaczynałem się czuć jak półtusa wołowa.

Wetknął rewolwer pod prawą pachę i nożem kuchennym przeciął więzy krępujące Zavalę. Joe sięgnął po serwetkę i przyłożył do krwawiącej wargi. Mimo skaleczeń i siniaków był w dobrym humorze.

- Czang nie będzie zachwycony, kiedy odkryje, że kultury szczepionki są fałszywe - powiedział do Lois Mitchell.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo, weszła do chłodni i wróciła stamtąd z inną, niemal identyczną chłodziarką.

- A co dopiero, jak się dowie, że my mamy prawdziwe - odrzekła.

Czang już był daleki od zachwyty. Zaklął szpetnie, gdy po wejściu do śluzy powietrznej zobaczył, że ciało Phelps'a zniknęło. Ślad krwi prowadził w kierunku korytarza. Phelps musiał przeżyć postrzał i powlec się jednym z przejść.

Nieważne. I tak zginie, kiedy laboratorium rozpadnie się na milion kawałków. Czang sprawdził robotę saperską, kazał mu ustawić zegar sterujący zapalnikami i zapędził swoich ludzi do wahadłowca. Pilot zdalnie uruchomił pompy, a gdy śluzę powietrzną wypełniła woda, wahadłowiec uniósł się przez otwór między dwiema połowami dachu.

Austin stał w pomieszczeniu z pulpitem sterowniczym śluzy i obserwował to na monitorze. Na odgłos kroków odwrócił się błyskawicznie z rewolwerem gotowym do strzału, ale zaraz opuścił bowena.

W wejściu z korytarza stał Phelps. Był nagi od pasa w górę, a lewą górną część jego klatki piersiowej zasłaniał prowizoryczny, przesiąknięty krwią opatrunek. Jego bladą twarz wykrzywił wymuszony uśmiech.

- Kiepsko wyglądasz - zauważył Austin.
 - I tak się czuję - odparł Phelps.
 - Co ci się stało?
 - Domyślałem się, że Czang będzie wnerwiony, więc w drodze do biura Kane'a złapałem miękką kamizelkę kuloodporną. Zasłoniła mi tylko narządy wewnętrzne, nie sądziłem, że ten skurwiel chybi i trafi mnie w bark.
 - Dlaczego do ciebie strzelił?
 - Wkurzył się, kiedy odmówiłem przygotowania C-4, który on i jego chłopcy przytargali wahadłowcem.
 - Zaplanował zniszczyć laboratorium z personelem w środku?
 - Podłożyli tyle materiałów wybuchowych, że wystarczyłoby ich do rozwalenia Wielkiego Muru. Na szczęście spartaczyli robotę. Mieli fart, że sami nie wysadzili się w powietrze.
- Phelps rzucił na podłogę garść kolorowych kabli z miną eksperta pełnego pogardy dla amatorszczyzny.
- Co zrobi Czang, kiedy się zorientuje, że ładunki nie eksplodują? - zapytał Austin.

- Pewnie wyśle kogoś na dół, żeby znalazł przyczynę. - Phelps przekrzywił głowę. - I może sam też wróci, żeby zastrzelić twoich przyjaciół i móc ci o tym opowiedzieć. - Dotknął ostrożnie bandaża. - Czang jest porywczy.

- Zauważyłem - odparł Kurt. - Musimy jak najszybciej ewakuować wszystkich minilodziami podwodnymi.

Phelps wskazał czarne krążki, które Chińczyk zmiażdżył obcasem.

- To ich obwody sterujące. Czang zrobił z nich miazgę.

- Cholera! - zaklął Austin. - Te łodzie były naszą jedyną nadzieją.

- I nadal są. Dałem Czangowi inne dyski, żeby się wyżył. Oryginalne zostały w łodziach.

Austin popatrzył na Phelpsa i pomyślał, że musi się jeszcze wiele nauczyć o ludzkiej naturze.

- Przygotuj łodzie - polecił. - Ja zbiorę naukowców.

Phelps zasalutował i ruszył do modułu przejściowego, a Kurt pobiegł do jadalni. Zawała już zebrał cały personel. Na twarzach naukowców malowały się rozmaite uczucia, od radości, że zostali uwolnieni, do obawy, co będzie dalej.

Austin poprosił wszystkich o ciszę, przedstawił się i oznajmił krótko:

- Opuszczamy Schowek.

Zdumieni naukowcy domagali się bliższych wyjaśnień, ale Kurt znów uciszył grupę i kazał im się pośpieszyć, bo na pytania nie ma teraz czasu.

Posłusznie zeszli na dół do włazów minilodzi podwodnych. Gdy na widok Phelpsa kilku się zawahało i rozległy się gniewne okrzyki, Austin kazał im wsiadać do łodzi. Potem zwrócił się do Phelpsa:

- Czy łodzie mogą się natknąć na Czanga, kiedy będą wypływały z krateru?

- Jeśli się pośpieszymy, to nie. Czang na pewno wróci na swój frachtowiec, żeby poczekać na wielkie bum. Łodzie powinny pozostać w zanurzeniu, a gdy znajdą się daleko za statkiem Czanga, będą mogły nadać SOS.

Kurt przekazał radę Phelpsowi pilotom miniłodzi i wyznaczył pilota wahadłowca do sterowania łodzią prowadzącą. Gdy wszyscy zajęli miejsca, łódzie jedna po drugiej oderwały się od spodu półkulistego modułu i popłynęły przez krater do tunelu.

Wyprawiwszy personel w drogę, Austin zajął się kolejną sprawą: tajfunem. Kiedy wkładali „mokre” skafandry, Zawała wprowadził go w sytuację na pokładzie rosyjskiego okrętu podwodnego. Kurt nie podzielał optymizmu Joego. Co prawda wracało mu czucie w prawym ramieniu, ale jeszcze nie mógł unieść ciężkiego bowena i celnie strzelić. Phelps też nie był w pełni sprawny.

Nie zdołał włożyć „mokrego” skafandra, bo neopren uciskał mu ranę na barku. Zawała musiał odciąć rękaw i kawałek górnej przedniej części skafandra, żeby zmniejszyć ucisk.

Phelps zauważył brak dwóch akwalungów i domyślił się, że Chińczycy, którzy eskortowali Zawałę z okrętu podwodnego, wrócili tam, by dołączyć do swoich towarzyszy. Oznaczało to, że strażnicy na tajfunie znów są w pełnym składzie.

Joe i Kurt pomogli Phelpsowi zejść do basenu i przeprowadzili go przez szyb na otwartą wodę. Potem wszyscy trzej unieśli się z dna i popłynęli w kierunku tajfunu, którego cień majaczył blisko powierzchni.

Austin i Phelps weszli przez właz po prawej stronie wielkiego kiosku, a Zawała przez właz z lewej. Znalazszy się w komorach ewakuacyjnych, zamknęli włazy, wypompowali wodę, otworzyli dolne wodoszczelne drzwi i zeszli po drabinkach. Gdy zdjęli maski, zobaczyli kapitana Miechdiewa, który patrzył na nich z zaciekawieniem.

Akurat był w sterowni, kiedy włączył się alarm sygnalizujący użycie śluz powietrznych. Ponieważ dwaj strażnicy już wcześniej wrócili z laboratorium, poszedł zobaczyć, kto tym razem wszedł na jego okręt. Obecność Phelpsowi i Zawali nie zaskoczyła go, ale uniósł krzaczaste brwi na widok trzeciego mężczyzny.

Joe dokonał prezentacji:

- Kurt, to jest kapitan Miechdiew, dowódca tego niesamowitego okrętu i zarządca barku z wódką.

Austin wyciągnął sprawną lewą rękę.

- Kurt Austin. Przyjaciel Joego z NUMA. - Zauważywszy, że Miechdiew zerknął wrogo na Phelps, dodał: - Pan Phelps już nie pracuje dla ludzi, którzy porwali pański okręt. Przeszedł na naszą stronę.

- Na jak długo? - Miechdiew nie krył sceptyzmu.

- Dobre pytanie - przyznał Phelps. - Przykro mi, nie potrafię na nie odpowiedzieć. Ale zamierzam wam pomóc odzyskać okręt.

Miechdiew wzruszył ramionami.

- Co ja i moi ludzie możemy zrobić? - spytał. - Jesteśmy marynarzami, nie marines.

- Na początek proszę nam powiedzieć, gdzie są strażnicy i co robią - odparł Austin.

- Trzej śpią w kwaterach oficerskich w prawym kadłubie, a pozostali grają w karty w mesie oficerskiej albo są w mesie załogi. Lubią być blisko siłowni i sauny, dokąd moi ludzie nie mają wstępu.

- Chyba pora przerwać im te wywczasy. Zajmijmy się najpierw śpiochami.

Ruszyli we cztery przez sterownię. Phelps udawał, że eksportuje Zawalę i Austina, na wypadek gdyby spotkali jakiegoś strażnika. Miechdiew, idący na czele, szeptał po rosyjsku do mijanych członków załogi, żeby zniknęli z widoku, a ci przekazywali to następnym. Z warsztatu okrętowego kapitan wziął kilka rolek taśmy samoprzylepnej i kontynuował wędrówkę przez labirynt hermetycznych przedziałów, aż dotarli do kwatery oficerskiej.

Dźwięk otwieranych drzwi obudził trzech śpiących strażników. Już chcieli poderwać się z koi, ale znieruchomieli na widok wycelowanego w nich rewolweru Austina. Zawała związał ich i zakneblował taśmą.

Grupa wypadowa opuściła kabinę i skierowała się w stronę mesy załogi. Miechdiew wszedł do środka i uśmiechnął się do dwóch strażników, którzy siedzieli przy stole, pili herbatę i oglądali film z Jackiem Chanem na DVD. Zerknąwszy na kapitana, wrócili do śledzenia akcji.

Miechdiew powiedział coś po rosyjsku do kucharza okrętowego, ten zaś skinął głową i wymknął się z mesy. Wtedy do pomieszczenia wkroczyli Austin i Zawała. Zaszokowani strażnicy zostali przyciśnięci brzuchami do podłogi i potraktowani taśmą samoprzylepną, żeby się nie ruszali i milczeli.

Kolejnym przystankiem była mesa oficerska. Kapitan zajrzał do środka i spytał z uśmiechem, czy ktoś czegoś potrzebuje. Jeden ze strażników podniósł wzrok znad kart i odpowiedział warknięciem, które nie wymagało tłumaczenia. Miechdiew posłusznie się wycofał.

- Przy stole są cztery miejsca, ale tylko trzech graczy - szepnął do Austina i Zawali. - I do połowy opróżniona butelka wódki.

Kurtowi nie podobało się, że jakiś strażnik włóczy się po okręcie, ale postanowił wykorzystać przewagę. Skinął głową Joemu i wpadli do mesy oficerskiej z uniesioną bronią. Lekko wstawieni strażnicy nie zdążyli zareagować. Wkrótce wszyscy trzej leżeli na podłodze skrępowani taśmą samoprzylepną.

Zaczęła się obława na ich kompana.

Znaleźli go niebawem. A raczej on ich znalazł. Kiedy weszli do przedziału z sauną, drzwi kabiny się otworzyły i stanął w nich strażnik tylko w spodenkach kąpielowych. Tym razem Austin i Zawała nie zdążyli zareagować. Strażnik, młody i szybki, błyskawicznie sięgnął do szafki, chwycił kaburę z pistoletem i dał nura przez właz do sąsiedniego przedziału. Kurt ruszył za nim, ale potknął się o jakieś rury i opadł na kolana. Zanim się poderwał, strażnik zniknął w głębi okrętu.

Zgubiłby Chińczyka, gdyby nie członkowie załogi, którzy wskazali mu kierunek jego ucieczki. Z Zawalą tuż za sobą dobiegł do zamkniętych drzwi. Właśnie zastanawiali się nad następnym posunięciem, kiedy dogonił ich Miechdiew.

- Co jest za tymi drzwiami? - spytał go Austin.

- Ładownia - wysapał korpulentny kapitan. - Do luku załadunkowego na pokładzie kursuje winda towarowa. Biegnie od niej pomost do windy w dziobowej części ładowni, wypełnionej pustymi

kontenerami. Zamiast go tam szukać, lepiej po prostu zabezpieczyć drzwi.

- A czy może narobić kłopotów, jeśli zostawimy go w spokoju? - spytał Austin.

- Niestety tak - przyznał kapitan. - Są tam przewody, elektryczne i inne, może więc unieruchomić okręt.

- Czyli trzeba unieruchomić jego - zdecydował Kurt.

Poprosił Miechdiewa, żeby jego ludzie pilnowali skrzepowanych strażników, po czym zapalił latarkę, zgasił światło w przedziale i wolno otworzył drzwi. Wszedł do następnego przedziału i oświetlił szyb windy.

Gdy winda zatrzymała się na górze, wcisnął przycisk, żeby ją ściągnąć. On i Zavala stanęli po obu stronach drzwi z bronią gotową do strzału, ale wróciła pusta. Joe zdjął gaśnicę ze ściany i włożył między połówki drzwi, blokując windę.

Potem wspiał się po schodach na pomost, żeby wypłoszyć strażnika i skłonić go do ucieczki w drugi koniec ładowni, gdzie będzie czekał Kurt. Austin, choć praworęczny, podczas wielu godzin spędzonych na strzelnicy ćwiczył także lewą rękę i był pewien, że w razie potrzeby nie spudłuje.

Przestronna ładownia, w której kiedyś mieściły się wyrzutnie rakietowe i dwadzieścia pocisków nazywanych „niszczycielami miast”, zajmowała prawie jedną trzecią długości okrętu. Po usuniętych wyrzutniach ustawiono przegrody oddzielające poszczególne komory.

Austin wszedł do pierwszej i włączył światło. Reflektory zwisające z pomostu zamieniły noc w dzień. Ruszył między kontenerami, dotarł do przegrody i wszedł do następnej komory.

Wędrował przez ładownię bez przygód, aż dotarł do ostatniej komory. Zakładał, że skoro Zavala idzie równoległe pomostem, strażnik wciąż jest z przodu, wzięty przez nich w kleszcze. Mylił się. Strażnik odgadł ich zamiary i ukrył się w wąskiej przestrzeni między stosami kontenerów. Zaczekał, aż Kurt go minie, a potem bezszelestnie wyłonił się za nim. Uniósł oburącz pistolet i wycelował między łopatki Austina.

- Kurt! - krzyknął Zavała, który wyglądał za barierkę po mostu.

Austin spojrział w górę i zobaczył wyciągnięty palec wskazujący przyjaciela. Nie oglądając się za siebie, dał nura za kontener. Pocisk zrykoszetował z brzękiem od jego narożnika, a potem rozległ się drugi strzał, lecz padł z góry. Chwilę później Zavała zawołał:

- Możesz już wyjść, Kurt! Chyba go trafiłem.

Austin wyjrzał zza kontenera, po czym pomachał do Joego. Strażnik leżał martwy na podłodze. Mimo niewygodnego kąta Zavała strzelił mu w pierś.

Kurt przypomniał sobie, co Phelps mówił o chińskiej obsesji na punkcie liczb. Gdy padnie twoja liczba, koniec z tobą.

45

Czang był klasycznym psychopata. Nie miał ani krzty empatii i zabijał z taką samą łatwością, z jaką przechodził przez ulicę. Pozostali dwaj szefowie triady wykorzystywali jego mordercze skłonności do własnych celów. Miał talent organizacyjny, więc uczynili go odpowiedzialnym za sieć gangów w wielkich miastach na całym świecie. To pozwalało mu zaspokajać żądzę krwi, uczestniczył bowiem w likwidowaniu konkurencji i wykonywaniu egzekucji.

Obowiązki chroniły Czanga przed stoczeniem się w otchłań szaleństwa, dopóki pozostała dwójka zapewniała niezbędną równowagę. Ale teraz był zdany wyłącznie na siebie, z dala od cugli powstrzymujących jego ledwo hamowaną porywczosć. Szepty, które czasem słyszał w głowie, zamieniły się w krzyki.

Po opuszczeniu laboratorium dostarczył kultury szczepionki na frachtowiec zakotwiczony w pobliżu atolu i czekał na meldunek z okrętu podwodnego. Fiasko unicestwienia laboratorium materiałami wybuchowymi doprowadziło go w końcu do szału.

Wsiadł do wahadłowca ze swoimi zabójcami i kazał pilotowi wrócić do krateru. Gdy wyłonili się z tunelu, światła na dnie zdawały się drwić z Czanga. Żyła pulsowała mu na czole.

Siedzący obok doktor Wu wyczuwał rosnącą wściekłość swojego pracodawcy i pragnął stać się niewidzialny. Ale kiedy Czang się odwrócił, jego uśmiech wydawał się jeszcze bardziej przerażający niż poprzednia gniewna mina.

- Co by się stało, przyjacielu, gdyby ktoś, całkiem przypadkowo, wpadł do akwarium ze zmutowanymi meduzami? - zapytał niemal wesołym tonem.

- Zostałby natychmiast ukąszony.
- Śmierć nastąpiłaby od razu?
- Nie. Ta toksyna działa paraliżująco.
- Czy to byłoby bolesne?

Wu poruszył się niespokojnie.

- Tak - odparł. - Gdyby ta osoba nie utonęła, wszystko by czuła. Z czasem meduzy zaczęłyby ją pochłaniać.

- Doskonale! - Czang klepnął doktora w plecy. - Że też nie pomyślałem o tym wcześniej.

Oznajmił, że skoro laboratorium nie wyleciało w powietrze, trochę się „zabawią”. Kiedy tam wejdą, pozabijają naukowców, oszczędzając tylko Zwałę, żeby go później wrzucić do akwarium z meduzami. Doktor Wu zarejestruje jego śmierć na wideo, aby Austin mógł zobaczyć ostatnie chwile życia przyjaciela.

Wahadłowiec z mordercami na pokładzie opuścił się do modułu przejściowego. Pilot uaktywnił służę powietrzną. Kilka minut później Czang i jego ludzie wypadli z niej i omal się nie przewrócili o skrzynię z C-4. Na jej wieku leżały kolorowe przewody związane w kokardę, o którą była oparta biała koperta z nazwiskiem Czanga wypisanym dużymi drukowanymi literami.

Mężczyzna, który podłożył ładunki wybuchowe, podniósł kable.

- Bez obaw - powiedział. - Nie są do niczego podłączone.

Podał kopertę Czangowi, który ją rozerwał. W środku była złożona na trzy kartki z logo Schowka. Na wierzchu widniało jedno słowo: „Bum!”

Czang rozłożył kartkę. Zobaczył uśmiechniętą buzię i podpis: „Tylko żartowałem!”

A pod spodem informację: „Jestem w dyspozytorni”.

Zmiał kartkę i kazał swoim ludziom przeszukać kompleks. Gdy wrócili po kilku minutach, zameldowali, że obiekt wygląda na opuszczony, przewody zostały wyrwane ze wszystkich ładunków C-4.

Czang ruszył do dyspozytorni. Podejrzewając, że to może być pułapka, zatrzymał się przy drzwiach i wysłał przodem swoich ludzi.

Sprawdzili pomieszczenie i oznajmili, że jest puste i wszystko wydaje się w porządku. Czang wszedł do środka i rozejrzał się po dyspozytorni; coraz bardziej wściekły, chciał wyładować na kimsz złość. Zauważył, że doktor Wu filmuje pomieszczenie.

- Nie teraz, durniu! - krzyknął do niego. - Nie widzisz, że tu nikogo nie ma?

Z głośników ściennych dobiegł metaliczny głos:

- Masz rację, Czang. Ty i twoi kumple jesteście jedynymi ludźmi w laboratorium.

Czang odwrócił się gwałtownie z pistoletem maszynowym przyciśniętym do piersi.

- Kto to?

- SpongeBob Kanciastoporty - odrzekł głos.

- Austin!

- Okej, przyznaję się. Przyłapałeś mnie, Czang. Tu Kurt Austin.

Chińczyk zmrużył oczy.

- Co się stało z naukowcami? - warknął.

- Już ich tu nie ma. Odplynęli miniłodziemi podwodnymi.

- Nie ściemniaj, Austin. Zniszczyłem ich obwody zasilające. W głośnikach rozległ się inny głos.

- Rozdeptałeś zapasowe. Łodzie były sprawne, szefie.

- Phelps?! - wrzasnął Czang. - Myślałem, że jesteś trupem.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem, szefie. Austin nie ściemnia.

Doktor Mitchell i inni naukowcy dawno się stąd zmyli.

- Znajdę ich! - ryknął Czang. - Ciebie i Austina też, i rozwalę was!

- Wątpię - odrzekł Kurt. - A tak przy okazji, kultury szczepionki, które dostałeś, są bezużyteczne. Prawdziwie ma doktor Mitchell.

Głosów w głowie Czanga przybywało i były coraz bardziej natarczywe. Dzika nienawiść przepływała przez jego bycze ciało niczym prąd. Wydał rozkaz natychmiastowego powrotu do wahadłowca, a kiedy unieśli się z laboratorium, połączył się przez radio z frachtowcem i kazał przeszukać głębiny sonarem. Chwilę później dostał odpowiedź. Namierzono cztery kształty oddalające się od atolu. Czang rozkazał, żeby frachtowiec był pod ręką, gdy miniłodzie podwodne się wynurzą.

Wahadłowiec płynął z pełną prędkością do tunelu. Czang uśmiechnął się na myśl o minach naukowców, kiedy zobaczą, jak frachtowiec pruje prosto na nich. Napawał się tą sceną, wyobrażał sobie ich reakcje, gdy wyłoni się z morza jak Neptun. Nagle usłyszał okrzyk pilota. Pochylił się na siedzeniu i wyjrzał przez bulaj w kokpicie.

Do wahadłowca zbliżał się wielki czarny cień.

Pilot, rozpoznawszy masywny dziób tajfunu, który celował prosto w nich, zaskowyczał jak przerażony szczeniak. Czang kazał mu skrócić, ale pilot zamarł z rękami na sterach. Czang warknął dziko, złapał go za ramiona, zrzucił z fotela i zajął jego miejsce. Szarpnął koło sterowe w prawo.

Po kilku sekundach wahadłowiec zmienił kierunek i uniknęli czołowego zderzenia ze stuosiemdziesięciotrzymetrowym okrętem. Ale tajfun, który płynął z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, zawadził o rufę wahadłowca, zniszczył mu ster i wprawił go w ruch wirowy. Od uderzenia otworzyły się drzwi ładowni i woda zaczęła się wdzierać do środka.

Jej ciężar pociągnął rufę wahadłowca w dół i kadłub ustawił się skośnie dziobem do góry jak zdychająca ryba. Ludzie Czanga chwyтали się siedzeń i wdrapywali po pochyłym pokładzie w stronę kokpitu.

Doktor Wu próbował robić to samo, ale silniejsi strażnicy spychali go pod wodę, więc wkrótce przestał młócić ramionami i znieruchomiał. Czang nie zamierzał dzielić z nikim przestrzeni wypełnionej powietrzem. Odwrócił się, wystawił pistolet za oparcie siedzenia i strzelał do każdego, kto próbował do niego dołączyć. W ciągu kilku sekund zabił wszystkich swoich ludzi i został w kabinie sam.

Tymczasem woda przemieściła się na dziób. Kadłub wypoziomował i wahadłowiec zaczął opadać w dół krateru. W kabinie zapadła całkowita ciemność. Czang starał się trzymać głowę w malejącej przestrzeni wypełnionej powietrzem, ale utrudniały mu to ciała pływające w czerwonej od krwi wodzie. Ledwo odepchnął jedne zwłoki, ich miejsce zajmowały inne. W pewnej chwili znalazł się oko w oko z martwym doktorem Wu.

Wody było coraz wyżej, a życiodajnego powietrza coraz mniej. Czang przywierał do sufitu kabiny zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnią. Kiedy woda wypełniła mu usta i nozdrza, spojrział w górę i zobaczył nad sobą ogromny cień tajfunu. Zanim wydał ostatnie technienie, zdołał jeszcze wybełkotać:

- Austin!

Kurt Austin siedział w tajfunie obok sternika. Zawała zajmował miejsce po drugiej stronie młodego Ukraińca, który miał wrodzony talent do prowadzenia okrętu podwodnego. Kapitan Miechdiew stał u boku Kurta i tłumaczył jego rozkazy sternikowi.

Kilka minut wcześniej Ukrainiec wycofał tajfun do tunelu. Operator sonaru, który wypatrywał wahadłowca, zawiadomił Austina, gdy zobaczył ruchomy punkt. Na monitorze kamery ulokowanej w kiosku okrętu pojawiły się dwa szperacze nadpływającego podwodnego promu. Kurt dał rozkaz uderzenia z pełną prędkością. Sternik chwycił mocno koło sterowe i okręt ruszył naprzód.

Po staranowaniu wahadłowca tajfun zagłębił się w kraterze i zatoczył szeroki krąg. Gdy wracał do tunelu, żeby dokończyć dzieło zniszczenia, kamera znów zlokalizowała wahadłowiec.

Austin przyglądał się bez współczucia, jak idzie na dno. Nie triumfował. Jeszcze nie. Wiedział aż za dobrze, że triada to trzygłowy potwór.

46

Kiedy „Concord” do świtu nie otrzymał wiadomości od Austina, kapitan przesunął okręty pod swoim dowództwem bliżej, by otoczyły atol. Stał na pokładzie dziobowym z Song Li, która go nie odstępowała, odkąd Kurt wyruszył na akcję.

Dixon obserwował atol przez lornetkę, nieświadomy dramatu rozgrywającego się pod spokojnymi wodami laguny. Zastanawiał się, co powinien dalej robić, gdy Li chwyciła go za ramię i wskazała kipiel.

- Kapitanie, niech pan spojrzy!

Patrzyli, jak masywny kiosk i wysoki pionowy ster tajfuną przebijają powierzchnię oceanu kilkaset metrów na wschód od atolu. Po kilku minutach na szczycie kiosku pojawiły się dwie postacie i pomachały im. Dixon uniósł lornetkę do oczu.

- A niech mnie - mruknął i podał lornetkę Li. Popatrzyła przez nią i wykrzyknęła:

- To Kurt! I Joe!

Dixon wybuchnął śmiechem. Tylko Kurt Austin mógł wybrać się na połów do odległej laguny i złapać największy okręt podwodny na świecie.

Dwaj mężczyźni znów pomachali, po czym zniknęli ze szczytu kiosku, by po chwili wyłonić się z włazu w pokładzie. Z pomocą członków załogi wyciągnęli na pokład ponton, opuścili go z zaokrąglonego kadłuba do wody, wsiedli do środka i skierowali się w stronę krążownika.

Gdy znaleźli się na pokładzie, Song Li uściskała najpierw Austina, potem Zavalę i znów Austina, tym razem całując go mocno w usta.

Kurt, chociaż chętnie by przedłużył to przyjemne powitanie, oswobodził się delikatnie z jej objęć i odwrócił do kapitana.

- Widział pan jakiś ślad personelu laboratorium? - zapytał. - Powinni się już wynurzyć w miniłodziach podwodnych.

Dixon pokręcił przecząco głową. Wezwał na mostek pierwszego oficera i polecił mu przekazać pozostałym okrętom, że mają wypatrywać wynurzających się miniłodzi podwodnych. Chwilę później zatelefonowano ze statku NUMA z informacją, że pierwsza miniłódź właśnie się wynurzyła. Dixon wydał rozkaz i „Concord” ruszył. Okrążyli atol w samą porę, by zobaczyć, jak na powierzchni wypływa druga miniłódź, a tuż po niej trzecia.

Austin wypatrywał czwartej miniłodzi z Lois Mitchell i szczepionką na pokładzie. Gdy po kilku chwilach i ona się wynurzyła, odetchnął z ulgą.

- Musimy natychmiast wziąć na pokład naukowców z czwar tej łodzi - powiedział do kapitana.

Dixon kazał spuścić szalupę, która zabrała Lois Mitchell oraz jej towarzyszy z miniłodzi podwodnej i przetransportowała na krążownik. Kiedy szalupa zbliżyła się do okrętu, Lois pomachała Kurtowi wychylonemu za reling i wskazała chłodziarkę na swoich kolanach. Wspiąwszy się na pokład, wręczyła ją Li.

- Tu jest nasza szczepionka - oznajmiła.

Radosny uśmiech zniknął z twarzy Chinki. Wyglądała na przybitą, jakby właśnie się dowiedziała, że jest radioaktywna.

- Za późno, Lois - odparła. - Epidemia wybuchnie w całych Chinach w ciągu dwudziestu czterech godzin, a rozprzestrzeni się na resztę świata w ciągu kilku dni. Nie mamy czasu na produkcję szczepionki na masową skalę.

Mitchell wzięła od niej chłodziarkę, postawiła na pokładzie i otworzyła. W środku były dziesiątki aluminiowych cylindrów.

- Nie uczestniczyłaś w ostatnim etapie badań - powiedziała, wyjmując jeden z nich - więc nie orientujesz się, jak daleko za- szliśmy.

- Wiem, że zintegrowaliście molekułę przeciwwirusową z drob- noustrojami, żeby przyspieszyć proces syntezy - odrzekła Li.

Lois pokręciła głową.

- Uznaliśmy to za zbyt powolne, więc wprowadziliśmy uzdrawiająca proteinę toksyny do słonowodnych alg.

Twarz Chinki znów rozjaśnił uśmiech.

- To cudownie! - zawołała, sięgając po cylinder. Widząc, że trzech mężczyźni nic nie rozumieją, wyjaśniła: - Algi rosną niesamowicie szybko. Kiedy dostarczymy te kultury do zakładów produkcyjnych, będą mogli uzyskać szczepionkę w bardzo krótkim czasie. Możemy mieć ilość wystarczającą dla tysięcy ludzi, a w ciągu kilku dni dla setek tysięcy.

Podła cylinder Austinowi, który chwycił go delikatnie, jakby się spodziewał poczuć jakiś magiczny prąd. Włożył pojemnik z powrotem do chłodziarki, zamknął wieko i odwrócił się do Dixona.

- To musi jak najszybciej dotrzeć do Chin - powiedział. Kapitan podniósł chłodziarkę.

- Już jest w drodze - odparł.

Dziesięć minut później seahawk transportujący chłodziarkę wystartował z krążownika i poleciał na spotkanie z szybkim odrzutowcem, który czekał w porcie lotniczym na Pohnpei. Po wylądowaniu samolotu w Chinach jego ładunek miał w ciągu kilku godzin trafić do zakładów produkcji szczepionki.

Austin stał na pokładzie i patrzył, jak helikopter znika w oddali. Li zgłosiła się na ochotnika do konwojowania szczepionki. Kurtowi było smutno, że się z nią rozstaje, ale złowieszczy uśmiech Smoczycy już zaczynał przesłaniać obraz pięknej twarzy Song.

Ogromny tajfun płynął pierwszy do portu na Pohnpei jak dumny lewiatan. Następny był frachtowiec Czanga, tyle że z załogą amerykańskiej marynarki wojennej, która przejęła statek, kiedy krążownik go doścignął. Nie mając żadnych rozkazów od Czanga, jego ludzie poddali się komandosom SEAL bez jednego strzału.

Phelps przeszedł z okrętu podwodnego na frachtowiec i teraz oprowadzał Austina i Zwałę po statku o zwodniczym wyglądzie wraka. Pokazał im basen zanurzeniowy, maszynownię z potężnymi silnikami i supernowoczesne centrum telekomunikacyjne z ka-

biną do projekcji hologramów, gdzie Czang kontaktował się z pozostałą dwójką trojaczków.

Na koniec weszli do dużego salonu. Kurt natychmiast się tam rozgościł. Wziął trzy hawany ze skrzyneczki na cygara i przypalił je posrebrzaną zapalniczką. On, Zavala i Phelps usiedli w wygodnych, obitych czerwonym aksamitem fotelach i rozkoszowali się hawanami.

- Czang wiedział, co jest dobre do palenia - stwierdził Joe - ale miał zero gustu, jeśli chodzi o wystrój wnętrz.

Austin wypuścił kółko dymu i rozejrzał się po przestronnym salonie.

- Bo ja wiem - rzekł, patrząc na purpurowe draperie i ciemną boazerię. - Styl zamku Drakuli to ostatni krzyk mody w Transylwanii.

- Mnie to bardziej przypomina pewien burdel w Nevadzie - powiedział Phelps i strzepnął popiół ze swojego cygara na rdzawo-czerwony dywan. - Wstąpiłem tam raz, żeby zapytać o drogę.

Austin uśmiechnął się, zaciągnął jeszcze kilka razy cygarem i zdusił je w popielniczkę.

- Musimy pogadać - zwrócił się do Phelpsa.

- Mów.

- Joe i ja jesteśmy ci wdzięczni za pomoc - zaczął Kurt - ale trzeba się zastanowić, co dalej. Chodzi o tego naukowca, którego zastrześliłeś w laboratorium.

- To był wypadek - zapewnił Phelps. - Lois to potwierdzi.

- Myślałem, że za tobą nie przepada - wtrącił Zavala.

- Poznaliśmy się bliżej. Lois jest piękną kobietą. Lubię takie grubokościste.

Austin popatrzył na niego i pomyślał, że ten facet jest pełen niespodzianek.

- Masz jakieś imię, Phelps? - zapytał.

- Tak, ale mi się nie podoba.

- Problem polega na tym - Kurt wrócił do tematu - że zabiłeś człowieka, uczestnicząc w porwaniu obiektu należącego do Stanów Zjednoczonych i ataku raketowym na okręt wsparcia. Masz

szczęście, że nikt nie zginął na „Proud Mary”. Ale śmierć poniósł pracownik agencji ochrony, który załatwił ci identyfikator.

- Atak raketowy miał odwrócić uwagę ochroniarzy do czasu, aż zdążymy zabrać laboratorium - wyjaśnił Phelps. - Przyznaję, że ktoś mógł zginąć, i cieszę się, że tak się nie stało. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tamtego człowieka z agencji ochrony... Ale wiem, o co ci chodzi.

- Cieszę się, że rozumiesz sytuację - rzekł Austin. - Będę musiał oddać cię w ręce władz, kiedy przybijemy do brzegu. Opowiem im całą historię, więc na pewno dostaniesz niższy wyrok.

- Dziesięć lat zamiast dwudziestu? - Phelps wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu. - No cóż, czasami trzeba robić to, co się musi. Miałbyś coś przeciwko temu, żebym zawiadomił Lois?

Kurt podziwiał jego spokój. Pokręcił przecząco głową i wstał z fotela. Wyszli z salonu i kilka minut później płynęli pontonem w kierunku „Concorda”.

Lois Mitchell czekała tam na nich. Phelps wziął ją na stronę, żeby porozmawiać w cztery oczy. Austin i Zavała poszli do mesy oficerskiej na spotkanie z kapitanem i naukowcami z laboratorium.

Dixon poinformował wszystkich, że odrzutowiec lecący do Chin wkrótce wylądaje i szczepionka dotrze do celu na czas.

Kurt zerknął na zegarek, przeprosił i wyszedł na pokład. Zapytał kilku członków załogi, czy widzieli Phelpsa i Mitchell, i w końcu jeden z nich wskazał w stronę brzegu.

- Popłynęli pontonem do portu - wyjaśnił marynarz. - Powie dzieli, że wrócą za kilka godzin. Facet zostawił dla pana to.

Austin rozłożył liniowaną kartkę z notesu i przeczytał krótką wiadomość:

Trzeba robić to, co się musi. P.

Kurt zaklął pod nosem. Phelps go przechytrzył.

Podszedł do relingu i spojrział w stronę Pohnpei. Kolonia to małe miasto na małej wyspie, pomyślał, a lokalna policja to nie Interpol. Zanim zmobilizują siły, Phelps będzie daleko.

Bez pośpiechu wspiął się na mostek i poprosił jakiegoś członka załogi, żeby zawiadomił policję o kradzieży pontonu oraz podał rysopisy Mitchell i Phelps.

Pocieszał go fakt, że Czang nie żyje. Zdołali udaremnić jego próbę rozprzestrzenienia wirusa. Szczepionka będzie wkrótce dostępna.

Jeden z trojczków został wyeliminowany, ale byli jeszcze Wen Lo i tajemnicza Smoczyca.

Austin wciąż zastanawiał się nad kierunkiem dalszego działania, gdy zadzwieczała jego komórka. Dzwonił porucznik Casey.

- Gratuluję, Kurt - powiedział. - Admirał właśnie przekazał mi dobre wieści.

- Dzięki, kapitanie, ale nasza robota nie zostanie skończona, dopóki pozostałe trojczki triady będą na wolności.

- Zdajemy sobie z tego sprawę - rzekł porucznik. - Mam na linii kogoś, kto chciałby z tobą porozmawiać.

Austin poprosił Caseya, żeby go przełączył. Kilka sekund później usłyszał przyjemnie brzmiący męski głos:

- Dzień dobry, panie Austin. Pozwoli pan, że się przedstawię. Pułkownik Ming, oficer Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

- Dzień dobry, pułkowniku. Jak mogę panu pomóc?

- Dziękuję za propozycję, panie Austin. Ale dzwonię po to, by zapytać, jak ja mogę pomóc panu.

47

Wen Lo wyszedł ze swojego ulubionego klubu nocnego z dwiema pięknymi prostytutkami uczezionymi jego ramion. Szedł chwiejnym krokiem, ale nie był aż tak pijany, by się nie zorientować, że coś jest nie tak. Zniknęli jego goryle, dwa SUV-y, które eskortowały wszędzie jego opancerzonego mercedesa, i sam mercedes. Zamiast niego przy krawężniku stał czarny sedan marki Roewe.

Przy samochodzie stał krzepki mężczyzna w granatowym garniturze. Otworzył tylne drzwi sedana i pokazał Wen Lo, żeby wsiadł.

Wen Lo spojrział w lewo i w prawo, jakby samą siłą woli mógł sprawić, że jego ochroniarze i auto pojawią się z powrotem. Na ulicy nie było żadnych pojazdów ani przechodniów. Najwyraźniej zamknięto ją dla ruchu kołowego i pieszego.

Wen Lo odepchnął prostytutkę i wsiadł do wozu. Mężczyzna w granatowym garniturze zatrzaskał za nim drzwi i usiadł z przodu obok kierowcy.

Kiedy sedan oderwał się od krawężnika, siedzący z tyłu szczupły mężczyzna w wojskowym mundurze powiedział:

- Dobry wieczór, Wen Lo. Przepraszam, że zepsułem panu zabawę.

- Dobry wieczór, pułkowniku Ming. Nie ma za co przepraszać. Każde spotkanie z panem to dla mnie prawdziwa przyjemność.

W tym wypadku była to raczej ulga. Pułkownik odgrywał rolę łącznika między armią a triadą i obie organizacje czerpały pokaźne zyski z setek prowadzonych wspólnie burdeli w całym kraju.

- Dla mnie również - zapewnił Ming. Jego cichy głos i arystokratyczne maniere pasowały bardziej do korpusu dyplomatycznego niż do wojska.

Wen Lo zawsze postępował z nim ostrożnie. Wiedział, że koledzy pułkownika nazywają go Kobrą.

- Muszę przyznać, że zaniepokoiłem się, kiedy zobaczyłem, że moich ludzi nie ma na stanowiskach, a samochód zniknął - powiedział.

- Zapewniam, że są w bezpiecznym miejscu - odparł Ming. - Uznałem po prostu, że nic nie powinno nas rozpraszać podczas rozmowy o poważnym problemie, który powstał.

- Oczywiście - zgodził się Wen Lo. - A co to za problem? Szuka pan bardziej luksusowego mieszkania albo samochodu?... A może chce pan usunąć kogoś ze sceny?

- To nie jest sprawa osobista - odrzekł Ming. - Chodzi o interesy. Problem jest w dziale farmaceutycznym Piramidy.

- Nie rozumiem, pułkowniku. Skazone leki zostały zniszczone. A zatruta mieszanka dla niemowląt uśmierciła tylko kilkaset dzieci.

- Być może to wyjaśni problem lepiej, niż ja bym to zrobił - powiedział Ming i sięgnąwszy do odtwarzacza DVD wbudowanego w oparcie fotela kierowcy, wcisnął przycisk włączający urządzenie.

Na ekranie pojawiły się twarz Wen Lo, a potem zbliżenia wyniszczonych chorobą twarzy ludzi poddawanych eksperymentom w tajnym laboratorium doktora Wu.

- Skąd pan to ma? - zapytał Wen Lo, kiedy nagranie się skończyło.

- Nieważne - odparł pułkownik Ming. - A problem polega na tym, że nie rozumiem, jaki charakter ma ten obiekt prowadzony przez pańską organizację.

Nie mówił szczerze. Film pokazywał wszystko bardzo szczegółowo.

Wen Lo zerknął na mężczyzn z przodu.

- Zdradzę panu pewną tajemnicę, pułkowniku - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Poza mną zna ją tylko kilku najważniejszych członków rządu. To laboratorium opracowało rewolucyjną szczepionkę, która nie tylko powstrzyma nową epidemię SARS, ale również będzie lekiem na dziesiątki innych chorób wywoływanych przez wirusy.

Ming lekko klasnął w dłonie.

- To wspaniała wiadomość, Wen Lo! Gratuluje.

- Dziękuję, pułkowniku. To była długa i trudna droga, ale dzięki naszej pracy Chiny trafią do podręczników o historii medycyny. To będzie prawdziwe dobrodziejstwo dla ludzkości. I dla naszej armii, pozwolę sobie dodać. Pan i pańscy towarzysze będziecie czerpać ogromne korzyści z naszego przedsięwzięcia.

- Doskonale! - Pułkownik zamilkł na chwilę, po czym powiedział: - Nie jestem wprawdzie z branży medycznej, ale ponieważ wspomniał pan o ludzkości, zastanawiam się, czy wykorzystywanie ludzi w charakterze królików doświadczalnych jest akceptowane.

- Bardzo przepraszam - zaprotestował Wen Lo - ale określe nie „króliki doświadczalne” bardzo by ich dotknęło. To wszystko są ochotnicy ze slumsów. Tak czy owak czekało ich życie pełne cierpienia.

Ming skinął głową.

- Dostrzegam sens w pańskim rozumowaniu - powiedział. -To laboratorium służyło skracaniu ich udreki. Podziwiam pański humanitaryzm i geniusz, Wen Lo.

- Niczego nie robię wyłącznie dla siebie, pułkowniku. Zawsze mam na względzie dobro mojego kraju.

- Pański kraj chce pana nagrodzić za ciężką pracę i poświęcenie - zapewnił Ming. - Ale to nagranie budzi niepokój. Można je przecież skopiować i rozpowszechnić. Obawiam się, że wypłynie w dzielnicach, gdzie ludzie nie są tacy świątli jak pan i ja. Niewątpliwie dostrzeże pan niebezpieczeństwo wybuchu zamieszek?

Wen Lo dobrze wiedział, jak rząd nie znosi rozruchów. On i jego bandyci często tłumili protesty, kiedy władze wybierały politykę nieingerencji.

- Oczywiście - przyznał. - Ale rząd kontroluje media i Internet. Może ogłosić, że nagranie jest sfalszowane. A moja organizacja zajmie się tymi, którzy chcieliby rozdmuchać tę sprawę.

- To wszystko prawda - przytaknął Ming - ale nie mamy kontroli nad zagranicznymi mediami, a rząd nie chce być wiązany, nawet pośrednio, z tym, co pokazuje ten film. Ponieważ pan oficjalnie reprezentuje Piramidę, uważamy, że byłoby najlepiej, gdyby pan zniknął.

- Zniknął? - wychrypiął Wen Lo.

Ming poklepał go w kolano.

- Proszę nie panikować - rzekł uspokajającym tonem. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Załatwiliśmy panu potajemny wyjazd z Chin. Rząd jest gotowy do współpracy z Piramidą, kiedy nie będzie pana w kraju.

- To sensowne rozwiązanie - przyznał niechętnie Wen Lo.

- Ale musimy wiedzieć, gdzie i jak można się skontaktować z człowiekiem numer jeden w pańskiej firmie - powiedział pułkownik.

- To niemożliwe! Nigdy się nie spotykamy twarzą w twarz. Komunikujemy się wyłącznie elektronicznie przez hologramy.

Ming westchnął.

- Szkoda - stwierdził ponuro. - Obawiam się, że w takiej sytuacji cała odpowiedzialność spadnie na pana. Stanie pan przed sądem, a wyrok jest przesądzony. Posłuszny pan za przykład.

Wen Lo dobrze wiedział, jakie są konsekwencje bycia przykładem w Chinach. Znał wielu ludzi, których skazano i stracono za korupcję.

- No dobrze - powiedział. - Do zwoływania naszych holograficznych zebrań używamy zwykłego telefonu.

Pułkownik wyjął z kieszeni długopis i mały notes. Po kilku sekundach wahania Wen Lo zapisał numer i oddał notes Mingowi.

- Dziękuję. - Pułkownik spojrzał na cyfry, by sprawdzić, czy są czytelne, po czym schował długopis i bloczek z powrotem do kieszeni. - Teraz zajmijmy się pańską przyszłością. Co pan powie na Londyn? Potem możemy pana przenieść do Paryża albo Nowego Jorku, gdyby zaszła taka potrzeba. A kiedy znowu będzie bez piecznie, sprowadzimy pana do kraju.

Wen Lo wyraźnie się ożywił.

- Londyn mi odpowiada. Mam rezydencję w Soho.

- Za bardzo na widoku. Rząd znajdzie panu jakieś miejsce mniej rzucające się w oczy. Nadal gra pan w tenisa?

- Codziennie. To moja pasja.

- Doskonale - rzekł Ming. - Będzie pan miał mnóstwo czasu na ćwiczenie bekhendu.

Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i zastukał w szybę oddzielającą tylne siedzenie od kierowcy. Samochód zjechał do krawężnika i się zatrzymał.

- Do zobaczenia w Paryżu - powiedział pułkownik do Wen Lo.

Krzepki mężczyzna z przodu wysiadł, otworzył Mingowi

drzwi i odprowadził go do drugiego sedana marki Roewe, który zaparkował za pierwszym. Znalazłszy się w aucie, pułkownik polecił:

- Załatwcie to porządnie.

Gdy drugi sedan ruszył, wybrał numer na swojej komórce. Po kilku sygnałach zgłosił się mężczyzna.

- Pan Austin? - spytał pułkownik.
- Zgadza się - potwierdził Kurt.
- Mam informację, której pan szuka.

Kiedy pułkownik rozmawiał przez telefon z Austinem, krzepki mężczyzna wrócił do pierwszego sedana, usiadł obok kierowcy i odsunął szklaną przegrodę za sobą. Wen Lo patrzył prosto na niego. To ułatwiło mężczyźnie dokładne wycelowanie, zanim strzelił drugiemu z trojaczków w prawe oko.

Egzekutor zasunął przegrodę i wydał rozkaz szoferowi. Zawieźli zwłoki Wen Lo do kostnicy, gdzie już czekali, by je zabalsamować. Szklane oko zastąpiło to, które unicestwił pocisk. Następnie ciało dostarczono do komendy policji. Tabliczka przyczepiona do dużego palca u nogi poświadczała, że denat zmarł w chińskim więzieniu.

Policja wpisała zgon do akt, które niestety wkrótce uległy zniszczeniu. Bezimienne zwłoki przetransportowano do pewnego magazynu, gdzie odbiorca poskarżył się na jakość towaru. Ciało najpierw zanurzono w acetonie, by usunąć wszelkie ślady wilgoci, a potem umieszczono w kąpieli polimerowej. Po pomalowaniu mięśni i kości ustawiono je pionowo, z jedną ręką wygiętą jak do odbicia piłki tenisowej.

Kiedy spreparowane zwłoki dotarły do Londynu, by dołączyć do innych na wystawie, którą potem przeniesiono do Paryża i Nowego Jorku, do kościstej dłoni włożono rakietę tenisową.

Sylwetka chińskiego tenisisty trafiła na T-shirty, breloczki do kluczy i magnesy na lodówki, a nawet okładkę katalogu objazdowej wystawy.

Zgodnie z obietnicą pułkownika Minga, Wen Lo miał mnóstwo czasu na ćwiczenie bekhendu.

Ilekróć Joe Zavala nie miał akurat randki ani nie majstrował przy silniku swojej corvety uwielbiał sprawdzać, jak działają różne urządzenia. Kabinę do projekcji hologramów sąsiadującą z krzykliwie urządzonym salonem Czanga na frachtowcu potraktował jako wymyślny zestaw do wysyłania i odbierania obrazów, które wyglądały jak żywe.

Gdy oglądał mikrofony, soczewki, lasery, projektory i komputery umieszczone wokół okrągłego stołu i trzech krzesel, Austin stał z boku i rozmawiał przez komórkę z Hiramem Yeagerem. Yeager, ekspert w dziedzinie hologramów, stworzył piękną holograficzną kobietę imieniem Max, personifikację systemu komputerowego NUMA, który nadzorował. Kurt przekazywał mu pytania Joego i wysyłał zdjęcia urządzeń, których Zavala nie potrafił opisać.

Po godzinnej analizie skomplikowanej konstrukcji Zavala cofnął się i zatarł ręce.

- Wszystko jest gotowe - oznajmił. - Możesz zaczynać. Musisz tylko wcisnąć tamten przycisk.

Austin zajął do jednego ze stożków nad stołem.

- To chyba nie przefasonuje moich molekuł tak, że skończę z głową muchy? - spytał.

- Bez obaw. To tylko supernowoczesna technika iluzji. Pic na wodę, fotomontaż.

- Trzymaj na wszelki wypadek pod ręką packę na muchy - odparł Kurt i usiadł na wyściełanym wyprofilowanym krześle.

Zavala stanął z boku, gotowy do interwencji, gdyby coś poszło źle. Austin zerknął przez stół na dwa wolne krzesła, przyjrzał się uważnie pulpitemu sterownicemu i wstukał numer, który Wen Lo podał pułkownikowi Mingowi, zanim przedwcześnie rozstał się z tym światem.

Światła błyskały, a urządzenia szumiały, kiedy aparatura optyczna skanowała każdy centymetr kwadratowy ciała Austina i przesyłała dane w postaci elektronicznych impulsów do komputera,

który je przetwarzał i przekazywał do innego komputera, by w projektorze mógł powstać trójwymiarowy obraz. Wprawdzie był to tylko „pic na wodę, fotomontaż”, jak się wyraził Zavala, ale Kurt napinał mięśnie ramion w oczekiwaniu na laskotanie prądu.

Zamiast tego rozgrzane powietrze pod stożkiem na wprost niego zaczęło drgać, tworząc chmurę wirujących drobin. Początkowo bez wyraźnego zarysu, potem przybrała w przybliżeniu kształt ludzkiej głowy i ramion, najpierw przezroczysty, później półprzezroczysty i wreszcie nieprzezroczysty, gdy pojawiły się rysy twarzy. Austin pamiętał ze swojego spotkania ze Smoczycą, że hologram jest zmienny i może ulec przeobrażeniu na życzenie. Ale twarz po drugiej stronie stołu była dziwniejsza niż wszystko, co mógłby sobie wyobrazić.

Oczy pod wdzięcznie wygiętymi brwiami miały taki sam ja-deitowozielony kolor jak pełne nienawiści oczy Czanga. Mięsiste wargi były kobiece, ale do twarzy o delikatnych rysach nie pasowały zarost na podbródku i bary zawodowego zapaśnika, które rozsadały w szwach czarną koszulę bez kołnierzyka. Trzecie z trojaczków triady wydawało się ni to mężczyzną, ni to kobietą, jakimś dziwnym połączeniem obojga płci, hermafrodytą.

Hologram trwał w bezruchu niczym marmurowy posąg. Małe delikatne dłonie spoczywały na stole. Rysy zastygły, oczy patrzyły prosto przed siebie. Potem wargi się rozchyliły i z głośników dobiegł łagodny głos, ani męski, ani kobiecy.

- Znów się spotykamy, panie Austin - powiedział.

- Mam się do ciebie zwracać Smoczycą czy Lai Czoj San? -zapytał Kurt.

- Moi zwolennicy znają mnie jako Jedynekę. Przyszłam na świat kilka minut wcześniej niż moje rodzeństwo. My, Chińczycy, jesteśmy przesądni, jeśli chodzi o liczby, i wierzymy, że niskie przynoszą szczęście.

- Ostatnio szczęście nie bardzo ci dopisuje, więc lepiej poszukaj sobie nowego numeru - doradził Austin. - Twój holograficzny wizerunek też jest do niczego. Poruszasz tylko ustami.

- Bo nie mogę poruszać niczym innym poza wargami i w ograniczonym stopniu oczami.

- Co się stało?
- Miałam nadzieję, że pan mi to wyjaśni, panie Austin.

Kurt milczał. Przypominał sobie słowa Kane'a o paraliżujących własnościach toksyny meduzy.

- Byliśmy ciekawi, co się stało ze szczepionką - odezwał się w końcu. - Helikopter odleciał ze statku, więc doszliśmy do wniosku, że chłodziarki z nią i z kulturami nie ma już na frachtowcu Czanga.

- Surowicę dostarczono bezpośrednio mnie. Po zapewnieniu mojego brata Czanga, że nie mam się czego obawiać, zażyłam ją doustnie. Wiedziałam, że rozprzestrzenienie się wirusa w moim mieście to kwestia godzin, i chciałam się uodpornić pierwsza. Zostałam sparaliżowana, kiedy siedziałam tu i próbowałam się skontaktować z moimi braćmi. - Wąskie wargi rozciągnęły się w groteskowej parodii uśmiechu. - Zdaje się, że ten związek chemiczny jest wadliwy.

- W cylindrze przysłanym ci przez Czanga była szczepionka, która zabija wirusa, ale paraliżuje gospodarza.

- Więc badania zakończyły się fiaskiem?

- Bynajmniej, Jedyńko. Prawdziwa szczepionka jest już produkowana w Chinach i na całym świecie w takich ilościach, że wywołana przez was epidemia zostanie powstrzymana.

Usta zacisnęły się w cienką linię.

- Z twojej obecności na statku mojego brata wnioskuję, że Czang zniknął ze sceny. Zabiłby cię, gdyby żył.

- Niestety padł ofiarą własnej porywczoci.

- Szkoda - powiedział hologram bez cienia smutku. - Był bardzo błyskotliwy, ale rzeczywiście zbyt porywczy.

Rysy Austina stwardniały.

- Większość ludzi nie nazwałaby zamordowania mnóstwa niewinnych osób porywczocią - odparł.

- To dlatego, że nasza rodzina zawsze patrzyła na świat inaczej niż inni. Triada Piramida istniała wieki wcześniej, niż wasza hałastrza przepędziła Brytyjczyków z powrotem do Anglii. Nie przetrwalibyśmy tak długo, gdybyśmy byli sentymentalni, kiedy ktoś ponosił śmierć, nawet w naszej rodzinie.

- Miło mi to słyszeć, bo nie będziesz wylewała łez z powodu straty swojego brata Wen Lo?

- On też nie żyje?

- Naraził się chińskiej armii... To kolejna ofiara waszego szalonego planu.

- Nie było w nim nic szalonego. Przywódcy naszego kraju są strasznie słabi. Rząd zareagowałby brutalnie na uliczne protesty. Zachęcalibyśmy tłumy do wzięcia spraw w swoje ręce, a potem położylibyśmy kres epidemii i przejęli władzę. Mając szczepionkę, bylibyśmy panami życia i śmierci miliarda naszych rodaków. Za-proponowalibyśmy reszcie świata ratunek w zamian za pieniądze i władzę. Plan był dobrze przemyślany. Nie spodziewaliśmy się jednak ingerencji twojej i twoich przyjaciół z NUMA.

- Uznanie nie należy się wyłącznie NUMA - odparł Austin. - Zasialiście ziarna destrukcji, kiedy postanowiliście odgrywać rolę trzygłowego boga. Nie wy pierwsi uważaliście się za nieśmiertelnych i nie będziecie ostatni, więc mogę się nie martwić o pracę.

- Mówiłeś to samo, kiedy rozwiązywano twoją jednostkę CIA?

- Moje usługi przestały być potrzebne z końcem zimnej wojny. Ale widzę, że grzebałaś w mojej przeszłości.

- Wiem o tobie więcej niż twoi najbliżsi przyjaciele, Zavała i Troutowie. Oglądałam twój dom nad Potomakiem przez satelitę. Wiem, jakiej muzyki słuchasz i jakie książki czytasz. Ale część twojego życia jest ukryta w mroku, co daje mi nadzieję.

- Na co, Jedyńko? Jesteś prawie całkowicie unieruchomiona. Możesz liczyć najwyżej na to, że zostaniesz wynajęta jako wieszak na kapelusze.

- Ale ty możesz to zmienić, Austin. - Głos stał się cichy jak szelest trawy wywoływany ruchami węża. - Moja firma farmaceutyczna stworzyła wirusa, więc gdyby dać im czas i odpowiednio ich ukierunkować, mogliby opracować antidotum przeciw toksynie. Wynagrodziłabym cię tak, że przeszłoby to twoje najśmielsze oczekiwania.

- Unicestwienie twojej triady to jedyna nagroda, jakiej pragnę.

Błysk gniewu pojawił się w szeroko otwartych holograficznych oczach.

- Mogłabym cię rozdeptać jak robaka, Austin.

- Owszem, gdybyś mogła unieść nogę. Na razie, Jedyńko. Toksyna zapewni ci długie życie. Powodzenia.

Austin wycelował palec w przycisk przerywający transmisję.

- Zaczekaj! Dokąd się wybierasz?

- Po zajmowaniu się tobą i twoimi braćmi - odrzekł Kurt - muszę wziąć długi, gorący prysznic.

- Nie możesz mnie tak zostawić.

Błagalny głos brzmiał szczerze, ale Austinowi było to obojętne. Czuł tylko odrazę do wynaturzonej postaci.

- Więc zawrę z tobą umowę - zaproponował. - Powiesz mi, gdzie jesteś, a ja przekażę tę informację chińskim władzom. Spróbujesz szczęścia z nimi.

Po chwili ostatnie z trojaczków wyrecytowało adres w Hongkongu.

- Dzięki, Jedyńko. A teraz dam ci dobrą radę. Nie licz na to, że się z tego wywiniesz za łapówki. Władze skonfiskują cały twój majątek. Nie masz im nic do zaoferowania.

- Zabiję cię, Austin. Znajdę jakiś sposób.

- Żegnaj, Smoczyco.

- Zaczekaj!

Austin wcisnął przycisk, żeby zakończyć projekcję. Z bezkształtnej chmury płasających drobin dobiegło wołanie. Głos był kobiecy.

- Wracaj!

Zavala, który stał z boku, wymamrotał coś po hiszpańsku. Kurt zdał sobie sprawę, że ocieka potem. Mimo oddalenia o tysiące kilometrów jeszcze nigdy nie był tak blisko samego zła.

- Stałem się Śmiercią, niszczycielem światów - mruknął. Joe go usłyszał.

- Co mówiłeś - spytał?

Jakby budząc się ze snu, Austin odparł:

- To był cytat z Bhagawadgity. Właśnie mi się przypomniał. Zapisaleś adres, który podało tamto coś?

Zavala uniósł kartkę papieru.

- Co chcesz z tym zrobić?
- Gdy wrócimy na „Concorda”, zadzwonisz do pułkownika Minga i przekażesz mu tę informację. Następnie zawiadomisz Paula i Gamay, co się wydarzyło, i nalejesz sobie solidną porcję tequili, potem drugą, ale zostawisz trochę dla mnie.

- Tak jest, szefie. A co ty będziesz robił w tym czasie? Austin wstał z fotela i ruszył do drzwi.
- Wezmę długi, gorący prysznic, o którym wspomniałem.

49

Bonefish Key,
pięć tygodni później

Song Li siedziała na zalanym słońcem patio przed bungalowem i przeglądała notatki, gdy usłyszała warkot silnika zaburtowego wśród namorzynów. Rozpoznawszy po dźwięku łódź Dooleya, podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

Dooley był jej głównym łącznikiem ze światem, odkąd wróciła na wyspę, żeby popracować nad tekstem o biomedycynie oceanicznej. Powrót na Bonefish Key nie był łatwy. Ale laboratorium przodowało w nauce, której korzenie sięgały pradawnej kultury Nan Madol i mikronezyjskich wysp, i tutaj Li najlepiej się pisało.

Jeszcze nie odważyła się zapuścić do przybrzeżnego wału akumulacyjnego. Nie chciała zobaczyć zatoczki, w której zabiła człowieka, ani spalonej motorówki, na której omal nie zginęła. Nadal pływała kajakiem, ale trzymała się bliżej wyspy. Chodziła wcześniej spać, wstawiała o świcie, brała laptop i spędzała długie godziny w bibliotece laboratorium.

Wyspa opustoszała. Po zakończeniu projektu doktor Mayhew wrócił na uczelnię, a jego zespół się rozproszył. Została nieliczna

grupka, żeby zajmować się akwariami, ale ochroniarze, którzy pełnili również funkcje personelu pomocniczego, wyjechali. Li lubiła przyjacielską atmosferę wśród grup techników podczas gotowania posiłków.

Doktor Kane odwiedził laboratorium tylko raz. Wpadł jak po ogień z ekipą filmową, żeby zrobić zdjęcia bungalowu i budynków z pracownikami naukowymi, i więcej się nie pokazał.

Chociaż rządy Chin i Stanów Zjednoczonych wciąż obawiały się ujawnić całą prawdę o ich potajemnej współpracy w celu powstrzymania pandemii, świat obiegnęła wiadomość o herkulesowej walce z wirusem. Kane płał się w sławie, biegał z wywiadu na wywiad i udzielał konsultacji specjalistom od ochrony zdrowia oraz politykom na całym świecie. Wykorzystał swój status guru w dziedzinie pandemii do wyciągnięcia od Kongresu pieniędzy na badania naukowe z zakresu biomedycyny oceanicznej.

Song Li odpowiadała praca w samotności, ale na odludnej wyspie zaczęła czuć się źle i myślała o dokończeniu swojej książki w Chinach. Często wspominała ludzi z NUMA, którzy uratowali ją i świat. Brakowało jej Troutów i Joego Zavali, ale najbardziej Kurta Austina. Kilka tygodni po jej powrocie na wyspę zadzwonił do niej na jeden z radiotelefonów laboratorium. Był na Pohnpei, bo wciąż pomagał w wydobywaniu Schowka i miał pozostać w Mikronezji dłużej, niż przewidywał.

Warkot silnika stał się głośniejszy, a po chwili katamaran Dooleya wyłonił się zza namorzynów i skręcił w kierunku pomostu. W łodzi byli dwaj ludzie: Dooley za sterem, a obok niego barczysty mężczyzna w hawajskiej koszuli. Ten drugi zdjął czapkę bejsbolową i odsłonił gęstą srebrną czuprynę. Gdy zaczął machać czapką w powietrzu, Song już biegła na przystań. Li i łódź dotarły do końca pomostu jednocześnie.

Dooley rzucił Song cumę.

- Przywiozłem pani towarzystwo, doktor Li - oznajmił.

Ledwo go usłyszała. Wpatrywała się w Kurta, który uśmiechał się szeroko. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy wyszedł z łodzi i Song otoczyła go ramionami. Odwzajemnił uścisk, a ona złożyła

na jego wargach gorący pocałunek, który mógłby trwać wiecznie, gdyby Dooley nie odchrząknął.

- Przepraszam was, moi drodzy, ale muszę wracać na stały ląd. - Wyciągnął rękę. - Miło było cię poznać, Kurt. Zadzwoń, jak będziesz chciał wrócić na Pine Island.

- Dzięki za transport, Dooley - odrzekł Austin i sięgnął po swój mały plecak. Kiedy łódź zniknęła wśród namorzynów, wyjaśnił: - Wróciłem do Waszyngtonu kilka dni temu i pomyślałem, że wpadnę cię odwiedzić.

Li wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę bungalowu.

- Cieszę się - powiedziała. - Co u Joego i Troutów?

- W porządku. Zawała zakochał się w kartografce NUMA, a Troutowie właśnie wrócili z New Bedford. Tamtejsze muzeum wielorybnictwa przeznaczyło jedną salę na dioramę Caleba Nye'a. To część specjalnej wystawy obrazującej dziwny rejs „Princess”.

- To był rzeczywiście bardzo dziwny rejs - przyznała Li. - Moja książka zaczyna się od opisu ich przygody na Wyspie Kłopotów.

- Jak ci idzie pisanie?

- Skończyłam wstępną wersję i prowadzę dodatkowe badania. Myślę, że wyniki zrewolucjonizują nasze rozumienie odporności na wirusy, zwłaszcza roli szczepień. Ale poznaliśmy dopiero ułamek cudownych leków, kryjących się w oceanach. Paradoksalnie, nasza szczepionka mogłaby nigdy nie powstać, gdyby triada nie zagroziła wywołaniem epidemii.

- Klasyczny przypadek jin i jang?

- Niechętnie myślę o tym, że dobro i zło połączyły w tym przypadku siły - odrzekła - ale bez jednego drugie nie przyniosłoby korzyści światu.

- Wielu korzyści - zauważył Austin. - Stosunki amerykańsko-chińskie nigdy nie były lepsze. I triady już nie ma.

Wspięli się po zboczu na patio i usiedli na krzesłach przodem do przystani.

- Muszę ci zadać trudne pytanie - powiedział Austin. - In formacje od doktora Huanga umożliwiły triadzie realizację planów. Po tym, gdy ich zawiadomił o istnieniu laboratorium, pod-

słuchiwali Doca Kane'a i zlokalizowali je. Co powinniśmy z nim zrobić?

- Nie wiem - odparła. - Jest słaby i tchórzliwy, ale to dosko-
nały lekarz. Wolałabym nie wydawać go władzom. Dostałby wyrok
śmierci. - Spojrzała na czapkę szybującą nad wodą i odwróciła się
z powrotem do Austina. - Oto, co proponuję.

Gdy zasugerowała, że ma pomysł, żeby wysłać Huanga na jej
miejsce jako wiejskiego lekarza, Kurt odchylił głowę do tyłu i roze-
śmiał się serdecznie.

- Rozwiązanie idealne w swojej symetrii. Teraz ja mam propo-
zycję.

Otworzył plecak i wyjął z niego butelkę i dwa kieliszki. Napenił
je i podał jeden Song.

- To jest *sakau*, mikronezyjska pieprzówka, którą ci obieca-
łem. Ma lekko narkotyczne działanie, więc najlepiej pić ją w nie-
wielkich ilościach.

Unieśli kieliszki i Li wygłosiła toast:

- Za dobre stosunki między Chinami i Stanami Zjednoczo-
nymi.

Wypili. Song skrzywiła się i odstawiła kieliszek na stół. Austin
się uśmiechnął.

- Ma specyficzny smak, ale można go polubić. O ile sobie
przypominam, obiecałem ci też kolację w restauracji z widokiem na
wodę. - Wykonał ręką szeroki gest. - Widok jest. Ale kolacja będzie
musiała poczekać, aż skończysz pracę.

- Może nie - odparła Li. - Jeden z laborantów złowił dziś rano
kilka łososi. Przyrządzimy je na grillu. Przyłącz się do nas.

Austin przyjął zaproszenie. Siedzieli na patio i gawędzili, dopóki
nie rozległ się dzwonek wzywający na kolację. Zjedli ją w jadalni z
sześcioma członkami personelu, a gdy wyspę spowiła ciemność,
wrócili na patio na drinka przed snem. Austin schował *sakau* i pili
mniej zabójcze porto.

Długo rozmawiali wśród dźwięków i zapachów podzwrotnikowej
nocy i było już bardzo późno, kiedy zorientowali się, że reszta
personelu zniknęła i są zupełnie sami.

Austin zerknął na zegarek.

- Dochodzi północ. Zadzwoń do Dooleya, żeby po mnie przyплыnął.

Song roześmiała się cicho.

- O tej porze Dooley jest już w łóżku. I musiałbyś wejść na wieżę ciśnienia, żeby złapać sygnał. Przenocuj w mojej kwaterze. Jest całkiem przytulna i wygodna.

- Nigdy nie pozwolę, by mówiono, że Kurt Austin stanął na drodze dobrych stosunków chińsko-amerykańskich - odparł. - Ale mam tylko to ubranie. Zostawiłem piżamę w domu.

Song wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- Nie będzie ci potrzebna - powiedziała z uśmiechem.

Następnego ranka obudził ich śpiew ptaków wodnych. Austin musiał wrócić do Waszyngtonu na ważne spotkanie. Kiedy poszedł na wieżę ciśnienia, żeby wezwać Dooleya, Song i laboranci przygotowali pożegnalne śniadanie złożone głównie ze świeżych owoców. Jedli na patio. Austin, zachwycony ciszą i spokojem na wyspie, stwierdził:

- Ciężko będzie opuścić ten raj.

- Naprawdę musisz już jechać? - zapytała Li.

- Niestety tak. Przepraszam, że tak się śpieszę.

- Może tak samo będziesz śpieszył się z powrotem.

- Czuję, że zobaczymy się prędzej, niż myślimy. Jak ci idą badania anomalii nowobedfordzkiej?

- Studiuję materiał, który mam. Ale tyle brakuje... - urwała i zmarszczyła brwi. - Chyba słyszę Dooleya.

Odprowadziła Kurta na koniec pomostu. Objęli się i pocałowali na pożegnanie. Zanim Austin wsiadł do łodzi, sięgnął do plecaka, wyjął pakunek zawinięty w gładki papier i wręczył go Li.

- To cię może zainteresować - powiedział.

Zdjęła papier i popatrzyła na trzymaną w rękę książkę. Niebieska okładka była pomarszczona ze starości i sfatygowana po długim rejsie. Song otworzyła książkę na pierwszej stronie i przeczytała na głos:

20 listopada 1847 roku. Wiatr północno-zachodni o prędkości dziesięciu węzłów. Dobry statek Princess wyrusza z New Bedford w dziewiczy rejs. Przygoda i perspektywa powodzenia przyzywają. H. Dobbs.

- To zaginiony dziennik okrętowy! - wykrzyknęła. - Gdzie go znalazłeś?

- Troutowie przywieźli go z New Bedford. Opowieść Harveya Brimmera o potajnym małżeństwie Caleba Nye'a okazała się prawdziwa. Ta książka była częścią wiana jego córki. Od tamtej pory jej rodzina przechowywała dziennik. Chcieliby dostać go z powrotem, kiedy przestanie ci być potrzebny.

Kurt cmoknął Li w policzek i wsiadł do łodzi. Kiedy katamaran skierował się w stronę namorzynów, Song zdała sobie sprawę, że Austin naprawdę wyjeżdża. Pomachała ręką i krzyknęła:

- Dzięki!

- Szkoda, że musisz opuścić doktor Li tak szybko - odezwał się Dooley.

- Wszystko jest w porządku - rzekł Austin. - Pewien młody mężczyzna dotrzyma jej towarzystwa.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Dooley ze szczerą troską. - Ktoś, kogo znam?

- Chyba nie. Nazywa się Caleb Nye.

- Ech, te kobiety - mruknął Dooley i pokręcił głową.

Kilka minut później wypłynęli z namorzynów na otwartą wodę. Dooley pchnął przepustnicę i łódź pomknęła po niebieskozielonej powierzchni zatoki w stronę odległego stałego lądu.